



KATARZYNA  
MISIOŁEK

*Dziewczyna,  
która przepadła*

KATARZYNA  
MISIOŁEK

*Dziewczyna,  
która przepadła*



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Katarzyna Konior/bluemango.pl*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Zespół*

Zdjęcia wykorzystane na okładce

© M.M./Shutterstock

© Eugene Sergeev/Shutterstock

© Alexey Lysenko/Shutterstock

© by Katarzyna Misiołek

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2016

ISBN 978-83-287-0421-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2016

**Spis treści**

CZEŚĆ PIERWSZA – Dziewczyna, która przepadła...

1.

CZEŚĆ DRUGA – Plama czerwieni pośród zadymki

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

CZEŚĆ TRZECIA – Obce twarze, obce dłonie

12.

CZEŚĆ CZWARTA – Kobieta w złotej klatce

13.

14.

15.

16.

17.

18.

CZEŚĆ PIĄTA – Siostry

19.

20.

21.



**CZĘŚĆ PIERWSZA**  
*Dziewczyna, która przepadła...*

## 1.

Dzień, w którym zaginęłam, był mroźny i ponury. Sinogranatowe chmury, wróżące rychłe opady śniegu, wisiały nad miastem, lodowaty wiatr przenikał do szpiku kości.

Przed nasz blok dotarłam około szesnastej; wchodząc do klatki, niemal zderzyłam się z sąsiadką, która jak zwykle o tej porze wyprowadzała na szybki spacer wściekle ujadającego jamnika. W mieszkaniu było cicho i nadal lekko pachniało upieczonym przeze mnie rano piernikiem. Tego dnia specjalnie wstałam znacznie wcześniej, żeby zdążyć z deserami. Lubiłam ten aromat, kojarzył mi się z babcią i z zapamiętanymi z dzieciństwa świętami. W czasach, kiedy jeszcze wierzyłam, że to Święty Mikołaj wsuwa mi pod poduszkę zabawki i czekoladki, wszystko było prostsze. Ściągając kozaki, pomyślałam o siostrze. Co chciałaby dostać na urodziny? Czemu ostatnimi czasy tak rzadko ze sobą rozmawiamy? – zastanawiałam się. Owszem, wpadając na siebie u rodziców, wymieniałśmy z Magdą jakieś zdawkowe uwagi o przeczytanych niedawno książkach czy obejrzanych filmach, ale, szczerze mówiąc, nie miałam nawet pojęcia, co tak naprawdę u niej słyhać, jak sobie radzi na studiach, czy jest zadowolona ze swojego faceta... Niedawno z nim zamieszkała, ale jeszcze nie miałam okazji, żeby ją odwiedzić, nie znałam nawet adresu. Jakoś nie mogłyśmy się umówić, zresztą od dłuższego czasu absorbowały mnie głównie moje własne problemy, własne lęki i koszmary... Może wpadnę do niej po sylwestrze? – pomyślałam, wieszając kurtkę na pełnym męzowskich bluz i wiatrówek przeciążonym wieszaku. Na widok stojących obok niego różowych kaloszy w zielone groszki leciutko się uśmiechnęłam. Planowaliśmy wiosenny wyjazd do Wenecji i Kuba kupił mi je dla żartu. „Znając nasze szczęście, pewnie będzie lało” – powiedział, wręczając mi prezent. Włochy... Wiele bym dała, żeby już tam być. Potrzebowałam odpoczynku. Chciałam spędzać dni na niczym, a wieczorami z mapą w dłoni błądzić po urokliwych, wąskich uliczkach. We Włoszech zawsze wszystko wygląda inaczej. Lepiej, bardziej pomyślnie, obiecująco. Tylko czy aby na pewno marzę o tym, żeby lecieć do Wenecji z mężem?

– przeszła mi przez głowę niepokojąca myśl, którą zaraz odpędziłam. Oczywiście, że chcę lecieć z nim! Nawet jeśli ostatnio nie było między nami tak sielankowo, jak kiedyś, nadal chcę dzielić z nim życie – wmawiałam sobie, przeczesując włosy, które zmierzwiły mi się pod czapką. Weszłam do kuchni, żeby się napić, nie mając pojęcia, że wiszący nad marmurowym blatem zegar bezlitośnie odmierza minuty do mojej śmierci.

Bo tamtego dnia w pewien sposób umarłam.

Nie można przecież nazwać życiem tego, przez co musiałam przejść w rękach zwyrodnialca. Siedem lat, dziewięć miesięcy i kilka dni – tyle czasu odebrał mi bydlak, który postanowił zawładnąć moim losem, uczynić ze mnie swoją własność. Poniżyć, odczłowieczyć, sponiewierać ciało i ukraść duszę. Ale przecież tego jeszcze wtedy nie wiedziałam...

„Kup puszkę ananasów do sałatki” – powiedziałam mężowi tamtego popołudnia, dzwoniąc na jego komórkę. „Kupię” – powiedział i obiecał, że wróci za jakąś godzinę. Jakub. Mężczyzna, z którym miałam zostać, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Śmierć nadeszła jednak zbyt szybko, chociaż nie taka, jakiej można by się spodziewać. Rozłączyłam się pośpiesznie, bez pożegnania. Gdybym wtedy wiedziała, jak banalne będą te moje ostatnie słowa. Ananasy w puszcze, hasło feralnego dnia. Z drugiej jednak strony, jak mogłabym to przewidzieć? Dopijając resztkę truskawkowego jogurtu, zerknęłam na zegarek. Szesnasta osiem, jeszcze zdążę, pomyślałam. Torebkę rzuciłam na stół, nie lubiłam kłaść jej na podłodze. Babcia zawsze powtarzała, że z tak rzuconej torebki uciekają pieniądze. Portfel, klucze, płaszcz, kozaki. Wychodząc z mieszkania, pomyślałam o mężu, ale była to jedynie ulotna, nic nieznacząca myśl. Bo ostatnimi czasy to nie mąż zaprzętał moją głowę...

Miał czekać w zatoczce, przy drodze na Warszawę. Szymon, mężczyzna, którego nigdy nie powinnam była wpuszczać do mojego życia. „O siedemnastej, tam gdzie zawsze” – powiedział kilka dni wcześniej, kiedy się zegnaliśmy. Wyszłam więc przed klatkę i szybkim krokiem ruszyłam w stronę wysadzanej kasztanowcami szosy na Warszawę. Mijałam stację paliw, kiedy zaczęło prószyć; drobny śnieg

osiadał mi na włosach, dodawał magii ponuremu grudniowemu popołudniu. Moja siostra nie przepadała za zimą, ale pod wieloma względami byłyśmy przecież z Magdą takie różne...

Wysoki jasnowłosy facet w szarym płaszczu uśmiechnął się do mnie, wysiadając ze szpanerskiego terenowego mercedesa. Odwzajemniłam uśmiech, nie mając pojęcia, że jego wzrok będzie ostatnim życzliwym spojrzeniem, jakie zobaczę przez następne lata. Nagle zachciało mi się czegoś słodkiego. Gość z terenówki był tuż przede mną; pamiętam, jak szarmancko przepuścił mnie w oszklonych drzwiach. Czekoladę Wedla znalazłam przy kasie, kupon Lotto kupiłam pod wpływem impulsu.

Kilka minut później ruszyłam wzdłuż drogi. Ruch był znaczny, ale nie aż tak duży, jak można by się spodziewać w sylwestrowe popołudnie. Szłam szybko, wciągając w płuca mroźne zimowe powietrze. Zjechał na pobocze, kiedy byłam kilkanaście metrów od „naszej” zatoczki. Jeden z tych niewielkich, nierzucających się w oczy wozów. Granatowy, lekko wgnieciony z tyłu, niepozorny. Kiedy go mijalam, kierowca uchylił szybę w drzwiach od strony pasażera i zaczął coś mówić. Przeciętny facet, zupełnie zwyczajny. Pięćdziesięciokilkuletni, może nieco starszy. Nie dosłyszałam, czego chciał. Pewnie pyta o drogę – uznałam. Dopiero kiedy przystanęłam i nachyliłam się, zaglądając do wnętrza wozu, zrozumiałam, że coś mu jest. „Proszę wezwać karetkę” – powtórzył kilka razy, łapiąc się za serce. Rozejrzałam się, rozpaczliwie starając się odszukać wzrokiem kogoś, kto mógłby pomóc, ale szosą przejeżdżał akurat jeden jedyny samochód, który szybko zniknął za pobliskim zakrętem. „Chyba mam zawał, niech się pani pośpieszy!” – krzyknął siedzący za kierownicą granatowego wozu mężczyzna. Powiedziałam, że nie mam przy sobie telefonu. Zostawiłam go przecież w domu, żeby w razie jakichkolwiek pytań ze strony Jakuba wmówić mężowi, że zeszłam tylko na dół, do sklepu... Kiedy dziś o tym myślę, wiem, że to były sekundy, góra minuta, dwie. Wtedy jednak tamta scena rozciągała się w czasie niemal w nieskończoność. Mężczyzna spazmatycznie łapał powietrze; skulony nad kierownicą, śmiertelnie przerażony. Obiecałam mu, że wszystko będzie dobrze i wsiadłam do jego auta, pytając, czy ma komórkę.



Naiwna idiotka, ufna niczym dziecko! Ale przecież to nie był żaden napakowany sterydami cwaniaczek w sportowym wozie. Gość miał siwe skronie i rękę na sercu, które ponoć szwankowało. „W schowku! – powiedział. – Telefon jest w schowku!” Drżał mu głos, oddech miał ciężki, chrapliwy. Nie miałam jednak pojęcia, że to tylko marne aktorstwo, cyrk odegrany po to, żebym dała się nabrać. Sięgnęłam do schowka, zupełnie tracąc czujność. Zresztą szczupły mężczyzna po mojej lewej wydawał mi się ostatnią osobą, ze strony której mogłabym się spodziewać jakiegokolwiek zagrożenia. Wtedy rąbnął mnie pięścią w skroń i zapadła ciemność.

Niczego więcej nie pamiętam z początku drogi, w którą zabrał mnie ten kompletnie pozbawiony ludzkich uczuć szaleniec.



**CZĘŚĆ DRUGA**  
*Plama czerwieni pośród zadymki*

## 2.

Nie wyglądasz mi na Monikę. Mogłabyś być Agatą, Dorotą, może Agnieszką, ale na pewno nie Moniką – powiedział.

Głos miał spokojny, niemal balsamiczny; nie wyczuwało się w nim szaleństwa.

Ocknęłam się dosłownie chwilę wcześniej – skulona na rzuconym na podłogę materacu, zmarznięta, z przyprawiającym o mdłości bólem głowy. W ustach czułam kwaśny posmak wymiocin, pamięć wracała powoli, fazami falującymi niczym wzburzone morze. Ciemność. Ciasne, klaustrofobiczne miejsce, miarowy pomruk silnika. Jakiś czas później porywacz musiał zjechać z głównej drogi i załadować mnie do bagażnika. Bezwładną niczym worek ziemniaków, wciąż otumanioną silnym ciosem w głowę. Zwymiotowałam na śnieg, kiedy pomógł mi się wygramolić z auta i postawił na nogi. W nieprzeniknionej ciemności zimowego wieczoru, na obcym podwórzu, gdzieś daleko od miejsca, które zwykłam nazywać domem... Stałam schylona, targana torsjami, podczas gdy on, radośnie pogwizdując, wyjmował z samochodu sfatygowane plastikowe reklamówki. Kiedy się odwrócił i na moment spuścił mnie z oczu, zaczęłam biec. Podjazd był wylany betonem, zdradliwie śliski, oblodzony. Potykałam się, ślizgałam, rozpaczliwie machałam rękoma, ale biegłam. Nie miałam pojęcia dokąd. Wiedziałam tylko, że muszę uciekać, że muszę się ratować.

Mokry, gęsty śnieg zaklejał mi powieki, osiadał we włosach, wirował, potęgując zawroty głowy. Upadłam w świeży śnieg, ale zaraz zerwałam się na nogi z ochryłym krzykiem rozpacz. Porywacz dopadł mnie kilka chwil później, złapał za włosy.

– Stój, głupia! – warknął, wymierzając kolejny cios.

Pociemniało mi w oczach i runęłam na ziemię, boleśnie rozcinając sobie wargę.

A teraz siedział przede mną i przyglądał mi się wzrokiem człowieka, który pierwszy raz w życiu ma przed sobą egzotyczny okaz motyla. Jak udało mu się tu mnie przywlec? Kim był i czego chciał? Dlaczego akurat mnie to spotkało? Co to za nora i czemu wszystko mnie

boli? – myśli płynęły wolno, nieskładnie, jakby w mojej pulsującej od jego ciosów głowie nie było miejsca na nic innego, oprócz bólu.

Porywacz powiedział, że ma na imię Józef i od teraz muszę robić wszystko, co mi każe. Jego imię brzmiało dostojnie i biblijnie, niosło ze sobą nadzieję. Przynajmniej jeszcze wtedy naiwnie w to wierzyłam...

– Mówię do ciebie! – warknął.

Z trudem podniosłam głowę, starając się nie myśleć o mdłościach. Pokój przez moment gwałtownie zafalował, w końcu udało mi się skupić wzrok na siedzącym naprzeciwko mężczyźnie. Nie licząc przeznaczonego dla mnie materaca, krzesło, na którym siedział mój porywacz, było jedynym sprzętem w niewielkim wytapetowanym na zielono pokoju. Zieleń to ponoć kolor nadziei, ale ta miejscami odłóżąca ze ścian tapeta wydawała mi się szczególnie paskudna. Przypominające algi mazaje przeplatane brązowymi esami-floresami, kojarzyły mi się z podwodnym światem napuchniętych topielców. Było w nich coś psychodelicznego, zasysającego wzrok, każącego oczom koncentrować się nie na tym, na czym by chciały.

Prześladowca nachylił się w moją stronę, patrząc na mnie uważnie, niczym ciekawski dzieciak przygląda się jadowitemu wężowi. Z dystansem, ale i sporym zaciekawieniem.

– Niedobrze mi – szepnęłam.

– Jeśli zarzygasz materac, będziesz na zarzyganym spała – powiedział ze stoickim spokojem.

Zauważyłam leżący na podłodze fioletowy portfel, który rok wcześniej dostałam od męża i mój dowód osobisty. Uświadomiłam sobie, że jestem w rękach człowieka, który z nieznanym mi powodów postanowił zwabić mnie do samochodu i wywieźć w nieznane.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytałam cicho.

Uśmiechnął się, jednak był to uśmiech gada.

– Wszystkiego – powiedział.

Zaczęłam krzyczeć.

Nadal mi się przyglądał mi się, siedząc na krześle, w końcu wstał i ruszył w moją stronę. Skuliłam się pod ścianą, głos uwiązł mi w gardle.

– Lubię, kiedy zaczynacie tracić nad sobą panowanie – wycedził.

– Wypuść mnie stąd! – krzyknęłam.

Nie odpowiedział.

Jeszcze przez chwilę cieszył wzrok moim przerażeniem, wdychając odór mojego strachu, sycąc swój chory umysł widokiem skulonej na materacu kobiety. Później odwrócił się na pięcie i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Zgrzytnęła zasuwka.

Zamknęłam oczy, walcząc z kolejną falą mdłości, w końcu udało mi się wstać. Krzesło stało pod ścianą – stare, brzydkie, z brązowego drewna, z oparciem wygiętym w kształt serca, na którego widok wybuchłam histerycznym śmiechem. Serce...

Za oknem było ciemno choć oko wykol. Czerń atramentowa, nieprzenikniona, absolutna. Żadna uliczna latarnia nie rozświetlała kątów ogrodu, dom musiał stać na wsi, na kompletnym odludziu... Podniosłam z podłogi portfel, w którym znalazłam jedynie kartę biblioteczną, nieaktualną legitymację szkoły językowej, którą dawno temu powinnam wyrzucić, i trochę bilonu. Mój dowód osobisty porywacz wziął ze sobą, wychodząc z pokoju. Przepadły też grubsze pieniądze, kupon Lotto, który tam upchnęłam, i rachunek ze stacji benzynowej. Stałam przy drzwiach i przyłożyłam do nich ucho.

Cisza.

Dokąd mnie wywiózł? Czego chce ten człowiek?! „Wszystkiego” – przypominałam sobie jego odpowiedź i starając się nie poddawać panice, zaczęłam rozglądać się dookoła. Po zewnętrznej stronie okna była wyglądająca na solidną metalowa krata. Drzwi również sprawiały wrażenie masywnych i niełatwych do sforsowania. Goła żarówka pod sufitem dawała niewiele światła, jednak byłam za nią wdzięczna. Gdyby oprawca zostawił mnie w całkowitej ciemności, chyba bym oszalała... Podeszłam do okna, usiłując je uchylić, ale powbijane w drewniane ramy gwoździe skutecznie mi to uniemożliwiły. Chciałam podważyć paznokciem jeden z nich, ale rozwaliłam sobie palec do krwi, a gwoździe ani drgnął. Spodobał mi się za to pulsujący ból; pozwalał na moment oderwać myśli od koszmaru, w którego środku się znalazłam.

„Lubię, kiedy zaczynacie tracić nad sobą panowanie”

– przypominałam sobie jego słowa.

Więc nie byłam pierwsza? Nie mnie jedną tu przetrzymywał, nie

tylko mnie porwał? – zastanawiałam się, krążąc po moim tonącym w zgniłych zieleniach więzieniu. Dziesięć kroków od drzwi do okna, osiem wzdłuż przeciwległej ściany. Wsunęłam palec do ust, zlizalam krew. Czy od tak niewielkiej rany może się wdać zakażenie?

– przestraszyłam się. Cisza panująca w domu doprowadzała mnie do szału. Przycupnęłam na krześle, nasłuchując. Wyobrażałam sobie, jak on czai się w ciemnościach, obmyślając perfidne tortury. Nerwy miałam napięte do granic możliwości, serce szarpało się w piersi nierówno, niepewne jutra. Zaczęłam krzyczeć. Ochryple, przeraźliwie, bez końca. Zerwałam się z krzesła i kopałam w drzwi. Waliłam w nie pięściami, napierałam ramieniem, szarpałam za klamkę, ale nawet nie drgnęły. Kiedy straciłam głos, ze szlochem opadłam na materac. Boże, spraw, żeby to był tylko koszmarny sen – powtarzałam szeptem, ale Bóg musiał być zajęty czymś innym, bo chyba mnie wtedy nie słyszał...

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim porywacz znowu się pojawił. Godzina? Dwie? Cztery? Przyniósł niewielką emaliową miskę z wodą, butelkę mineralnej i szorstki, frotowy ręcznik w różowo-błękitne pasy.

– Muszę do łazienki – powiedziałam.

– Więc idź – Józef uśmiechnął się krzywo, parodiując gest dawnych arystokratów, lekko się uklonił i wskazał dłonią uchylone drzwi. – Idź, tylko nie siedź tam zbyt długo. Kiedy szukam towarzystwa, nie lubię być porzucany – dodał.

Spojrzałam na niego, nie wiedząc, czy mnie podpuszcza, ale on cofnął się pod ścianę i powiedział, że to naprzeciwno. Ruszyłam przez pokój, starając się iść prosto i pewnie. Skaleczony palec bolał, przed oczami latały mi mroczki. Łazienka była mała i pozbawiona okna. Muszla, niewielka umywalka, brzydka i odrapana szafka na ręczniki. Lustro nie było, nie było również niczego, czego mogłabym użyć, żeby jakoś się stąd wydostać.

– Nie zamykaj drzwi – usłyszałam jego głos.

Rozpięłam dzinsy i starając się nie myśleć o nasłuchującym zapewne każdego odgłosu porywacza, ulżyłam pęcherzowi. Twarz przemyślałam chwilę później, nie znalazłam jednak mydła. Czekający w pokoju Józef burknął, żebym się pośpieszyła; drewniana podłoga złowrogo zaskrzypiała pod jego stopami. Zerknęłam w stronę

prowadzących na parter schodów i wyobraziłam sobie, jak zbiegam w dół i po omacku szukając frontowych drzwi, wrzeszczę, błagając o pomoc. Wiedziałam jednak, że taki nierozważny ruch jedynie pogorszyłby moją sytuację. Muszę działać rozsądnie, nie dawać się omamić panice. Postarać się wyczuć jego motywy, poznać otoczenie, uśpić czujność tego bydlaka! Niech uwierzy, że zdołał mnie ujarzmić, niech myśli, że jestem słaba – powiedziałam sobie.

Czekał na krzesła, które przesunął tak, żeby lepiej widzieć drzwi. Weszłam do pokoju i niczym podchodząca do ważnego egzaminu studentka, posłałam mu niepewne spojrzenie.

– Jeśli mamy się dogadać, powinnaś poznać zasady – powiedział Józef tym swoim łagodnym, niemal aksamitnym głosem.

Przystanęłam, zagryzając wargi.

– Zasad jest niewiele, ale każda jest dla mnie istotna – kontynuował. – Pierwsza mówi, że zawsze, bez względu na wszystko, robisz to, co ci każe. Zawsze, zrozumiałaś?! – krzyknął, gwałtownie zrywając się z krzesła, którego oparcie uderzyło o ścianę.

Pewna, że pragnie odpowiedzi, przytaknęłam, ale on tylko warknął, że nie pozwolił mi się odzywać.

– Zasada druga również jest prosta. Milczysz, kiedy nie pozwalam ci się odzywać, i zabawiasz mnie rozmową, kiedy pragnę towarzystwa.

– Wiesz, że nie możesz mnie tu przetrzymywać w nieskończoność? – szepnęłam.

– Pozwoliłem ci się odezwać?! – zapytał głosem, w którym nie było już nic z balsamicznego brzmienia.

– Mój mąż zrobi wszystko, żeby mnie odnaleźć! Rodzice, Magda... – na dźwięk imienia siostry ugryzłam się w język.

Nie powinnam opowiadać mu o bliskich, nie mogę!

Uderzył mnie w twarz.

– Pozwoliłem ci się odezwać?! – warknął.

Spuściłam głowę, zaciskając pięści.

Porywacz stał tuż przy mnie, na twarzy czułam jego obrzydliwy, przesiąknięty zgnilizną oddech.

– Idź spać – powiedział po chwili, a jego głos znowu brzmiał łagodnie.

Na miękkich nogach ruszyłam w stronę materaca, starając się nie wyobrazić sobie, co może mnie czekać za chwilę. Zgwałci mnie? Zrobi coś znacznie gorszego, coś, czego nawet nie potrafię sobie wyobrazić? Zmusi mnie do rzeczy, po których już nigdy nie będę mogła spojrzeć w lustro? – zastanawiałam się. Ale on tylko zerknął na pusty materac, poczekał, aż się położę, i niczym troskliwy ojciec kładący do snu dziecko, zgasił światło w moim pokoju.

Leżąc w całkowitym bezruchu, jeszcze długo nasłuchiwałam, ale wyglądało na to, że poszedł sobie na dobre. W końcu udało mi się zasnąć, ale sen przyniósł same koszmary. Śniłam o porywaczu szarpiącym moje ciało zębami. Krzyczał, że ludzkie mięso zawsze smakowało mu najbardziej, pożerał mnie, rozrywał na strzępy.

Obudziłam się, kiedy do pokoju nieśmiało zaglądał szary zimowy świt. Było mi zimno i chciało mi się pić. Najbardziej jednak przerażała myśl o tym, co mnie czeka pod dachem szaleńca. Przez dłuższą chwilę leżałam, bojąc się nawet drgnąć, w końcu odrzuciłam ciężką cuchnącą stęchlizną kołdrę i podeszłam do okna. Wychodziło na niewielkie podwórze i sad, dalej były pola – ciągnące się w nieskończoność, przyprószone świeżą warstwą śniegu, odludne. Widok, który normalnie mogłabym uznać za niemal sielankowy, teraz przygnębił mnie tak, że zaczęłam płakać. Pierwszy stycznia, Nowy Rok. Świat leczył kaca po nocnej zabawie, a ja z policzkiem przyciśniętym do lodowato zimnej szyby wypatrywałam chociażby nikłego śladu życia, zabłąkanej wśród pól duszy, którą mogłabym wezwać na ratunek. Po kilku minutach dotarło jednak do mnie, że nikogo takiego nie będzie i ze szlochaniem opadłam na materac.

Józef zjawił się w pokoju niedługo później – gładko ogolony, ubrany w starannie odprasowaną beżową koszulę i ciemnogramatowe dżinsy. Rzednące włosy miał zaczesane do tyłu, na nogach kraciaste, domowe bambosze; schludny pan domu ukrywający swoje drugie mroczne ja za obliczem niepozornego, nierzucającego się w oczy człowieka.

– Ranna z ciebie ptaszyna, księżniczko – powiedział.

Usiadłam na materacu, zastanawiając się, czy powinnam wstać, czy może tkwić bez ruchu, czekając, aż on powie coś więcej.



– Zapowiadali kolejną śnieżycę – dodał. – Teraz powinnaś coś odpowiedzieć! Jeśli mamy żyć w zgodzie, musisz wyczuwać moje nastroje – warknął.

– Lubię, kiedy sypie – szepnęłam.

Słowa z trudem przechodziły mi przez zaciśnięte ze strachu gardło, ale jemu moja odpowiedź wystarczyła. Ba, wyglądał na całkiem zadowolonego z tej wymuszonej porannej wymiany zdań. Usiadł na krześle i posłał mi spojrzenie kogoś, kto cieszy się towarzystwem drugiej osoby.

– Zaczynasz rozumieć, czego od ciebie chcę? – zapytał.

Nerwowo przełknęłam ślinę, z trudem wydobywając z siebie krótkie „tak”. Prawda była jednak taka, że nie miałam pojęcia, czego pragnie ten świr.

– Muszę dziś coś załatwić, zostaniesz sama – powiedział nagle.

– Dobrze – szepnęłam, wyobrażając sobie, jak nadludzkim wysiłkiem wrywam z okiennych ram gwoździe, otwieram na oścież okno i krzyczę.

Krzyczę tak długo i tak rozpaczliwie, aż w końcu ktoś mnie usłyszy i ruszy mi z pomocą.

Nie przewidziałam tylko jednego – on nie zamierzał zostawiać mi wolnych rąk...

– Wybacz pewne niedogodności. Jeśli chciałabyś iść do łazienki, teraz jest dobra pora – powiedział kilka minut później, zjawiając się w moim pokoju z taśmą klejącą w dłoni.

Była gruba i srebrna, podobną moja mama podklejała od spodu dywany. Równie dobrze mogła jednak służyć do skrępowania mi kończyn, o czym on świetnie przecież wiedział. Poszłam do łazienki, starając się przygotować psychicznie na to, co mnie czeka. Po powrocie do mojej celi, kazał mi usiąść na krześle i nie histeryzować. Najpierw obwiązał mi nogi – każdą osobno ozdobiły srebrne pasy. Później wykręcił mi do tyłu ręce i zaczął je owijać taśmą.

– Nie wytrzymam w takiej pozycji. Nie musisz mnie wiązać. Wystarczy, że zamkniesz drzwi, proszę... Będę cicho, przysięgam!

– Wpadłam w panikę.

– Oczywiście, że nie muszę cię wiązać. Twój problem polega na

tym, że chcę – powiedział.

– Proszę, rozwiąż mnie – szepnęłam.

– Czas leci szybko, kiedy tylko mu się na to pozwoli – rzucił filozoficznym tonem. – Myśl o czymś przyjemnym, a wróczę, zanim się obejrzysz... Droga dziś śliska, nietrudno o wypadek. Miejmy nadzieję, że dotrę w jednym kawałku, bo marny twój los – roześmiał się chrapliwie i otwartą dłonią poklepał mnie po policzku. – Płaczesz? Kobiety...

Kiedy wyszedł, otworzyłam usta do krzyku. Dopiero myśl o kneblu, którym oprawca mógłby mnie uciszyć, sprawiła, że zdusiłam w sobie głos. Kneblem można się udusić, knebla chyba bym nie zniosła.

Cisza...

Stary, piętrowy dom trzeszczał i pojękiwał, ale ciężkie, męskie kroki na schodach dawno zdążyły ucichnąć.

Nie wiem, jak długo go nie było.

Zjawił się nagle, przytknął mi do ust garnuszek z wodą i kazał pić. Później, kuchennym nożem z bordowym trzonkiem, rozciął krępującą mnie taśmę. Wstałam podciągnięta przez niego w górę i niemal od razu runęłam w dół – nogi zbyt mi ścierpły, żeby utrzymać ciężar ciała. Stał nade mną, śmiejąc się ochryple – bezduszny kat, któremu nic nie sprawiało większej przyjemności od widoku udręczonej ofiary. W końcu, na czworakach, dotarłam do materaca, na którym zwinęłam się w kłębek.

– Nie zapytasz, czy udało mi się załatwić to, po co pojechałem?

– usłyszałam jego głos.

– Udało ci się załatwić to, po co pojechałeś? – zapytałam cicho.

– Naprawdę tylko na to cię stać?! Trochę więcej entuzjazmu, księżniczko! Pewnie na to samo by wyszło, gdybym trzymał w tej norze twoje pierdolone zwłoki! – warknął.

Wzdrygnęłam się.

– Przepraszam – zaczęłam cicho, ale on stracił już chęć na pogawędkę.

Wyszedł z pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Dopiero jakiś czas później przyniósł mi coś, co wyglądało na rozdrobniony z jogurtem twaróg.

– Kupiłem awokado – powiedział, podając mi talerzyk ze skrojonym w niewielkie plastry owocem.

Usiadłam na materacu i wzięłam od niego miskę z twarogiem.

– Najpierw to – rzucił nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Nienawidzę awokado – pomyślałam, nie odważyłam się jednak zaprotestować. Było zimne i smakowało jak wyjęte z lodówki masło. Ohydnie tłuste, śliskie, paskudne. Jadłam, walcząc z mdłościami, w końcu oddałam mu pusty talerz.

– Grzeczna dziewczynka.

Sięgnęłam po twarożek, ale Józef był szybszy.

– Wystarczy – powiedział i zrozumiałam, że o serze mogę tylko pomarzyć.

– Dziękuję – szepnęłam.

– Podobasz mi się. Masz w sobie mnóstwo pokory – wycedził.

– Dziękuję – powtórzyłam.

Postawił miskę z twarogiem na parapecie i spojrzał mi prosto w twarz. Spuściłam wzrok, nie potrafiłam dłużej wytrzymać jego spojrzenia. Sięgnął do swojego rozporka i rozpiął spodnie.

– Patrz na mnie! – warknął.

Boże, błagam, tylko nie to! Zniosę wszystko, tylko niech mnie nie gwałci, pomyślałam, podkulając kolana pod brodę. Rozbierał się w ciszy, która brzmiała wręcz nienaturalnie. Na zniszczone, drewniane deski podłogi opadły jego dżinsy, później koszula i biały podkoszulek na ramiączkach, który nosił pod spodem. Staralam się patrzeć na niego, nie okazując odrazy, jednak widok jego porośniętych ciemnymi włosami, szczupłych i krzywych nóg przyprawił mnie o mdłości. Bokserki miał pomarańczowe, zdobione białymi trupimi czaszkami ze skrzyżowanymi piszczelami. Wymowny żart czy promocyjna cena, na którą się skusił? Zsunął spodenki, a te opadły mu do kostek.

– Patrz na mnie! – powtórzył ostro, zaciskając dłoń na swoim penisie, który tylko nieznacznie się powiększył, jakby niezdecydowany, czego właściwie pragnie jego właściciel. – Mógłbym cię teraz zerznąć – dodał, cedząc słowa.

Skuliłam się pod ścianą, starając się nie odwracać wzroku.

– Mógłbym, ale tego nie zrobię. Mężczyzna musi nad sobą

panować. Całe życie walczyłem z własnym ciałem, z jego słabościami. Z samodyscypliną wszystkie rzeczy są możliwe. Bez niej nawet najprostszy cel wydaje się nieosiągalnym marzeniem.

Milczałam.

– Wiesz, kto to powiedział? – zapytał.

– Nie mam pojęcia – szepnęłam.

– Roosevelt. Ale chuj z nim. I bez niego wiem, że jestem człowiekiem, który panuje nad całym swoim życiem. Panuję nad wszystkim, słyszysz?! Patrz na mnie, kurwa! – ryknął.

Pokiwałam głową, starając się okazać jak najwięcej entuzjazmu. Widok jego nagiego wąłłego ciała, porośniętej siwą szczeciną klatki piersiowej i szczupłych ramion, był jednocześnie najbardziej groteskowym i obrzydliwym widowiskiem, jakie kiedykolwiek dane mi było zobaczyć. On nie zdawał sobie jednak sprawy z mojego wzburzenia i miętosząc w dłoni swojego penisa, cicho pojękiwał. W końcu doszedł i znieruchomiał, po chwili pozbierał z podłogi swoje rzeczy i wymknął się z pokoju. Schyliłam się pewna, że zwrócę zjedzone przed kilkoma minutami awokado, ale udało mi się uspokoić żołądek. „Kuba na pewno już zawiadomił policję, ktoś musi w końcu wpaść na jakiś ślad!” – powtarzałam sobie w duchu, leżąc na cuchnącym stęchlizną materacu. W końcu zmarzłam tak, że musiałam wstać i się poruszać. Dziesięć kroków w jedną, osiem w drugą stronę – cały świat skurczony do wielkości pokoju, w którym miał nade mną kontrolę kompletnie obłąkany mężczyzna.

### 3.

Przebierz się – powiedział Józef tego samego wieczoru, podając mi zbyt obszerną flanelową koszulę nocną.

Była sprana i wyraźnie znoszona, na ozdobnym pasku przy szyi brakowało jednego perłowego guzika.

Odwróciłam się do niego plecami.

Nie zaprotestował; wyraźnie bawiło go moje zmieszanie. Dżinsy opadły na podłogę, w ślad za nimi cieniutkie bordowe rajstopy, które mama kupiła mi pod choinkę razem z płytą Dido, jasnoróżowym lakierem do paznokci i marcepanowymi czekoladkami. Łapiąc za skraj bluzki, zawahałam się. Na myśl o rozebraniu się w towarzystwie tego szaleńca niemal zrobiło mi się słabo. Wiedziałam już jednak świetnie, czym grozi niesubordynacja, więc po chwili wahania zdjęłam ją i rzuciłam na materac. Flanelowa koszula pachniała kwiatowym proszkiem do prania i była na mnie zbyt duża. Na myśl, że nosiła ją jakaś obca kobieta, lekko się wzdrygnęłam.

– Jeszcze sweter – mój klawisz podał mi wełniany, zrobiony na drutach kardigan z brudnoszarej włóczki i dodał, żebym podała mu swoje stare rzeczy.

– Nie zabieraj mi ich, ja...

– Teraz! – warknął.

Podniosłam z podłogi ulubione dżinsy i tłumiąc łzy, położyłam je na krześle. Jakub kupił mi te spodnie jakieś trzy i pół roku wcześniej w jednym z niewielkich, tanich sklepików na krakowskim Kazimierzu. Były już niemiłosiernie sprane, ale nadal lubiłam je nosić. Taki piękny dzień, tyle słońca... Spacerowaliśmy tamtej niedzieli wokół placu Nowego, przeglądając kupiony przy dworcu przewodnik po mieście. Kuba wyczytał coś o dawnej rytualnej rzeźni drobiu, wydzierżawionej przez miasto gminie żydowskiej, ale byłam zbyt zajęta przyglądaniem się grupie roześmianych Włochów, żeby uważnie słuchać, o czym w ogóle mówi.

– Podobasz mi się w tym – głos porywacza wyrwał mnie z zamyślenia. – Ona też nieźle w tym wyglądała, ale na tobie leży

jeszcze lepiej.

Wyrwana z zamyślenia skupiłam całą uwagę na przyglądającym mi się szaleńcu. Skoncentruj się, do kurwy nędzy! Nie możesz błędzić myślami w obłokach, skoro ten czub stoi tuż obok! – powiedziałam sobie w duchu.

– Na niej ten sweter bardziej wisiał – dodał, oblizując usta.

– Na kim? – zapytałam cicho.

– Nieważne. Zresztą ona i tak już nie żyje – powiedział.

– Twoja matka? – zaryzykowałam pytanie.

Zmrużył oczy i zrobił kilka kroków w moją stronę.

– Tak, ona również gryzie ziemię – powiedział z błakającym się w kącikach ust uśmiechem. – Ale na niej ta koszula nigdy nie leżała aż tak dobrze – dodał.

Zerknęłam na drzwi. Były zapraszająco uchylone, niemal kusiły.

– Jak myślisz, dokąd zdołałabyś uciec? – roześmiał się, podążając za moim spojrzeniem.

Zauważyłam, że ma świeżą rankę na policzku; najpewniej skaleczył się przy goleniu.

– Pytałem cię o coś! – huknął, uderzając pięścią we framugę.

Instynktownie się cofnęłam, ale on zdążył już złagodnieć. Zupełnie jakby gniew ulatniał się z niego z prędkością uchodzącego z przekłutego balonika powietrza.

– Tu same sady dookoła, pola. Na tym mrozie, bez butów i kurtki, nie przetrwałabyś długo – powiedział w sposób, w jaki mógłby rozmawiać z przestraszonym kilkuletnim dzieckiem.

– Wypuścisz mnie kiedyś? – zapytałam cicho.

– Zdefiniuj pojęcie „kiedyś” – odpowiedział lekkim tonem.

– Za kilka dni? Miesiąc? Błagam cię, ja nie mogę...

– Cisza! – podniósł rękę, jakby chciał mnie uderzyć i spojrzał mi prosto w oczy. – Wiesz, że nigdy cię stąd nie wypuszczę. Będiesz ze mną aż do dnia, w którym z twojego znękanego ciała uleci resztką woli życia. Ona wytrzymała niecałe dwa lata, ale ty... Ty wyglądasz na twardszą, odporniejszą psychicznie! Tak, ty powinnaś wytrzymać znacznie dłużej – powiedział, oblizując brzydko spierzchnięte usta.

– Kim jest ona? – szepnęłam.

– Ona była ze mną wcześniej. Miała całkiem popularne imię, ale wyglądała mi na kogoś zupełnie innego. Lubiłem o niej myśleć „Ona”. O tobie też tak myślę – powiedział.

– Porwałś ją? Zwabiłeś do samochodu tak jak mnie?

– Sama wsiadła – uśmiechnął się krzywo. – Lało jak z cebra, a gaska marzła przy drodze z uniesionym desperacko kciukiem. Zatrzymałem się, a ona dosłownie wskoczyła mi do auta. Ruda i piegowata. Lubię rude. Może kiedyś cię przefarbuję? Chociaż nie... Zbyt wiele zachodu. Zresztą twój odcień to tylko farba, prawda? Nie jesteś naturalną blondynką – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Jestem szatynką – przyznałam.

– Czemu mnie to nie dziwi? Wszystkie jesteście takie same, zakłamate suki! Od koloru farby, po gacha pod łóżkiem. Potraficie tylko łąć! – warknął, drapiąc się po szyi, na której zauważyłam brzydko rozognioną egzemę.

– Nie wiem, czy nazwałabym to oszustwem. To tylko drobna...

– Gównu mnie obchodzi, jak byś to nazwała! – krzyknął.

Drgała mu lewa powieka i zrozumiałam, że jest wyjątkowo wzburzony.

– Opowiedz mi o niej – poprosiłam najłagodniejszym głosem, jakim potrafiłam do niego przemówić.

Wzruszył ramionami, jakby nie chciało mu się o tym gadać. Po chwili jednak zaczął mówić.

– Była młoda, naprawdę smarkata. Z jej szkolnej legitymacji wynikało, że nie skończyła jeszcze szesnastu lat. Miała problemy w szkole i jakiś ostry konflikt z matką. Jeszcze zanim zorientowała się, że nie jestem dobrotliwym wujaszkiem, który podrzuci ją do najbliższego miasta, całkiem sporo mi o sobie opowiedziała. Spanikowała dopiero, kiedy niespodziewanie zjechałem w las. Darła się tak przeraźliwie, drapała... Zanim zdołałem ją uciszyć, rozorała mi pazurami szyję. Tutaj, widzisz? – Józef wskazującym palcem pokazał mi częściowo ukrytą pod kołnierzykiem koszuli bliznę. – Ją też musiałem władować do bagażnika, czasem trzeba zaryzykować. Gdyby złapały mnie gliny... Ale kto nie ryzykuje, ten nie pija szampana, jak mawiają nasi drodzy, wschodni sąsiedzi – zarechotał.

– Czemu to robisz? – zapytałam cicho.

– Bo mogę – powiedział. – Widzisz, na świecie są trzy rzeczy, których pragną wszyscy. Seks, pieniądze i władza. Pierwszy nigdy nie interesował mnie jakoś szczególnie. Uważam, że jest przereklamowany. Grubej kasy raczej mieć nie będę i postanowiłem się z tym pogodzić. Ale władza... Czuć nieograniczoną władzę nad drugim człowiekiem, to niemal stawiać się w roli Boga. Mogę z tobą zrobić wszystko, rozumiesz? To ja decyduję o tym, czy jutro w ogóle się obudzisz! Ja i tylko ja! Wyobrażasz sobie, jakie to fantastyczne uczucie?!

– Wierzysz w Boga?

Parsknął śmiechem, wyraźnie ubawiony.

– Żartujesz? Nie! Ale podoba mi się myśl, że mógłbym żyć na jego podobieństwo. Bawiąc się innymi, kierując ich losem, zastawiając na nich pułapki. Wybrałem cię przypadkowo, wiesz? Nie miałem pojęcia, że trafię akurat na ciebie. Zły czas, złe miejsce. Gdyby nie było cię na tamtej drodze, teraz jadłabyś pewnie kolację w domowym zaciszu. Od kilku tygodni rozglądałem się za kimś dla siebie, a ty przyciągnęłaś mój wzrok, idąc wzdłuż szosy – plama krwistej czerwieni na tle zadymki. Było już ciemno, zobaczyłem cię w ostatniej chwili. A później zjechałem na pobocze... Kurewski niefart, co? – mruknął.

Czerwony płaszcz...

Kupiłam go kilka tygodni po tym, jak poroniłam. Było lato. Parne, pełne duchoty burzowe dni, a on wisiał upchnięty gdzieś z tyłu na wyprzedazy w niewielkim butik. Przeceniony, zmięty, z oderwanym guzikiem i lekko rozprutą podszewką. W przymierzalni pomyślałam, że jesteśmy bliźniaczo podobni – ja i zniszczony płaszcz. Ja ze szramą na duszy, on z naddartą podszewką. A teraz ten chory oszalały człowiek mówił mi, że zwrócił na mnie uwagę, bo byłam plamą czerwieni pośród zadymki... Wpadłam mu w łapy, bo spodobał mu się krwisty kolor mojego wierzchniego okrycia, pomyślałam ze smutkiem. Nie, to nie może być tak proste. A może jednak? Czy gdybym tamtego popołudnia, idąc na sekretne spotkanie z Szymonem, włożyła starą ciemnobezową puchówkę, ten świr minąłby mnie, nawet się nie zatrzymując? Czy Bóg, kimkolwiek jest, może być aż tak okrutny? – zastanawiałam się, wbijając sobie paznokcie w dłoń, jakby ból nagle stał się moim sprzymierzeńcem,



pomagał chociaż na krótką chwilę oderwać się od koszmaru, w którym ugrzęzłam.

– Czego właściwie tam szukałaś? Kto spaceruje poboczem w taki niemiłosierny mróz? – głos Józefa wyrwał mnie z zamyślenia.

– Szłam się z kimś spotkać – powiedziałam cicho.

– I z całą pewnością nie był to twój mąż – rzucił, przyglądając się złotej obrączce zdobiącej serdeczny palec mojej prawej dłoni.

– Posłuchaj, trochę z Jakubem odłożyliśmy. Gdybyś tylko mnie stąd wypuścił, moglibyśmy...

– Wierzyłem już, że zrozumiałaś, ale widzę, że nic do ciebie nie dociera! Nie chcę waszych pieniędzy! Chcę tylko zasypiać z myślą, że leżysz tu, na tym starym materacu, i budzić się, wiedząc, że jesteś dokładnie w tym miejscu, w którym zostawiłem cię wieczorem!

– wszedł mi w słowo.

Mówił głośno, niemal wrzeszczał, bryzgając dookoła śliną. Obrzydzenie, jakie na jego widok poczułam, dosłownie wywracało mi wnętrze. Kim jesteś, bydlaku? – zastanawiałam się, ostatnią siłą woli opanowując cisnące mi się do oczu łzy.

– Wiesz, że trzeba zapamiętać pierwszy sen na nowym miejscu?

– zapytał po chwili.

Głos miał spokojny, opanowany. Doktor Jekyll i mister Hyde; dwie zupełnie skrajne osobowości w jednym męskim ciele.

– Mówię do ciebie! Kiedy do ciebie mówię, masz mi odpowiadać!

– warknął.

– To jest chore, nie rozumiesz tego, ty popaprańcu?! Wypuść mnie stąd, jebnięty chuju, odpierdol się! – krzyknęłam, rzucając się w stronę nadal kusząco uchylonych drzwi.

Złapał mnie za włosy i owinął je sobie wokół nadgarstka.

– Widzę, że powinniśmy porozmawiać o zasadzie numer trzy

– powiedział. – Zasada numer trzy raczej ci się nie spodoba, ale przecież nawet kochający ojcowie karzą swe dzieci dla ich własnego dobra... Chodź, zabiorę cię do piwnicy. W piwnicy jest coś, co może ci się nie spodobać...

– Zostaw mnie, ty pojebie! Puść! – usiłując mu się wyrwać, kopałam i rzucałam rękoma na oślep.

Rąbnął moją głową o ścianę, z nosa chlusnęła mi krew.

– Zasada numer jeden. Zawsze robisz to, co ci każe!

W przeciwnym wypadku będą konsekwencje – wycedził. – Zobacz, co narobiłaś! Poplamiałaś krwią nowe ubranie.

– To nie jest nowe ubranie! To stare szmaty po dziewczynie, którą najprawdopodobniej zamordowałeś! – krzyknęłam.

– Sama się zabiła – powiedział głosem tak obojętnym, że równie dobrze mógłby składać zamówienie w McDonalddie. – Może nawet kiedyś ci opowiem, jak udało jej się to zrobić – dodał.

– Nie umrę tutaj, słyszysz?! Nie zdechnę w tej norze tylko dlatego, że tego byś sobie życzył! – wrzasnęłam.

Kolejne uderzenie na dłuższą chwilę odebrało mi oddech, ból z rozbitego nosa promieniował aż do oczodołów.

– Chodź! – warknął, dosłownie wlokąc mnie za sobą.

Uderzyłam się o klamkę, pod bosymi stopami czułam lodowate zimno podłogowych desek.

– Rozbieraj się! – warknął, kiedy weszliśmy do łazienki, w której ledwo się zmieściliśmy we dwójkę.

Zdjęłam poplamiony krwią sweter i oddychając przez usta, ściągnęłam flanelową nocną koszulę. Józef zatkał odpływ umywalki i zalał ją zimną wodą.

– Później to wypierzesz, może nawet dam ci proszek. Teraz idziemy do piwnicy – powiedział.

Zapytałam, czy mogę się ubrać. Powiedział, że tam będzie mi ciepło.

– Najcieplej jest zawsze na dole. Tego wymaga hodowla – rzucił, przesuając wzrokiem po moim ciele.

I kiedy tak łapczywie na mnie patrzył, przypomniałam sobie Kaśkę, grubą, sympatyczną dziewczynę, z którą chodziłam kiedyś na angielski. Kaśka nigdy nie była na diecie i chociaż dojrzała do rozmiaru czterdzieści sześć, nadal opychała się kremówkami. Chociaż głupio było mi to przyznać nawet przed samą sobą, czułam się od niej lepsza. Ale kto wie, może gdybym wyglądała jak ona, ten szaleniec nawet by na mnie nie spojrział? – pomyślałam, osłaniając rękoma nagie piersi. Schody trzeszczały pod naszym ciężarem, niemi świadkowie mojej gehenny. Na

półpiętrze pchnęłam idącego obok mnie Józefa na ścianę i pędem rzuciłam się na dół. Dopadł mnie w przedpokoju, kiedy po omacku szukałam drzwi. Osłoniłam twarz dłońmi. Bałam się, że jeszcze raz uderzy moją głową o ścianę, ale on tylko pociągnął mnie w stronę pomalowanych na brązowo piwnicznych drzwi i pełnym sarkazmu tonem rzucił:

– Panie przodem.

Schody były betonowe i ukruszone, w pomieszczeniu czuć było kurz i odór przetrzymywanych w terrariach gadów. Na widok pierwszego akwarium cicho krzyknęłam.

– Nie lubisz węży? A może boisz się pajaków? – roześmiał się.

– Zapomniałbym. Zasada numer trzy – kiedy jesteś nieposłuszna, noc spędzasz na dole – dodał.

– Nie zostawisz mnie tutaj, nie możesz! – krzyknęłam histerycznie.

– Oczywiście, że mogę. Mogę wszystko – powiedział. – Czego boisz się bardziej: węży czy pajaków? – zapytał jeszcze, zanim wyszedł, ale nie zamierzał czekać na moją odpowiedź.

Światło zgasło wraz z jego wyjściem i zostałam sama w pogrążonej w kompletnych ciemnościach piwnicy. Terraria z chyba jadowitymi węzami, obok nich te z pajakami. Na myśl o czających się w mroku gadach ciarki przechodziły mi po plecach. Krok za krokiem, starając się niczego nie dotykać, dobrnęłam do schodów. W piwnicy było ciepło, jednak beton był chłodny i nie mogłam zbyt długo na nim siedzieć. Drzwi wymacałam kilka minut później i krzyżąc, zaczęłam błagać, żeby mnie wypuścił.

– Zasada numer cztery. Jeśli nie potrafisz się uciszyć, spędzasz na dole kolejną noc – usłyszałam dochodzący z korytarza głos i zapadła cisza.

– Boże, błagam cię, zabierz mnie stąd – wyszeptałam, kuląc się tuż przy drzwiach, jak najdalej od uwięzionych w terrariach gadzin.

Nagle do głowy przyszła mi myśl, która dosłownie mnie sparaliżowała. Co, jeśli nie wszystkie te potwory siedzą w swoich terrariach? Co, jeśli...

– Nie, nie myśl o tym! Nie myśl o tym, nie myśl, proszę

– powtarzałam na głos, dopóki całkiem nie zachryłam.

Jakiś czas później Józef uchylił piwniczne drzwi i wrzucił koc, latarkę oraz butelkę wody. Otuliłam się szorstkim pledem i omiotłam ściany snopem rzucanego przez latarkę skąpego światła. Na widok olbrzymiego, wiszącego nad moją głową pająka, krzyknęłam i niemal spadłam ze schodów. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że jest zbyt duży, żeby mógł być prawdziwy. Że to tylko jedna z tych kupowanych przez chłopaków na odpustach plastikowych zabawek *made in China*, którymi okoliczni rozrabiacy uwielbiają straszyć dziewczyny.

Woda skończyła się szybko, zbyt szybko. Pod szorstkim kocem swędziało mnie całe ciało, wkrótce dostałam gorączki. Za drzwiami panowała cisza, w końcu gdzieś z głębi domu doszedł do mnie głos Urszuli. Na myśl o tym, że ten pochrzaniony człowiek najzwyczajniej w świecie słucha muzyki, wybuchłam histerycznym śmiechem.

– Dobrze się bawisz? – zapytał zza drzwi jakąś godzinę, może dwie później.

Nie odpowiedziałam.

– Pytałem cię o coś! – wrzasnął.

– Wyśmienicie – odpowiedziałam, starając się panować nad drżeniem głosu.

Chyba zasnęłam.

– Śniadanie, księżniczko! – piwniczne drzwi uchyliły się na tyle, żeby mógł przez nie wsunąć talerz z grzankami i szklanę pomarańczowego soku.

Naparłam na nie ramieniem, ale zdążył już je zamknąć. Grzanki ociekały stopionym masłem i były niezmiernie smaczne. Nie myśląc, co będzie dalej, zjadłam trzy i wypiałam niemal cały sok. Wycierałam palce w pled, kiedy spadła mi latarka.

– Kurwa mać! – krzyknęłam, na oślep schodząc ze schodów.

Byłam na dole, kiedy otworzyły się drzwi.

– Wyłaź! – warknął Józef, nie trując się, żeby do mnie zejść.

Zapytałam, czy już rano – po spędzonych w całkowitych ciemnościach godzinach zupełnie straciłam poczucie czasu.

Nie odpowiedział.

Otulona szorstkim kocem, na drżących nogach wyszłam na górę.

– Nie zasłużyłaś, ale i tak mam dla ciebie niespodziankę  
– powiedział lekkim tonem mężczyzny, który pośród upojnego, miodowego miesiąca wręcza pięknej żonie zdobiony szafirami naszyjnik. – Nie zapytasz, o czym mówię? – dodał ostrzejszym głosem.

– O czym mówisz? – powtórzyłam jak echo.

– Sama zobacz. Kupiłem je dla niej, ale Ona nigdy ich nie zakładała. Może tobie bardziej się spodobają? – powiedział.

Majtki były czerwone, utkane z koronki lekkiej jak mgiełka, jednak z całą pewnością tanie. Jedne z tych kupowanych na placach stringów za dychę, które nadawały się chyba tylko na przygodne rozbierane randki.

– Przymierz! – powiedział.

Stałam bez ruchu, nie do końca pewna, czy to, co widzę, dzieje się naprawdę.

– No już, czekasz na oklaski?! – Józef stracił cierpliwość.

Wzięłam od niego stringi i starając się osłaniać kocem, włożyłam na siebie wątpliwej jakości prezent. On podniósł z podłogi moje bawełniane majtki, zrolował je i włożył do kieszeni spodni.

– Chcę, żebyś zjadła ciastko – powiedział. – Lubisz kremówki?

– zapytał i znowu pomyślałam o grubej Kaśce z kursu angielskiego, która ze śmietankowym kremem w kąciku ust zapewniała mnie, że nigdy w życiu nie pomyśli o żadnej diecie.

Powiedziałam, że nie jestem głodna.

– Grzanki były wyśmienite – dodałam, żeby znowu go nie rozsierdzić.

– Nie pytałem, czy jesteś głodna. Powiedziałem, że zjesz ciastko – warknął.

Spuściłam głowę i zagryzłam wargi. Więc dobrze, nie ma sprawy, zjem to pierdolone ciastko! – powiedziałam sobie. Mój porywacz otworzył frontowe drzwi. Jasne dzienne światło na moment niemal zupełnie mnie oślepiło. Dzień był mroźny, ale słoneczny. Śnieg skrzył się w promieniach ostrego zimowego słońca, migotał oślepiającą bielą świeżego puchu.

– Idź!

Złapałam się framugi i wzięłam głęboki wdech. Ziąb bijący z zewnątrz był tak przenikliwy, że dosłownie odbierał mi dech.

– No idź, jak mówię! – Józef lekko mnie popchnął.

Zacisnęłam palce na kocu, ale zdarł go ze mnie, zanim wyszłam na mróz.

– Tak byłoby zbyt prosto – roześmiał się chrapliwie.

Wyszłam na zewnątrz niemal naga, ubrana jedynie w tandetne czerwone majtki. Lodowate powietrze wbiło się w moje płuca tysiącem drobnych igieł, śnieg pod bosymi stopami był tak zimny, że aż parzył. Kremówka leżała na ułożonym z krzywych płytek chodniku przed domem i zrozumiałam, że on czeka, aż uklęknę i zacznę ją jeść palcami. Zerknęłam w stronę płotu – wysoki, drewniany, dobrze osłaniał ogród przed wzrokiem wścibskich przechodniów. Zresztą o jakich przechodniach w ogóle myślałam? Jak okiem sięgnąć otaczały nas sady i pola. Mogłam paradować naga po mrozie, jeść kremówki prosto z chodnika i może nawet zostać porąbana siekierą na równiutkie kawałki, ale nikt, żadna litościwa dusza, nie pozna pewnie mojego losu – pomyślałam, trzęsąc się z zimna.

– Im szybciej zjesz, tym szybciej pozwolę ci wrócić do środka! Jest minus sześć i dość silnie wieje, na twoim miejscu bym się pośpieszył!  
– krzyknął Józef.

Głos miał radosny, niemal podekscytowany.

Trzęsąc się z zimna, uklękłam na płytkach i sięgnęłam po ciastko. Niemal się nim dławiąc, wpychałam sobie do buzi coraz większe kawałki, a śmietankowy krem rósł mi w ustach, pęczniał, dusił. W końcu udało mi się przełknąć ostatni kawałek przekłętej kremówki i dobiec do drzwi, przy których obłąkany gospodarz domu czekał na mnie z kocem.

– Cudowne przedstawienie, spektakularne! – powiedział, rozradowany niczym teatralny widz w dniu długo wyczekiwanej premiery.

Spektakularne... Mówi, jak ktoś w miarę wykształcony, a przynajmniej odczytany – pomyślałam.

– Wejdz, zrobię ci herbatę – dodał zupełnie innym tonem, jakby w jednej osobie mieszkało kilku skrajnie różnych Józefów.

Salon zajmujący największe pomieszczenie na parterze był pełen starych magazynów, zauważyłam nawet poukładane w równy stos „Przekroje”. Usiadłam na skraju podniszczonej sofy w bliżej

nieokreślonym kolorze i zaczęłam się przyglądać powieszonym na ścianie zdjęciom. Były w ramach za szkłem, co skrupulatnie zanotowałam w myślach. Szkło... Tak, ta wiedza może się kiedyś okazać przydatna.

– To moja matka – powiedział Józef, stawiając na ławie tacę z dzbankiem wrzątku.

Wyobraziłam sobie, jak sięgam po porcelanowy dzbanek i oblewam go ukropem. Wiedziałam jednak, że zanim zdołałabym wykonać jakikolwiek ruch, on mógłby zareagować. Rozlał wrzątek do filiżanek. Facet przetrzymujący młode dziewczyny serwował czaj w porcelanie...

– Była piękną kobietą – dodał.

Przytaknęłam, chociaż jego patrząca na mnie z fotografii matka miała według mnie lisie oczy i zbyt wąskie, niemal niewidoczne usta.

– Spodobałabyś się jej – rzucił, przesuwając w moją stronę jedną z filiżanek.

– Nie wątpię – wycedziłam.

– Szydzisz ze mnie? – zapytał ostro.

– Skąd – zapewniłam go nazbyt gorliwym tonem.

Skinął głową i sięgnął po jedno z przyniesionych przez siebie ciastek.

– Jeszcze długo po jej śmierci miałem wrażenie, że kręci się gdzieś po domu. Zresztą może i się kręciła? Czasem nadal mi się wydaje, że matka przygląda mi się z jakiegoś odległego kąta. Wiesz, niektóre duchy nie chcą ponoć odchodzić. Wolą błąkać się między światami, niż iść w stronę światła... A może to dlatego, że wciąż ma do mnie żal? Ale czy mogłem zachować się inaczej?

– O co miała żal? – zapytałam.

– Stare dzieje. Może kiedyś ci opowiem. Dziewczynie, która była tu przed tobą, opowiedziałem, chociaż wcale nie chciała słuchać. Ale Ona bała się wszystkiego. Zwłaszcza po tym, jak obciąłem jej włosy siekierą. Tak, to był całkiem dobry numer. Dostała wszy, ale nie chciała stracić kudłów. Złapałem więc za siekierę i... Chodź, pokażę ci coś!

– ożywił się nagle, odstawiając na bok filiżankę z niedopitą herbatą.

– No chodź, pośpiesz się! – dodał.

Wstałam i ciaśniej opatulając się kocem, ruszyłam za nim w stronę okna.

– Pochowałem ją pod tamtą jabłonią – powiedział, wskazując palcem.

– Matkę? – szepnęłam.

– Nie bądź śmieszna! Ją! Przecież ci mówiłem, że wytrzymała ze mną niecałe dwa lata. Zmarła z początkiem kwietnia, ziemia była jeszcze twarda od przymrozków i sporo wysiłku kosztowało mnie wykopanie dla niej grobu. Ale kiedy złożyłem ją w ziemi, taką piękną, moją i nagą, zrozumiałem, że każda chwila niehumanicznego wysiłku z łopata w ręku była tego warta – powiedział.

Rozplakałam się bezgłośnie. Nad sobą, tamtą bezimienną dziewczyną, której pewnie po dziś dzień szuka rodzina i nad własnym marnym losem, który w rękach obłąkanego mężczyzny zdawał się być przesądzony.

– Płaczesz? Chryste, kobiety! Takie życie, człowiek nie zna dnia ani godziny! – syknął Józef, posyłając mi krzywe spojrzenie. – Chodź, wracamy na górę! – dodał po chwili.

Na myśl o pokoju z zieloną tapetą na ścianach poczułam nagły przypływ paniki. Zbyt mocno dokuczał mi jednak rozbity nos, że bym ryzykowała kolejną szarpaninę z człowiekiem, do którego nie przemawiało nic więcej ponad pierwotne siłowe argumenty. Zanim zamknął mnie w mojej pustelni, powiedział, że na obiad robi omlet z warzywami i czekoladowy budyń. Szczęknęła zasuwka, a ja zakryłam usta dłonią, żeby nie wydać z siebie przenikliwego krzyku rozpacz. Od początku wiedziałam, że mój prześladowca ma nierówno pod sufitem. Ale dopiero w chwili, kiedy tuż po opowieści o kopaniu grobu przedstawił mi obiadowe menu, pojęłam bezbrzeżny ogrom jego szaleństwa.

W nocy zjawił się u mnie, kiedy spałam.

Obudziłam się, a on siedział na krześle i przyglądał mi się. Migotliwy płomień trzymane przez niego świecy rzucał na jego twarz upiorne cienie; uśmieszek błakający się w kącikach ust świadczył o tym, że całkiem dobrze się bawi. Zacisnęłam powieki, udając, że śpię, ale przecież musiał wiedzieć, że nie... Nie wiem, jak długo leżałam



w bezruchu, modląc się, żeby wyszedł. I w końcu moje modlitwy zostały wysłuchane. Wniósł się tuż przed świtem, a ja szlochałam w poduszkę, starając się nie myśleć o cuchnącej stęchlizną kołdrze, jego krokach na schodach i bezkresie otaczających stary dom pól.

#### 4.

Śnieżyca przyszła rano. Grube mokre płatki gęstego śniegu sprawiały wrażenie białej kurtyny, która dzieliła mnie od reszty świata. Stałam przy oknie, kiedy zgrzytnęła zewnętrzna zasuwka i w pokoju zjawił się kierownik Hotelu Obłęd, jak w myślach nazywałam tę przeklętą budę.

– Przyniosłem ci kilka drobiazgów – powiedział.

Odwrociłam się i zmusiłam, żeby na niego spojrzeć. Miał na sobie tę samą beżową koszulę, co dzień wcześniej, ale inne spodnie.

– Nie zapytasz, co dla ciebie mam? – dodał ostrzejszym tonem i zrozumiałam, że jest w nastroju do pogawędki.

– Co dla mnie masz?

Podał mi reklamówkę z logo znanej sieci marketów.

– Sama zobacz – zachęcił.

Wyjęłam szczotkę do włosów z metalową, zdobioną sztucznymi perłami rączką. Szminka wyglądała na starą, nigdy nie widziałam takiej marki. Na wpół zużyty flakonik perfum, lusterko...

– Rozumiesz, że możesz z tego korzystać tylko pod moim nadzorem? – zapytał.

– Tak – powiedziałam.

– Zobacz, jest coś jeszcze – uśmiechnął się.

Sięgnęłam w głąb siatki. Na widok sztucznej szczęki, którą po omacku znalazłam na dnie torby, cicho krzyknęłam.

– Wybacz, musiałem o tym zapomnieć – roześmiał się chrapliwie i wziął ode mnie sztuczne zęby, którym dość długo się przyglądał.

– Mama trzymała je w szklance przy łóżku... Śmiałem się z niej, że skoro nie ma już swoich, na pewno nie zachoruje psychicznie. Wiesz, był kiedyś w Stanach lekarz, który wierzył, że choroby psychiczne wywołuje infekcja. Swoim pacjentom bez względu na ich wiek wyrywał wszystkie zęby, usuwał organy. Mężczyzn pozbawiał jąder, kobiety...

– Przestań – poprosiłam.

– Czemu? To ciekawe. Nie jestem pewny, czy dobrze zapamiętałem, ale gość nazywał się chyba Cotton, doktor Cotton. Jest

mnóstwo tego typu historii, czasem nawet mnie ciężko uwierzyć w takie okrucieństwo. Cmentarze przy niektórych tego typu szpitalach mają ponad tysiąc grobów. Wyobrażasz sobie, w jakich warunkach musieli być przetrzymywani tamci ludzie?

– Nie chcę o tym rozmawiać – szepnęłam.

Józef położył na parapet sztuczną szczękę nieboszczki i przysunął się do mnie tak blisko, że czułam na twarzy jego oddech.

– Mówisz o tym, o czym ja chcę gadać! Zawsze, słyszysz?!

– wrzasnął. – Jeśli będę miał ochotę na pogawędkę o sracze, wzdęciach, zaburzeniach erekcji, czy czymkolwiek innym, będziesz wdzięczną i ciekawą towarzyszką rozmowy! Będziesz się uśmiechać, z zainteresowaniem kiwać głową, przytaczać własne doświadczenia albo przedstawiać kontrargumenty! Czy to jest jasne?!

– Tak – powiedziałam.

– Cieszę się – warknął.

– Więc o czym chcesz porozmawiać? O zaburzeniach erekcji?

– zapytałam zaczepnym tonem.

Posłał mi wściekle spojrzenie i przez moment byłam pewna, że mnie uderzy. Ale on tylko włożył do siatki wszystko, z czym przyszedł, i powiedział, że niedługo przyniesie śniadanie. Kilka minut później zjawił się z tacą pełną jedzenia. Smażone na maśle ziemniaki, szklanka kefiru, omlet, kawałek czekoladowego placka. Ciasto fikuśnie ozdobił bitą śmietaną – białe kwiaty na brązie, niemal piękne, nawet zrobione jego ręką.

– Jedz – powiedział, siadając na krześle, niczym widz wyjątkowego spektaklu w honorowej łoży.

Sięgnęłam po kawałek placka, ale podał mi talerz z ziemniakami.

– Najpierw kartofle – powiedział.

Odłożyłam placek na talerz i zacisnęłam palce na trzonku widelca.

– Myślisz o tym, żeby się na mnie rzucić i wbić mi go w oko, prawda? – zapytał.

– Nie – skłamałam.

– Może tak, może nie – rzucił przez zęby, po czym wyrwał mi z ręki widelec i kazał jeść palcami. – Jesteś jeszcze zbyt nieposłuszna, żeby mieć przywileje – dodał.

Ziemniaki były nieosolone i szybko straciłam na nie apetyt.

Ale on czekał...

Z wzrokiem wbitym w moją twarz, niecierpliwie przytupując obutą w kraciaste bambosze nogą, coraz wyraźniej dawał mi do zrozumienia, że nie jest ze mnie zadowolony.

– Żryj! – wrzasnął w końcu.

Sięgnęłam po szklankę z kefirem i zaczęłam pić.

– Szybciej! – ponaglił mnie, gwałtownie zrywając się z krzesła.

Piłam, starając się nie udławić, tymczasem on poszarpał widelcem omleta i kazał mi się za niego zabierać.

– No już, kawałek po kawałku! Trzeba jeść, nie wolno marnować jedzenia – mamrotał, krążąc po mojej niewielkiej celi.

Żułam omlet, starając się ignorować płynące po policzkach łzy. Papryka, z którą zdecydowanie przesadził, podrażniła mi gardło i spowodowała gwałtowny atak kaszlu. Józef przez dłuższą chwilę przyglądał mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, w końcu się zirytował. Kopnął w krzesło, na którym siedziałam, i zwałam się na podłogę.

– Przygotowałem to wszystko dla ciebie, poświęciłem ci swój czas! Ale ty wyglądasz, jakbyś żarła własne odchody! – warknął.

Zaczęłam podnosić się z ziemi. Trącił mnie czubkiem kraciastego pantofla i kazał sprzątnąć z ziemi kawałki omleta.

– Przez pojęcie „sprzątnąć” mam na myśli „zjeść” – sprecyzował.

Znieruchomiałam, z kolanami podkulonymi pod brodę, niczym mała dziewczynka niemająca ochoty na wieczorną kąpiel. Ja, absolwentka dwóch kierunków, niemal trzydziestoletnia elokwentna i przebojowa do niedawna kobieta, skulona na podłodze, modliłam się w duchu o cud.

On czekał.

Pozornie spokojny, wewnątrz kipiący od rosnącej wściekłości, niczym wulkan na skraju wybuchu.

Zaczęłam jeść. Starając się nie myśleć o podłogowych szczelinach pełnych zaschniętej krwi mieszkającej tu przede mną dziewczyny, żułam, przełykałam, żułam...

Przyglądał mi się jeszcze przez dłuższą chwilę, w końcu bez słowa

wyszedł z pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Skupiłam się na oddechu, starając się nie myśleć o mdłościach. Śnieg za oknem bezszelestnie sypał, zamieniając pola, sad i drewniany parkan w bezkresną krainę nieskazitelnej bieli. Nagle pomyślałam o oknie! Nie mogłam się nadziwić, że nie przyszło mi to do głowy wcześniej. Ramy były zabite gwoździami i nie dało się okien otworzyć, ale szyby... Odłamki szkła mogły być śmiertelną bronią. Wstałam i złapałam za oparcie krzesła. Rąbnąć nim? Nie, za dużo hałasu... Muszę rozbić szybę dłonią – zdecydowałam, owijając rękę swetrem dokładnie tak, jak widywałam to na filmach. Zanim zaczęłam, podeszłam do drzwi, zza których nie dochodził jednak żaden niepokojący odgłos. Przygryzłam wargi. Teraz? A może powinnam poczekać, aż on włączy muzykę? Problem polegał jednak na tym, że prawie nigdy jej nie słuchał. Teraz! – powiedziałam sobie. Później wystarczy się na niego zacząć, kiedy przyjdzie z obiadem. Szyba stuknęła się z brzękiem, który wydał mi się przeraźliwie wręcz głośny. Jednak on, krzątając się piętro niżej, mógł w ogóle go nie słyszeć. Drżącymi rękoma zaczęłam wyjmować z ramy odłamki. Jeden szczególnie duży i ostry odłożyłam na parapet – był dokładnie tym, czego potrzebowałam.

Owinęłam go swetrem i zacisnęłam na nim palce. Kiedy usłyszę kroki na schodach, stanę za drzwiami i... Nagle zrozumiałam, że nawet jeśli uda mi się go zaatakować, będę musiała mieć nieprawdopodobne szczęście, żeby zabić oprawcę. W przypadku, kiedy tylko go zranię, wydam na siebie wyrok... Zabije mnie? Skatuje? Zamknie w miejscu, które w porównaniu z tym zielonym pokojem wyda mi się piekłem? Pomyślałam o piwnicy. Nie, Boże, proszę, tylko nie tam!

Zachrobotąła zasuwka. Nie usłyszałam jego kroków! Jak mogłam ich nie usłyszeć?! Podbiegłam do drzwi, ale on był już w progu. Na widok ostrego odłamka szkła w mojej dłoni znieruchomiał i śmiesznie przechylił głowę.

– Zabiję się, słyszysz?! – zagroziłam.

Odpowiedział, że chętnie popatrzy.

Podniosłam do szyi rękę, w której trzymałam szkło.

– No już, odwagi! – zachęcał mnie.

– Jesteś potworem! – krzyknęłam, cofając się pod ścianę.

– Uznam to za komplement – uśmiechnął się krzywo.

Stałam z zaciśniętymi na szkle palcami. Dopiero kiedy po udzie popłynęła mi strużka krwi, zrozumiałam, że sweter nie wystarczył, żeby uchronić mnie przed skaleczeniem.

– Co? Rozmyśliłaś się? Idę o zakład, że nie byłabyś zdolna poderżnąć sobie gardła. Już? Koniec widowiska? Tylko na tyle cię stać? – jątrzył.

– To w twoją szyję chciałam to wbić! – syknęłam głosem, który aż kipiał od nienawiści.

– Nie wątpię, skarbie. Problem polega na tym, że nie potrafiłaś mnie zaskoczyć. Daj mi to! – Józef wyjął mi z ręki odłamek i przyjrzał się oknu. – Dziś w nocy zmarzniesz – wycodził. – Normalnie wezwałbym szklarza, ale szkoda mi kasy. Rozbiłaś jedną szybę, zostanie ci druga. To stare okna, podwójne. Jeśli stłuczysz następną, będziesz spała na mrozie. Chociaż czekaj, nie chcemy bardziej wyziębnić domu – mamrotał bardziej do siebie niż do mnie.

Stałam z uniesioną w górę dłonią, z której kapała krew.

Kazał mi usiąść na krześle i dać rękę do tyłu. Chwilę później skrępował mnie przyniesioną z korytarza srebrną taśmą klejącą i wyszedł. Wrócił z naręczem desek, które rzucił na materac, ciężko posapując. Później, jedną po drugiej, przybijał do okiennej ramy, aż w pokoju zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Pomiędzy deskami były dwu-, może trzycentymetrowe szczeliny i tylko one przepuszczały skąpe zimowe światło.

– W nocy będzie zimno, naprawdę kurewsko zimno – mruknął pod nosem. – Ale jeśli będziesz grzeczna, uszczelnię deski starymi szmatami.

Siedziałam w milczeniu, starając się nie myśleć o rwącym bólu skaleczonej dłoni.

– Pomaluję cię – powiedział nagle Józef, zupełnie niespodziewanie zmieniając zarówno temat, jak i nastrój.

Po czym zapalił światło i obszedł krzesło, na którym siedziałam, niczym mistrz wizażu zastanawiający się nad odpowiednim makijażem dla wybrednej klientki.

– Nie, ja...

– Zamknij się! – warknął, sięgając po szminkę i dopiero teraz

zdałam sobie sprawę, że wracając na górę, musiał zabrać reklamówkę z kosmetykami po matce.

Rozpuścił mi włosy, które splotłam w króciutki luźny warkocz, i zaczął smarować kredką moje zaciśnięte w niemym geście odmowy wargi. Cienie do oczu musiał wyjąć z torby, nakładał mi je palcem, nucąc coś pod nosem.

– Kiedy byłem kilkuletnim szczylem, uwielbiałem obserwować malującą się matkę. Ale ona tego nie lubiła. „Idź stąd, mały podglądaczu!” – wrzeszczała. Ale teraz nic mi nie zrobi, teraz mogę nawet używać jej zabawek – zaśmiał się. – Zobacz! Jesteś piękna! – podsunął mi dosłownie przed sam nos upstrzone ciemnymi plamami lusterko, z którego wyjrzała moja groteskowo wykrzywiona, pomalowana przez niego twarz.

Szminka w kolorze ciemnej czerwieni, którą wyjechał daleko za kontury moich warg, upodabniała mnie do klauna. Turkusowe cienie sięgały aż pod łuk brwi, a róż, którym zaznaczył mi policzki, był ceglastopomarańczowy.

– Piękna! Zjawiskowa! – klasnął w dłonie Józef, najwyraźniej wyjątkowo zadowolony z mojej metamorfozy. – Byłaby szkoda, gdybyś to jednak zrobiła, wielka szkoda... I ten przeklęty bałagan! Zobacz, zobacz, jakiego bajzlu narobiła Ona! – porywacz zrzucił na podłogę kołdrę, schylił się i przekręcił materac na drugą stronę.

Na widok zdobiących go rdzawych plam krzyknęłam.

– Co? Jesteś zszokowana? Nie sądzisz chyba, że będę wywalął kasę na nowe leże! Wysuszyłem go, obróciłem na drugą stronę i pewnie nigdy byś się nie dowiedziała, na czym śpisz, co? – roześmiał się chrapliwie, śmiechem człowieka, któremu dosłownie wszystko poprzewracało się pod sufitem.

– Jak umarła? – zapytałam cicho.

– Zgadnij. Masz jakieś pomysły? – Józef, posapując, z powrotem umieścił materac zaschniętą krwią do spodu.

– Nie wiem – powiedziałam zmęczonym głosem.

– Udało jej się wyrwać z okiennej ramy gwóźdź. Musiała miesiącami go podważać, aż w końcu się poddał. Żałuję, że nie byłem bardziej czujny. Że uważniej nie sprawdzałem jej pokoju... Wyjęła go

i rozharatała sobie nim żyły. Dlatego właśnie czasem zachodzę do ciebie w nocy. Muszę pilnować, żebyś nie zrobiła sobie czegoś złego. Jesteś moim gościem, jesteś...

– Gościem?! – krzyknęłam.

– Widzę, że marnie idzie ci nauka. Może powinnaś bardziej się postarać? Nie przerywasz, kiedy mówię, jasne?! Ona też lubiła na mnie pokrzykiwać, ale znalazłem na to sposób. Za każdym razem, kiedy mi przerywała, brałem ją do łazienki i szorowałem jej język szarym mydłem. Wiesz, jak cuchnie szare mydło, prawda? Moja matka prała w nim moją bieliznę, a ja przez całe dzieciństwo nienawidziłem tego smrodu! Ona też szybko zrozumiała, że nie warto otwierać buzi w nieodpowiednim momencie. Ale ty masz fart, z ciebie jest prawdziwa szczęściara. Bo widzisz, nie mam już szarego mydła. Nie mam, ale w każdej chwili mogę kupić.

– Rozwiąż mnie. Muszę zabandażować rękę – powiedziałam.

– Rozwiążę cię, kiedy będę chciał.

– Muszę...

– Zamknij się! – wrzasnął.

– Jak na kogoś, kto twierdzi, że ma nade mną kontrolę, działasz dość chaotycznie – wycedziłam.

– Chcesz więcej konsekwencji? – zmrużył oczy.

– Przepraszam – szepnęłam.

– Co? Nie dosłyszałem.

– Przepraszam! – krzyknęłam ochryple. W moim głosie słychać było rozpacz, strach i bezsilność.

Józef nie odpowiedział.

Przez chwilę krążył po pokoju, przechadzając się od ściany do ściany, później uklęknął za moimi plecami i zsunął mi z palca obrączkę.

– Nie, proszę! Nie zabieraj mi jej – rozplakałam się.

– To tylko niewiele warty kawałek złota, nie histeryzuj – rzucił przez zęby.

– Proszę...

Wstał, stanął tak, żebym mogła go widzieć i schował obrączkę do kieszeni.

– Jak myślisz, jak się ma twój mąż? – zapytał. – Chyba zdążył się



już zorientować, że prędko nie wrócisz, co? Będzie cię szukał latami, czy podda się zbyt szybko? Wiesz, ponoć mężczyźni są słabsi psychicznie od kobiet. Ja osobiście nigdy nie byłem zwolennikiem tej akurat teorii, ale kto wie? Może on jest jednym z tych, którzy szybko się załamują? Samotny, zrozpaczony, bezsilny... Jak myślisz, która z twoich przyjaciółeczek pocieszy go pierwsza? Masz przyjaciółki, prawda? A może twoja siostra? Będą się wzajemnie wspierać, podnosić na duchu, aż któregoś dnia wylądują razem w łóżku. Przykre, ale natury nie da się oszukać. Pocieszające jest to, że tego nie zobaczysz. Nie przekonasz się, którą wybrał na twoje miejsce. Co? Nic nie powiesz? Jak sądzisz? Będzie lojalny czy szybko o tobie zapomni?

Milczałam.

– Mówię do ciebie! – ryknął.

– Nie wiem – szepnęłam.

– Nie wiesz?! Myślałem, że ludzie, którzy biorą ślub, znają się na wylot! Nie wiesz?!

– Nie.

– Przykre – skwitował.

– Kim jesteś? – zapytałam.

– Sobą – powiedział. – Chyba że pytasz o to, kim jestem z wykształcenia. Ale to akurat dość zawiła historia. – Masz rację, powinniśmy to przemyć – powiedział nagle i rozciął krępującą moje dłonie taśmę.

Kiedy przyniósł apteczkę, zapytałam, czy był kiedyś żonaty.

– Tak – powiedział, nie dodając ani słowa więcej.

– Jaka była?

– Pyskata. Piękna. Szalona. Inna. Cierpiała na cyklofrenię.

– Chorobę dwubiegunową?

– Tak. Ryzyko zachorowania wynosi jeden procent. Jeden pierdolony procent na całą populację i musiało paść akurat na nią! – wybuchnął.

– Kochałeś ją?

Nie odpowiedział.

Przemył moją dłoń spirytusem i owinął ją wyjętym z apteczki bandażem.

– Nieźle ci idzie. Masz coś wspólnego z medycyną? – zapytałam.  
– Z medycyną? Nie. Byłem kiedyś kierowcą karetki. Lata temu, na Śląsku, stare dzieje.

– Wtedy się poznaliście?

– Z żoną? Nie. Poznałem ją w parku kilka lat później. Zbierała kasztany, ja spacerowałem z kundlem, którego przygarnęła moja matka. Zaczęliśmy rozmawiać, zaprosiłem ją na kawę.

– Jak miała na imię?

– Miała imię, które mi się nie podobało. Nazywałem ją Stokrotką.

– Rozwiedliście się?

– Do zobaczenia wieczorem. Obiadu nie będzie – powiedział, ignorując moje pytanie.

Zapytałam, która godzina.

– Nie ma jeszcze południa.

Wychodząc, zgasił światło i pokój z zabitym deskami oknem niemal utonął w mroku. Położyłam się na materacu, starając się nie myśleć o całej tej krwi, która wsiąkła w jego spód. Dzień wydał mi się wiecznością, ale przecież wiedziałam, że takich dni będzie więcej, znacznie więcej.

Na kolację był makaron z serem, budyń i zapiekane jabłka z cynamonem.

– To Ona – powiedział Józef, wyjmując z kieszeni spodni powyginaną na rogach szkolną legitymację. – Tylko teraz nie udawaj, że nie chciałaś jej zobaczyć – dodał.

Wzięłam od niego legitymację i przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w zdjęcie wielkookiej nastolatki z burzą lekko kręconych, ciemnorudych włosów.

– Niczym młoda Julia Roberts, co? – zarechotał.

Martyna Socha – przeczytałam. Dziewczyna ze zdjęcia zdawała się patrzeć prosto w moje oczy, a myśl, że zmarła w tym pokoju, wydała mi się szczególnie upiorna.

– To też było jej, zostawiłem sobie na pamiątkę – porywacz wyjął z kieszeni tanią spinkę do włosów w kształcie motyla.

– Zabierz to – oddałam mu legitymację i odwróciłam głowę.

– Co? Żałujesz, że ci to pokazałem? A może do tej pory uznałaś

opowieść o niej za jakieś moje rojenia? Ona tu była tak samo, jak jesteś tu ty! – krzyknął.

– Nigdy nie powiedziałam, że ci nie wierzę.

– I bardzo rozsądnie – warknął.

Kiedy wyszedł, położyłam się na materacu i wyobrażając sobie, że za ścianą Kuba ogląda telewizję, zapadłam w płytki, niespokojny sen. Śniłam o młodszej siostrze. Magda płakała, rozpaczliwie błagając mnie o pomoc. „Gdzie jesteś?!” – krzyczałam do słuchawki, a siostra szlochając, powtarzała, że nie wie. Krążyłam samochodem po okolicy, wypatrując jej twarzy, ale nigdzie nie mogłam jej znaleźć. W końcu straciłam panowanie nad kierownicą, wypadłam z szosy i wjechałam do jeziora, a siostra wyciągnęła do mnie ręce. Szarpałam się z zapięciem pasów, a woda zdradziecko wdzierała się do wnętrza mojego wozu. Udało mi się odpiąć pasy, ale nie mogłam rozbić szyby. „Pośpiesz się, bo obie tu utoniemy!” – krzyczała Magdalena, chociaż przecież nie mogła już wtedy żyć, była tam ze mną, na dnie... Obudziłam się zlane zimnym potem i pewna, że mój oprawca siedzi wśród rozświetlonych jedynie migoczącym światłem świecy ciemności, ale tym razem w pokoju nie było nikogo.

Magda... Czy jeszcze kiedyś się spotkamy? Moja mała siostrzyczka. Uparta, krnąbrna, zadziorna, a jednocześnie przesłodka, pełna energii, zabawna. Wyobraziłam sobie, jak błądzi zaśnieżonymi ulicami, wypatrując w tłumie mojej twarzy. Jak szuka, wierzy, że jeszcze się zobaczymy, nie traci nadziei... Szkoda, ale tego samego nie mogłam powiedzieć o sobie. Bo ja chyba od razu się poddałam. Straciłam nadzieję w chwili, kiedy zobaczyłam metalowe kraty w oknie i usłyszałam cichy szcęk zasuwki w drzwiach. Był szczupły, dość wysoki. Może nie najsilniejszy i nie najmłodszy, ale niezaprzeczalnie szalony. A szaleńcy posiadają ponoć nadludzką siłę, zwłaszcza, kiedy wpadną w jeden ze swoich niekontrolowanych amoków. Jak duże będę musiała mieć szczęście, żeby temu bydlakowi uciec? – zastanawiałam się, płacząc w brudną poduszkę. Hotel Obłąd. Zaniedbana, pełna pajęczyn rudera, gdzieś pośród bezkresnych sadów i pól. Czy naprawdę mogę się jeszcze karmić resztkami nadziei? – rozmyślałam. Nagle zobaczyłam promienną twarz mamy. Uśmiechała się do mnie, machała

mi. „Dzielna dziewczynka z tej mojej córeczki” – mówiła, a ja z powrotem wdrapywałam się na nowy rower i pomimo zdartej skóry na kolanie nadal wierzyłam, że w końcu uda mi się utrzymać równowagę. Dzielna dziewczynka – powtarzałam sobie jak mantrę. Dzielna dziewczynka, dzielna dziewczynka, dzielna dziewczynka... Nie mogę się poddać, jeszcze nie! Wyrwę się stąd albo ze sobą skończę. Ale na pewno nie umrę tak, jak mi każe on – powiedziałam sobie.

## 5.

Przez kilka kolejnych dni śnieg sypał nieustannie, a ja czułam się, jakbym nagle za sprawą czarów znalazła się w dalekiej od domu magicznej krainie nieprzeniknionej bieli. Stałam przy oknie z okiem przytkniętym do jednej ze szczelin pomiędzy deskami, ale monotony widok zaśnieżonego sadu i pól szybko mnie znudził. Było mi zimno i czułam się chora. Bolały mnie mięśnie, dokuczał nadwerężony jeszcze przed porwaniem bark. Który dzisiaj? – zastanawiałam się, nerwowo krążąc po mojej klatce. Ósmy stycznia? Dziewiąty? Nie, musiał być dopiero ósmy, tak przynajmniej wynikało z moich obliczeń. Drzazga, którą udało mi się odłupać z jednej z desek, była na tyle duża, żebym mogła wydrapać nią kilka nacięć na tapecie. Mój kalendarz – uśmiechnęłam się krzywo.

Kładąc się na materacu, pomyślałam o Szymonie. Poznaliśmy się w bibliotece uniwersyteckiej, w której od kilku lat pracowałam. On właśnie obronił doktorat z socjologii i buszował między regałami w towarzystwie trzech irytująco rozchichotanych studentek. Ja siedziałam za swoim biurkiem i nie potrafiłam przestać śledzić go wzrokiem. Był niezaprzeczalnie przystojny, ale to nie jego uroda tak mnie pociągała. Było w nim coś... Sama nie wiem. Jakiś magnetyzm. Kiedy się do mnie uśmiechnął, pokraśniałam. Jeszcze do niedawna nieprzytomnie wręcz zakochana we własnym mężu, teraz zaczęłam nagle myśleć o tym zupełnie obcym, znanym mi jedynie z widzenia mężczyźnie. Ale przecież mój mąż nie był już tym samym człowiekiem, za którym tak kiedyś szalałam. Zmienił się, zdystansował, odsunął ode mnie. Nie mam stuprocentowej pewności, ale myślę, że to się stało tuż po tym, jak poroniłam. Znalazł mnie przecież Jakub i to on był świadkiem całej tej krwawej scenarii. Później był rajd do kliniki zakorkowanymi ulicami, lekarze, pełne litości słowa pociechy. W końcu, jakiś czas później, moja samobójcza próba i jego wściekłość na mnie. „Jak mogłaś mi to zrobić?!” – wykrzyczał Jakub, kiedy tuż po płukaniu żołądka leżałam na jednym z wąskich szpitalnych łóżek – z cuchnącymi wymiocinami włosami, bezbronna, całkowicie

pozbawiona woli życia. Nie zapytał „dlaczego?”. Nie powiedział, jak bardzo mnie kocha. Pamiętam tylko grymas wściekłości na jego twarzy i to wykrzyczane ostrym głosem pytanie: „Jak mogłaś mi to zrobić?!” Później długo mnie za to przeproszał, powtarzał, że to ze strachu o mnie, że po prostu puściły mu nerwy. Ale ja nie potrafiłam tak po prostu wybaczyć, cierń w moim sercu pęczniał, wbijał się coraz głębiej. I jeszcze te jego niemal okrutne, wcześniejsze słowa... „Będziemy mieć inne dzieci” – powiedział, kiedy krwawiąc, zwinięta z bólu na tylnym siedzeniu, błagałam go, żeby jechał szybciej, żebyśmy w końcu dotarli do tego przekłętego szpitala. Inne dzieci, inne dzieci, inne dzieci – kołatało mi po głowie, kiedy młody lekarz z ładnymi, jasnymi oczami, mówił coś o konieczności łyżeczowania. Chciałam zadzwonić do mamy, ale była akurat po operacji. O siostrze nie pomyślałam, wydawała mi się zbyt młoda. Okrucieństwem byłoby prosić wchodzącą dopiero w życie dziewczynę o towarzystwo w ciemnej dolinie śmierci. Kiedy teraz o tym myślę, żałuję. Może gdyby Magda wtedy ze mną była, nie targnęłabym się później na swoje życie? Ale stało się, było, minęło. A później zaczęła się ta nasza ukradkowa wymiana spojrzeń. Zaczęłam znowu starannie się malować i zakładać ulubione ciuchy, Szymon coraz częściej zaglądał do biblioteki, czasem zupełnie bez konkretnego celu. W końcu położył na moim biurku tomik wierszy zupełnie mi nieznaney irlandzkiej poetki i patrząc mi prosto w oczy, powiedział: „Strona dwudziesta szósta”. Wyszedł, zostawiając mnie z książką w dłoni i rozszalałym w piersi sercem. Pomiędzy stroną dwudziestą szóstą a dwudziestą siódmą znalazłam elegancką, pełną kwiatów kartkę, na której odwrocie była prośba o spotkanie i jego numer.

Pamiętam, że minęły ponad trzy tygodnie, zanim odważyłam się go wybrać. „Czułem, że zadzwonisz” – powiedział. A później zaproponował spotkanie. Jeszcze zanim przekroczyłam próg kawiarni, wiedziałam, że stąпам po grząskim gruncie. Był przecież żonaty i wcale tego nie ukrywał. Serdeczny palec jego prawej dłoni zdobiła wąska złota obrączka. Moja była znacznie szersza, w nieco innym odcieniu i już na pierwszy rzut oka widać było, że nie stanowią kompletu. Ale jakie to w końcu miało znaczenie? Pierwszą randkę przegadaliśmy, prawie trzy godziny siedząc nad sernikiem i herbatą. W końcu, ledwo muskając

ustami jego policzek, pośpiesznie pocałowałam go na pożegnanie. Tyle, że to wcale nie było rozstanie. To był dopiero początek. Następnego dnia zajrzał do biblioteki i schowaliśmy się za regałem z psychologią, gdzie z wypiekami na twarzy, rozgorączkowana z emocji, słuchałam jego chaotycznej opowieści o niespodziewanej kłótni z dziekanem.

Kiedy wyszedł, zdałam sobie sprawę, że drżą mi dłonie i dosłownie płoną policzki. Następnego dnia zaprosił mnie na późny obiad i powiedział, że chyba już nie potrafi przestać o mnie myśleć. Pojechaliśmy więc do niego. Nadarzyła się okazja, a życie było przecież zbyt kruche, żeby z niej nie skorzystać. Mieszkał niedaleko nas, w niewielkim, ładnie urządzonym domku, który stylem przypominał amerykańskie bungalowy. „Bez obaw. Dzieci u teściów, Iwona na szkoleniu” – wyszeptał, kiedy rozglądałam się po pełnym obcych drobiazgów salonie. Żona była ładna i zadbana – patrzyła na mnie ze zdjęcia, spojrzeniem niemal wierciła mi dziurę w głowie. Szymon powiedział, że pracuje w lokalnej telewizji i potrafi być prawdziwą suką. Tak się właśnie wyraził. Prawdziwa suka. Może dlatego nie miałam później wyrzutów, myśląc o niej dokładnie tak samo. „Przedwczoraj uderzyła naszą siedmioletnią córkę tylko dlatego, że mała rozlała na dywan sok. Dała jej w twarz, wyobrażasz sobie?” – powiedział, wyjmując z barku kieliszki.

Tamtego wieczoru nie poszłam z nim jeszcze do łóżka, ale przecież już wtedy świetnie wiedziałam, że niedługo to zrobię. Jakub, który nadal był tym mężczyzną, któremu założyłam na palec złotą obrączkę, poza domem stawał się dziwnie odległy, niemal zamazany. Inne dzieci, inne dzieci, inne dzieci... – tłukły mi się po głowie jego nieczułe słowa, a później patrzyłam w jasne oczy Szymona i widziałam graniczący z uwielbieniem podziw. Czułość, radość, nadzieję. Wszystko to, czego od dawna nie widziałam w oczach Jakuba. A może po prostu przestałam uważnie w nie patrzeć? Mówi się, że mężczyźni zdradzają ciałem, a kobiety duszą. Mąż zranił mnie słowem, poharatał wewnątrz. Może dlatego zaprosiłam do swojego życia kogoś, kto nigdy nie powinien się w nim znaleźć?

Szczęknęła zasuwka.

Wzdrygnęłam się, gwałtownie obracając w stronę drzwi.

– Jak spałaś? – głos Józefa wyrwał mnie z zamyślenia i przywrócił pełnej koszmarów rzeczywistości.

– Dobrze – skłamałam, świetnie wiedząc, że lepiej nie dawać mu powodów do zmiany nastroju.

A nawet niewinna na pozór wzmianka o niewygodnym materacu i panującym w pokoju chłodzie mogła być przecież pretekstem do kolejnej mało sympatycznej wymiany zdań.

– Znowu sypie – mruknął, stawiając na krześle tacę z czymś, co wyglądało jak zrobiona na mleku owsianka.

Milczałam.

– Powiedziałem, znowu sypie! – podniósł głos i zdałam sobie sprawę, że kierownik Hotelu Obłąd oczekuje ode mnie odpowiedzi.

– Jest styczeń, zima pewnie łatwo nie ustąpi – rzuciłam więc. To był pierwszy banał, jaki przyszedł mi do głowy.

– Jedz! – podał mi talerz i z ciężką drewnianą tacą na kolanach usiadł na krześle.

Owsianka była paskudna, ale wiedziałam, że nie mogę sobie pozwolić na marudzenie.

– Dziś mam dla ciebie kolejną niespodziankę. I tak sobie myślę, że może nawet ci się spodoba – uśmiechnął się tym swoim lisim uśmiechem...

Posłałam mu pytające spojrzenie.

– Wszystko w swoim czasie – powiedział.

Chciał chyba dodać coś jeszcze, ale w tym samym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Terkot dzwonek wydał mi się tak zaskakujący, że wręcz nierealny. Józef bynajmniej nie był zaskoczony, ale z całą pewnością wściekły.

– Kogo diabli niosą? – warknął, wyrywając mi z ręki talerz.

Chwilę później zdjął jedną ze skarpetek, zmiął ją w dłoni i pomimo moich rozpaczliwych protestów wsunął mi ją w usta.

– Jeśli zrobisz cokolwiek głupiego, długo będziesz tego żałować!  
– wycedził, zanim wyszedł.

Dzwonek rozległ się ponownie.

Starając się panować nad oddechem, przycupnęłam na krześle, nasłuchując.



Józef zbiegł ze schodów i otworzył frontowe drzwi, nie usłyszałam jednak żadnego obcego głosu. I nagle zrozumiałam. Niespodziewany gość musiał stać przy furtce, bramka z całą pewnością była zamknięta na klucz. Wstałam z krzesła i podbiegłam do drzwi, przykładając do nich ucho. Jednak nadal nie słyszałam niczego, co mogłoby świadczyć o obecności intruza. Józef wrócił na górę kilka minut później; wyglądał na wściekłego.

– Przeklęty szczył! – warknął. – Nowy listonosz, dumny tępak! Pan Witek latami zostawiał dla mnie pocztę u Marciniaków. Taką mieliśmy umowę i każdemu było to na rękę. Witold nie musiał się tu tłuc, a mnie nikt nie nękał. Ale nowy dowłókł się aż tu i chyba jeszcze oczekiwał pochwały! – powiedział, uwalniając mnie od knebla.

Starłam się nie myśleć o obrzydliwym posmaku jego skarpety w ustach i szepnęłam, że przecież to tylko poczta.

– Przyjdzie, pójdzie, w czym problem? – wzruszyłam ramionami.

– Nie licząc knebla w twojej buźce, faktycznie nie ma problemu – zarechotał mój gospodarz, wkładając skarpetę. – Chodź, mam dla ciebie niespodziankę – zmienił temat.

Zeszliśmy na dół.

Był kilka kroków za mną, a ja lustrowałam wzrokiem każdy stopień, zagłębienie w ścianie, framugę drzwi. Jeśli chcę kiedykolwiek się stąd wydostać, muszę poznać dom jak własną kieszeń – powiedziałam sobie.

– Czekaj! – w korytarzu Józef kazał mi się zatrzymać. – Jeszcze chwilę poczekajmy...

– Na co? – zapytałam.

– Pozwoliłem ci się odezwać?! – huknął na mnie.

Skuliłam się, pewna, że mnie uderzy, ale tylko się roześmiała.

– Widzę, że zaczynasz co nieco ogarniać – powiedział tonem dumnego z postępów ucznia nauczyciela. – Włóż je! – dodał po chwili, podnosząc z podłogi moje kozaki.

Na widok obszytych sztucznym futrem butów, które kupiłam razem z mężem, z trudem powstrzymałam łzy.

– Włóż, mówię! – ponaglił mnie Józef, ściągając z wieszaka swoją kurtkę.

Po chwili podał mi starą wyświechtaną wiatrówkę w bliżej nieokreślonym kolorze i otworzył frontowe drzwi.

Do furtki dotarliśmy w milczeniu. Dopiero kiedy ją uchylił, moje serce dosłownie rozszalało się w piersi.

– Idź! – powiedział.

– Co? – wykrztusiłam, kompletnie zbita z tropu.

– Powiedziałem, idź! Jeśli w ciągu najbliższej godziny uda ci się dotrzeć do drogi, jesteś wolna.

– Nie wypuścisz mnie tak po prostu! Tylko się ze mną droczysz! Ja... O Boże – szepnęłam, opadając na kolana.

Zerwał mi z głowy kaptur, złapał mnie za włosy i brutalnie podniósł na nogi.

– Biegnij! – warknął.

Zrobiłam pierwszy niepewny krok i niczym uczące się chodzić dziecko niepewnie ruszyłam ścieżką wydeptaną w śniegu przez listonosza. Droga tuż za nią była wąska. Sądząc po pojedynczych śladach opon, nadgorliwy pracownik poczty dotarł tu na motocyklu. Obejrzałam się przez ramię. Józef stał w furtce i przyglądał mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Zapadając się w śniegu, zaczęłam biec, dopóki zupełnie nie straciłam oddechu. Śnieg wirował wokół mojej twarzy, osiadał na rzęsach, oblepiał wargi. Biegłam, haustami łapiąc powietrze. Biegłam pomimo klucia w boku, rozbrzmiewającego gdzieś za moimi plecami, szyderczego śmiechu oprawcy i zmarzniętych, nierównych grud ziemi, o które się potykałam. Szumiało mi w skroniach, ale przebierałam nogami, zmierzając w stronę wolności, a kiełkująca gdzieś w moim sercu nadzieja dodawała mi sił do walki. Przecież on tylko się z tobą bawi, naiwna idiotko! – powtarzał jakiś cichy głos w mojej głowie, mimo to biegłam, upadałam, wstawałam i biegłam, biegłam, biegłam... Odwróciłam się dopiero po pokonaniu kilkuset metrów, wcześniej nie miałam odwagi. Ciemna sylwetka domu, majacząca wśród sypiącego śniegu, była jedynie zamazaną plamą na tle wszechobecnej bieli. Chociaż przez dłuższą chwilę wypatrywałam Józefa, nie potrafiłam powiedzieć, czy w ogóle jeszcze tam stał.

– Biegnij, dziewczyno! – wychrypiałam, zmuszając się do dalszego wysiłku.

Nie miałam pojęcia, czy rozciągające się przed moimi oczami pole prowadzi do drogi, tak samo jak nie miałam pojęcia, gdzie w ogóle jestem. Jednak wyrwany z klatki instynkt przetrwania sprawił, że pędziłam przed siebie, dopóki nie upadłam twarzą w śnieg, niezdolna do dalszego wysiłku.

Leżałam przez chwilę, która równie dobrze mogła być wiecznością, jak i kilkoma minutami. W końcu udało mi się podnieść i zaczęłam iść. Śnieg sypał, wygłuszając wszelkie odgłosy. Świat był szczelnym kokonem, w którym więził mnie szalenie. Zmusiłam się do biegu, chociaż kłuło mnie w płucach, a przed oczami wirowały dziwne, ciemne plamy. „Znowu anemia, pani Moniko” – przypomniałam sobie słowa osiedlowej lekarki, do której wybrałam się z wizytą z końcem grudnia. Zapisanych jednak przez nią tabletek z żelazem nie miałam czasu wykupić – recepta nadal pewnie tkwiła w jednej z kuchennych szuflad, gdzie w pośpiechu ją upchnęłam po powrocie z przychodni.

– Biegnij! Pośpiesz się, cholera, nie myśl o pierdołach!  
– szepnęłam.

Nogi miałam ciężkie, coraz cięższe. Śnieg był za to coraz wyższy, coraz bardziej w nim grzęzłam. Rozboleły mnie łydki, zmuszone do gwałtownego wysiłku mięśnie niemal piekły.

Wystrzelił zza moich pleców, zanim zdałam sobie sprawę, czym jest nisko wibrujący dźwięk, który słyszę. Śnieżny skuter zawrócił i zaczął robić coraz węższe kółka wokół mnie, w końcu Józef wyłączył silnik i kazał mi wsiadać.

– Dobrze jest czasem pożartować, co? – śmiał się, kiedy szłam w jego stronę. – No już, nie rób takiej zbolalej miny! Przynajmniej pobaraszkowałaś na śniegu – dodał.

Podeszłam do skutera.

– Właż, na co czekasz? – burknął.

Pchnęłam go z nadzieją, że spadnie, a ja odjadę. Zdołał mnie jednak złapać za przeguby i ziejąc mi w twarz przesiąkniętym cebulą oddechem, siłą posadził mnie przed sobą. Zaczęłam się szarpać, udało mi się uderzyć go łokciem w oko i w końcu oboje upadliśmy w śnieg. Przez chwilę, przez jedną krótką, cudowną chwilę miałam nadzieję, że uda mi się uciec. Zdołałam wstać, ale złapał mnie za kostkę. Runęłam

twarzą w śnieg. Zaczął mnie okładać pięściami, krzyczał, że jestem niewdzięczną suką. W końcu przycisnął mój policzek do zaśnieżonej ziemi i trzymał, a śnieg wpadał mi do ust, wdzierał się do oczu.

– Przepróś! – wycedził.

Milczałam.

Uderzył mnie pięścią w głowę. Kaptur nieco stłumił cios, ale i tak prawie zemdlałam.

– Przepróś! – powtórzył, szarpiąc moją głowę w tył.

– Przepraszam – szepnęłam, nienawidząc się za tę uległość, jaką mu okazywałam.

Tak, nienawidziłam się za własne tchórzostwo i to, że mimo wszystko wołałam żyć, zamiast pozwolić mu się zatłuc i raz na zawsze skończyć koszmar, w którym tylko i wyłącznie z jego woli odgrywałam główną kobiecą rolę. Puścił mnie. Uniosłam się i na czworakach ruszyłam w stronę skutera, ale złapał mnie za łydkę i przyciągnął do siebie. Później podniósł flanelową koszulę, którą na sobie miałam, podarł na mnie rajstopy i zanim w ogóle dotarło do mnie, co się teraz stanie, zważył się na mnie całym swoim ciężarem. Wbijając się w moje wnętrze, polizał mnie po twarzy. Próbowалаm krzyczeć, ale w ustach miałam śnieg. Poruszał się we mnie coraz szybciej i szybciej, każde jego pchnięcie powodowało rozdzierający ból i słodką nadzieję, że niedługo będzie po wszystkim. Kiedy skończył, splunął tuż obok mojej głowy i czubkiem buta trącił mnie w zębra.

– Widzisz, co się dzieje, kiedy doprowadzi się mężczyznę do ostateczności? Sprowokowałaś mnie, suko! I pewnie teraz się cieszysz, co? Wszystkie chcecie tylko jednego – rządzić nami, wodzić na pokuszenie, kusić! Wstawaj, dziwko! Chyba że chcesz więcej?  
– wrzasnął.

Nie odpowiedziałam.

Było mi zimno i gorąco jednocześnie, ból w dole brzucha rósł, pęczniał, rozdzierał mnie od środka. Na myśl o tym, że we mnie skończył, szarpnęły mną torsje. Przyglądał się, jak wymiotuję, w końcu ponownie kazał mi się zbierać.

– Teraz bez szemrania wrócisz ze mną do domu, słyszysz?! Zrobisz to albo dziś w nocy cię zatłukę! – wrzasnął.

Wstałam. Trzęsłam się tak, że ledwo mogłam utrzymać się na nogach, ale udało mi się wstać. Pomógł mi wsiąść na skuter i zanim się obejrzałam, byliśmy przy płocie. Droga, którą na własnych nogach pokonałam z takim trudem, teraz była śmiesznie krótka. Zanim weszłam przez furtkę, obejrzałam się za siebie, ale wolność już nie kusila. Chciałam tylko zwinąć się w kłębek i płakać, płakać, płakać...

– Podobało ci się? – zapytał, kiedy byliśmy na schodach.

Nie odpowiedziałam. Wiedziałam, że może mnie za to pobić, ale nie potrafiłam...

– Pytałem o coś! – warknął.

– Nie – szepnęłam.

– Co powiedziałaś? – zapytał, przystając na półpiętrze.

– Powiedziałam, że mi się nie podobało! – krzyknęłam, w ostatnim desperackim przyplywie sił rzucając się na niego z pięściami.

Do pokoju dowlóknął mnie siłą i zanim zamknął za sobą drzwi, powiedział, że przez resztę dnia nie dostanę niczego do jedzenia.

Dzień spędziłam skulona na materacu, pod cuchnącą stęchlizną kołdrą. W nocy Józef wsunął mi przez drzwi butelkę wody i suchą bułkę, ale nie pokazał się w moim pokoju. Nad ranem dostałam gorączki. Bolało mnie gardło, głowa i ręka, którą kilkakrotnie mi wykręcił, ale najbardziej bolała mnie dusza. Leżąc bezsennie na brudnym materacu, myślałam o mężu i nagle zrozumiałam, że nawet jeśli jeszcze kiedykolwiek go zobaczę, nic już nie będzie takie samo. Czy jeszcze kiedyś pozwolę mu się dotknąć? Czy już zawsze na samą myśl o seksie będę mieć w głowie obraz posapującego nade mną zwyrodnialca, który przyciskając moją twarz do zmarzniętej ziemi, dał upust żądzom, wmawiając mi, że to wszystko moja wina...

– Wstawaj! – Józef obudził mnie kopniakiem i postawił na ziemi tacę ze śniadaniem.

Zapytałam, która godzina.

Powiedział, że dochodzi dziesiąta trzydzieści. Widocznie po bezsennej nocy w końcu zasnęłam i solidnie zasnęłam.

– Jak zjesz, zabierzesz się do roboty – dodał. – Na początek łazienki, później kuchnia, moja sypialnia i salon. Będiesz sprzątać ze śpiewem na ustach, a ja będę ci się przyglądał.

– Dobrze – szepnęłam, starając się nie rozklejać, gdyż pomyślałam o naszym nowiutkim, tak starannie przez nas urządzanym gniazdku, w którym być może właśnie teraz policja przeszukuje moje rzeczy. Wciąż jeszcze mają nadzieję, że trafią na jakiś ślad i odnajdą mnie żywą.

Sprzątałam kilka godzin, ale pomimo że dom był pełen kurzu i pajęczyn, praca fizyczna przyniosła mi ukojenie. Szorując pełną żółtawych zacieków starą wannę, pomyślałam o Szymonie. Czy śledczym udało się odkryć nasz romans? I czy do Kuby już dotarło, że zdradziłam go z przypadkowo poznanym w pracy mężczyzną? A może Szymon nawet nie wie, że zaginęłam? Może po prostu pomyślał, że postanowiłam z nim skończyć? Przecież nigdy nie dzwoniłszy do siebie, nie mejlowaliśmy. Bawiła nas ta konspiracja, ukradkiem wręczane liściki, wymiana spojrzeń w korytarzach, szepty pomiędzy pełnymi naukowych tomiszczy regałami. Z drugiej jednak strony uczelnia musiała przecież huczeć od plotek. Od dnia, w którym przepadłam, minął ponad tydzień. Musiał się dowiedzieć, nie było innej możliwości, pomyślałam.

Józef wyrósł za moimi plecami, kiedy splukiwałam wannę.

– Jaką byłaś żoną? – zapytał.

Na dźwięk jego głosu drgnęłam i zacisnęłam palce na trzymanej w rękę niewielkiej różowej gąbeczce.

– Powiem ci, jaką jestem żoną. Zaginioną.

– Jeśli nie przestaniesz pyskować, będziesz żoną martwą – wycedził.

– Nie wiem, czy będąc martwą, można być czyjąś żoną...

– Chcesz się przekonać? – zarechotał.

Nie odpowiedziałam.

– Moja matka lubiła się dąsać, wiesz? Kiedy się o coś pokłóciliśmy, potrafiła się do mnie nie odzywać całymi dniami. Bardzo nie lubię, kiedy ktoś się do mnie nie odzywa...

– Skoro jesteś taki spragniony towarzystwa, może powinieneś się ożenić? – zakpiłam.

– Nie muszę. Mam ciebie – rozciągnął wargi w uśmiechu i wskazał palcem umywalkę. – Nie umyłaś jej dokładnie.

Pierdol się, złamasie, pomyślałam z nienawiścią. Przejechałam

jednak umywalkę gąbką nasączoną cytrynowym proszkiem do czyszczenia i starannie wyszorowałam pełen kurzu parapet.

– Dawniej trzymałem tu kilka doniczek z kaktusami, wiesz?

– zapytał nagle.

– I co, zdechły?

– Nie. Musiałem je wyrzucić. Sprzątając łazienkę, Ona złapała za jedną z donic i walnęła mnie w twarz. Dwa kolce wbiły mi się tuż pod okiem! – syknął.

– Dzielna mała – powiedziałam kąśliwym tonem. – Swoją drogą, mógłbyś czasem powiedzieć o niej Martyna. Tak miała na imię, zanim ją zabiłeś.

– Sama się zabiła! I nie mów o niej tak, nie podoba mi się to imię!

– wrzasnął. – Nie podoba mi się, słyszysz?!

– Słyszę, nie musisz...

Nie dokończyłam.

Złapał mnie za nadgarstek i przyciągnął do siebie.

– Znowu mnie prowokujesz – powiedział.

Jak na kogoś tak bardzo wierzącego w samodyscyplinę, dość łatwo cię sprowokować, pomyślałam, nie odważyłam się jednak powiedzieć tego na głos.

– Słyszałaś, co mówię? – zapytał.

– Tak.

– Prowokujesz mnie celowo, czy po prostu jesteś głupia?!

– Przepraszam...

– Przepraszasz za to, że jesteś głupia, czy za to, że celowo mnie prowokujesz? Zatańcz dla mnie – zażądał nieoczekiwanie.

– Co? – wyjąkałam, zupełnie zbita z tropu.

– Słyszałaś.

Odłożyłam gąbkę na brzeg umywalki i zaczęłam przestępować z nogi na nogę, lekko się kołysząc.

– To nazywasz tańcem?! – zapytał.

– Nie jestem tancerką – powiedziałam.

– Nie? A kim jesteś, jeśli można spytać? – zainteresował się.

– Aktualnie twoją sprzątaczką.

– Niewolnicą – sprecyzował.

Zagryzłam wargi, żeby nie powiedzieć czegoś, za co znowu mi się oberwie. Na wspomnienie tego, co zrobił mi dzień wcześniej, straciłam resztkę odwagi.

– Opowiem ci coś, co powinno ci dać do myślenia. W szpitalu, dla którego swego czasu pracowałem jako kierowca karetki, była młoda pielęgniarka – powiedział nagle Józef, przysiadając na brzegu wanny.

– Ładna dziewczucha, świetnie zbudowana, ale zadziorna i butna.

Podobała mi się i niejednokrotnie dawałem jej to do rozumienia, ale ona wolała strzelać oczami do takiego jednego wymuskanego doktora z hematologii. Łudziła się, że koleś się z nią ożeni, chociaż niejedno wtedy o nim słyszałem. Przelatywał jedną pielęgniarkę za drugą i równie szybko się nimi nudził. Ale ona nosiła głowę wysoko i nawet na mnie nie spojrzała. Łaziłem za nią z pół roku, zanim do mnie dotarło, że nic z tego nie będzie...

– I co? Postanowiłeś zwabić ją do samochodu i zamknąć w piwnicy? – zapytałam.

– Postanowiłem dać jej nauczkę – powiedział. – Była ze wsi, dojeżdżała do pracy pociągiem. Na stację można było iść przez miasto albo skrótem, wzdłuż działek. Jej zawsze się śpieszyło, przechodziła przy działkach. Któregoś dnia się na nią zaciąłem i zaciągnąłem ją do jednej z altanek. Wierzgała, drapała, ale w końcu się uciszyła. Wziąłem, co moje, a na odchodnym pociąłem jej buźkę kawałkiem rozbitej butelki. Nie muszę chyba dodawać, że doktor się z nią nie ożenił, nie?

– zarechotał Józef, drapiąc się po głowie. – Gliniarze przepytывali wtedy nas wszystkich, ale nigdy niczego mi nie udowodnili. Ona też trzymała język za zębami. Pewnie dlatego, że solidnie ją nastraszyłem. Miała dwie młodsze siostry, jedenasto- i ośmioletnią. Powiedziałem jej, że jeśli piśnie chociaż słowo, naślę na te smarkule swoich dobrych kumpli. Kilka tygodni później usiłowała się zabić. Nocą, w zabiegowym, nałykała się jakichś prochów, ale ją znaleźli. Wylądowała na oddziale zamkniętym i słuch po niej zaginął. Wiesz, jaki z tego wniosek? – zapytał.

– Że jesteś gwałcicielem? – rzuciłam przez zęby, cofając się pod ścianę.

– Że gdyby była dla mnie miła, nigdy nie stałoby się nic takiego – odpowiedział Józef.



– Czyli uważasz, że kobiety nie mają prawa wyboru? Że jeśli tylko upatrzy je sobie jakiś samiec, powinny być posłuszne i uległe?

– zapytałam, z trudem panując nad wściekłością.

– Oczywiście, że tak. Natura nie bez przyczyny stworzyła was słabszą płcią.

– Słabsze jesteśmy tylko fizycznie. Psychicznie jesteśmy od was o wiele silniejsze!

– Może. Ale co wam z tego? Szłaś sobie wzdłuż szosy w tym swoim czerwonym płaszczku... Wypindrzona, zadowolona z siebie paniusia. Szłaś sobie, ja się zatrzymałem... Resztę już chyba znasz? Chcę powiedzieć, że siła fizyczna chyba jednak jest górą nad tą psychiczną – rzucił rozbawionym tonem. – Co, nic nie powiesz?

– Co mogę dodać? Każdy wierzy w to, w co chce...

– A w co ty wierzysz? – zapytał.

– W siebie.

– To powodzenia – zaśmiał się ochryple i klepnął mnie w pośladek.

– Powodzenia, słońce – dodał i rechocząc, wyszedł z łazienki. Zostałam sama.

Rozejrzałam się, szukając wzrokiem czegoś, co kiedykolwiek mogłoby mi się przydać w nierównej walce z tym czubem, ale oprócz dwóch brudnawych ręczników i resztek płynu do kąpieli w nieprzydatnej plastikowej butelce w łazience nie było niczego, czym mogłabym go zaatakować.

## 6.

Przez resztę stycznia i cały kolejny miesiąc Józef nie wypuścił mnie już na zewnątrz. W pierwszych dniach marca zjawił się u mnie z obcęgami i mruczając coś do siebie pod nosem, zaczął wyciągać gwoździe z desek, którymi zabił okno. Siedziałam na materacu. Bałam się poruszyć, nie miałam pewności, w jakim jest nastroju. Deski rzucał na podłogę. Opadały z hukiem, jedna za drugą, a w świetle zimowego poranka roztańczyły się drobinki kurzu.

– Jeśli rozbijesz szybę, będę cię wiązał. W dzień i w nocy, na okrągło. Dopóki nie umrzesz. Wiesz, że krążenie trzeba pobudzać, prawda? – mruknął, odkładając na parapet kolejny gwoździe.

– Tak – powiedziałam, świetnie wiedząc, że on czeka na odpowiedź.

– Co tak? – burknął.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

Skinął głową, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że akceptuje moją odpowiedź, przeliczył gwoździe, które wsunął sobie do kieszeni i zaczął wynosić deski. Wstałam. Czy jeśli uderzę go w twarz jedną z tych, które zostały na podłodze, uda mi się stąd wyrwać?

– zastanawiałam się.

– Myślisz o czymś niemądrym, prawda? – usłyszałam jego dochodzący z korytarza głos.

Chwilę później wrócił do mojej celi i zabrał resztę desek. Śniadania nie przyniósł. Na obiad była wątróbka, której nienawidzę, naleśniki z dżemem i czekoladowe lody. Jadłam, starając się nie myśleć o smaku potraw. Dawno temu zauważyłam, że uwielbia podawać mi zupełnie idiotyczne połączenia. Kiedyś przyniósł mi truskawki polane czymś, co wzięłam za słodką śmietankę. Dopiero kiedy miałem w ustach pierwszy kęs, okazało się, że to lekko zwietrzały sos czosnkowy. Zwymiotowałam na podłogę i przez trzy dni nie dostałam niczego innego do jedzenia.

– Ubierz się, wychodzimy! – powiedział, kiedy zjadłam.

Na zewnątrz mżyło, ale pierwszy haust świeżego powietrza wprowadził mnie niemal w euforię.

– Kupiłem coś, co może ci się spodobać – mruknął. – Chodź, sama zobaczysz! – zachęcił.

Na tyłach domu okazało się, że chodzi o łańcuch.

– Połączyłem kilka w jeden, ma ponad dwadzieścia metrów. Będiesz mogła spacerować, a ja nie będę musiał stale cię obserwować – powiedział, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Naprawdę chcesz mnie wziąć na łańcuch jak psa? – zapytałam cicho.

– Przecież mówię, czego nie rozumiesz? I czemu uważasz, że masz w tym domu większe prawa niż pies?

– Wróćmy do środka – poprosiłam.

– Jak sobie życzysz – powiedział.

Na kolację przyniósł kaszanekę i kazał mi ją jeść, przepijając czekoladowym koktajlem. Później skroił resztkę chleba i zapytał, czy obejrzę z nim film.

– Na Polsacie jest dziś świetny kryminał – kusił.

Wyobraziłam sobie nas dwoje siedzących razem na kanapie. Stare, dobre małżeństwo, kat i jego ofiara.

– Mówię do ciebie! – warknął.

– Tak, chętnie – szepnęłam.

– Tak, chętnie co?! Dasz się wyruchać, dojesz kaszanekę?!

– Obejrzę z tobą film – dodałam zmęczonym głosem.

– Nie słyszę entuzjazmu.

– Wybacz – wycedziłam.

– Kobiety... Ach, a w kwestii kobiecości, mam dla ciebie parę drobiazgów – powiedział.

Kilka minut później rzucił na materac torbę z podpaskami, tamponami i starym, naddartym ręcznikiem.

– Żebyś znowu nie narzekała, że o ciebie nie dbam...

– Dziękuję – powiedziałam, chociaż zamiast wdzięczności moje gardło ścisnęła czysta nienawiść.

– Głośniej! – burknął.

– Dziękuję, jestem ci bardzo wdzięczna! – krzyknęłam, zaciskając ręce w pięści.

Pół godziny później siedziałam z nim na dole. Film był marny, ale

jemu chyba się podobał. Niczym dziecko śledzące losy ulubionych animowanych bohaterów, nie odrywał wzroku od ekranu. Tkwiłam po jego prawej, w zaciętym milczeniu oglądając historię kobiety, która z premedytacją postanowiła zabić niewiernego męża i jego kochankę. Pod sam koniec filmu, zupełnie przypadkiem, w zagłębieniu kanapy, znalazłam zapalniczkę. Zacisnęłam na niej palce, bojąc się zerknąć w dół i dopiero, kiedy on na moment wstał i sięgnął po szklankę z wodą, wsunęłam ją sobie do kieszeni swetra.

– Wiesz, co zrobiłaby teraz dobra żona? – zapytał nagle Józef.

Wzdrygnęłam się. Seks? Nie, tylko nie to... Zacisnęłam powieki, jakbym naiwnie wierzyła, że wystarczy zamknąć oczy, a cały ten koszmar zniknie. Józef coś mówił, ale jego głos podryfował gdzieś daleko niczym niesiona morskim prądem tratwa. Czułam, że odpływam... Zadawało mi się, że ktoś dzwoni do furtki.

– Tym razem chyba wiem, kogo niesie – mruknął Józef, wstając.

– Rusz się, muszę cię zamknąć! – ponaglił mnie.

Nie zabrał mnie jednak na górę, tylko wtrącił do piwnicy.

– Wybacz, improwizuję – mruknął, wpychając mi do ust jakąś szmatę.

Ręce skrępował mi sznurem, później kazał mi się położyć na starej, stojącej w kącie sofie. Owijając moje łydki plastikowym kablem, mamrotał coś, czego nie mogłam zrozumieć. Starłam się skupić na oddechu i nie panikować na myśl o kneblu, tymczasem on zgasił za sobą światło i zostawił mnie samą w cuchnącym towarzystwie zasiedlanych przez gady terrariów.

Leżałam w absolutnej ciszy, nasłuchując. Ktoś przyszedł w odwiedziny? – zastanawiałam się, zdziwiona, że on w ogóle ma jakichś znajomych. Obcy, męski głos rozległ się dopiero po dłuższej chwili. Nie rozróżniałam słów, ale zdałam sobie sprawę, że zarówno gospodarz, jak i jego niespodziewany gość z czegoś się śmieją. Upili się raz dwa, musieli wlać w siebie naprawdę sporą ilość alkoholu, bo ich pijackie głosy brzmiały coraz bardziej bełkotliwie. W końcu uchyliły się piwniczne drzwi i z korytarza padła na schody smuga światła.

Znieruchomiałam.

Idą tutaj? Obaj? Czego chcą? Seksu? Jakiejś chorej, sadystycznej

zabawy? – przeraziłam się.

– Uważaj, schody są ukruszone – usłyszałam głos Józefa i po chwili wewnątrz piwnicy zalało światło.

– To co mi chciałeś pokazać? – wymamrotał kompletnie pijany wieczorny gość, rozglądając się po pełnym najprzeróżniejszych gratów wnętrzu.

W końcu nasze oczy się spotkały i facet przystanął, zszokowany moim widokiem.

– Człowieku, co do chuja?! – odwrócił się w stronę Józefa, ale było za późno. Korzystając z jego nieuwagi, mój porywacz sięgnął po siekiere i wyrznął kumpla w tył głowy.

Mężczyzna opadł na kolana, trysnęła krew. Zamknęłam oczy, tymczasem Józef kończył swoje dzieło, dając upust szaleństwu.

– Skąpy skurwysyn! Mówiłem, że oddam mu w końcu tę kasę, ale zaczął się dopominać już teraz – syknął, kiedy nieszczęśnik bez życia opadł na podłogę.

Zaczęłam się szarpać, myśląc tylko o tym, że muszę uciekać jak najdalej od mordu, krwi i obłędu.

– Spokój! – warknął Józef, łapiąc trupa za nogi.

Kiedy ciągnął go po posadzce, zostawiał za sobą szlaczek z krwi. Zamknęłam oczy i zaczęłam w duchu śpiewać piosenkę, którą pamiętałam z dzieciństwa. Podszedł do mnie chwilę później i zaczął uwalniać mi ręce.

– Dlaczego? – zapytałam, kiedy wyjął mi knebel.

Wzruszył ramionami.

– Raz, że wisiałem mu grubą kasę, której nie zamierzałem oddawać. Dwa, że to był wyjątkowy debil, a trzy, że chciałem się tobą pochwalić. Żałuję tylko, że stałem za nim i nie widziałem jego oczu... Spodobałaś mu się? Jak sądzisz? – zapytał.

– Zabiłeś go – powiedziałam. – Będą go szukać, policja...

– Posprzątasz i będzie po krzyku. Wstawaj, trzeba zmyć tę krew! Zresztą nieważne, później. Najpierw muszę się nim zająć – mamrotał Józef, przyglądając się leżącemu w kącie piwnicy zwłokom.

– Zabiłeś go, nie rozumiesz?! Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z nieodwracalności tego, co zrobiłeś?! – krzyknęłam.

– Zamknij się i nie każ mi żałować, że wyjąłem ci tę szmatę z gęby – warknął. – Rusz się, idziemy na górę!

Kiedy zamknął mnie w zielonym pokoju, skuliłam się w kącie i z nogami pod brodą siedziałam oparta o ścianę, dopóki nie zmarzłam na kość. Z dołu, najpewniej z piwnicy, dochodziły głuchoe odgłosy uderzeń i nagle z całą plastycznością zobaczyłam w wyobraźni Józefa rąbiącego siekierą zwłoki.

– Boże, zabierz mnie z tego piekła – rozpłakałam się, krążąc po pokoju.

Kilka minut później porywacz zjawił się u mnie na górze i postawił na parapecie świecę, którą ze sobą przyniósł. Miał na sobie damską koszulę nocną i wysokie czerwone szpilki; na jego wargach połyskiwał błyszczczyk.

– Zatańczę dla ciebie – powiedział. – Mama lubiła, kiedy dla niej tańczyłem. Patrz na mnie! – dodał podniesionym głosem.

Usiadłam na łóżku, zmuszając się, żeby nie spuszczać z niego wzroku.

– Postanowiłem cię zabić – powiedział, płasając po rozświetlonym migoczącym blaskiem świecy pokoju. – Za dużo widziałas, zresztą i tak zdążyłaś mi się znudzić. Jesteś nudna, słyszysz?! – wrzasnął.

Zerwałam się z materaca i wybiegłam na korytarz. Złapał mnie, zanim dotarłam do schodów, i przyciągnął do siebie, zakleszczając w uścisku.

– Jestem Bogiem, rozumiesz?! Jestem nawet lepszy, bo boisz się mnie bardziej niż jego! – roześmiał się chrapliwie.

Otworłam do krzyku usta, z których wyleciały olbrzymie czarne chrabąszcze. Józef śmiał się obłąkańczo, przyciskając mnie do siebie, dusząc. W końcu pchnął mnie na podłogę i bez słowa ruszył w stronę schodów.

Obudziłam się nagle, wyrwana ze snu kopniakiem. Józef stał nade mną z pilotem od telewizora w dłoni.

– Krzyczałaś przez sen – powiedział.

– Spałam? – wymamrotałam i rozejrzałam się nieprzytomnie dokoła.

– Na to wygląda.

– Która godzina?

– A co za różnica? Śpieszysz się gdzieś? – zarechotał. – Podnieś tyłek, idziemy na górę – dodał.

– Śpij słodko – powiedział, kiedy już odprowadził mnie do mojej celi.

Dopiero kiedy wyszedł, zdałam sobie sprawę, że nadal cała się trzęsę. To tylko koszmarny sen, tylko sen – powtarzałam sobie, obejmując się ramionami. Nagle przypomniałam sobie o zapalniczce. Działa? A może wcale jej nie ma, może ona też tylko mi się śniła? Kiedy szukałam jej w kieszeni swetra, trzęsły mi się ręce. Jest! O Boże, jest! Pstryknęłam. Niewielki płomień wystrzelił w górę. Działa! Upchnęłam ją do poszewki i położyłam się na boku.

Tęskniłam za Magdą, nie potrafiłam pogodzić się z myślą, że być może już nigdy jej nie zobaczę. Żałoba to ponoć jedna z najbardziej stresogennych sytuacji, jakie mogą się nam przydarzyć, a ja przecież jednocześnie opłakiwałam męża, siostrę, ojca, matkę i całą resztę rodziny. Wszystkich tych ludzi, z którymi być może już nigdy nie zetknie mnie los. Przyjaciółki, koleżanki, sąsiadów, Szymona.

Nagle przypomniałam sobie incydent sprzed kilku ładnych lat. Był chłodny majowy wieczór, niemal północ, kiedy zadzwoniła do mnie Magda. „Przyjedź po mnie” – powiedziała. Płakała i sprawiała wrażenie przerażonej. Zapytałam, gdzie jest, a ona podała adres opuszczonej fabryki na przedmieściach. Wsiadłam do samochodu, który ledwie kilka tygodni wcześniej kupili mi rodzice i pruałam przez miasteczko, jadąc jej na ratunek. Kiedy dotarłam na miejsce, czekała na przystanku – czternastolatka przebrana za dorosłą kobietę. Czarna, skórzana kurtka, krótka kiecka, szpilki, które zwędziała matce. „Piłaś coś?!” – zapytałam ostrym tonem starszej siostry. „Nieważne” – burknęła. „Czego się tak przestraszyłaś?” – zainteresowałam się. Początkowo nie chciała mówić, w końcu przyznała, że zaczęła ją pięciu mocno podpitych gości koło czterdziestki. Otoczyli ją i zaczęli rzucać niewybredne uwagi. „Pokaż cycki”, „Zabawmy się w tamtych krzakach”. Uciekli na widok radiowozu, ona zdołała do mnie zadzwonić z telefonu jednego z gliniarzy. Dzień później kupiłam jej pierwszą komórkę. Tak się ucieszyła, że oddała mi swoje ulubione kolczyki. Nigdy nie

powiedziałam rodzicom o tamtym incydencie, ale Magdzie jeszcze kilka ładnych razy strzeliłam kazanie o zakazie włóczenia się po nocy. A włóczyć się lubiła, niemal uwielbiała. Bywało, że wymykała się z domu oknem i wracała dopiero o świcie. W glanach albo wyjętych z szafy matki szpilkach i tych swoich śmiesznych tiulowych spódnicach, które własnoręcznie szyła z kawałków starych firanek, farbowanych na czarno w miednicy. Na to skórzana kurtka, którą dostała od ciotki Renaty, i tony taniej sztucznej biżuterii. Skąd miała na nią kasę, nie wiem. Czasem podejrzewałam, że to i owo zdarzyło jej się ukraść, ale pewności nie miałam... Później wyprowadziłam się z domu i przestałam tak uważnie ją obserwować. Miałyśmy swoje światy, swoje plany i marzenia. Ona dorastała, ja zbliżałam się do trzydziestki... Na myśl o urodzinach, zaczęłam płakać. Gdzie będę pierwszego czerwca? Nadal tutaj, w łapach tego zwyrodnialca? W domu? A może jakieś dwa metry pod ziemią obok dziewczyny, która miała pecha wpaść w jego łapy pierwsza? – przeszło mi przez myśl.

Na dole coś łupnęło, jakby Józef przewrócił któreś z krzesel.

Po chwili usłyszałam ochryply krzyk i jego stłumiony, brzmiący jakoś inaczej głos. „Przestań!” – krzyczał, jakby od kogoś się opędział. Podeszłam do drzwi i przyłożyłam do nich ucho. „Przestań, błagam, przestań!” – krzyczał. Po chwili ponownie coś łupnęło i zapadła cisza.

– Wypuść mnie stąd! – wrzasnęłam, waląc pięściami w drzwi.  
– Wypuść mnie, słyszysz?! Ty chory skurwysynu, otwieraj! – darłam się, ale nie zareagował.

Kiedy już straciłam głos, opadłam na podłogę i osłoniłam głowę rękoma. Jak długo jeszcze zdołam znieść ten koszmar, nie tracąc zmysłów? I czy kiedykolwiek uda mi się przechytryć porywacza? – zastanawiałam się. Nagle pomyślałam o ukrytej w poszewce zapalniczce. Gdybym podpaliła materac, kołdrę i poduszkę, ten czub musiałby w końcu poczuć dym i przybiec na górę. Ale co, jeśli nie przyjdzie? Uduszę się? Spłonę żywcem, kiedy już zajmą się tapety i rozpęta się wokół mnie piekło? Nie teraz, nie tak – powiedziałam sobie.

Do rana nie zmrużyłam oka, dopiero po śniadaniu udało mi się złapać odrobinę snu. Kiedy wstałam, Józef telepał się po parterze – z dołu dochodziły jakiejś stukoty, łupania i inne odgłosy. W końcu



przywłókł się z obiadem i kazał mi jeść ziemniaki rękoma. Kiedy zjadłam, powiedział, że mnie uczesze.

– Siadaj! – przestawił krzesło na środek pokoju i wsunął palce w moje splątane, od kilku dni niemyte włosy. – Nie kłamałaś, jesteś szatynką. Niedługo blond pasma będą tylko pięknym wspomnieniem – zarechotał, nawijając na palce końcówki moich włosów.

Zamknęłam oczy, wyobrażając sobie, że to Kuba. Pamiętałam taki sielski poranek we Władysławowie – siedziałam na hotelowym balkonie, mąż przyniósł mi sok i zaczął się bawić moimi włosami. Później się kochaliśmy. Na podłodze, tuż przy uchylonych drzwiach balkonowych. Pamiętam lekkie podmuchy wpadającego do pokoju wiatru na mojej skórze, zapach morza, krzyk mew i żarliwe pocałunki męża. Tamtego dnia zjadłam cztery gofry, dotarłam rowerem aż na Hel i zrobiłam nam kilkanaście fotek, które tkwiły teraz bezużyteczne w jednym z naszych domowych albumów – nieme pamiątki przeszłości, która nigdy nie wróci. Józef odchylił moją głowę w tył i lekko szarpnął mnie za włosy. Myślałam, że dalej miętosi je w dłoniach, dopiero po chwili zrozumiałam, że owinął nimi swojego penisa.

– Nie ruszaj się! – warknął, kiedy odchyliłam się do przodu.

Chwilę później było po wszystkim, ale nie chciał słyszeć o kąpeli.

– Kobieta nie powinna się brzydzić swojego mężczyzny  
– roześmiał się tylko.

– Nie jesteś moim mężczyzną! – krzyknęłam.

– Nie? – zdziwił się. – A kto daje ci żreć, wyprowadza cię na spacer, zagląda do ciebie w nocy? Wy, suki, zawsze jesteście niewdzięczne! – warknął.

Zerwałam się z krzesła i splunęłam mu w twarz. Otarł policzek wierzchem dłoni i zaczął się śmiać.

– Jeszcze skruszejesz, złotko – powiedział, zanim wyszedł.

Przez kolejne trzy i pół tygodnia nie zajrzał do mnie ani razu.

Uchylił tylko drzwi i wsuwał przez nie tacę z jedzeniem i wodą. Początkowo, pozostawiona samej sobie, byłam niemal w euforii, nie musząc go oglądać. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że dłużej nie wytrzymam tego odizolowania, że marzę o obecności drugiego człowieka, nawet jeśli miałby nim być mój oprawca.

– Przepraszam! – zaczęłam w końcu skamleć, kiedy zjawiał się pod drzwiami i wreszcie wszedł do środka.

– Wrócił ci rozum? – zapytał.

– Tak – powiedziałam.

– Głośniej! – wrzasnął.

– Tak!

– Dobrze – uśmiechnął się jednym z tych swoich gadzich uśmieszków, których szczególnie nienawidziłam, i usiadł na krześle.

– Tęskniłaś? – zapytał.

– Tak. Może nawet kiedyś uda nam się zaprzyjaźnić

– powiedziałam cicho, najbardziej potulnym tonem, na jaki było mnie stać.

I chociaż coraz bardziej nienawidziłam siebie za te słowa, wiedziałam, że prędzej będę miała nad nim jakąkolwiek władzę, trzymając go przy sobie, niż odtrącając...

– To nie jest przyjaźń, słonko. To tylko moja władza nad tobą, która pozwala mi cię tu trzymać – zaśmiał się szyderczo.

– Wypuść mnie stąd, błagam cię! Tęsknię za siostrą, za mamą. Chcę zobaczyć tatę, męża... Ja... Proszę... Wsiądźmy w samochód i jedźmy! Możesz mnie wsadzić do bagażnika, zakneblować, wywieźć stąd głuchą nocą! Nikomu o tobie nie powiem, przysięgam! Jeśli wysadzisz mnie gdzieś daleko stąd, nikt nigdy cię nie znajdzie...

– Nikomu nie powiesz? – uśmiechnął się rozbawiony. – A jak wytłumaczysz rodzinie kilkumiesięczną nieobecność? Powiesz, że skoczyłaś sobie na Kanary? Co z glinami, mężem, sąsiadami? Mówili o tobie w telewizji, wiesz? Niespełna trzydziestoletnia pracownica jednej z uczelnianych bibliotek przepadła bez śladu. Wiedziałem, że masz tego typu pracę, chociaż wyglądałaś mi bardziej na nauczycielkę, może jakąś urzędniczkę.

– Nikomu nie powiem, przysięgam! Będę kłamać, opowiadać bajki o domku w Bieszczadach, w którym się zaszyłam, żeby odpocząć psychiczne, albo... – urwałam, bo dotarło do mnie, jak bezsensownie to brzmi.

– Kupiłem ci coś i chcę, żebyś to nosiła – zmienił temat Józef i wyjął z kieszeni wysadzane sztucznymi diamentami serce na

rzemyku. – Chcę, żebyś zawsze miała to na szyi. Należysz do mnie. Ciałem, duszą, każdym pisanym ci dniem, jesteś moja!

– Nie masz mojej duszy – powiedziałam.

– Oczywiście, że ją mam! Jest tutaj, w tym pokoju, razem z tobą, twoimi wspomnieniami, razem z...

– Nie masz mojej duszy! – krzyknęłam.

Walnął mnie pięścią w nos i zalałam się krwią.

– Mam to, czego chcę! Wiesz, na kilka miesięcy przed śmiercią matka często mi powtarzała, że nie jest zadowolona z tego, co zrobiłem z moim życiem. Miała cukrzycę i była już w naprawdę marnym stanie. Zazwyczaj przez większość dnia siedziała na kanapie, łypiąc na mnie wzrokiem. Któregoś razu pomyślałem, że skoro tak jej się nie podoba to, co widzi, powinienem wydlubać jej oczy. Później jednak zrobiło mi się jej żal. Rodząc się, niemal ją zabiłem, lekarzom cudem udało się ją odratować. Może dlatego nie miałem serca, żeby ją skrzywdzić. Ale czasem, kiedy myślę o tym jej świdrującym, pełnym dezaprobaty spojrzeniu, bardzo żałuję, że jednak tego nie zrobiłem.

– Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo jesteś chory? Dociera do ciebie to, co mówisz? Potrafisz sobie wyobrazić, jaką krzywdę zrobiłeś moim rodzicom, siostrze, mężowi?! Wiesz, przez co oni muszą teraz przechodzić?! – krzyknęłam łamiącym się głosem.

– Takie życie – Józef obojętnie wzruszył ramionami. – Sąsiedzi mieli kiedyś syna. Ona przez kilka lat nie mogła zajść w ciążę, a kiedy w końcu urodziła, zadusiła kilkutygodniowe dziecko poduszką i popełniła samobójstwo. „Depresja poporodowa” – powiedział lekarz. Jej mąż się rozpił, zaniedbał gospodarkę, przepija resztkę majątku. Los potrafi dokopać, co?

– Co to ma wspólnego ze mną? Porwałeś mnie z ulicy! Wyrwałeś rodzinie, zabrałeś mi moje życie!

– Nie zabrałem ci życia. Co najwyżej luksus, do jakiego byłaś przyzwyczajona – mruknął. – Opowiedz mi o sobie. Zresztą mam pomysł, zagrajmy w coś! Będę zadawał pytanie, ty na nie odpowiesz, później ty zadasz pytanie mnie i tak dalej. Chcę się czegoś o tobie dowiedzieć, poznać cię! Ona nie lubiła ze mną rozmawiać, prawie zawsze milczała. Kiedy kazałem jej odpowiadać, mówiła tylko „tak”,

„nie” albo „nie wiem”... Teraz żałuję, że trzymałem tę bezużyteczną dziwkę taki szmat czasu... Ty jesteś inna. Harda. Pyskata. Ostra. Lubię to w tobie, chociaż jeszcze niejedyn raz ci się za ten niewyparzony język oberwie, wiesz o tym?

– Tak.

– Ulubiona zupa? – zapytał.

– Ogórkowa – szepnęłam, przypominając sobie mamę, która przepasana podarowanym jej przez nas fartuszkiem zabielała zupę śmietaną.

– Kolor?

– Czerwony.

– Film? Nie, czekaj, teraz ty powinnaś mnie o coś zapytać!

– przypomniał sobie Józef.

– Nie chcę w to grać – powiedziałam cicho.

– Nie pytałem, czy chcesz! Więc? Ulubiony film?

– Nie wiem, tyle ich jest...

Spochmurniał i bez słowa wyszedł z pokoju. Na myśl, że być może nie pojawi się na górze przez kilka kolejnych tygodni, poczułam zarówno ulgę, jak i paniczny strach. Tym razem jednak nie dał długo na siebie czekać.

– Zobacz, co mam! – powiedział, zjawiając się w mojej celi jakieś dwie, może trzy godziny później.

Spojrzałam na trzymane przez niego tekturowe pudełko w kolorową kratę, zdając sobie sprawę, że ostatnio zachowuje się niczym podekscytowany dziewczęcym towarzystwem nastolatek.

– Nie zapytasz, co to? – dodał.

– Co to? – powtórzyłam.

Otworzył pudełko i wyjął kilka zdjęć.

– To ja, zaraz po maturze. Mieszkaliśmy wtedy w Ząbkowicach Śląskich, mama pracowała w cukierni i niemal zawsze przynosiła do domu ciasto, a mój brat...

– Masz brata?

– Tak, kilka lat starszego. Ale dawno o nim nie myślałem.

– Wyjechał?

– Można tak powiedzieć.

– Możesz bardziej konkretnie? Przed chwilą zarzuciłeś mi, że nie chcę rozmawiać.

– Zenek był policjantem. Pracował w drogówce i trochę ze dużo pił. Któregoś dnia, będąc na służbie, potrafił na pasach kobietę w ciąży i trzyletnią dziewczynkę, którą matka trzymała za rękę. Był pijany, a one nie przeżyły i poszedł siedzieć. Kilka miesięcy od ogłoszenia wyroku powiesił się w celi. Sprawę podejrzenie szybko umorzono, uznając jego śmierć za zwykłe więzienne samobójstwo, w którym ponoć nikt z zewnątrz nie maczał palców. Od tamtej pory matka już nigdy do siebie nie doszła...

– Przykro mi – powiedziałam, chociaż wcale mu nie współczułam.

O jedno ścierwo mniej, pomyślałam o tym przeklętym pijaku za kierownicą, tymczasem Józef podsunął mi pod nos kolejne zdjęcie. Ładna wysoka blondynka w falbaniastej sukience śmiała się do kogoś spoza kadru, trzymając w ręku olbrzymi bukiet fioletowego bzu.

– To Baśka, moja pierwsza dziewczyna. Matka na okrągło mi powtarzała, że powinienem się ustatkować, więc planowałem się z nią ożenić. Ale ona zaszła w ciążę z innym... Wyjechała z nim do Australii, ponoć całkiem nieźle żyją. Jak dziwnie się ludziom życie układa. Wychowała się w dwóch pokojach z szóstką rodzeństwa i ojcem pijakiem, który regularnie ich wszystkich tłukł, a teraz ma willę pod Sydney i gra wielką panią.

– Skąd o tym wiesz?

– Po prostu wiem – wzruszył ramionami.

– Dlaczego mnie tu trzymasz? – zapytałam nagle.

– A co to ma do rzeczy?

– Po prostu chcę wiedzieć. Dlaczego?

– Czy ja wiem? Matka zawsze mi powtarzała, że mam podły charakter i zdechnę sam jak pies. Może chcę jej udowodnić, jak bardzo się myliła?

– Ona nie żyje, więc i tak tego nie zobaczy.

– Oczywiście, że zobaczy! Wspominałem ci już chyba kiedyś, że ciągle czuję jej obecność? Kręci się po domu, jest tutaj z nami! Którejś nocy poprosiła, żebym zrobił jej herbatę – powiedział, gwałtownie się obracając. – Jest tu nawet teraz, nie widzisz? Tam, w kącie. Patrzy na

ciebie.

Odwróciłam się, podążając za jego wzrokiem, ale z kąta pokoju nie łypała na mnie żadna zjawa.

– Powiedziała, że cię nie lubi – dodał Józef. – Powiedziała, że jesteś cwana suką, która tylko czeka, żeby się stąd wyrwać. Mówi, że któregoś dnia zrobisz mi coś złego. Zrobisz mi coś złego? – zapytał nieprzyjemnym skamlącym tonem.

– Wypuść mnie, a nic ci się nie stanie – powiedziałam.

– Widzisz, problem polega na tym, że nie chcę – uśmiechnął się krzywo i wybuchnął gardłowym śmiechem. – Chyba nie wierzyłaś, że mówię serio? Szkoda, że nie widziałaś, jakie wielkie zrobiłaś oczy!

Oczywiście, że mówiłaś serio, ty czubie! – pomyślałam z nienawiścią. Sama przecież niejednokrotnie słyszałam, jak wykrzykiwał coś do siebie, przekonany, że nie jest sam.

– Pójdę już. Dawno nie myślałem o tym skurwysynu – wymamrotał po chwili.

– O kim? – zdziwiłam się, bo chyba nie nazywał tak brata?

Chociaż z drugiej strony nic mnie już przecież nie dziwiło.

– O Zenku – potwierdził moje przypuszczenia. – Bił mnie, wiesz? Kiedy miałem siedem lat, złamał mi nos. Tuż po mojej komunii tak mnie skopał, że połamał mi zebra. Zadawał się wtedy ze starszymi od siebie chuliganami z sąsiedztwa, uwielbiali mnie dręczyć. Któregoś dnia postanowili sprawdzić, jak długo wytrzymam, wstrzymując oddech, i trzymali moją głowę w pełnej lodowatej wody wannie, dopóki nie zacząłem lecieć im przez ręce. Matka całymi dniami pracowała, ojciec już nas wtedy porzucił i spędzałem całe godziny, modląc się, żeby Zenek sobie o mnie nie przypomniał. Ale on znał wszystkie moje kryjówki. Strych, szafa matki, szopa w ogrodzie – zawsze potrafił mnie znaleźć. Jakby naprawdę czuł, gdzie się ukrywam. Tuż po moich jedenastych urodzinach zwabił mnie do szopy na podwórzu sąsiada. Był z nim jego kumpel o ksywce Salceson. Kazali mi się napić wódki, dosłownie włali mi ją w gardło. Zakrztusiłem się i zwymiotowałem, ale oni tylko się śmiali. W końcu Zenek powiedział, żebym się rozebrał i... – Józef urwał, jakby nawet teraz, po latach, nie potrafił o tym mówić.

– Co ci zrobił? – zapytałam łagodnie, tonem, jakim mogłabym

uspokajać przerażone dziecko.

Milczał.

– Co ci zrobił twój brat?

– Nie on. Jego kumpel. Zgwałcił mnie. Zabawiał się ze mną w nieskończoność, a Zenek tylko się przyglądał, paląc papierosa za papierosem. Wykrzykiwałem jego imię, błagałem, żeby mi pomógł, ale on tylko siedział w kącie szopy i obserwował to, co robi ze mną Salceson. Na koniec jego koleś przyłożył mi do szyi rozbitą butelkę i obiecał, że jeśli komukolwiek o tym powiem, to samo robi mamie. Przez kolejne miesiące Zenek zaciągał mnie do szopy i oddawał w jego łapy. Wszystko skończyło się, dopiero kiedy Salcesona znaleźli na działkach zadźganego. Podpadł jakimś szumowinom i skończył z nożem w brzuchu. Pamiętam, że nieświadoma mojego koszmaru matka bardzo płakała; zawsze go lubiła. Zenek chyba przez tydzień gdzieś chlał, niedługo później przeniósł się do jakiejś trzydziestokilkuletniej rozwódki i nigdy więcej nie wrócił do domu. Ale to, co mi zrobił, zostało już we mnie na zawsze... – powiedział cicho Józef, a do mnie dopiero po dłuższej chwili dotarło to, co mi właśnie wyznał.

Bydłę, którego nie można chyba nazwać istotą ludzką, bez cienia emocji przyglądało się brutalnemu gwałtowi na swoim jedenastoletnim bracie! Czy mogłam się dziwić, że człowiek, który zmienił moje życie w piekło, był tym, kim był? Nie, nie było mi go żal, chyba za bardzo go nienawidziłam. Nie potrafiłam mu współczuć nawet po tym, co usłyszałam. Ale przez jedną krótką, ulotną chwilę poczułam ukłucie żalu z powodu tego chowającego się gdzieś po kątach, przerażonego chłopca, który wyrósł na zaburzonego, chorego mężczyznę.

– Zrobiłeś mi to samo. Po całym tym koszmarze, przez który przeszedłeś w dzieciństwie, zrobiłeś mi dokładnie to samo! Mnie, tamtej pielęgniarki i kto wie, komu jeszcze! – zarzuciłam mu łamiącym się głosem.

Parsknął rozeźlony, zupełnie jakbym powiedziała coś całkowicie absurdalnego.

– Nie zrobiłem ci tego samego! Nie masz jedenastu lat! Jesteś dojrzałą kobietą, a ja jestem mężczyzną! Pokazałem ci tylko, kto rządzi. Tak działa cały pieprzony świat, nie rozumiesz? Zawsze jest ten, kto

rządzi i ten, kto musi się podporządkować. Zawsze!

– Jesteś chory – szepnęłam.

– Wszyscy jesteśmy chorzy. Toczy nas zgnilizna zwana życiem.

Przeżera nam trzewia, sączy w nas truciznę, dzień po dniu odbiera marne resztki złudzeń. Żyłaś w sztucznym, polukrowanym świecie ułudy. Ja pokazałem ci, jak wygląda prawdziwe życie. Uczę cię innej twarzy człowieczeństwa, pokazuję coś, czego dotąd nie miałaś okazji widywać. Dostojewski powiedział kiedyś, że jeśli diabeł nie istnieje, a stworzył go człowiek, to stworzył go na własny obraz i podobieństwo. To z Braci Karamazow, zakreśliłem sobie ten fragment czerwonym flamastrem.

– Wypuść mnie stąd – powiedziałam cicho, w żaden sposób nie nawiązując do jego literacko-egzystencjalnych wynurzeń.

– Może któregoś dnia cię wypuszczę? A później owinę sobie wokół szyi sznur i skończę z tym wszystkim raz na dobre. Ale ten dzień jeszcze nie nadszedł, z całą pewnością nie! – uśmiechnął się krzywo mój oprawca.

Kiedy wspomniał o swoim ewentualnym samobójstwie, poczułam ukłucie nadziei. Czy jest szansa, że potrafię go do tego nakłonić? Jak bardzo jest kruchy psychicznie? I czy to, co mówił, jest prawdą, czy to tylko kolejna z jego gier? – zastanawiałam się.

Józef przez dłuższą chwilę przyglądał mi się w milczeniu. W końcu wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Szczęknęła zasuwka i zostałam sam na sam ze swoimi ponurymi myślami. Kat, który kiedyś był ofiarą, i ofiara, która być może stanie się katem... Tak, nie miałam nawet cienia wątpliwości – kiedy nadarzy się okazja, zabiję go. Jeśli nadarzy się okazja, zrobię to bez mrugnienia okiem i nigdy, przenigdy nie będę miała z tego powodu wyrzutów sumienia.



## 7.

Gorączka przyszła nagle, jakby mój trawiony strachem i tęsknotą organizm powiedział w końcu „dość”. Targana dreszczami kuliłam się pod zatęchłą kołdrą, niedługo potem temperatura gwałtownie mi podskoczyła i gorąco niemal ze mnie buchało. Wyglądający na kompletnie bezradnego Józef stał na środku mojej celi i przyglądał mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Trawiona chorobą, otuliłam się wspomnieniami i przez jedną chwilę wydawało mi się, że to nie mój kat, ale tato tak uważnie mi się przygląda. Kiedy z siostrą chorowałyśmy, to on zazwyczaj poświęcał nam więcej czasu i uwagi niż mama. Dziecięce anginy, przeziębienia, ospa, świnka, różyczka – nachylony nad łóżkiem, z książką w dłoni i okularach do czytania uparcie zsuwających mu się z nosa, tata siadywał przy naszych łóżkach i czuwał. Kiedyś, niespełna sześćioletnia, poszłam pod wodę podczas wakacji nad Bałtykiem. Jedna chwila nieuwagi ojca, a zsunęłam się z dmuchanego materaca i niemal utonęłam. Skończyło się na kilku chwilach strachu, ale znajomy powiedział ojcu, że w takim wypadku może mi grozić wtórne utonięcie – w skrajnych przypadkach bywa, że słona woda zalega w drogach oddechowych, powodując obrzęk płuc i w konsekwencji nawet zgon. Tato obserwował mnie wtedy ponad dwa dni, chodząc za mną krok w krok. Pamiętam, że mama zaczęła się już śmiać z jego nadopiekuńczości, ale on nadal nie spuszczał mnie z oczu. Może dlatego, chociaż nigdy nie przyznałabym się do tego głośno, to jego zawsze kochałam bardziej niż ją. Miał w sobie więcej ciepła, współczucia. Mama była miękka na swój matczyzny sposób, ale to on bał się o nas znacznie bardziej i znacznie lepiej potrafił to okazać...

– Wstawaj! – głos Józefa wyrwał mnie z zamyślenia.

Bezradnie pokiwałam głową, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu.

Porywacz przykucnął i przyłożył mi dłoń do czoła. Była chłodna, niemal lodowata. Nienawidziłam tego człowieka, gardziłam nim i brzydziłam się go, jednak w tamtym momencie marzyłam, żeby nie zabierał ręki.

– Płoniesz – burknął bez cienia współczucia w głosie.

Jeśli o cokolwiek się w tym momencie martwił, na pewno nie o mnie...

– Chodź, trzeba zbić gorączkę – powiedział.

Wyszeptałam, że nie dam rady się ruszyć, ale nie słuchał. Posapując i dysząc mi w twarz, pomógł mi wstać i zawlókł do łazienki na dole. Na schodach niemal upadłam, miałam wrażenie, że moje własne nogi nie są dłużej w stanie udźwignąć mojego ciężaru. Podtrzymał mnie, głośno przy tym klnąc, i kazał mi się wziąć w garść.

– Jeszcze tylko parę kroków – powtórzył kilka razy, kiedy, powłócząc nogami niczym zombie, szłam w stronę łazienki.

Przy drzwiach zrobiło mi się słabo. Mroczki przed oczami i uczucie duszności niemal zwały mnie z nóg, ale Józefowi jakoś się udało wsadzić mnie do wanny. Odkręcił zimną wodę i zostawił mnie samą. Wyobrażałam sobie, jak wstaję i ociekająca wodą uciekam z łazienki, szukając wyjścia z tego przeklętego domu, ale choroba odebrała mi wszystkie siły. Przymknęłam oczy, na jedną krótką chwilę tracąc przytomność. Ocknęłam się, kiedy Józef wrócił z dwoma pełnymi śniegu wiadrami. Opróżnił je nad wanną, sapiąc przy tym i klnąc. Po chwili przyniósł mi szklankę ledwie letniej herbaty i kazał zażyć jakieś tabletki. Połknęłam je, nawet nie pytając, co to. Nie miałam siły, żeby z nim rozmawiać. Po prostu leżałam w wodzie, zasłuchana w miarowe kapanie; ze starego kranu regularnie leciały krople wody.

– Matka zawsze mówiła, że gorączki nie należy za wszelką cenę zbijać, ale co ona tam wiedziała... – mruknął Józef, biorąc ode mnie szklankę. – Zaraz wracam, postaraj się nie utopić – dodał.

Zacisnęłam palce na krawędzi wanny, zastanawiając się, czy on właśnie nie podsunął mi genialnego w swojej prostocie pomysłu. Wystarczyło osunąć się pod wodę i... Nie! Nie mogę tak myśleć, jeszcze nie teraz! – powiedziałam sobie. Wrócił po paru minutach i postawił na środku łazienki przyniesiony z kuchni taboret.

– W telewizji jest mecz, a ja muszę cię tu niańczyć – mruknął.  
– Baby! Ciągle z wami problemy, nic więcej!

– Wybacz, że ośmieliłam się zachorować – szepnęłam.

– Cokolwiek to jest, módl się, żebyś mnie nie zaraziła. Włączę telewizor, zawsze coś tam usłyszę – powiedział zgryźliwym tonem

człowieka, który musi robić to, na co nie ma najmniejszej ochoty.

Wrócił z miską pełną chipsów i puszką żubra w dłoni. Nie wiem, jak długo leżałam w wodzie, podczas gdy on, popijając piwo, mamrotał coś do siebie pod nosem.

Kiedy w końcu gorączka spadła na tyle, że o własnych siłach wróciłam na górę, Józef przyniósł mi kanapki i termos z herbatą.

– Później zażyj jeszcze tę tabletkę i zjedz coś – powiedział.

– Dbasz o mnie – szepnęłam, z trudem wydobywając z siebie głos.

– Dbasz o mnie... Kiedy mnie tu zamknąłeś, byłam pewna, że jesteś jakimś sadystycznym skurwielem, który systematycznie będzie się nade mną znęcać, ale wiesz co? Brakuje ci pomysłu na tego typu zabawy. Zamknąłeś mnie tu, bo panicznie boisz się samotności. To jest właśnie powód, dla którego mnie tu trzymasz...

– Gdybym aż tak bał się samotności, nigdy bym jej nie zabił

– wycedził.

– Jej? – odpowiedziałam pytaniem. – Mówiłeś, że ona zabiła się sama – przypomniałam mu.

– Mówię o matce – powiedział.

Uniosłam się na łokciu, starając się skupić na tym, co mówi. Huczało mi w głowie i byłam nieprawdopodobnie słaba, nie chciałam jednak uronić ani jednego słowa.

– Kiedy ją znalazłem, leżała na podłodze. Musiała zasłabnąć, bo w rękę miała fiolkę z tabletkami, których najprawdopodobniej nie zdążyła zażyć. Kiedy się ocknęła, zaczęła błagać, żebym wezwał karetkę. Chwyciłem za telefon, ale nie wybrałem numeru. Nagle przypomniały mi się wszystkie pełne dezaprobaty spojrzenia, kąśliwe uwagi, wymalowane na jej opuchniętej twarzy rozczarowanie. Zawsze bardziej kochała Zenka, wiesz? Kiedy byłem mały, udawała, że nie widzi, jak często on się nade mną znęca. „Zenuś, mój mały mężczyzna” – mawiała, rozlewając nam do talerzy zupę. Mnie nazywała wymoczkiem, czasem osłem. „Jesteś słaby, jak twój ojciec!” – syczała. Dopiero kiedy dorosłem, zdałem sobie sprawę, że to mnie obwiniała o jego odejście. Może dlatego, że zniknął niedługo po moich narodzinach? Później Zenek wyniósł się z domu i prawie nas nie odwiedzał, ale ona i tak na okrągło o nim mówiła. „Zenuś to, Zenuś

tamto!” Nawet kiedy śmiertelnie potracił tę kobietę z dzieckiem, zawsze potrafiła go bronić. „Był przemęczony, wziął na siebie zbyt wiele” – powtarzała. Świetnie ją pamiętam z tamtego okresu – spowitą w czernie, niczym wdowę, rozsiewającą wokół siebie zapach tanich perfum i kwaśny odór jeszcze tańszego wina. Niedługo później podupadła na zdrowiu i musiałem się nią zająć. Bywało, że ją kąpałem, obcinałem jej paznokcie u nóg, czesałem coraz rzadsze siwiejące włosy. Ale nawet wtedy nie myślała o mnie ciepło. Nawet wtedy, kiedy już się zabił, zawsze wołała Zenka. „Zenuś, synku!” – krzyczała czasem nocami, wyrywając mnie ze snu. Właśnie dlatego nie wezwałem wtedy karetki. Leżała na dywanie i rzeziła. Upiorny, chrapliwy dźwięk umierającego człowieka. Kiedy zrozumiała, że jej nie pomogę, zacisnęła palce na mojej kostce, ale wyrwałem nogę z jej uścisku i ruszyłem w stronę drzwi. Kilka godzin później już nie żyła, a ja powiedziałem lekarzowi, że taką ją znalazłem. Ale ona nie odeszła, wciąż tu jest! Myślę, że ma żal, może nawet ją rozumiem? Może wciąż byłaby wśród żywych, gdybym wtedy wezwał karetkę? Może nadal przyglądałaby mi się tymi swoimi pełnymi dezaprobaty oczami. Z zaciśniętymi ustami, z niemym wyrzutem na twarzy. Gorszy syn... Została z tym, którego nigdy nie potrafiła pokochać i to on ją za to ukarał – wypluł z siebie Józef, chaotycznie gestykulując.

Pomyślałam, że jeszcze nigdy nie widziałam go tak wzburzonego.

– Słyszysz, co mówię?! Myślę, że ona tu jest! – wrzasnął.

– Być może – powiedziałam cicho.

Spojrzał na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, zdziwiony, że ktoś uznał za prawdopodobne jego bredzenie.

– Jedz – zachęcił mnie po chwili, podsuwając w moją stronę talerz z kanapkami.

Odwróciłam głowę.

– Nie, to nie – burknął i z talerzem nietkniętych kanapek w ręku ruszył w stronę drzwi.

Dzień później wyjechał i nie było go aż do zmroku. Kiedy leżałam w przepoconej pościeli, wyobrażałam sobie, jak krąży ulicami, wypatrując młodych, naiwnych dziewczyn, które później podstępem zwabia do swojego samochodu. „Co byś powiedziała na towarzystwo?”

– zapytał mnie kilka dni wcześniej. „Mógłbym ci podarować kogoś, kto byłby dla ciebie jak siostra. Chcesz?” – kusił miękkim, niemal czułym tonem. „Odwalilo ci do reszty?!” – odwarknęłam. Uderzył mnie i zamknął w piwnicy, a kiedy tam siedziałam, jeszcze kilkakrotnie pytał, czy jestem pewna, że to właściwa odpowiedź. „Nie możesz tego zrobić kolejnej młodej dziewczynie, słyszysz?!” – wrzeszczałam przez zamknięte drzwi. I chociaż w jakiś sposób naprawdę wierzyłam, że być może dzięki temu uchroniłam kogoś przed podobnym do mojego psim losem, w głębi duszy żałowałam, że nie powiedziałam: „Tak, przyprowadź mi kogoś, z kim będę mogła porozmawiać”. I chociaż brzydziłam się sobą za te myśli, niemal się nienawidziłam, miałam ochotę powiedzieć mu, że zmieniałam zdanie. Mogłybyśmy rozmawiać, czesać się, pocieszać. Ocierałabym jej łzy, tuliła do snu, obiecywała, że wszystko będzie dobrze. Którejś nocy, drapiąc paznokciami drzwi, błagałam, żeby dał mi coś, dzięki czemu będę miała jeszcze chęć do życia. Rano zjawił się z królikiem, którego zostawił w mojej celi na kilka krótkich godzin. Wieczorem dowiedziałam się, że zamierza z niego zrobić pasztet. Powiedział to z takim spokojem, że wybuchnęłam śmiechem i nie mogłam przestać. Pograżona w histerii, chichotałam, dopóki nie kazał mi się zamknąć. Królika zabrał ze sobą, wychodząc.

A teraz zniknął... Nagle pomyślałam o siostrze. Co, jeśli ten obłąkaniec w jakiś sposób zwabi do samochodu Magdę? Ile o niej wie? Potrafi zjednać sobie ludzi na tyle, żeby o nią wypytać. A może zwyczajnie wpadam w paranoję? Wie, jak się nazywam. Ma mój adres, dowód. Ale nazwisko mam przecież po mężu, a ona nadal nosi moje dawne, panieńskie...

– Kurwa twoja mać, ty szmatławy, pokręcony psycholu!  
– wrzasnęłam w bezsilnej złości.

Odpowiedziała mi bezduszna, niczym niezmacona cisza.

Zaczęłam wykręcać związane dłonie, usiłując je uwolnić, wiedziałam jednak, że to bezcelowe. Nawet gdyby udało mi się poluzować sznury i wstać z krzesła, do którego mnie przywiązał, wychodząc, nadal tkwiłabym zamknięta w zielonym pokoju.

Józef wrócił przed północą, przywiózł mi kawałek sernika w czekoladowej polewie i kupionego najprawdopodobniej na stacji

benzynowej niewielkiego pluszowego miśka.

– Dotrzyma ci towarzystwa – powiedział, rzucając maskotkę na materac. – Nie zapytasz, gdzie byłem? Nie interesuje cię to? Staram się okazać ci zainteresowanie, szanuję cię, ale ty... Ciebie nigdy nic nie obchodzi! – dodał przepełnionym gniewem głosem.

– Gdzie byłeś? – zapytałam, rozmasowując kompletnie ścierpnięte ręce.

– W sąsiednim miasteczku – powiedział. – Wieczór pełen wrażeń. Kręgle, kolacja, spacer. Nie zapytasz z kim?

– Z kim? – powtórzyłam jak echo.

– Jest rozwódką. Kilka lat ode mnie młodsza, jak na swoje lata niebrzydka. Ma duży dom i mieszka sama.

– Szukasz sobie kogoś? – zapytałam, zdjęta nagłym strachem.

Czy jeśli on znajdzie sobie kobietę, stanę się zbędna, czy wręcz przeciwnie? Będę sekretnym elementem jego pochrzanionego życia, ostatnim fragmentem tej chorej układanki?

– Nic nie powiesz? – mruknął, rozsypując krępujący moje nogi sznur.

Wyobraziłam sobie, jak kopię go w twarz, odpycham, zbiegam na dół. Wiedziałam jednak, że cała ścierplam i co najwyżej runęłabym na podłogę.

Czekał.

Zapytałam, jak ma na imię.

Skrzywił się i powiedział, że jej imię mu się nie podoba.

– Nazywam ją Ruda.

– Spotkasz się z nią jeszcze?

– Może – wzruszył ramionami. – Trzeba zachowywać pozory normalności. Wiem, że ma sporo przyjaciółek, pochwali im się. Randką, kwiatami, komplementami ode mnie. Niedługo pod byle pretekstem ukróczę tę znajomość, ale przez chwilę będę uchodził za normalnego, szukającego kogoś dla siebie gościa. Jestem odludkiem, a ludzie takich nie lubią. Dlatego czasem flirtuję z jedną z tych starych miejscowych krów. Żeby nie wzbudzać podejrzeń – dodał.

Kiedy wyszedł, położyłam się na materacu i wtuliłam twarz w miękkie futerko pluszowego miśka. Nazwałam go Bonifacy; tak

nazywał się kot, którego miałyśmy z siostrą w dzieciństwie.

Kilka dni później Józef zjawił się u mnie w ciągu dnia i bez słowa usiadł w kącie pokoju. Milczałam, nie wiedząc, czego mam się po tej wizycie spodziewać. W końcu poprosił, żebym coś mu zaśpiewała. Kołysał się w tył i przód, niczym dziecko z chorobą sierocą. Nucąc zapamiętaną z dzieciństwa kołysankę, wyjęłam z kieszeni zapalniczkę. Pstryknął płomień, zajęła się kołdra. Rzuciłam się do drzwi, on głośno klnąc, zerwał się z podłogi. Schody, Boże, ile schodów! W korytarzu było ciemno, potknęłam się o jakąś skrzynkę. Tupot jego stóp gdzieś nad moją głową świadczył o tym, że zdusił ogień w zarodku i ruszył w ślad za mną.

– Ratunku! – wrzasnęłam, dopadając frontowych drzwi.

Klucza nie było jednak z zamku, a ja nie miałam pojęcia, gdzie go szukać. Józef był już na półpiętrze – wyraźnie słyszałam jego świszczący oddech i przekleństwa, które ciskał pod moim adresem. Wpadłam do salonu i zaczęłam się szarpać z okienną klamką.

– Ty niewdzięczna suko! – wycharczał, rzucając we mnie krzesłem.

Rąbnęło mnie w plecy, ale nie czułam bólu. Skoczyłam w stronę drzwi, ale zdołał zająć mi drogę.

– Dokąd?! – warknął, w ostatnim momencie łapiąc mnie za włosy.

Tamtego popołudnia zamknął mnie w piwnicy, w której spędziłam kilka tygodni. Wypuszczał mnie tylko na krótkie „spacery” po salonie i zawsze pilnował z młotkiem bądź nożem w dłoni. Kiedy w końcu wróciłam na górę, czekał na mnie mój pluszowy towarzysz i położona na poduszce kolorowa fotografia, na której dopiero po dłuższej chwili rozpoznałam samą siebie.

– Lubię patrzeć na ciebie, kiedy śpisz – powiedział. – Czasem robię ci zdjęcia, ale zazwyczaj po prostu patrzę. Wywołuję je sto kilometrów stąd, zresztą spójrzmy prawdzie w oczy – nikt cię na tych fotkach nie pozna... Zmieniłaś się, zbrzydłaś. Może nie służy ci zamknięcie, a może po prostu dotąd świetnie oszukiwałaś naturę. Farba do włosów, kosmetyki... U mnie tego nie znajdziesz – dodał.

Odłożyłam na bok zdjęcie i położyłam się plecami do niego, starając się nawet nie oddychać.

– Nie podziękujesz mi? – zapytał. – Wróciłaś na górę, kupiłem ci nowy materac...

– Dziękuję, jestem ci wdzięczna – powiedziałam.

Zaśmiał się, jakby bardzo go to wszystko bawiło i cicho zamknął za sobą drzwi.

W nocy zjawił się w mojej celi i nagi wślizgnął się pod kołdrę. Obudził mnie dotyk jego lodowato zimnych dłoni, które wsunął pod moją koszulę. Zaczęłam krzyczeć, ale nie zwracał uwagi na moje protesty. Przycisnął moją twarz do poduszki i dyszał, posapywał, jęczał... A kiedy zrobił swoje, powiedział, że był dla mnie zdecydowanie za dobry.

– Matka zawsze mówiła, że mężczyzna, który jest za dobry dla swojej kobiety, nie zdoła zyskać jej szacunku – rzucił przez zęby.

– Wstawaj!

Podniosłam się z materaca i tłumiąc łzy, podeszłam do mojego oprawcy.

– Ta stara krowa nie jest taka zła, wiesz? – powiedział nagle.

– Mówię o Rudej. Być może nawet z nią zamieszkam... Pytanie tylko, co z tobą?

Milczałam.

– Masz jakieś propozycje? – zapytał.

– Nie.

– Szkoda. Jutro przez dłuższy czas mnie nie będzie. Zostaniesz w piwnicy i będziesz tam siedzieć, dopóki nie wrócę. A jeśli zrobisz cokolwiek głupiego, zacisnę palce na twojej szyi i...

Nie dokończył. Wybuchnął obłąkańczym śmiechem i jednym gwałtownym gestem zdarł ze mnie flanelową koszulę.

– Zrobiłaś się tłusta, zauważyłaś? Może za dobrze cię karmię? A może po prostu się nie ruszasz? – zarechotał.

Następnego dnia zamknął mnie w piwnicy, w której zostałam, dopóki nie wrócił.

Pojawił się późną nocą; był tak wściekły, że niemal dymiło mu z uszu.

– Suka! Powiedziała, że nic z tego nie będzie! – warknął, kiedy zszedł do mnie na dół. – Kilka setek na kwiaty i kolacje wyrzuconych



w błoto! Mówi, że do siebie nie pasujemy! Pokazałbym jej, jak bardzo się myli, zamykając ją razem z tobą, ale to zbyt ryzykowne. To miejscowy babsztyl, w dodatku bogaty... Nie, to nie przejdzie – mamrotał, przechadzając się po piwnicy. – Śniła mi się matka, mówiła, że jest ze mnie niezadowolona. Wiecznie niezadowolona stara kurwa! Całe życie skamlałem o jej uwagę, zebrałem o uczucie, liczyłem na dobre słowo, ale ona zawsze potrafiła tylko mnie krytykować! – dodał, miotając się po piwnicy.

Milczałam.

Skulona w ciemnym kącie, spragniona, z wyschniętymi na wiór ustami, marzyłam tylko o tym, żeby zabrał mnie na górę i zostawił w spokoju.

– Miłej nocy! – warknął w końcu, ruszając w stronę drzwi.

– Skończyła mi się woda – powiedziałam cicho.

– I dobrze! – warknął. – Na wodę trzeba zasłużyć!

– Może zjemy razem kolację, porozmawiamy? – zapytałam, starając się go udobruchać.

– Kto powiedział, że dostaniesz dziś kolację?!

– Powinna lepiej cię poznać, zanim...

– Zamknij się! – ryknął, odwracając się w moją stronę. – Wiem, że tylko udajesz uwagę, a tak naprawdę mnie nienawidzisz! Wszystkie zawsze mnie nienawidziłyście! Barbara, matka, ty, nawet moja żona... Rozchorowała się, żeby zrobić mi na złość, idę o zakład!

– Miała chorobę dwubiegunową, tego się nie dostaje komukolwiek na złość – powiedziałam cicho.

– Co ty tam wiesz? – burknął.

– Mogę wrócić na górę? – zapytałam tak cicho, że ledwie sama słyszałam swój własny głos.

Nie odpowiedział.

Wszedł na schody, zatrzasnął za sobą piwniczne drzwi i zostałam sama.

Dni i tygodnie mijały, a ja siedziałam na dole, wdychając odór stęchlizny i kurzu. Coraz słabsza, coraz bledsza, pokaszująca i trawiona gorączką. Zjawił się z końcem maja i powiedział, że moja kara się zakończyła. Chciałam zapytać, za co tak właściwie mnie ukarał, ale nie

zdołałam wydobyć z siebie głosu. Na parterze w salonie, mrużąc oczy od słońca, osunęłam się na sofę i zaczęłam rozdzierająco łkać.

– Zabij mnie, słyszysz?! Uduś, kiedy śpię, rozbij mi głowę, utop, nie obchodzi mnie, jak to zrobisz! Skończ ze mną, bo dłużej tego nie zniosę! – krzyknęłam chwilę później.

– Zabicie cię byłoby proste i zupełnie niesatysfakcjonujące. Człowiek zniesie więcej, niż jest w stanie sobie wyobrazić. Ty zniesiesz więcej, chociaż teraz wydaje ci się to niewykonalne – powiedział, siadając obok mnie na zniszczonej starej kanapie.

– Błagam cię – szepnęłam, zaciskając palce na jego dłoni.

Strząsnął moją rękę i kazał mi wracać do siebie.

Siedziałam bez ruchu, niezdolna do wykonania polecenia.

– Teraz! – wrzasnął.

Wstałam.

– Idź – dodał łagodniejszym tonem.

– Zabij mnie, słyszysz? Wystarczy przyłożyć poduszkę do mojej twarzy i trzymać ją tam, aż przestanę się szarpać. Gdybyś zrobił to w nocy, mogłabym...

– Nie ty decydujesz o własnym losie – wszedł mi w słowo.

– A kto?! Ty?! Ty masz prawo, ale ja nie?!

– Zamilcz, bo...

– Bo co?! Zamkniesz mnie w piwnicy?! Uderzysz?! Zabijesz?!

Błagam cię, skończmy już ten koszmar! – skamlałam.

Podszedł do mnie i lekko mnie pchnął, niczym troskliwy ojciec popychający bojaźliwe dziecko w stronę wejścia do przedszkola.

– Idź na górę – powiedział tonem, w którym nie usłyszałam żadnych emocji.

Więc poszłam.

Schody, korytarz, cela... Cały świat skurczony do zielonego pokoju; nory, w której najprawdopodobniej zakończę kiedyś moją marną roślinność. Nowy materac pachniał czymś, co kojarzyło mi się ze sklepowymi magazynami i ten zapasek bardzo mi się spodobał. Niósł powiew wolności, normalności, przypominał o życiu, w którym byłam kimś zupełnie innym, gdzieś zupełnie indziej... Wyobraziłam sobie, jak spacerując pomiędzy wyeksponowanymi meblami, przyglądam się

łóżkom, komodom, fikuśnym nocnym stolikom i fotelom. Gdzieś tam, może całkiem niedaleko stąd, kobiety takie jak ja przechadzały się teraz po pełnych mebli sklepach, nie mając pojęcia, jakie z nich szczęściary. Gdzieś tam, może bliżej, niż byłabym sobie w stanie wyobrazić, żyli ludzie, którzy nie mieli pojęcia, że tkwię tutaj uwięziona, upodlona, zdana na tego zwyrodniałego popaprańca.

Kiedy szliśmy na piętro, Józef kroczył po schodach tuż za mną. Wyobraziłam sobie, że się odwracam i kopniakiem zwałam go w dół. Byłam jednak zbyt wykończona karą, jaką mi zafundował, żeby zrobić cokolwiek. Weszłam więc tylko do pokoju, a chwilę później znajomo szcęknęła zasuwka...

– Zobacz, co dla ciebie mam – Józef zjawił się na górze wieczorem, kiedy za oknem od dawna było już ciemno.

Początkowo przez dłuższą chwilę stał w progu, jakby wahając się, czy w ogóle wejść do środka, a wpadająca z korytarza bursztynowa poświata, wylaniała z mroku jego nieco zgarbioną sylwetkę. Na widok olbrzymiego bukietu fioletowego bzu w jego dłoni niemal wybuchnęłam histerycznym śmiechem. Przetrzymuje mnie tu wbrew mojej woli, traktuje jak niewolnicę i jednocześnie przynosi kwiaty?! Jak bardzo pokręcony jest ten człowiek, do kurwy nędzy?! – zastanawiałam się. Goła żarówka pod sufitem rozbłysła nagle, przypominając mi o moim losie więźniarki. Położył bukiet na podłodze w kącie pokoju i wymamrotał coś o tym, że nie może mi dać wazonu.

– Szkło jest niebezpieczne – powtórzył kilka razy, kręcąc się po mojej celi.

Nie chciałam tego mówić. Nie chciałam się do tego zmuszać, ale przecież wiedziałam, że on na to czeka.

– Dziękuję, cudownie pachnie – powiedziałam więc, a na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

– Barbara uwielbiała maj – wymamrotał, a ja przypominałam sobie zdjęcie ładnej młodej dziewczyny z naręczem fioletowego bzu w dłoniach. – Pojutrze masz urodziny, widziałem w twoim dowodzie. Chciałabyś dostać coś szczególnego? – zapytał nagle.

– A jak myślisz? – syknęłam.

– Nie potrafię czytać w myślach – odpowiedział, udając, że nie ma

pojęcia, co sugeruję.

– Wypuść mnie stąd – szepnęłam.

– Lubię twoje poczucie humoru – roześmiał się. – Dobrej nocy – dodał chwilę później i cicho zamknął za sobą drzwi.

Bez pachniał oszałamiająco, przywoływał wspomnienia. Miałam piętnaście lat, kiedy pierwszy raz całowałam się ze szkolnym kolegą, spacerując nocą po parku. Był maj, zapach bzu dosłownie wwiercał się nam w nozdrza, oszałamiał. Rodzicom powiedziałam wtedy, że śpię u koleżanki. Uwierzyli, zawsze wierzyli mi bez zastrzeżeń. Może dlatego, że świetnie wiedziałam, jak unikać problemów i mówić im zawsze to, co chcieli usłyszeć. Nie chodzi nawet o to, że byłam złą córką, nie. Chodzi o to, że czasem, chcąc iść własną drogą, trzeba okłamać nawet tych, których kochamy – pomyślałam i moje myśli powędrowały ku Szymonowi. Czemu właściwie władowałam się w ten romans? Jak to możliwe, że kilka ostrzejszych słów męża wystarczyło, żebym podkopała fundamenty naszego kilkuletniego małżeństwa? Po trzeciej randce z Szymonem byłam pewna, że zacznym się w nim zakochiwać. Teraz jednak, tu, gdzie byłam, stał się tylko wyblakłym wspomnieniem; niczym porzucona na ostrym słońcu, wyrwana ze starej książki kartka, płowiejął, tracił na znaczeniu, znikał. Teraz był tylko Kuba, moja miłość do niego, nasze wspólne lata, plany, marzenia. Teraz, kiedy ten obłąkany człowiek odgradził mnie od mojego życia, zdałam sobie sprawę, jak nieistotny był ten ledwie kiełkujący romans z Szymonem i jak wiele znaczył dla mnie Jakub. Kuba, którego być może nigdy więcej nie zobaczę...

Na urodziny Józef podarował mi szminkę. Tanią pomadkę do ust w brzydkim, ciemnobordowym kolorze, który kompletnie do mnie nie pasował.

– Pomaluj się – poprosił.

Przeciągnęłam wargi kredką, a on stał i patrzył. Ręce wsunięte za pasek, w oczach dziwny głód, jakby spragniony mojego widoku sycił wzrok, napawał się.

– Mam dla ciebie coś jeszcze – powiedział.

Zeszliśmy na dół.

Na widok salonu udekorowanego przez niego kilkunastoma

kolorowymi balonami, wbiłam sobie paznokcie w dłoń, żeby nie wybuchnąć pogardliwym śmiechem. Wiedziałam jednak, że on czeka na pochwałę, że chce usłyszeć, jak wspaniale się spisał, ile dla mnie robi.

– Dziękuję – powiedziałam zatem.

Skinął głową z uznaniem i zaczął kroić tort. Widok noża w jego dłoni obudził we mnie najgorsze instynkty. Wiedziałam jednak, że nie mam szans. Jak na kogoś w jego wieku był sprawny, szybki i czujny. Niczym pająk, który czyhając tuż obok szarpiącej się w pajęczynie muchy, cieszy się własnym zwycięstwem. Matka mojego oprawcy przyglądała mi się ze starych fotografii, lekko mrużąc swoje lisie oczy. Kobieta. Żona. Rodzicielka dwóch synów, z których każdy na swój sposób był potworem. Co takiego im zrobiłaś? Jak bardzo musiałaś splugawić delikatną, dziecięcą psychikę, że wyrosli na takich zwyrodnialców? – myślałam, przyglądając się jej twarzy. Patrzyła na mnie zza oprawionych w szkło ram, obojętna, zimna, niemal triumfująca. Martwa, a jednak wciąż rządząca w swoim pełnym kurzu i pajęczyn królestwie. Była kluczem do skrzywionych emocji syna, napędem do jego upiornych działań, przyczyną jego szaleństwa i wdzięcznym widzem spektaklu, który nieustannie trwał przed jej oczami. Sceny niczym z *Psychozy*; chore matczyno-synowskie relacje, w które mimowolnie zostałam wplątana ja i Bóg wie kto jeszcze przede mną...

– Dla ciebie – powiedział Józef, podając mi talerzyk.

Oderwałam wzrok od zdjęć jego matki i przycupnęłam na samym skraju kanapy, jakbym całą sobą szykowałam się na możliwość ucieczki, zmianę scenerii, niespodziewany cud.

Tort był zbyt słodki i smakował margaryną – tani, kupny gniot, cukiernicza porażka do kwadratu. Z trudem przełknęłam kilka kawałków.

Józef nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Nie smakuje ci? – zapytał w końcu.

– Jest pyszny – skłamałam.

Uśmiechnął się krzywo, jednak nic już nie powiedział.

– Zatańczmy! – zaproponował po chwili.

Spojrzałam na nóż.

Oblepiony śmietankową masą leżał na paterze z tortem, kusił. Gapiłam się na niego o kilka sekund za długo i w końcu Józef podążył za moim wzrokiem.

– Wierzysz, że z zimną krwią potrafiłabyś mnie zabić, ale to nie takie proste. Niełatwo wbić człowiekowi nóż w trzewia i obojętnie się przyglądać, jak uchodzi z niego życie. Potrafiłabyś splamić sobie ręce krwią? Wątpię – wycedził.

– Założymy się? – powiedziałam ostro.

Uśmiechnął się krzywo, pogardliwie.

– Proszę bardzo – złapał za nóż i wcisnął mi go w dłoń. – No już, pokaż, co potrafisz! – krzyknął, czerwieniejąc na twarzy.

Zacisnęłam palce na rękojeści i zrobiłam krok w jego stronę.

– No pokaż, jak bardzo jesteś mi wdzięczna, suko! Odpląć mi krwią za to, co dla ciebie zrobiłem! – wrzasnął, a w jego oczach pojawił się zły błysk.

Stałam niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. U progu wolności, jednak niezdolna do zrobienia tego jednego upragnionego kroku.

Józef przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, w końcu wyrwał mi nóż z rąk i złapał mnie za ramię.

– Zatańczmy! – powiedział, wsuwając mi za ucho kosmyk tłustych, dawno niemytych włosów.

– Nie ma muzyki – szepnęłam, drepcząc w miejscu do taktu czegoś, co rozbrzmiewało tylko w mojej głowie.

Ale jemu to nie przeszkadzało. Z nożem w dłoni i odrobiną śmietankowego kremu w kąciku ust przyciągnął mnie do siebie, objął, niemal przydusił.

– Tańczmy! – krzyknął.

Zacisnęłam powieki i starając się nie myśleć o jego oddechu na mojej szyi, dreptałam dalej, udając coś, co tylko przy bardzo bujnej wyobraźni można by nazwać tańcem.

Jakieś pół godziny później Józef przyniósł wódkę i rozlał ją do kieliszków.

– Napij się ze mną! – rozkazał.

Upiłam się w ekspresowym tempie, ale on nawet po kilku kieliszkach zdawał się być zupełnie trzeźwy.

– Pij! – polewał mi, podtykał kolejne kieliszki, zachęcał.  
W końcu padłam na kanapę, bezwolna niczym szmaciana lalka.  
– Dam ci coś, o czym od dawna marzysz – powiedział.  
– Urodzinowy prezent, cenny podarunek – dodał.  
Zamroczone alkoholem, pokiwałam głową.  
Józef złapał nóż i wbił go sobie w dłoń. Krew trysnęła, zalewając jego jasne spodnie.  
– Chciałaś mojej krwi, więc ci ją daję – syknął.  
Zamknęłam oczy.  
– Patrz na mnie! – wrzasnął, pogłębiając nożem ranę.  
Chwilę później przytknął swoją zakrwawioną rękę do moich ust i kazał pić.  
– Zlizuj to, czego chciałaś! Oto ciało moje, oto krew moja, ty niewdzięczna suko! – wrzasnął.  
Odwróciłam głowę.  
Złapał mnie za włosy i przycisnął moje wargi do rozharatanej ręki.  
– Pij!  
Zwymiotowałam na dywan.  
Józef śmiał się głośno, obłąkańczo, szaleńczo. W końcu odesłał mnie na górę.  
– Wypierdzielaj, zejdź mi z oczu, suko! – wrzasnął i rzucił we mnie talerzykiem, który upadł tuż obok mojej nogi i z hukiem roztrzaskał się na podłodze.  
Idąc przez salon, zataczałam się. Byłam pijana, przerażona i bezbrzeżnie smutna. Ale najbardziej byłam zła na samą siebie. Dał mi do ręki nóż, a ja nie potrafiłam zrobić z niego użytku! Wsunął mi w dłoń klucz do wolności, ale mnie zabrakło odwagi, żeby go użyć! A może to nie było takie proste? Może nigdy nie pozwoliłby, żebym go zraniła, może tylko sprawdzał, jak daleko się posunę? – myślałam, wchodząc po schodach.  
Rano przyniósł mi niewielki kawałek tortu, herbatę i coś, co wyglądało na tost z dżemem. Skaleczoną nożem rękę starannie opatrzył; przez nieskazitelną biel bandaża przebijała odrobina świeżej krwi.  
– Żryj! – powiedział.  
Usiadłam na materacu i sięgnęłam po talerzyk z tortem.

– Mówili o tobie w telewizji. Twoja matka płakała na wizji, ale nie wyglądała na zdruzgotaną. Wręcz przeciwnie. Sprawiała wrażenie kogoś, kto świetnie się czuje przed kamerami. Kogoś, kto z zaginięcia ukochanej córki potrafi zrobić swoje własne show – dodał kąśliwym tonem.

Nie odpowiedziałam.

Z obrazem mamy pod powiekami włożyłam sobie do ust kawałek tortu i nie czując jego smaku, żułam, przetykałam, żułam, przetykałam.

– Swoją drogą, nie jesteś do niej podobna. Ojca nie widziałem, więc nie wiem, ale matka... Matki zupełnie nie przypominasz. Szkoda, że nie pokazali twojej siostry, bardzo chciałbym ją zobaczyć. Jak myślisz, czemu nie zdecydowała się na występ przed kamerą? Boi się? Nie znalazła czasu? Zapomniała o tobie? Myślisz, że mogła o tobie zapomnieć? Minęło w końcu pół roku, życie leci do przodu. Jest młoda, beztraska, chce żyć dalej, bawić się. Jak myślisz, czemu nie było jej przy twojej matce? – zapytał.

Milczałam.

– Nie chcesz gadać? Rozumiem – wzruszył ramionami i wziął ode mnie talerzyk. – Błagała, żebym cię oddał rodzinie. Twoja matka. Błagała, ale nie potrafiła się rozplakać. Miała staranny makijaż, którego najpewniej nie chciała zrujnować, i ładną szafirową sukienkę z dość odważnym dekoltem. Moim zdaniem powinna wystąpić w czerni, w końcu dla niej nie żyjesz. Z drugiej jednak strony każdy ma prawo do noszenia w sercu nadziei – zarechotał, a potem wyszedł.

Położyłam się na materacu i wtulona w poduszkę, z trudem tłumiałam łzy. Mama... Szukają mnie, wciąż liczą na to, że wydarzy się cud. Ktoś o mnie myśli, ktoś się zamartwia, może nawet więcej osób, niż jestem sobie w stanie wyobrazić. Jaki to jednak ma sens, skoro jestem tutaj, a oni krążą bez celu po zupełnie obcych, odległych od tego miejsca ulicach, szukając mnie nie tam, gdzie trzeba... Chryste, jakie to żenująco banalne! Tyle razy czytałam thrillery o przetrzymywanych przez szaleńców kobietach, tyle razy oglądałam tego typu filmy. Wydawały mi się naciągane, powielały schematy, nie wносиły niczego nowego. Byłam pewna, że to marginalny problem. Nadmuchany przez twórców kina klasy B, tandetne filmy, żerujące na najbardziej prymitywnych emocjach



widza. Teraz sama byłam jedną z tych kobiet... Zamkniętą przez szaleńca, tkwiącą w jakiejś norze bez szans na wyjście. Idiotka! Wcisnął mi w rękę nóż, a ja nie potrafiłam zrobić z niego użytku! – wyrzucałam sobie, starając się nie myśleć o smaku śmietankowej masy w ustach, pulsującym bólu głowy i człowieku, który przechadzając się piętro niżej po swoim królestwie, wyobrażał sobie pewnie, że jest moim panem i władcą, zarządcą mojego losu, pieprzonym bogiem. Czemu nie wbiłam mu tej kosi w bebechy? Czemu, do cholery, nie potrafiłam o siebie zawalczyć?! – powtarzałam sobie przez resztę dnia, przez noc, w nieskończoność...

## 8.

Tik, tak. Raz, dwa, trzy. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści... Liczyłam minuty na palcach, rozciągałam w głowie sekundy, powtarzałam je w duchu, zaklinałam, żeby płynęły szybciej, porwały mnie z nurtem wydarzeń, zabrały gdzieś w siną dal. Odkąd on odgrodził mnie od mojego własnego życia szczelnym murem swojego szaleństwa, dziwiło mnie to, jak bardzo potrafi się rozciągnąć czas. Dawniej, kiedy wolna i beztroska przechadzałam się po świecie, nie mając pojęcia, co mnie czeka, czas gnał jak szalony. Teraz, w mojej celi, bliźniaczo do siebie podobne dni ciągnęły się bez końca. Życie wciśnięte w te cztery zielone ściany zwolniło swój bieg, niemal stanęło w miejscu. Pory roku przechodziły jedna w drugą, słońce wschodziło i zachodziło, deszcz bębnił o parapet, dął wiatr, sypał śnieg, a ja tkwiłam w zamknięciu, wiedziałam pozostawiona samej sobie, swoim myślom, lękom i koszmarom.

W sylwestra, dokładnie rok od mojego zaginięcia, mój obłąkany prześladowca otworzył szampana. Taniego, rosyjskiego; podobnego piłam kiedyś z siostrą, kilka tygodni po moim ślubie z Kubą.

– Za nas! – wznosił toast Józef, a ja z trudem zmusiłam się, żeby przytknąć usta do brzegu kieliszka.

Nieco ponad dwa lata od dnia, w którym przepadłam, w ponury styczniowy dzień, mój kat zjawił się na górze z lusterkiem na czerwonej rączce w dłoni.

– Zmieniłaś się. Jesteś jeszcze w ogóle w stanie rozpoznać samą siebie? – zapytał.

– Zabierz je – odwróciłam wzrok, bojąc się tego, co zobaczę.

– Spójrz na nią! – warknął. – Spójrz w oczy dziewczynie, którą się przy mnie stałaś!

Na swój widok krzyknęłam. Napuchnięta twarz z brzydtko podkrążonymi oczyma, siwizna na skroniach, tłuste zmierzwione włosy. Po jasnoblond farbie nie było już nawet śladu. Włosy, które otaczały moją bladą nalaną twarz, były koloru zmieszanych ze sobą soli i pieprzu.

– Zabierz to cholerne lusterko! – krzyknęłam.

– Czemu? Coś mi mówi, że dawniej spędzałaś przed lustrem całkiem sporo czasu – uśmiechnął się krzywo.

– Dawniej nikt mnie nie więził!

– Jesteś tu gościem, nie więźniem. Gościem, o którego dbam!  
– powiedział z naciskiem.

– Gościem Hotelu Obłąd? – syknęłam.

Odłożył lusterko na parapet i zmrużył oczy.

– Chcesz się przekonać, jak bardzo mogę ci jeszcze obrzydzić życie? Chcesz wyć z tęsknoty za tym pokojem? Uwierz mi, w porównaniu do tego, co mogę ci zafundować, żyjesz teraz w raju  
– powiedział.

Milczałam.

– Nic nie powiesz? – zapytał. – Wiesz, moja matka też czasem mawiała, że jest brzydka i nie lubi się przeglądać w lusterku. Jednak kiedy myślała, że nie widzę, stale to robiła. Wszystkie jesteście tak samo próżne, tak samo puste! Wszystkie! – warknął.

– Masz żal do własnej matki, więc odgrywasz się na mnie? Nienawidzisz kobiet, więc postanowiłeś trzymać mnie tu do końca moich dni, tak?

– To kobiety zawsze nienawidziły mnie – powiedział płaczliwym tonem. Brzmiał jak szczył, który żali się matce na złośliwych kolegów.  
– Zabiorę cię dziś w pewne miejsce – dodał, niespodziewanie zmieniając temat.

– Dokąd? Do fryzjera? Dentysty? Na zakupy? Do restauracji?  
Dokąd mnie zabierzesz, co?! – krzyknęłam.

– Zobaczysz – powiedział, ruszając w stronę drzwi.

Wrócił po jakiejś godzinie, może nieco później. W ręku miał swoją starą puchową kurtkę i brzydki zrobiony na drutach szal.

– Włóż ją, jest zimno – powiedział, podając mi puchówkę.

Wstałam z materaca i zapięłam sweter. Dawniej, kiedy jeszcze miałam świetną figurę, kurtka byłaby na mnie o wiele za duża. Teraz jednak pasowała. Roztyłam się, napuchłam. Jakby wszystkie te krążące po mojej głowie emocje nadymały mnie od środka, szukały ujścia, rozpychały mi wnętrze. Na dole, kiedy Józef podał mi moje kozaki, z trudem powstrzymałam łzy. Głupie buty, a jednak przywoływały tyle

wspomnień. Kuba czasem mi je ściągał, w te dni, kiedy zmęczona, z bólem głowy, zjawiałam się w domu po całym dniu pracy. Siadałam wtedy w fotelu, a on klękał i ściągał mi buty, mruczając pod nosem coś o tym, że za dużo pracuję. A teraz trzymał je w swoich brudnych łapach człowiek, który postanowił zawładnąć moim losem, moim ciałem, moimi nogami w tych smutnych, starych kozakach... Wkładając je, czułam na sobie jego wzrok.

– Co? Tęsknisz za dawnym życiem? – zadrwił, świetnie wyczuwając mój nastrój. – Pośpiesz się! – dodał, zapinając swoją kurtkę.

Jakby dokądkolwiek ci się śpieszyło, ty kutasie, pomyślałam z nienawiścią.

Otworzył frontowe drzwi. Stałam tuż za nim, przyglądając się zamkom. Zasuwka, solidnie wyglądający zamek Gerda i jeszcze jeden, dolny. Do tego łańcuch. Nawet gdybym któregoś dnia jakimś cudem dorwała klucze, samo otwarcie tych drzwi byłoby pewnie na tyle czasochłonne, że on zdążyłby mnie dorwać i na nowo uwięzić, pomyślałam, wychodząc za nim na podwórze.

Na zewnątrz był siarczysty mróz. Rosnące za domem owocowe drzewa pokrył szron; zlodowaciały śnieg skrzypiał pod naszymi nogami. Stawiałam wolno krok za krokiem, ostrożnie niczym niepewne gruntu pod nogami maleńkie dziecko. Mój prześladowca nie wypuszczał mnie na zewnątrz od początku jesieni i sam fakt, że oddycham świeżym powietrzem, wydał mi się niemal cudem.

– Pośpiesz się – ponaglił mnie po raz kolejny.

Chciałam zapytać, dokąd idziemy, ale wiedziałam, że on nie lubi zbędnych rozmów. Nie, kiedy był w takim nastroju... Szłam więc, całą sobą chłonąc ciszę mroźnego przedpołudnia; Józef włókł się kilka kroków za mną, ciężko powłócząc nogami.

– Jutro znowu ma sypać – powiedział po chwili.

Nie odpowiedziałam, ale nie zwrócił na to uwagi. Podniósł z ziemi spory kamień i rzucił go w stronę kilku siedzących na polu kruków.

– Poszły stąd! – wrzasnął. – Nienawidzę kruków! – dodał, jakby nagle szukał usprawiedliwienia swojego wybuchu.

Wzruszyłam ramionami.

Józef, który szedł teraz obok mnie, sięgnął po kolejny kamień

i cisnął go przed siebie. Rozejrzałam się z nadzieją, że gdzieś, hen daleko, dojrzę ludzką sylwetkę, ale otaczająca nas biel była bezdusznie monotonna. Szliśmy szybko. Nasze oddechy formowały się w podobne do mgły obłoki, przemarznięta ziemia pod naszymi butami zdawała się być obojętna na wszystko, martwa. Kilkaset metrów za domem Józefa był wąski jar, nad którym rosło kilka rachitycznych krzewów.

– To tutaj – powiedział, zatrzymując się gwałtownie.

– Co tutaj? – zapytałam, starając się nie myśleć o najgorszym.

Co tutaj? Zakopał kogoś? Zabił? Zgwałcił? – myśli przelatywały przez moją głowę energicznym galopem.

– Tutaj pokazałem mu, że nie może się w nieskończoność nade mną znęcać! – warknął Józef. – Był sam, siedział tam, przy zejściu do jaru. Zaszedłem go od tyłu, złapałem za kamień i rąbnąłem go w bok głowy. Pamiętam krew na śniegu i kruki, które krążąc nad naszymi głowami, marzyły o uczcie. Po chwili, kiedy już dotarło do mnie, że się odważyłem, rąbnąłem go jeszcze raz.

– Twojego brata? – zapytałam cicho.

– Tak, Zenka. Byliśmy z kilkudniową wizytą u dziadka, który wtedy tu mieszkał. Tamtego dnia matka dosłownie mnie skatowała, zresztą chyba nigdy nie wybaczyła mi, że rozwalilem mu łeb. A krwawił jak zarzynane prosię, sąsiad musiał założyć mu szwy. Kiedy doszedł do siebie, wygrażał mi. Przeklinał, miotał się, poprzysięgał zemstę, ale wbrew temu, co zapowiedział, nigdy więcej mnie nie uderzył.

– Czemu mi to mówisz?

– Nie wiem. Może dlatego, że dziś jego urodziny? Czasem, mimo wszystko, jednak za nim tęsknię. Brat to szczególne słowo, znaczące. Brata nie zastąpi się nikim...

Pomyślałam o Magdzie. Co robi? Pogodziła się już z moim zniknięciem, czy nadal płacze nocami w poduszkę, modląc się o ratunek dla mnie do nieczułego na ludzkie łzy Boga? Wciąż jest z Bartkiem? Studiuje, czy dała sobie spokój z książkami? Pracuje? Podróżuje? Mieszka z rodzicami, czy poszła na swoje? Kim jest moja mała siostrzyczka, na jaką kobietę wyrosła?

– Wracamy! – głos Józefa wyrwał mnie z zamyślenia. – Niech zgadnę, myślałaś o siostrze? – zapytał i po raz chyba setny pożałowałam,

że kiedykolwiek mu o niej wspomniałam.

Jego usta były zbyt plugawe, żeby wolno mu było o niej mówić. W jego głowie roilo się zbyt wiele robaczywych myśli, żeby zasługiwał na jakąkolwiek wiedzę o moich bliskich. Z drugiej jednak strony od ponad dwóch lat był jedyną istotą ludzką, z którą mogłam zamienić kilka słów. Pomyślałam o syndromie sztokholmskim. Ponoć niektóre ofiary porwań po jakimś czasie potrafiły nawet solidaryzować się ze swoimi porwaczami. Ale czy w moim przypadku można było mówić o czymś takim? Z całą pewnością nie. Chyba prędzej mogłabym zrozumieć kogoś, kto porwał mnie dla okupu. Miałby przynajmniej jakiś konkretny cel, coś starałby się osiągnąć. Ale ten czub, ten kompletny oszołom, który przetrzymywał mnie tylko i wyłącznie dla własnej rozrywki, ten człowiek nie zasługiwał na nic więcej, oprócz mojej nienawiści! Tak, nienawidziłam go tak mocno, jak tylko potrafiłam. Jednocześnie i równie mocno nienawidziłam też siebie. Za to, że czasem nasłuchiwałam jego kroków na schodach, rozpaczliwie chcąc z kimś porozmawiać. Za to, że zdarzało mi się do niego uśmiechnąć, jadać z nim kolację, gawędzić o polityce, filmie, czy muzyce. Był czytany, miał sporo do powiedzenia. Czasem podsuwał mi książki. García Márquez, Dostojewski, Tołstoj, King, Kosiński – czytywał zarówno rzeczy ambitne, jak i popularne, będące akurat na czasie czytadła. Lubił horrory, biografie, powieści historyczne i kryminalne. Potwór o twarzy człowieka, człowiek o duszy potwora. Pozornie niczym się niewyróżniający, w środku przegniły jak spróchniała deska. Bywało, że przez pół godziny opowiadał mi o czymś, co właśnie przeczytał, żeby nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, wpaść w jeden z tych swoich ponurych, wisielczych nastrojów i nazwać mnie zakłamaną, niewdzięczną suką. Czasem, siadając na krześle w mojej celi, czytał mi fragmenty powieści. Jego głos brzmiał wtedy niemal normalnie. Pozbawiony nuty gniewu, frustracji, żalu, czy bezsilności, był jedynie głosem przypadkowego lektora, który chce podzielić się ze światem odrobiną swojej pasji. Zamykałam wtedy oczy i wyobrażałam sobie, że z leżącym przy moim boku Kubą słucham jednej z wieczornych radiowych audycji.

Kuba... Nadal za mną tęskni, czy może już sobie kogoś znalazł? Zakręciła się wokół niego jakaś koleżanka z pracy, sąsiadka? Mówi się,

że mężczyźni są mniej wytrzymali emocjonalnie od kobiet. Czy załamał się do tego stopnia, że całym sobą pragnął innej ludzkiej istoty w swoim życiu, czy może jest sam i nadal wypatruje mnie w oknie? Czasem, kiedy padało, wychodził po mnie na parking. Zamykałam samochód, wiedząc, że czeka. Z rozłożonym parasolem, wyraźnie ucieszony na mój widok, stęskniony. „Zrobiłem obiad” – mówił, całując mnie w usta. Obiad okazywał się zazwyczaj odgrzaną pizzą z mikrofali, jednak podany przez niego, miał swój urok. Smakował domem, bezpieczeństwem, nami.

– Ruszaj się, muszę jeszcze gdzieś jechać! – Józef, któremu nagle zaczęło się śpieszyć, pchnął mnie w stronę domu.

– Co, jeśli będziesz miał wypadek? – zapytałam.

– Czemu miałbym mieć wypadek? – odburknął.

– Nie wiem. Jest ślisko... Co, jeśli coś ci się stanie i nie wrócisz?

Co, jeśli w tej przeklętej ruderze wybuchnie pożar, a ja, zamknięta w pokoju na górze, nie będę mogła nawet otworzyć drzwi?! Zdajesz sobie sprawę, na co mnie narażasz?! – krzyknęłam.

– Myślę, że równie dobrze sama możesz sobie odpowiedzieć na to pytanie – powiedział z krzywym uśmiechem.

– Czasem się zastanawiam, co czujesz. Czy potrafisz współczuć? Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji swoich czynów? Potrafisz...

– Za dużo gadasz! – burknął.

– Po prostu pytam. Chcę wiedzieć, czy dotarło do ciebie to, co mi zrobiłeś! – krzyknęłam, zatrzymując się gwałtownie.

Mroźne powietrze wdzierało mi się do płuc tysiącem lodowatych igieł, roziskrzony promieniami zimowego słońca śnieg zdawał się kpić z mojego położenia. Tania scenografia marnego dramatu. Jedna z wielu rozgrywanych na deskach teatru Życia scen.

– Powiedziałem, ruszaj się! – huknął na mnie.

Spuściłam głowę i połykając łzy, ruszyłam w stronę domu. Dom... Buda, w której mnie więził, nie zasługiwała na to miano, ostatnimi czasy była jednak jedynym dachem nad głową, jaki miałam.

Byliśmy w ogrodzie, kiedy nad naszymi głowami z narastającym hukiem silników przeleciał helikopter. Zaczęłam podskakiwać, machać rękami i krzyczeć, ale maszyna szybko zniknęła mi z oczu.

– Co? Liczyłaś na to, że wylądują w tych burakach i cię stąd zabiorą? – Józef roześmiał się chrapliwie. – Nie sądzisz chyba, że w ogóle jeszcze ktoś cię szuka? To tylko pogotowie lotnicze, latająca karetka. Pewnie jakiś debil nie zdjął nogi z gazu i wylądował na drzewie. Niedaleko stąd jest owiany złą sławą zakręt, ale skąd ty mogłabyś to wiedzieć?

Do domu weszłam, połykając łzy. Widok helikoptera rozbił mnie wewnątrz, przypomniał o tym, co na zawsze straciłam. Świat był tak blisko i zarazem tak daleko. Normalność. Samoloty, samochody, sklepy, ludzie. Wszystko to ledwie kilometr, może dwa stąd, a jednak odległe niczym obca galaktyka, nieosiągalne...

– Ściągaj buty i włącz na górę! Mówiłem ci, muszę gdzieś podjechać.

– Gdzie? – zapytałam.

– A co ci do tego? – odburknął.

– Spotykasz się z kimś?

– Daj mi to! – zabrał mi kurtkę, którą powiesił w szafie i czekając, aż ściągnę buty, chuchał w przemarznięte dłonie.

Na górze przywiązał mnie do krzesła, owijając moje dłonie i stopy srebrną taśmą. Na myśl o kneblu lekko się wzdrygnęłam, nie wpadłam jednak w panikę. Upiorne procedury, które kiedyś tak bardzo mnie przerażały, powoli, powoli stawały się częścią codziennej rutyny, zwykłym fragmentem jego chorej układanki.

– Wrócę późno. Nie czekaj z kolacją – zarechotał, ubawiony własnym żartem, i wyszedł.

Zgrzytnęła zasuwka.

Przymknęłam oczy i lekko poruszyłam tułowiem, starając się ułożyć pobolewający kręgosłup pod najlepszym z możliwych kątów. Krzesło było jednak niewygodne i szybko zaczęłam odczuwać ból w całym ciele. Trzasnęły drzwiczki od samochodu. Józef zazwyczaj trzymał auto w garażu, jednak ostatnio stale gdzieś jeździł, był niespokojny, ruchliwy, niemal podminowany. Poznał kogoś? A może szuka następnej ofiary? – zastanawiałam się. Co, jeśli ją znajdzie? Piękną, młodą, zapłakaną dziewczuszkę, przy której będę tylko starą, zużytą zabawką; lalką z powyrywaniem rękami, która dawno mu się



znudziła? – pomyślałam. Na zewnątrz zaczęło sypać. Patrzyłam w okno, dopóki nie zrobiło się całkiem ciemno.

Wrócił wcześniej, niż się spodziewałam, nie miał jednak dobrych wieści.

– Będę miał gościa. To stary znajomy, kumpel z wojska. Zostanie na dwa dni, może na trochę dłużej. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, dlaczego spędzisz ten czas w piwnicy, prawda? – powiedział, uwalniając mi ręce.

Szarpnęłam głową, posyłając mu błagalne spojrzenie.

– Co? Chciałabyś życzyć nam dobrej zabawy? – zakpił.

– Nie zamykaj mnie tam, proszę – szepnęłam, kiedy uwolnił mnie od knebla.

Nie odpowiedział.

Przysunął mi do ust butelkę z wodą i kazał pić.

– Pij, mówię! – warknął.

Kilka minut później kazał mi zejść na dół.

– Pewnie się ucieszysz, wysprzątałem tu nieco. Węże sprzedane, pająki zdechły – powiedział tonem gospodarza, który szykuje gościnny pokój dla niespodziewanego gościa.

Rozejrzałam się, z zaskoczeniem zdając sobie sprawę, że zniknęła większość terrariów, a w ich miejscu były teraz jakieś stare meble i kilka przyniesionych z garażu krzeseł.

– Tam masz materac. Całkiem wygodny, nie martw się. Latarka, woda, czekolada – wymieniał, zapewne oczekując, że w jak najbardziej entuzjastyczny sposób wyrażę swoją wdzięczność.

Zacisnęłam palce na pluszowej łapce miśka Bonifacego, którego pozwolił mi ze sobą zabrać, i przycupnęłam na jednym z krzeseł.

– Nie martw się, będę do ciebie zaglądać – obiecał Józef niemal czułym tonem młodego żonkosia, który wyjeżdżając w dłuższą delegację, zapewnia niepokieszoną żonę o swoim oddaniu. – Będę zaglądać – powtórzył.

– Będę cicho, przysięgam – szepnęłam, kiedy sięgnął po knebel.

– Będę tu siedzieć niczym mysz pod miotłą i nawet nie pisnę – dodałam.

– Żartujesz?! Rozedrzesz się, kiedy tylko usłyszysz jego głos. Będziesz wołać pomocy, kopać, pluć i walić w drzwi. Znam cię, znam

was wszystkie! Czasem nawet chciałbym ci zaufać, wiesz? Problem w tym, że chyba już nie potrafię – powiedział.

Kilka minut później zostałam sama. Związał mnie, zakneblował i porzucił w piwnicy na pastwę galopujących po głowie myśli. Jego znajomy z wojska miał tubalny niski głos i ciężki chód – przez kilka kolejnych godzin z góry dochodziły mnie śmiechy, odgłos kroków i coś, co brzmiało, jakby ktoś przesuwiał meble, w końcu zapadła cisza.

– Wojciech upił się jak wieprz i śpi – relacjonował Józef, który zjawił się u mnie w środku nocy.

– Pić – szepnęłam.

Pomógł mi się napić i rozwiązał mi nogi, żebym mogła skorzystać z zostawionego przez niego w kącie wiadra. Rąk mi nie rozwiązał, po prostu opuścił mi spodnie i czekał, kiedy skończę. Dawniej bywałam wstydliva, może nawet przesadnie. Gabinety lekarskie, przymierzalnie... Każde z miejsc, w których musiałam chociaż częściowo zdjąć ubranie, wydawało mi się obce, niemal wrogie. Jednak teraz, po latach przetrzymywania przez szaleńca, który zdążył obedrzeć mnie z całej mojej godności, było mi wszystko jedno...

– Już? – zapytał, niczym troskliwy ojciec przyuczający dziecko do korzystania z nocnika.

Skinęłam głową na „tak”.

Podsunał w górę moje szare spodnie od dresu, które kupił mi na zimę w jakimś lumpeksie. Kiedy je przywiózł, cuchnęły szmaciarnią, a mnie od razu przypomniała się siostra, która zawsze brzydziła się tego typu rzeczami. Ja też starałam się nie kupować w takich miejscach, odstraszał mnie specyficzny smrodek unoszący się wokół ciuchów z drugiej ręki. Jedyne, co czasem kupowałam w lumpeksach, to kolorowe jedwabne apaszki, które zbierałam w ilościach wręcz hurtowych. W mojej obecnej sytuacji nie mogłam jednak wybrzydzać. Nawet stare dresowe spodnie wydawały mi się lepsze od należącej nigdy do jego zmarłej matki flanelowej koszuli nocnej, którą swego czasu ciągle kazał mi wkładać Józef.

– Kładź się, chcę złapać trochę snu – ponaglił mnie po chwili.

– Swoją drogą ciekawe, jak zareagowałby Wojciech, wiedząc, co trzymam w piwnicy – powiedział szeptem.

Nie odpowiedziałam.

Gospodarz domu wydawał się lekko rozczarowany moim milczeniem, ale niczego już nie dodał. Wepchnął mi jedynie w usta knebel, klepnął mnie w pośladek i życzył dobrej nocy.

Kiedy wyszedł, przypominałam sobie pewien krótki, letni wypad na Mazury. Byłam wtedy na studiach, Magda była odrobinę rozwydrzoną nastoletnią smarkulą, która uparła się, że pojedzie do Mikołajek ze mną i z moimi uczelnianymi znajomymi. Przedostatniej nocy nad okolicą przeszła gwałtowna burza i siostra była przerażona. „Czemu dałam ci się namówić na ten cholerny wypad pod namiot?!” – powtarzała płaczkliwym tonem małego dziecka. Przypominałam jej wtedy, że sama chciała jechać, ale zrzuciła winę na mnie. „Trzeba było poprosić tatę o kasę i zatrzymać się w pensjonacie!” – zarzuciła mi. Do domu wróciliśmy pokłócone i nie odzywałyśmy się do siebie chyba ze dwa tygodnie. Myśląc o tym teraz, tak bardzo żałuję wszystkich tych dni, które straciłyśmy na głupie dąsy, żale czy siostrzane kłótnie. Kochałam ją, zawsze! Czasem jednak szarpałyśmy się o jakiejś głupoty, które urastały niemal do rangi dramatów. Ona bywała rozkapryszona, ja uparta i złośliwa. Wiele bym teraz dała, żeby móc ją przytulić. Ale mogłam tylko leżeć i myśleć o tym, jak wiele popełniłyśmy błędów. I jeszcze to moje poronienie. Czy Magda będzie miała żal, że o niczym jej nie wspominałam, kiedy się dowie? – zastanawiałam się, leżąc w piwnicznej duchocie.

Rano Józef zjawił się z talerzem pełnym kanapek i dodatkową poduszką dla mnie.

– Wojciech jutro rano wyjeżdża, to dobre wieści. Złe są takie, że cały dzisiejszy dzień spędzę poza domem. Wiem, wiem, picie, jedzenie, toaleta, ale cóż... Jakoś sobie poradzisz, prawda? – mrugnął do mnie.

Zaczęłam kręcić głową, usilnie dając mu do zrozumienia, że chcę coś powiedzieć, ale odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

Jakąś godzinę później zjawił się z powrotem i wyraźnie z siebie zadowolony powiedział, że żartował.

– Będziemy w domu, nie panikuj. Pić? Jeść? Wiadro? – zarzucił mnie gradem pytań.

Kiedy wyjął mi knebel, zaczęłam płakać.

– Chcę do domu, do domu... – powtarzałam, łkając.

Przyglądał mi się z wyrazem twarzy niegroźnego, dobrotliwego wujaszka. W końcu kazał mi się napić wody, pomógł skorzystać z wiadra i powiedział, żebym nie histeryzowała.

– Jakoś ci to wynagrodzę, tylko nie rób teraz cyrków – warknął.

Wychodząc, nieumyślnie trącił nogą stojącą na schodach skrzynkę na narzędzia, która spadła z łoskotem.

– Józiu? Chłopie, co ty tam robisz?! – usłyszałam niski, męski głos.

– A, ziemniaków chciałem nam obrać, ale zjemy co innego – Józef bez cienia emocji w głosie rzucił pierwsze lepsze kłamstwo i zamknął za sobą drzwi.

Przez kolejne godziny obaj ostro pili, zachowując się coraz głośniej. Słyszałam brzęk tłuczonego szkła, grube przekleństwa i tupot nad głową, w końcu wszystko ucichło. Kiedy Józef wypuścił mnie na górę, cuchnął przetrawionym alkoholem i miał brzydko przekrwione oczy.

– No, zabalowaliśmy, jak rzadko! Ale czasem człowiek musi się odrobinę sponiewierać – powiedział, odprowadzając mnie na górę.

Po jakimś kwadransie wrócił z czekoladą i kawałkiem ciasta.

– Mówiłem, że jakoś ci to wynagrodzę, nie? – rzucił, podsuwając w moją stronę talerzyk.

– Chcę do domu – powiedziałam cicho.

– A ja chciałbym w końcu wygrać cokolwiek w cholerne Lotto!  
– odburknął, nerwowo krążąc po pokoju.

– Chcę do domu – powtórzyłam.

– Zamknij się albo zapomnij o kąpieli! Żarcie, prąd, woda, nawet pierdolone powietrze, które tu zużywasz! Daję ci wszystko, ale tobie ciągle mało! – wrzasnął, wytrącony z równowagi.

Uspokój się, idiotko, i przestań go drażnić! To wariat, jest groźny. Zawsze jest groźny, ale na kacu może być śmiertelnie niebezpieczny – powiedziałam sobie.

– Co?! Zamierzasz jeszcze pozzzędzić, czy w końcu się zamkniesz?! – zapytał.

– Przepraszam – powiedziałam.

I chociaż dosłownie się we mnie gotowało, potulnym głosem

dodałam, że nie chciałam go urazić. Rozpiął spodnie. Odwróciłam wzrok, starając się nie okazywać odrazy, ale kazał mi na siebie patrzeć. Później przez dłuższą chwilę zabawiał się sam ze sobą, dyszał, charczał, sapał. Nie zastanawiałam się, co robię, to był impuls. Stłukłam talerzyk o kant krzesła i wbiłam mu porcelanowy odłamek w udo, dosłownie kilka centymetrów od na wpół sflaczałego przyrodzenia, które miętołił w dłoni. Wrzasnął, wbijając we mnie pełne niedowierzania spojrzenie, ale ja już byłam przy drzwiach. Na dole, w panice szukając wzrokiem kurtki, krzyczałam, błagając o pomoc. Drzwi wejściowe były zamknięte i chociaż trzymał mnie już pod swoim dachem tyle czasu, nadal nie miałam pojęcia, gdzie jest klucz. Nagle pomyślałam o oknie w łazience. Niewielkim, umieszczonym wysoko lufciku, przez który mogłabym się precyzyjnie przesuwać. Z góry doszedł ryk wściekłości, miotając się po moim pokoju, Józef usiłował najpewniej zatamować krew. W łazience było ciemno i chłodno, ja jednak myślałam tylko o okienku. Dopiero kiedy spojrzałam w górę, zrozumiałam, że za nic w świecie nie zdołam się przez nie przesuwać. Józef był już na schodach, przeklinał. Bluzgał strasznie, ale na mnie niewiele już chyba robiło wrażenie. Rozglądając się gorączkowo, zauważyłam szczotkę na długim plastikowym kijku, taką do drapania się po plecach, chińską, taną, wiszącą nad wanną. Złapałam za nią, kiedy wpadł do środka. Wiedziałam, że mnie uderzy, ale siłą, z jaką wałnął mnie w twarz, zwała mnie z nóg i kompletnie zamroczyła.

– Ty suko! – wrzeszczał, śliniąc się, plując i rzucając przekleństwami. – Ty brudna, zakłamana dziwko!

Nie pamiętam, jak udało mu się zawlec mnie z powrotem na górę. Pamiętam jedynie ślady krwi na schodach i wibrujący mi w uszach, mój własny krzyk.

Przez następne tygodnie zjawiał się u mnie jedynie po to, żeby podać mi trochę wody i jedzenie. Całą masę jedzenia. Kartofle w śmietanie, pierogi, ciasta, budynie, zupy, talerze pełne spaghetti – tuczył mnie, dokarmiał niczym hodowaną na rzeź świnię, a ja jadłam, żułam, przełykałam, bo nagle jedzenie stało się całym moim kontaktem z rzeczywistością, ostatnim przystankiem na ekspresowej drodze do szaleństwa.



## 9.

Sześć lat i siedem miesięcy, a ty wciąż tu jesteś... Dasz wiarę?  
– Józef wszedł do mojej celi z kubkiem gorącego mleka w dłoni.

Nie odpowiedziałam.

Leżałam na moim prowizorycznym łóżku, skulona, obojętna na wszystko, monstrialnie gruba. Dawniej, kiedy jeszcze wierzyłam, że kiedyś uda mi się stąd wyrwać, starałam się utrzymać w formie, ruszać się. Teraz spędzałam dni, leżąc na materacu, i tak samo spędzałam noce. Czasem Józef budził mnie o dziwnych porach i kazał chodzić po schodach. „Musisz się trochę poruszać, słyszysz?!” – powtarzał. Schodziłam więc na dół i posapując, wczepiona w poręcz, wdrapywałam się na górę. Później schodziłam na dół, wracałam na górę... W końcu, wyzuta z resztek sił, padałam na podłogę, a on trącając mnie czubkiem buta, nakazywał wracać do siebie. Wstawaj, świnko...

– Zaraz będzie śniadanie – mruknął, podając mi mleko.

Usiadłam na materacu, niechętnie odwracając głowę w jego stronę. Nie chciałam na niego patrzeć, sam widok jego twarzy sprawiał, że dopadały mnie mdłości. Nie znosił jednak, kiedy go ignorowałam, więc niemal zawsze udawało mi się zmusić do nawiązania z nim wzrokowego kontaktu. W przeciwnym wypadku mógł wpaść w jeden ze swoich szałów, w których wyzywał mnie od niewdzięcznych suk, bił albo zamykał na dole. Wzięłam więc od niego kubek, podziękowałam i wiedząc, że miał problemy z zatokami, zapytałam, jak się czuje.

– Nieźle – mruknął, najwyraźniej niezainteresowany tematem.

– Ktoś u mnie jest – dodał po chwili.

Spojrzałam na niego przelotnie, nie potrafiąc na dłużej skupić wzroku na jego twarzy. Twarzy, którą poznałabym już chyba wszędzie i której tak zajadle nienawidziłam.

– Słyszałaś, co mówię?! – podniósł głos.

– Tak – szepnęłam.

– Dobrze – burknął.

Kobieta zjawiała się w mojej celi chwilę później. Dopiero, kiedy weszła, zdałam sobie sprawę, że musiała przez cały ten czas stać

w korytarzu na piętrze i czekać na odpowiedni moment. Widok obcej twarzy w miejscu, w którym od lat widywałam tylko mojego obłąkanego gospodarza, wywołał we mnie niemal szok.

– Kim pani jest? – udało mi się wykrztusić, tymczasem ona oparła się plecami o ścianę i nie spuszczając ze mnie wzroku, zapaliła papierosa.

– Nie powinnaś palić – zwrócił jej uwagę Józef.

Głos miał łagodny, niemal aksamitny.

– Musi mi pani pomóc, on mnie tu więzi! – krzyknęłam.

Uśmiechnęła się lekko, samymi kącikami warg i spojrzała na niego.

– Kim pani jest? Musi mi pani pomóc, on...

– Zamknij się – wszedł mi w słowo Józef i wyrwał mi z ręki kubek z niedopitym mlekiem.

Kiedy wyszli, zerwałam się z materaca i zaczęłam pięściami walić w drzwi.

– Trzyma mnie tu od lat, nie rozumie pani?! – wrzeszczałam.

Odpowiedziała mi cisza.

Obiad przyniosła mi ona – zjawiała się bez słowa i nawet na mnie nie spojrzała. Kiedy stawiała talerz na krześle, zdołałam lepiej się jej przyjrzeć. Nie potrafiłam ocenić jej wieku. Mogła mieć zarówno trzydzieści osiem, jak i pięćdziesiąt lat. Głębokie bruzdy wokół ust wyraźnie ją postarzały, kilkucentymetrowy siwiejący odrost w jasnorudych włosach również dodawał jej lat. Była bardzo szczupła, niemal chorobliwie wychudzona. Szary podkoszulek dosłownie na niej wisiał, nogi w kolorowych getrach przypominały dwie gigantyczne, nieco nadłamane zapalki. Jej legginsy zdobiły duże kwiaty; barwny wzór skojarzył mi się z modnymi w latach osiemdziesiątych hawajskimi motywami. Na nogach miała znoszone beżowe tenisówki, na lewej kostce, w miejscu, gdzie podwinęła jej się nogawka, zauważyłam tatuaż z papugą.

– Kim jesteś? – zapytałam.

Nie odpowiedziała.

Z obojętnym wyrazem twarzy oparła się o ścianę i spokojnie czekała, aż zacznę jeść. Wstałam i sięgnęłam po talerz, na którym



królował warzywny omlet. Widelca nie było; Józef od dłuższego czasu kazał mi jeść rękoma. Przeżuwałam pierwszy kęs, kiedy usłyszałam kroki na schodach.

– Poznałyście się, moje panie? – zapytał mój oprawca, wchodząc do środka.

Żadna z nas nie odpowiedziała, co nie bardzo mu się spodobało.

– Irka na trochę tu zostanie, to chyba jasne? – mruknął.

Zdziwiło mnie, że z taką łatwością wymówił jej imię. Miał przecież jakieś swoje dziwne fiksacje na tym punkcie...

– Mówię coś! – huknął na mnie. – Zapomniałaś o zasadach, co? Rozmawiasz ze mną zawsze, kiedy tego chcę! Zapomniałaś o wszystkim, bo jesteś wyjątkowo tępą suką! – dodał głosem, który aż wibrował złością.

Kobieta zaczęła się śmiać.

Chrapliwie, debilnie, bez sensu. Miała śmiech nałogowej pijaczki – głupawy, charkoczący bełkot kogoś, komu wódka na dobre przeżarła mózg. Kiedy otworzyła usta, zauważyłam, że brakuje jej kilku zębów, a te, które jeszcze posiada, są pozółkłe jak u starej, steranej życiem klaczy.

– Przestań! – krzyknęłam, przytykając otwarte dłonie do uszu, bo nie mogłam dłużej znieść odgłosu, jaki z siebie wydawała.

Ale ona nadal się śmiała z odchyłoną do tyłu głową, wyglądała niczym nakręcana zabawka, która nie przestanie, dopóki nie pozwoli jej na to wmontowany w jej brzuch mechanizm.

– Chodźmy, niech sobie parę rzeczy przemyśli – zwrócił się do niej Józef, biorąc ode mnie talerz.

Ucichła.

Zauważyłam, że trzęsą się jej dłonie i drga lewa powieka. Na prawym policzku miała brzydką poszarpaną bliznę sięgającą aż pod oko. Wyobraziłam sobie krążącego po opuszczonych ulicach Józefa, który znalazł ją w jakimś pustostanie i skusił wizją ciepłego posiłku i dachu nad głową. Ta kobieta nie była miejscowa, nie mogła być. Nie ryzykowałby aż tak. Zresztą sam jej zabiedzony wygląd świadczył o tym, że była kimś spoza nawiasu społeczeństwa; istotą rzuconą przez życie na pastwę losu i bliźnich, zupełnie bezmyślną zapijaczką

kreaturą, której udręczone poniewierką ciało dosłownie rozpadało się na kawałki.

– Ona jest gruba – powiedziała i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że mówiła o mnie.

– Dużo żre i mało się rusza – skwitował jej uwagę Józef, posyłając mi złośliwy uśmieszek.

Chwilę później wyszli. On przepuścił ją w drzwiach, ona posłała mu spojrzenie, które chyba tylko w jej wyobraźni mogło wyglądać na kokieteryjne.

Szczęknęła zasuwka.

Położyłam się na materacu. Przez okno wpadało ostre, wczesnosierpniowe słońce, które przynosiło ciężką do zniesienia duchotę. Z dołu dobiegła muzyka, coś, co brzmiało jak pełne energii, przywodzące na myśl zapach letniej nocy tango. Wyobraziłam sobie, jak tańczą. Obląkany, wypełniony po brzegi szaleństwem mężczyzna i kukła w kwiecistych legginsach, która była już tylko cieniem dawnej siebie, kobietą na skraju odczłowieczenia, bezwolną mumią.

Wieczorem Józef rozpałił przed domem ognisko. Stałam w oknie, obserwując, jak kręcą się wokół ognia, wzajemnie się przekrzykują. Ona dużo piła, chyba wódkę, prosto z butelki. On strugał patyki na kielbaski, niczym wzorowy harcerz na pierwszym z wymarzonych obozów. Iskry buchały wysoko w sierpniowe niebo, a otaczająca tę dwójkę aura szaleństwa zdawała się narastać, pulsować, wciągać ich w pułapkę bez wyjścia. W końcu ona, kompletnie pijana, upadła – runęła na ziemię, szczęśliwie dla siebie lądując kilka metrów od ognia. Józef dojadł swoją kielbaskę, oblizal tłuste palce i podszedł do niej, lekko ją trącając nogą. Zaczęła się podnosić, ochryple się przy tym śmiejąc. Po chwili śmiali się oboje, szczepieni ze sobą w jakiejś ponurej parodii tańca. Ogień płonął dość długo, podsycali go, dorzucając do niego gałęzie, stare gazety i coś, co wyglądało na porąbane siekierą krzesło. W końcu ona zdjęła podkoszulek, pod którym nie miała stanika i chwiejąc się, zaczęła zdejmować legginsy. Kiedy pozbyła się ubrania, zobaczyłam, że jest jeszcze chudsza niż myślałam. Śledząc ich z okna, niewiele widziałam, ale kruchość jej sylwetki była aż nadto oczywista. On rozebrał się chwilę później. Odwróciłam głowę, walcząc z mdłościami. Nie potrafiłam

dłużej się im przyglądać, nie chciałam nawet o nich myśleć. Chciałam tylko zamknąć oczy i wrócić do własnego świata. Problem w tym, że nie potrafiłam już znaleźć do niego drogi...

Rano ona przyniosła mi świeże prześcieradło, on zjawił się z kawą.

– Muszę się wykapać, wszystko mnie swędzi – szepnęłam.

– To od upału – mruknął Józef, stawiając kubek na parapecie.

Irena przyglądała mi się w milczeniu; wyblakłe i wysuszone jasnorude włosy opadały jej na oczy dawno nieobcinaną grzywką, lewa powieka nadal drgała w nerwowym tikku.

– Wstawaj – powiedział, kiedy wypіłam.

– Nie mam siły – szepnęłam, ale nie zamierzałam prosić.

Kopnął mnie i zaczął ponaglać. Ona za to roześmiała się, a jej pijacki rechot rozbrzmiewał echem w mojej głowie, narastał, wdzierał się pod czaszkę. Zamknij się! – pomyślałam z nienawiścią. Tak, nawet jej nie znałam, ale już zdążyłam ją znienawidzić. Jakim była człowiekiem, skoro reagowała szyderstwem na moją krzywdę?

– zastanawiałam się.

– Idziemy do ogrodu! – oznajmił nam Józef, ruszając w stronę drzwi.

Na zewnątrz, pomimo w miarę wczesnej pory, było już gorąco, niemal upalnie.

Kierownik Hotelu Obłąd rozwinął szlauch i bez słowa ostrzeżenia, zupełnie niespodziewanie, zaczął nas polewać wodą. Niemal zwalona z nóg silnym strumieniem Irena prawie upadła. Ja, osłaniając twarz rękoma, stałam w strugach chłodnej wody, ciesząc się jej dotykiem na spoczonej skórze. Sukienka, którą na sobie miałam, oblepiała mi brzuch, kleiła się do pleców, ale to mi nie przeszkadzało.

Chwilę później Józef przyniósł nam po kawałku drożdżowego ciasta i powiedział, że możemy wyschnąć na słońcu. Usiadłam na ławce za domem, ona przechadzała się nieopodal, przeczesując palcami wilgotne włosy.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytałam.

Nie odpowiedziała.

Zerwała źdźbło trawy i wsunęła je sobie do ust.

– Jesteś jego starą znajomą? Sąsiadką? Siostrą?

Cisza.

– Powiedz coś! – krzyknęłam.

– Odpierdol się! – odpowiedziała ochryplym głosem nałogowej palaczki i odwróciła się do mnie plecami.

– Proszę, porozmawiaj ze mną – szepnęłam. – Musisz mi pomóc, musisz zrozumieć, że on przetrzymuje mnie tu siłą, że...

– Przetrzymuje cię? – zmrużyła oczy Irena, jakby dopiero teraz do niej dotarło, w jakiej jestem sytuacji. – Skoro tak, to czemu nie uciekasz? – dodała kąśliwie.

Zerknęłam w stronę domu.

Józef gdzieś zniknął, mogłabym dobiec do furtki, a później...

Wstałam.

Mokra sukienka kleiła mi się do ciała, upał obezwładniał.

– No idź, uciekaj! Rusz tłusty zad! – szydziła Irena, rzucając we mnie podniesionym z ziemi drobnym kamykiem.

Zacząłam biec.

Potykałam się, sapałam, dosłownie ciągnąc za sobą nogi. Latami przetrzymywana w niewielkim pokoju, pozbawiona świeżego powietrza i codziennej dawki ruchu, ciągnęłam za sobą to obce, opasłe cielsko, nakazywałam mu posłuszeństwo, modląc się w duchu, żebym zdążyła dobiec do furtki.

– Ucieka! Ona ucieka! – usłyszałam za plecami wrzask Ireny, która najwyraźniej świetnie się bawiła moim kosztem, ale postanowiła wezwać na pomoc Józefa.

Byłam kilka metrów od furtki, kiedy mnie dopadł.

– Dokąd to? – warknął, łapiąc mnie za włosy.

Opadłam na kolana i wydałam z siebie cienki, piskliwy szloch.

– Na furtce wisi kłódka, dalej są tylko pola. Dokąd biegłaś, świnko? – zapytał.

Szlochałam z twarzą ukrytą w dłoniach, dopóki nie kazał mi wstać.

– Chyba dawno nie byłaś w piwnicy – burknął.

Noc spędziłam na dole, słuchając ich pijackich wyzwisk i oskarżeń. Musieli ostro się o coś pokłócić, bo najpierw krzyczała ona, później wpadł w szal on. Zastanawiałam się, skąd tyle negatywnych emocji w ludziach, którzy ledwo się poznali; skąd ta zajadła wściekłość?

Józef zjawił się u mnie rano. Cuchnął potem, przetrawionym alkoholem i zwietrzałym piwem. Przez te wszystkie lata, niemal każdego ranka starannie się golił, jednak tego dnia jego policzki porastała ostra, ciemnosiwa szczecina.

– Wstawaj, zrobisz nam śniadanie! – burknął, rozwiązując mi ręce.

Tym razem związał mnie na noc tylko sznurem i darował sobie knebel. Kiedy nie opuszczał domu, nie zatykał mi ust. Mogłabym krzyknąć, wzywać pomocy i zdzierać sobie gardło, ale dawno tego nie robiłam. Wiedziałam już przecież świetnie, że nikt mnie nie usłyszy...

– Irena lubi tosty z marmoladą, ja poproszę jajecznicę – powiedział.

„Poproszę”... Ugrzeczniony, jakby był zagadującym kelnerkę klientem – pomyślałam, niemal rozbawiona. Wychodząc na górę po ukruszonych piwnicznych schodach, wyobraziłam sobie, jak łapię za nóż i wbijam mu go w brzuch. Tym razem bym się nie zawahała, na pewno nie! Noża nigdzie jednak nie było, druga szansa nie była mi dana. Czekala na mnie tylko patelnia i tostowy chleb, na którym po opieczeniu kromek miałam rozsmarować dżem małą łyżeczką.

Józef nawet na moment nie spuszczał ze mnie wzroku – siedział na kuchennym taborecie i mrużąc oczy, wbijał we mnie swoje najpodlejsze, gadzie spojrzenie.

Ona zjawiła się w kuchni, kiedy wrzucałam jajka na rozgrzaną patelnię. Miała na sobie jego starą koszulę, sięgającą jej niemal kolan, i gołe nogi. Zauważyłam żyłki zdobiące jej chude, blade łydki i poszarpaną bliznę nad prawym kolanem.

– Powiedz jej, że chcę kawy – wychrypiała do Józefa, zupełnie jakbym nie stała tuż obok.

Wyjęłam z kredensu kubek z wyszczerbionym uchem i nalałam wody do czajnika. Stawiając go na gazie, pomyślałam o wrzątku. Gdyby udało mi się oblać mu twarz, może... Nie, nigdy w ten sposób nie ucieknę. Nie teraz, kiedy jest tu również ona.

Irena usiadła na taborecie i wbiła we mnie wrogie spojrzenie. Uśmiechnęłam się krzywo, obiecując sobie, że nie dam się wyprowadzić z równowagi. To tylko jakaś wykolejona pijaczka – powiedziałam sobie. Józef wyglądał przez okno, udając, że kompletnie nas ignoruje. Twarz

miał jednak napiętą, czujną.

– Ty, słuchaj, po co ty właściwie ją tu trzymasz? – zapytała nagle Irena tym swoim chropowatym, przepitym głosem.

Znieruchomiałam z patelnią w dłoni.

Józef przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, w końcu burknął, że się do mnie przyzwyczaił.

– Mówiła, że jest tu od lat. I po co? Całkowicie bezużyteczna gruba locha – dodała Irena.

– Masz z tym jakiś problem? – wycedził.

Przestraszyła się, zbladła.

– Nie, ja tylko...

– To się zamknij! – huknął na nią.

Uśmiechnęłam się krzywo, z satysfakcją obserwując jej pobladłą, wychudłą twarz.

Mieszałam jajka znaną na blacie łyżeczką, kiedy Józef wstał, podszedł do mnie i brutalnie mnie odtrącił.

– Usiądź za stołem, dokończę – warknął.

Usiadłam naprzeciwko Ireny. Spojrzała na mnie z nienawiścią, jakby sama moja obecność doprowadzała ją do szału.

– Powinieneś się jej pozbyć – wycedziła.

Józef nie odpowiedział.

Pogwizdując, wyłożył na swój talerz jajecznicę i wrzucił patelnię do zlewu. Dopiero po chwili, zupełnie niespodziewanie, podszedł do Ireny i uderzył ją pięścią w twarz.

– Nie będziesz mi mówiła, co powinienem robić! – wrzasnął.

Krew, która buchnęła jej z nosa, zalała jego starą koszulę.

– Zobacz! Zobacz, co narobiłaś! – krzyczał.

Siedziałam za stołem, lustrując wzrokiem kuchnię. Gdyby udało mi się dobiec do zlewu i walnąć go patelnią, to może...

Obrócił się w moją stronę, kiedy wstawałam.

– Dokąd to? – zapytał.

Usiadłam z powrotem.

Rozchybotany taboret ostrzegawczo zaskrzypiał pod moim ciężarem. Irena cicho pochlipywała, pomiędzy jej uciskających nos palców szkarłatną strużką wypływała krew. Nagle wyobraziłam sobie, że

jakimś cudem udaje mi się stąd wyrwać i wracam do domu. Czy potrafiłabym znaleźć odpowiednie słowa, żeby opowiedzieć bliskim o całym tym koszmarze? I czy kiedykolwiek uwierzyliby w bezmiar szaleństwa, jakiemu codziennie musiałam stawiać czoła? Absurdalność mojej sytuacji wydała mi się niemal groteskowa, wiedziałam jednak, że nie mogę sobie pozwalać na lekceważenie tego świra. Był niebezpieczny. Zawsze. Bez względu na to, jak żenująco śmieszny mógł się wydawać, zawsze stanowił dla mnie zagrożenie. Nieważne, czy kazał mi jeść kremówkę na mrozie, czy czytać sobie książkę. Każda spędzana w jego towarzystwie chwila mogła być moją ostatnią. Chyba że będę miała niewiarygodne szczęście i to ja zabiję kiedyś jego... Zabić go... Chryste, ileż razy wyobrażałam sobie, że to robię, i na ile najprzeróżniejszych sposobów! W wyobraźni dźgałam go nożem, oblewałam jego twarz wrzątkiem, topiłam go w wannie, wyrzucałam przez okno, wbijałam mu w oko widelec, nabijałam na widły, podpalałam go we śnie... Problem polegał na tym, że nigdy nie miałam sposobności, żeby zrobić coś takiego.

– Masz, doprowadź się do porządku! – wyraźnie poirytowany Józef cisnął w stronę Ireny starą, brudną szmatę i kazał jej sprzątnąć chlew, jakiego narobiła. – Wszystko we krwi, cholera jasna! – mamrotał, podczas gdy ona, przyciskając do rozkwaszonego nosa kuchenną ścierekę, usiłowała zatamować krwotok.

Tkwiłam za stołem bez ruchu, starając się nie zwracać na siebie uwagi, tymczasem on zabrał się za swoją jajecznicę i obrzydliwie mlaszcząc, wyjadł wszystko z talerza.

Chwilę później kazał nam iść na górę, a kiedy zamknął mnie w pokoju, huknął na Irenę, która wciąż cicho pochlipywała.

– Rusz się! – ponaglał ją na schodach.

Usiadłam na materacu, zastanawiając się, jak mogłabym wykorzystać obecność tej słabej psychicznie i przywiedłej fizycznie kobiety. Czy uda mi się ją w jakikolwiek sposób zmanipulować? Czy w końcu mi pomoże? A może jest tak ślepo w niego zapatrzona, że nawet z rozkwaszonym nosem będzie wobec niego lojalna?

– zastanawiałam się.

Wieczorem mój prześladowca przyniósł mi miskę pełną skrojonych

w ćwiartki jabłek.

– Jedz – powiedział.

– Opowiedz mi o niej – poprosiłam.

Roześmiał się.

– Nic o niej nie wiem, świnko – mruknął.

– Nie nazywaj mnie tak – szepnęłam.

– Czemu? Wyglądasz przecież jak świnia.

Nie odpowiedziałam.

Józef sięgnął po ćwiartkę jabłka i zapatrzył się w okno, za którym powoli zapadał ciepły letni zmrok.

– Zagadnęła mnie na ulicy, chciała kasy. Zaczęliśmy rozmawiać.

Powiedziała, że razem z grupą bezdomnych koczuje w budynku nieczynnej podstawówki. Zapytałem, czy ze mną pojedzie. Wzruszyła ramionami, jakby było jej wszystko jedno. Ożywiła się dopiero na widok mojego samochodu. Powiedziała, że dawno nie jechała autem.

– Po co ci ona? Wytłumacz mi.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem... Lubię czasem robić coś zupełnie nieprzemyślanego – wzruszył ramionami.

– Co, jeśli już ci się znudzi? To nie jest interesująca partnerka do rozmowy, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś – zakpiłam.

– Co, jeśli ty mi się znudzisz? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Opowiedz mi coś. Słyszałaś kiedyś o Szeherezadzie? Bojąc się, że jej świeżo poślubiony małżonek, sułtan, zetnie ją tuż po nocy poślubnej, opowiadała mu baśnie, kończąc swoje historie o świcie w najciekawszym momencie.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli ci się znudzę, zabijesz mnie?

– zapytałam.

– Nie kuś – roześmiał się. – Byłem w nocy przy jej grobie, ale nie potrafiłem sobie nawet przypomnieć, jak wyglądała jej twarz – zmienił temat, a ja zrozumiałam, że musiał mówić o przetrzymywanej przez niego młodej dziewczynie, która straciwszy nadzieję na wyjście stąd, podcięła sobie żyły.

– Nie umiem opowiadać bajek.

– Może dlatego, że nie masz dzieci? – uśmiechnął się krzywo.

– Czemu właściwie ich nie masz? Nie możesz? A może jesteś jedną



z tych egoistek, którym się wydaje, że gówniana kariera za jakimś biurkiem jest ważniejsza od rodziny?

Milczałam.

– Co? Niewygodny temat? – zapytał, sięgając po kolejną ćwiartkę jabłka.

– Nie twoja sprawa.

– Jak niegrzecznie! – zarechotał.

Był jednak w jednym z tych swoich pobłażliwych, niemal radosnych nastrojów i skończyło się na tym, że po prostu wyszedł, zostawiając mnie sam na sam z moimi myślami.

Kim byłabym teraz, gdybym wtedy nie poroniła? – zastanawiałam się. Przecież gdybym urodziła to dziecko, nie wdałabym się w romans z Szymonem i z całą pewnością nie byłoby mnie na tamtej zaśnieżonej drodze na Warszawę. Gdybym nie straciła ciąży w pierwszym trymestrze, tamtego popołudnia ostatniego dnia roku czekałabym pewnie na rozwiązanie albo właśnie bym urodziła... Gdyby nie poronienie, nie usiłowałabym się zabić, nie usłyszałabym od męża tych nieprzemyślanych, nieczułych słów, nie szukałabym szczęścia poza domem. Ale może nie powinnam się usprawiedliwiać? Może dostałam dokładnie to, na co zasłużyłam? Może zbyt ostro zareagowałam na emocje Jakuba, zbyt surowo go oceniłam? Może jestem po prostu złą żoną, zwykłą dziwką? – wyrzucałam sobie, leżąc na wymiętym materacu.

Na dole coś łupnęło, później rozległo się szuranie, jakby ktoś przesuwał meble. Zamknęłam oczy, starając się nie myśleć o domu, w którym przyszło mi wegetować.

Chwilę później ponownie zjawił się u mnie Józef.

– Jednak chcę wiedzieć – powiedział, zamykając za sobą drzwi.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytałam zmęczonym głosem.

– Czemu nie masz dzieci, to chyba jasne? – mruknął, rozsiadając się na krześle.

– Nie chcę o tym rozmawiać – powiedziałam cicho.

– Nie pytałem, czy chcesz – burknął.

Milczałam.

Czekał, wpatrując się we mnie; pewny, że w końcu zacznę mówić.

Nagle pomyślałam, że właściwie wszystko mi jedno. Co za różnica, czy mu o tym powiem, czy nie? Przecież najprawdopodobniej i tak nigdy stąd nie wyjdę, pomyślałam.

– Więc? – mruknął.

Zauważyłam, że przed przyjściem do mnie zdążył się ogolić i zmienił koszulę.

– Kilka miesięcy przed tamtym sylwestrem poroniłam – zaczęłam cicho. – Nieco później usiłowałam się zabić, trafiłam pod opiekę psychiatry, dostałam jakieś leki. Źle się po nich czułam i szybko je odstawiłam. Chciałam przeżyć tę żałobę całą sobą, a nie faszerować się tabletkami. To był zły czas, bardzo ciężki. Na okrągło kłóciłam się z mężem, czułam, że nawet on tak do końca mnie nie rozumie. Uważał, że zbyt drammatyzuję, że przecież możemy mieć kolejne dziecko. Jakby to, które we mnie obumarło, można było zastąpić innym! Jakby chodziło o jakiejś pieprzone części zamiennie do starego forda! Może dlatego go wtedy zdradziłam? Może w ten sposób chciałam się zemścić? – szepnęłam, a na twarzy Józefa wykwitł wymowny uśmiešek.

– Szymon pracował na mojej uczelni, był jednym z wykładowców. To do niego szłam wtedy drogą wśród zadymki. Wiesz, co jest najśmieszniejsze? Do dziś nie wiem, co chciałam mu wtedy powiedzieć. Jakaś część mnie chciała chyba z nim zerwać, ale inna, ta mroczniejsza, bardziej egoistyczna, chciała jego pocałunków, szeptów, wyznań. Raniłam męża z premedytacją, zadawałam mu cios za ciosem w samo serce. I chociaż o tym nie wiedział, dosłownie czułam w sercu cały ten ból...

– Chcesz powiedzieć, że dawałaś dupy innemu, cierpiąc jednocześnie niewysłowione katusze? Kobiety... Każda z was ma w sobie coś z kurwy, zawsze to wiedziałem – Józef roześmiał się głośno, wulgarnie.

– Zamknąłeś ją w piwnicy? – zmieniłam temat.

– Niech skruszeje – oblizwał usta.

– Będziesz ją tu trzymał w nieskończoność, jak mnie? – zapytałam.

– Zobaczy się – wzruszył ramionami.

– Przyniesiesz mi coś do czytania? – poprosiłam.

– Nie zasłużyłaś – powiedział.

– Nie możesz mnie winić za to, że nadal usiłuję się stąd wyrwać. Za to, że walczę, że się szarpie. Jestem jak pies na przykrótkim łańcuchu, nie rozumiesz tego?! Zawsze myślałam, że dobrze wyczuwasz emocje. Dużo czytasz, znasz się na ludziach... Nie możesz mnie obwiniać za to, że marzę o powrocie do dawnego życia! – krzyknęłam łamiącym się głosem.

– Naprawdę wierzysz, że mogłabyś wrócić do dawnego życia? – roześmiał się. – Że pomalujesz paznokcie, zrobisz sobie włosy i będziesz dokładnie tym, kim byłaś? Paniusią w eleganckich ciuszkach, młodą mężatką, wzorową pracownicą? Wierzysz, że czekają na ciebie wszystkie te miejsca, osoby, emocje? Że będziesz jeszcze potrafiła grać rolę, którą wtedy przed wszystkimi grałaś? Myślisz, że ci wybaczą? Twoją bezmyślność, tamtego faceta, twoje zakłamanie?

– Chcę tylko wrócić do domu – szepnęłam.

– Przykro mi – powiedział i przez moment w jego głosie usłyszałam coś na kształt współczucia.

Chwilę później wyszedł i znów znajomo szcęknęła zasuwka.

– Sześć lat i siedem miesięcy, dasz wiarę?! – krzyknął zza drzwi.

Później słyszałam jeszcze odgłos jego kroków na schodach i w końcu zapadła cisza...

## 10.

Nie wygrasz ze mną, zapamiętaj to sobie! – powiedziała Irena następnego dnia, zjawiając się u mnie z obiadem.

Rozmiękły, rozgotowany brokuł wyglądał jak zielona breja. Ziemniaki też były rozgotowane, ale nie zamierzałam wybrzydzać. Wiedziałam już, że zawsze może być gorzej, zresztą byłam wściekle głodna. Śniadania nie dostałam; podejrzewałam, że przepita i zmęczona nocnymi awanturami upiorna parka z dołu zwyczajnie zasnęła.

– Ależ tu cuchnie – burknęła po chwili.

Nie odpowiedziałam.

Przez dłuższą chwilę gapiła się na mnie, jakby sama nie była do końca pewna, w jaki sposób chce zakończyć to nasze obiadowe spotkanie. W końcu podeszła bliżej i zupełnie bez powodu kopnęła mnie w brzuch. Miała na nogach te same znoszone tenisówki, co poprzedniego dnia, jednak niespodziewany cios sprawił, że na moment straciłam oddech.

– Nie wygrasz ze mną, słyszysz?! – warknęła. – Jeśli myślisz, że masz tu jakąkolwiek pozycję, grubo się mylisz! Od teraz on będzie słuchał tylko i wyłącznie mnie! – dodała tym swoim brzydkim, szorstkim jak papier ścierny głosem.

Starając się nie myśleć o bólu, podniosłam się z materaca. Widząc, że wstaję, wyraźnie spłoszona Irena zrzuciła kanapkę z talerza na pościel i czmychnęła za drzwi. Wody nie dostałam...

Nagle, nie wiedzieć czemu, przypomniała mi się Paulina, dawna szkolna przyjaciółka mojej siostry. Magda przyjaźniła się z nią od początku podstawówki, były niemal nierozłączne. Tamtego dnia wracały ze szkolnego przedstawienia. Magda wybrała się do szkoły w ciemnoróżowej falbaniastej sukience, którą uszyła dla niej ciotka Renata i była przeszcześnie, że ma na sobie nowy ciuch. Wyglądałam jej przez okno, czekając na nią z kolacją. Rodzice pojechali odwiedzić znajomych i obiecałam im, że dopilnuję młodej. Jednak, pomimo że robiło się ciemno, Magdy nadal nie było. W końcu wzięłam na smycz Mustafę, bernardyna rodziców, i wyszłam jej naprzeciw, w stronę

szkoły. Byłam mniej więcej w połowie drogi, kiedy ją zauważyłam. W pomiętej sukience, z grudkami błota we włosach szła i płakała. Mustafa szarpnął smyczą i pociągnął mnie w jej stronę. Pamiętam, jak bardzo przeraziła mnie myśl, że jakiś bydlak dorwał ją gdzieś w odludnym miejscu i zgwałcił. Okazało się jednak, że to przyjaciółki tak ją urządziły – Paulina i Aneta, dziewczynki z jej klasy. Chodziło o Maćka, chłopaka, w którym kochała się Paulina. Po przedstawieniu Maciej podszedł do Magdy i dał jej czekoladę, a zazdrosna Paula wpadła w szał. „Wrzuciły mnie do sadzawki za szkołą, zniszczyły mi sukienkę” – rozszlochała się Magda, kiedy do niej podeszłam. Chwilę później okazało się, że przyjaciółki szły kilkanaście metrów za nią, jakby do samego końca chciały pokazać jej swoją siłę. Podeszłam do Pauliny, która dość często bywała u nas gościem, i zapytałam, jak mogła. Spojrzała na mnie hardo, niemal z nienawiścią, a ja chyba nigdy nie zapomnę jej wzroku. Niespełna dwunastoletnia dziewczynka i tyle złości w oczach... Kobiety zawsze potrafiły być okrutne, nawet te najmłodsze. Natura nie ma dla nas litości, a my nie mamy jej dla siebie nawzajem. Powinnyśmy się wspierać, ale wolimy ze sobą walczyć, pomyślałam ze smutkiem.

Kilka minut później Józef przyniósł mi wodę i kawałek ciasta.

– Irena upiekła – powiedział.

Odsunęłam talerzyk ze wstrętem. Nie zamierzałam jeść niczego, czego dotknęła ta odrażająca przepita kobieta!

– Jedz! – warknął, ewidentnie czekając, aż zatopię zęby w upieczonej przez jego nową przyjaciółkę słodkości.

Pomyślałam o jej brzydkich zniszczonych dłoniach i długich niczym szpony połamanych paznokciach z odłóżającym nieestetycznie lakierem. Na myśl, że tymi rękoma zagniatała ciasto, dosłownie zrobiło mi się słabo.

– Nie wiem, co jest między wami, ale nie będę tolerował żadnych afer! Masz być dla niej miła i nie pyskować, dotarło?! – dodał ostro.

Milczałam.

– Słyszałaś, co mówię?! – wrzasnął.

Kiwnęłam głową na „tak”.

– Nie słyszę – burknął.

- Słyszałam – powiedziałam.
- Dobrze. Zjedz ciasto, jest niezłe.
- Nie jestem głodna.
- Nie pytałem, czy jesteś głodna – rzucił przez zęby.

Odwróciłam głowę i zapatrzyłam się w okno.

- Powiedziałem, zjedz ciasto! – huknął na mnie Józef.

Wściekłość w jego głosie dosłownie wibrowała i w końcu zdałam sobie sprawę, że nie mam wyjścia... Sięgnęłam po kawałek placka i starając się nie myśleć o jego smaku, ugryzłam pierwszy kęs.

– Grzeczna dziewczynka. Wieczorem będę miał dla was niespodziankę – dodał Józef o wiele łagodniejszym tonem.

- Nie lubię niespodzianek – powiedziałam z pełnymi ustami.

– Nie pytałem, czy lubisz – mruknął w odpowiedzi, bo przecież to do niego zawsze musiało należeć ostatnie słowo.

Ciasto było zbyt słodkie i zakalcowate, ale zjadłam je całe, tak jak chciał.

– Masz! – wyjął z kieszeni coś, co błysnęło w słońcu, i rzucił to na materac. – Znalazłem ostatnio na chodniku – dodał.

Była to bransoletka, tania, zdobiona wisiorkami ze słoniem, wieżą Eiffla i koniczynką.

- Założ – powiedział.

- Jest za mała – szepnęłam.

Złapał mnie za ręce i mamrocząc coś pod nosem, przyglądał się moim przegubom.

– Masz rację, świnko. Za mała – powiedział w końcu i biorąc ode mnie tandetną błyskotkę, z talerzem po cieście w dłoni, ruszył w stronę drzwi.

Wyszedł.

Krążyłam po pokoju od okna do drzwi i z powrotem, a ostre, sierpniowe słońce prażyło odgrodzone szybą od mojego spragnionego jego promieni ciała. Krążyłam coraz bardziej niespokojnie. Spocona, zmięta, cuchnąca potem, zaniedbana. Dawna ja w ciele tej obcej, przerażająco bezradnej kobiety. I nagle zrozumiałam. Muszę się jej pozbyć! Bez względu na wszystko, muszę sprawić, żeby przepędził stąd tę pijaczkę! Jak jednak mógłby to zrobić, skoro tyle widziała?

Wypuszczając ją, ryzykuje, że Irena powie o mnie glinom. Jak mógłby tak bezmyślnie wypuścić świadka swojego szaleństwa? – zastanawiałam się, bliska łez. Letni skwar wsączał się przez szybę, zalewał pokój żarem. Przesunęłam krzesło pod okno i wystawiłam twarz do słońca. Mimo dzielącej mnie od niego szyby, czułam jego promienie na sobie, pozwalałam mu pieścić moją skórę, przywoływać wspomnienia szczęśliwych i beztroskich letnich dni. Dawniej, kiedy jeszcze mieszkałam z rodzicami, lubiłam się opalać na brzegu wyrobiska, kilkaset metrów od rodzinnego domu. Kiedy Magda podrosła, przychodziła tam ze mną. I chociaż zawsze prosiłam, żeby tego nie robiła, obojętna na tłumy kręcących się tam facetów, ściągала górę od kostiumu i wykladała się na ręczniku. „Więc mam cycki, wielka mi rzecz! Czego mam się wstydzić, to w końcu naturalne!” – mruknęła kiedyś, dodając, żebym przestała jej truć. W końcu dałam sobie spokój z moralizatorstwem, ale sama nigdy nie odważyłam się opalać z nagim biustem. Magdę zawsze śmieszyła moja wstydlivość, mawiała, że jestem żenująco sztywna. „Powinnaś żyć w zupełnie innej epoce, siostrzyczko” – powiedziała mi kiedyś. Któregoś dnia, zupełnie przypadkiem przyłapała ją mama spacerująca wzdłuż brzegu wyrobiska z psem. Pamiętam szok na jej twarzy i gorączkowe poszukiwania góry od kostiumu Magdy, który zawieruszył się pod moim ręcznikiem. „Jak możesz jej na to pozwalać?! Tutaj aż roi się od mężczyzn!” – huknęła na mnie. Do domu wróciłam wściekła, bo znowu dostało mi się za nie moje grzeszki tylko dlatego, że byłam parę lat starsza...

Zgodnie z obietnicą Józef zjawił się u mnie wieczorem i kazał mi zejść na dół.

– Wspominałem ci już chyba, że mam dla was niespodziankę – zagaił podekscytowanym tonem.

Idąc przed nim po schodach, poczułam lekkie ukłucie niepokoju. Co znowu wymyślił ten obłąkany człowiek? – zastanawiałam się.

Irena siedziała na kanapie w salonie. Przez zakratowane okna wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca, a ona przeglądała jakiś stary magazyn o modzie, dłubiąc sobie w zębach wykałaczką. I chociaż starałam się nie okazywać jawnej odrazy, odwróciłam głowę, nie potrafiąc patrzeć w stronę tej poczwary.

– Siadaj! – Józef wskazał na kanapę, zasunął ciężkie ciemnobordowe zasłony i w pokoju zrobiło się niemal ciemno.

Irena cicho zakasłała.

Usiadłam po drugiej stronie kanapy, starając się nie myśleć o tym, że mam ochotę rozdrapać pazurami twarz siedzącej obok mnie kobiety. Ona odłożyła gazetę i spojrzała na mnie z triumfalnym wyrazem twarzy.

– Smakowało ci ciasto? – zapytała lekkim tonem, zupełnie jakbym wpadła do niej na popołudniową kawę i babskie plotki.

– Fantastyczne – syknęłam, nie patrząc na nią.

– No! I tak powinniście rozmawiać! Włączę wam film, zaraz, tylko znajdę kasetę – nasz gospodarz kręcił się po pokoju, przeczesując szuflady, półki i wszelkie możliwe schowki.

W końcu cicho zaklął i zapalił światło.

– Jest! – ucieszył się po chwili i dzierżąc w dłoni znalezione, podszedł do stojącego na starym telewizorze odtwarzacza video.

– Masz coś do picia? – zapytała Irena.

– Zaraz, momencik. Chyba widzisz, że są ważniejsze rzeczy do zrobienia? – mruknął Józef, kręcąc się wokół telewizora.

W końcu udało mu się uruchomić film i pokój zalała padająca z ekranu srebrna poświata.

– Matka nie lubiła, kiedy ją nagrywałem, ale i tak mam kilka filmików – mruknął.

Spojrzałam w telewizor i zrozumiałam, czemu uwieczniona na filmie twarz wydała mi się znajoma. Matka Józefa siedziała w fotelu; miała na sobie tę samą flanelową koszulę, którą on kazał mi nosić jakiś czas temu. W pokoju musiało być gorąco, bo starsza kobieta wachlowała się trzymaną w ręku gazetą. Nagle przypomniałam sobie naszą wyprawę na południe Włoch i siedzące przed domami staruszki w kolorowych jedwabnych sukienkach. Było prawie trzydzieści osiem stopni w cieniu i niemal każda z nich wachlowała się trzymanym w dłoni kolorowym wachlarzem. Pomimo upału szliśmy z Kubą objęci, wąskie uliczki dawały odrobinę cienia, pozwalały odsapnąć od niemiłosiernego skwaru. „Kiedy będziesz babcią, kupię ci taki wachlarz” – szepnął mi na ucho mąż. „Dobrze, dziadku” – odpowiedziałam i wybuchnęliśmy śmiechem. A teraz siedziałam w dusznym salonie chorego na umyśle człowieka,



wiedząc, że już nigdy nie pojedę z mężem do Włoch, już nigdy... Nie! Nie możesz tracić nadziei! – powiedziałam sobie w duchu. Przeżyłaś u tego świra ponad sześć i pół roku i nadal jest szansa, że stąd wyjdiesz! Nikła, bo nikła, ale jest! Jest, słyszysz?! – powtarzałam sobie w kółko, podczas gdy siedzący w fotelu Józef klaskał w dłonie i głośno komentował film.

Spojrzałam na ekran. Matka mojego oprawcy pokrzykiwała na niego, nazywając go idiotą.

– Wspomnień czar – powiedział z przekąsem i przesunął taśmę.  
– Pokażę wam lepszy fragment – dodał i chwilę później zobaczyliśmy skrepowaną sznurem, leżącą na materacu staruszkę. – Czasem, kiedy już nie mogłem na nią patrzeć, zamykałem ją w piwnicy – zaśmiał się Józef.

Przymknęłam oczy, nie potrafiłam dłużej zmuszać się do oglądania nagranych przez niego filmików. On znęcał się nad matką, ona nad nim – kalejdoskop z życia szaleńców, kompletny obłąd. Najwidoczniej, kiedy była już słaba i schorowana, wychowany w nienawiści syn brał odwet za lata przemocy psychicznej, której doznał z jej strony w dzieciństwie.

– Nudne to – mruknęła Irena, wstając z kanapy.

Józefa jej uwaga dosłownie poraziła, kazał jej siadać i patrzeć.

– Siadaj, mówię! – wrzasnął.

Posłała mu spojrzenie urażonej hrabiny. Niechętnie, jakby z łaski, klapnęła jednak z powrotem na kanapę. Z zawiścią pomyślałam, że jest dla niej o wiele bardziej wyrozumiała niż dla mnie, i ta myśl bardzo mnie przeraziła. Nie będę chyba rywalizować z pijaczką o względy tego potwora! Ale może nie chodziło o niego? Może po prostu bałam się, że tracąc swoją pozycję, narażam się na jeszcze większe niebezpieczeństwo? Bił mnie, poniżał, wyzywał, ale w pewien sposób miał do mnie słabość. Jeśli ona zajmie moje miejsce, być może nawet pożegniam się z życiem, pomyślałam.

Film ciągnął się w nieskończoność, a kiedy w końcu Józef wyłączył telewizor, byłam śmiertelnie wręcz zmęczona.

– Pij, chciałaś! – podsunął Irenie flaszkę z resztką wódki, którą kobieta łapczywie przyłożyła sobie do ust.

– Mogę wracać do siebie? – zapytałam cicho.

– Nie lubisz wieczorów filmowych? – zarechotał Józef.

– Boli mnie głowa – skłamałam.

– Baby! Was zawsze coś boli! Jak nie dupa, to głowa! – burknął, ale dłużej mnie nie zatrzymywał. – Chcesz, to wracaj na górę – mruknął tylko i ruszył za mną w stronę schodów. – Nie podziękujesz mi za niespodziankę? – zapytał, kiedy weszliśmy do mojego pokoju.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Głośniej! – warknął.

– Dziękuję! Jestem wdzięczna! – wrzasnęłam.

– Tak lepiej – skwitował, krzywo się uśmiechając. – Irena wspomniała, że jesteś dla niej niegrzeczna. Pyskujesz i traktujesz ją z góry – zmienił temat.

– Kłamie – wycedziłam.

– Może kłamie ona, a może ty – powiedział, mrużąc oczy.

– Nie lubi mnie. Od początku mnie nie lubiła...

– Macie się dogadać, słyszysz?!

– To raczej mało prawdopodobne.

– Co powiedziałaś?! – podniósł głos.

– Powiedziałam, że to raczej mało prawdopodobne.

– Więc co proponujesz? – zapytał.

– Nie wiem, to twój dom.

Rozciągnął usta w uśmiechu.

– Cieszę się, że w końcu to zrozumiałaś – powiedział.

Kiedy wyszedł, podeszłam do okna. Pękaty, zbliżający się do pełni księżyc, oświetlał podwórze srebrnym blaskiem i przez jedną chwilę nawet znienawidzony widok zza dzielącego mnie od świata okna wydał mi się niemal bajkowy. Na dole coś trzasnęło, usłyszałam brzęk tłuczonego szkła. Józef zaczął wrzeszczeć, ona przeklinała, w końcu zapadła cisza.

Musiało być koło północy, kiedy kierownik Hotelu Obłęd wślizgnął się do mojej celi i usiadł obok mnie na materacu. Znieruchomiałam. Chce seksu? Na myśl o tym, że jego dłonie wsuną się pod moją koszulę, a usta, które całowały tę bezzębną pijaczkę, zaczną szukać moich ust, poczułam mdłości tak silne, że z trudem udało mi się nad nimi zapanować. Tym razem jednak nie chciał ode mnie niczego. Po prostu siedział i cicho pojękiwał. Wyciągnęłam rękę i zmusiłam się, żeby

lekko, samymi opuszkami palców dotknąć jego pleców.

– Józef? – szepnęłam, zdając sobie sprawę, że chyba po raz pierwszy, odkąd tu jestem, zwróciłam się do niego po imieniu.

– Matka ją zabiła – powiedział nagle. – Zabiła ją, słyszysz?! – krzyknął.

Usiadłam na materacu, nie mając pojęcia, o czym mówi.

– Chodź, musimy się jej pozbyć! – dodał piskliwym, niemal histerycznym tonem.

– O czym ty mówisz? – zapytałam, starając się nie wpadać w panikę.

– Moja matka ją zabiła, nie słyszysz?! – wymamrotał.

Wstałam i wsunęłam bose stopy w obrzydliwe, różowo-żółte plastikowe klapki, które kupił dla mnie kilka tygodni wcześniej. Józef podniósł się z materaca, kiedy podeszłam do drzwi. W korytarzu było ciemno, z dołu też nie dochodziła żadna poświata. Szłam, licząc kroki i trzymając się ściany. Tu gdzieś powinny być schody... Nagle pomyślałam o ucieczce. Józef wyglądał na kompletnie rozbitego psychicznie, teraz mogłoby mi się udać – przeszło mi przez myśl. W tym samym momencie on zacisnął palce na moim ramieniu, jakby intuicyjnie wyczuł, co mi chodzi po głowie.

– Idź prosto do salonu! – powiedział.

Byłam w progu, kiedy zapalił światło.

Irena, z całą pewnością martwa, siedziała na kanapie z nienaturalnie odchyloną do tyłu głową. Bezzębne usta rozchylone jak do krzyku, ręce rozrzucone na boki, szeroko otwarte oczy. Na jej szczupłym lewym przegubie migotała tania bransoletka z zawieszkami. Słoń, wieża Eiffla i czterolistna koniczyna, która nie przyniosła jej szczęścia. Stałam nad nią, wstrzymując oddech, i chociaż serce biło mi w piersi jak szalone, nie czułam żalu ani smutku. Nigdy wcześniej nie widziałam trupa, jednak to kruche, martwe już chyba za życia ciało nie zrobiło na mnie niemal żadnego wrażenia. Może dlatego, że zaskorupiona w swoim własnym cierpieniu nie potrafiłam już współczuć nikomu innemu, a może po prostu z powodu jej skrajnego wycieńczenia? Ta kobieta, już kiedy ją poznałam, wyglądała niczym chodzący trup. To, że umarła, było dla mnie tak samo oczywiste, jak fakt, że rano wstanie

słońce.

– Widzisz, nie żyje! – zaskowyczał Józef za moimi plecami, a jego skamlący głos ponownie przyprawił mnie o mdłości.

– Co jej zrobiłeś? – zapytałam wypranym z emocji głosem.

– Nic, kurwa! Taką ją znalazłem! Może to serce, nie wiem... Dużo wypła, bardzo dużo... Musisz mi pomóc, słyszysz?! Musimy ją stąd zabrać, pozbyć się jej! Inaczej matka będzie zła, bardzo zła! Nie lubiła jej, teraz rozumiem! – mamrotał.

Wyobraziłam sobie, że wciska mi w dłoń łopatę i każe kopać dół. Gdzieś tam w sadzie, nieopodal naprędce wykopanego grobu, w którym złożył tę nieszczęsną dziewczynę. Spojrzałam w stronę drzwi. Klucze! Gdzie są klucze?

– Pomogę ci! Zakopiemy ją w ogrodzie, nikt się nie dowie  
– kusiłam, wyobrażając sobie, jak uzbrojona w łopatę rzucam się na niego, rozwalam mu łeb i uciekam.

Ale on nie zamierzał ułatwiać mi życia.

– Sam sobie poradzę – powiedział.

Głos miał twardy, o wiele pewniejszy. Najwyraźniej zdołał już do siebie dojść, otrząsnąć się z pierwszego szoku.

– Sam sobie poradzę. Z tobą będę miał problem, ale ona ważyła tyle, co nic – dodał.

„Z tobą będę miał problem”... – powtórzyłam w myślach. Nie powiedział: „miałbym”. Powiedział: „będę miał”; jakby fakt, że umrę tutaj podobnie jak ona, był już z góry przesądzony.

Wzdrygnęłam się.

– Wracamy na górę! Nie wiem, po co kazałem ci tu schodzić  
– mruknął.

– Posłuchaj, pomogę ci! Mogłabym...

– Na górę! Niepotrzebnie cię tu ściągnąłem! Idź spać, do rana się z tym uporam!

Kiedy zamknął mnie w pokoju, zaczęłam nasłuchiwać. Na początku coś szurało, później kilkakrotnie trzasnęły frontowe drzwi, w końcu usłyszałam cichy warkot silnika.

Nie wracał długo, bardzo długo. Za oknem wstało słońce i rozświergotało się ptactwo, a jego nadal nie było. Nagle wyobraziłam

sobie wszystkie możliwe scenariusze. Co, jeśli miał wypadek? Co, jeśli postanowił się zabić i z trupem w bagażniku umyślnie wjechał w filar wiaduktu? Czy są możliwe bardziej optymistyczne rozwiązania? Czy mogła go złapać policja? Czy w takim wypadku powie im o mnie? A może nie będzie musiał? Może przyjadą tu i sprawdzą cały dom, a ja będę wolna? – myślałam. Słońce prażyło już przez okienną szybę całkiem ostro, kiedy podjechał pod dom i zaczął się kręcić po ogrodzie.

Wrócił...

Wrócił i nic się nie zmieniło.

Po kilku minutach szczęknęła zasuwka i Józef podał mi wodę.

Zapytałam, co zrobił z ciałem.

Wzruszył ramionami, obojętny i nieczuły.

– Wywozłem ją w las, daleko, daleko stąd. Zagrzebałem pod stertą gałęzi, przykryłem kamieniami. Przy odrobinie szczęścia szybko jej nie znajdą – powiedział.

Pomyślałam o spacerowiczach z psami, ale zachowałam tę myśl dla siebie. Jeśli ją znajdą i jakimś cudem powiążą z jego osobą, będę uratowana. Jak jednak mieliby to zrobić? Nie miałam pojęcia...

– Pij, zaraz będzie śniadanie – powiedział Józef, siadając na skraju krzesła. – Chyba nadwerżyłem sobie plecy – dodał.

– Współczuję – powiedziałam, chociaż pomyślałam zupełnie co innego.

Dobrze ci tak, ty pochrzaniony kutasie!

Zaczął ruszać głową na boki, jakby chciał ulżyć usztywnionemu karkowi.

– Musiała mieć coś z sercem – powiedział.

– W nocy mówiłeś, że zabiła ją twoja matka – przypomniałam mu kąśliwym tonem.

– W nocy wszystko wygląda inaczej...

– Wypuść mnie stąd – powiedziałam cicho.

Zaczął się śmiać, rechotał, bijąc pięściami o swoje uda, zanosił się śmiechem tak gwałtownym, że w końcu się rozkaszał.

– Zabawna jesteś, świnko – powiedział w końcu, wstając.

Kiedy wyszedł, przypomniałam sobie uziemioną swego czasu przez rodziców Magdę. Zawaliła matematykę i dostała szlaban na

wieczorne wyjścia z przyjaciółmi. Niezrażona zakazem wymknęła się jednak z domu i poszła nocą nad wyrobisko, gdzie trwała jedna z tych spontanicznych, mocno zakrapianych winem imprez. Następnego dnia tato zamknął ją na klucz w pokoju i wpadła w szal. „Wypuście mnie stąd, nie możecie mnie tu trzymać!” – darła się, kopiąc w drzwi.

Trzynastoletnia furia z burzą hormonów w drobnym ciele. Teraz miałam ochotę zrobić to samo. Podejść do drzwi i kopać w nie, dopóki się nie rozpadną. Wiedziałam jednak, że drewno było solidne, a Józef głuchy na moje błagania...

Nocą pomyślałam o wiszącej pod sufitem gołej żarówce. Co, jeśli ją wykręcę, stłukę, rozdrobnię kłapką i połknę szkło? Czy on zawiezie mnie do szpitala, czy po prostu będzie się przyglądać, jak konam w mękach? – zastanawiałam się przez chwilę. Szybko jednak zrozumiałam, że o szpitalu nie miałam co marzyć. Gdybym rzeczywiście była na tyle głupia, żeby zacząć połykać szkło, on z całą pewnością pozwoliłby mi umrzeć. Musisz szukać wyjścia, ale nie możesz stawiać na takie autodestrukcyjne rozwiązania – powiedziałam sobie w duchu. Musisz go przechytrzyć, ale nie możesz zniszczyć samej siebie.

Kiedy udało mi się zasnąć, śniłam o Jakubie. Kochaliśmy się pod prysznicem, w pełnej pary kabinie, a strugi gorącej wody obmywały nasze ciała z całego tego szlamu, który codziennie do człowieka przylegał. Krzyczałam z rozkoszy, błagałam go o więcej, drapałam paznokciami jego plecy. Obudziłam się prawie szczęśliwa. Dopiero dochodzące z parteru krzyki sprawiły, że momentalnie wróciłam do rzeczywistości. „Zabiłaś ją, bo zawsze mi wszystko odbierasz!” – wrzeszczał Józef, najpewniej prowadząc ożywiony i jednostronny dialog ze swoją nieżyjącą od dawna matką. „Nie, to ty mnie posłuchaj! Ty wściekła suko, nigdy nie traktowałaś mnie jak syna!” – wrzeszczał. Nakryłam głowę poduszką i zaczęłam śpiewać kołysankę, którą pamiętałam z dzieciństwa. Mamo. Mamusiu... Tak bardzo za tobą tęsknię. Nagle przeszła mi przez głowę okropna, naprawdę upiorna myśl. Co, jeśli oni już nie żyją? Tato z jego cukrzycą i marnym zdrowiem, mama po operacji... Minęło kilka lat, a oni trwali w takim koszmarnym stresie. Niepewni mojego losu, załamani. Co, jeśli kiedyś wrócę do domu, a ich już tam nie będzie? – zastanawiałam się, a ciepłe łzy

wsiąkały w stare, poźółkłe prześcieradło.

– Mamusiu, tak bardzo za tobą tęsknię – szepnęłam.

Odpowiedziała mi cisza.

Po chwili na dole coś głucho rąbnęło i usłyszałam przesiąknięty złością głos Józefa wyzywającego od najgorszych swoją zmarłą matkę. Kiedy ostatecznie się uspokoił, przez moment nie dochodziły do mnie żadne odgłosy, w końcu usłyszałam jego kroki na schodach. Kiedy podszedł do moich drzwi, jak zawsze stężałam, usiłując nastawić się psychicznie na to, co może mnie czekać. Tym razem jednak nie szczęknęła zasuwka. Józef przechadzał się korytarzem, mamrocząc coś pod nosem i po dłuższej chwili wrócił na dół.

## 11.

Pierwszy listopada rozpoczął się deszczem, który pod wieczór zaczął przechodzić w śnieg. Jak co roku we Wszystkich Świętych myślałam o babci. Odeszła kilka lat przed moim zaginięciem; zmarła nagle, w swojej kuchni. Znalazła ją mama. I chociaż nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, teraz zrozumiałam, jakie to musiało być dla niej ciężkie. Znaleźć martwą matkę, dotknąć nieubłaganego majestatu śmierci... Płakała? Krzyczała? A może tylko usiadła na jednym z drewnianych taboretów i cicho, cichutko powtarzała jej imię, jakby jeszcze wierzyła, że tamta zdoła odpowiedzieć? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, teraz tego żałowałam. Zresztą żałowałam tak wielu rzeczy. Tylu spraw nie zdążyłam z bliskimi omówić, o tyle rzeczy nigdy ich nie zapytałam. Zawsze wierzyłam, że będzie na to czas, że przecież zawsze zdążymy. Nie przewidziałam tylko jednego. Tego, że ktoś mi ten czas zabierze, że wydrze mi go z rąk i z serca, wciśnie w szalone ramy bezczynności.

Czwartego listopada Józef zjawił się u mnie koło południa. Wyglądał na zmęczonego i niewyspanego, sprawiał wrażenie człowieka, który ma dość wszystkiego, włącznie z samym sobą.

– Muszę dziś coś załatwić, trochę mnie nie będzie – powiedział. Zauważyłam, że zaciął się przy goleniu i trzęsą mu się ręce.

– Przy okazji chyba skoczę na grób matki. Powinienem był tam jechać już pierwszego. Pewnie czekała. Tyle światełek dookoła, a u niej ani jednego znicza... – dodał.

Prawie parsknęłam śmiechem, z trudem udało mi się powstrzymać. Martwi się, że nie zdążył zapalić matce światełka na grobie... Ale kiedy trzeba było wezwać karetkę, porzucił ją na podłodze i pozwolił jej umrzeć, pomyślałam.

Józef usiadł na krześle. Opadł na nie ciężko, jakby nagle wyzuty z życiodajnych sił. Zaskrzypiało pod jego ciężarem. Zaczął się drapać po głowie, w zamyśleniu zerkając w stronę okna.

– Myślisz, że powinienem odwiedzić Zenka? Leży z dziadkami, dwie alejki dalej – powiedział.



Wiedząc, że czeka na moją odpowiedź, mruknęłam, że nie mam pojęcia.

Spojrzał na mnie krzywo, spode łba.

– Nigdy nie byłaś zbyt pomocna – burknął.

Nie odpowiedziałam.

Wstał i podszedł do okna.

– Sypie – powiedział.

– Sypie od pierwszego – wzruszyłam ramionami.

– Cała zima przed nami – dodał.

Wzdrygnęłam się.

Cała zima... A później wiosna, lato, jesień, kolejna zima... Chyba że którejś litościwej nocy zamknę oczy na dobre i już się nie obudzę. Tak, ostatnimi czasy coraz częściej marzyłam o śmierci, wydawała mi się jedynym możliwym wybawieniem. Nawet jeśli zostawiłabym doczesne szczątki w rękach tego szaleńca. Z czasem i tę ponurą myśl zaczęłam oswajać. W końcu, kiedy zamknę oczy, będzie mi już wszystko jedno. A może nie?

– Chłodno tu – powiedział Józef.

Siedziałam na materacu, oparta plecami o zimną ścianę.

– Słyszysz, co mówię? Chyba jednak będę musiał wstawić tę drugą szybę. Zapowiadają silne mrozy – mruknął bardziej do siebie niż do mnie i ruszył w stronę drzwi.

Szczęknęła zasuwka.

Chwilę później usłyszałam trzaśnięcie frontowych drzwi i cichy warkot silnika. Nie związał mnie – zdałam sobie sprawę, wstając. Nie związał, nie zakneblował, po prostu zamknął w mojej celi i pojechał. Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej. Tracił czujność, zrobił się niedbały, mniej uważny. A może po prostu nie byłam już dla niego tak cenna jak kiedyś? Może nawet liczył na to, że w końcu coś sobie zrobię, uwalniając go od niezręcznej obecności kogoś, kogo nie da się ani wyrzucić, ani w żaden inny sposób pozbyć. Chyba że zabić...

Podeszłam do drzwi i lekko nacisnęłam klamkę. Były zamknięte, ale przez chwilę wyobrażałam sobie, że udaje mi się je otworzyć i wyjść na zewnątrz. Napałam na nie barkiem, ale ani drgnęły. Kopnęłam, uderzając się w duży palec lewej nogi. Cholera! Śnieg za oknem sypał

coraz gęściej; musiało też ostro wiać, bo płatki wirowały, oblepiały szybę, osiadały na okiennych kratkach. Nagle zauważyłam jakiś ruch, plamę zieleni na śniegu. Oparta o parapet zamilkłam i mrużąc oczy, spojrzałam na zaśnieżone pola. Dzieci. Widywałam je tam już wcześniej – trzech na oko dwunastoletnich chłopców, obrzucających się śnieżkami. Stałam oparta o parapet, a serce waliło mi w piersi, jakby chciało wyskoczyć. Jakaś część mnie, nie zważając na mróz, chciała zbić szybę i krzyczeć, błagać o pomoc, wrzeszczeć do utraty głosu, do końca świata. Wiedziałam jednak, że są za daleko, ich kolorowe kurtki były jedynie barwnymi plamami pośród wszechobecnej bieli. Mogę zbić szybę i krzyczeć, ale zajęci zabawą, przekrzykujący się nawzajem, nawet nie spojrzą w moją stronę. A później wrócą tam, skąd przyszli, a ja, kuląc się z zimna, będę czekać, aż on wróci. Na widok rozbitej szyby wpadnie w szal. Zamknie mnie w piwnicy? Pobije? Zgwałci? Ostatnio nie przychodził już do mnie nocami. Być może z wiekiem zmałały jego potrzeby, być może mu się znudziłam. Nie obchodziło mnie to, czułam jedynie ulgę. Ale jeśli rozbiję tę przeklętą szybę... Przyłożyłam do niej dłoń, rozpostarłam palce na zimnym szkle. Chłopcy gonili się po na wpół przesłoniętym przez sad polu. Zaśnieżone owocowe drzewa, niczym milczący strażnicy, odbierały mi nawet część tego widoku, zazdrośnie strzegąc tajemnic domu na odludziu. W końcu dzieciaki zniknęły. Zauważyłam, że ten w zielonej kurtce ciągnął za sobą na sankach kolegę, trzeci z chłopców, podskakując, biegł kilka kroków przed nim.

– Jestem tu zamknięta, przetrzymuje mnie szalenie – szepnęłam, połykając łzy.

Zanim całkowicie zniknęli mi z oczu, zaczęłam uderzać o okienne ramy i wrzeszczeć „ratunku”, ale mój głos rozbrzmiewał jedynie w pokoju o zielonych tapetach, niezdolny do przedarcia się przez ściany. W końcu opadłam na materac i leżałam skulona pod kołdrą, myśląc o domu. Kiedy się ściemniło, zgłodniałam. Chciało mi się pić i musiałam skorzystać z łazienki, ale Józefa nadal nie było. Wypiłam odrobinę wody, którą zostawił mi w plastikowej butelce, i coraz bardziej niespokojnie krążąc po pokoju, nasłuchiwałam. Jednak pomimo panującej w domu absolutnej ciszy, nie docierały do mnie żadne

świadczące o jego powrocie dźwięki. Zapaliłam światło. Która może być godzina? Szesnasta trzydzieści? Siedemnasta? – zastanawiałam się.

Późnym wieczorem byłam już wściekle głodna i równie przerażona. Owszem, zdarzały mu się już takie kilkugodzinne eskapady, ale zawsze uprzedzał, że będzie późno. Tym razem miało go nie być przez dwie, może trzy godziny, na pewno nie tak długo! Co, jeśli miał wypadek? To dobrze czy źle? – zastanawiałam się, wyobrażając sobie Józefa otoczonego cicho pikającą szpitalną aparaturą.

Dzwonek do drzwi rozbrzmiał tak nagle, że aż podskoczyłam. Ktoś jest przy furtce – zrozumiałam, rzucając się w stronę drzwi.

– Ratunku! Zostałam porwana! Proszę wezwać policję!  
– krzyczałam tak głośno, jak potrafiłam, ale nikt nie odpowiadał.

Po chwili dzwonek odezwał się jeszcze raz i zapadła cisza. Wrzeszczałam chyba przez kwadrans, chociaż zdołałam się już domyślić, że ktokolwiek był przy furtce, dawno sobie poszedł. W końcu z płaczem opadłam na łóżko. Idiotka! Trzeba było rozbić szybę!  
– wyrzucałam sobie. Zasnęłam tylko na moment i śnił mi się prawdziwy koszmar. Goniona przez olbrzymiego czarnego psa, szarpałam za rękę biegnącą tuż za mną młodszą siostrę, która w moim śnie miała nie więcej niż cztery lata. Obudziłam się z krzykiem i uczuciem grozy, która dosłownie odbierała mi oddech.

– Józef? – szepnęłam, siadając na materacu.

Odpowiedziała mi cisza, jednak przez krótką chwilę miałam upiorne wrażenie, że ktoś jest ze mną w pokoju. Noc była długa i niespokojna. Zasypiałam i budziłam się na przemian, bliska płaczu, drżąc z zimna. W gardle mi zaschło, kołdra nie do końca chroniła przed bijącym od nieszczelnego okna chłodem.

Rano zrozumiałam.

On nie wróci.

Porzucił mnie na dobre, być może zaczął się gdzieś niedaleko z nadzieją, że kilka dni później będę martwa, a on będzie mógł zacząć coś nowego, innego, z kimś innym uwięzionym w tym pokoju, na tym cuchnącym stęchlizną materacu, pomyślałam. Przez jakiś czas krążyłam po mojej pustelni niczym lwica zamknięta w przyciasnej klatce, w końcu usiadłam na krześle, mówiąc sobie, że powinnam oszczędzać siły. Wody

już nie miałam. Tych kilka łyków, które trzymałam w butelce do ostatka, skończyło się kilka godzin wcześniej. Sikałam, kucając w kącie pokoju, starając się trafić do butelki po wodzie mineralnej. Jeśli będzie trzeba, wypiję własny mocz, pomyślałam. Zrobię wszystko, żeby przetrwać. Na razie nasłuchiwałam. Po południu zasnęłam, jakbym wierzyła, że sen pomoże się zregenerować odwodnionemu organizmowi, da mu siłę do dalszej walki. Walki o co? – powiedział jakiś cichy głos w mojej głowie, ale starałam się go nie słuchać.

Kolejnej nocy zrozumiałam, że kończy mi się czas. Tak bardzo zaschło mi w gardle, że z trudem przełykałam ślinę. Plastikowa butelka z moczem stała na parapecie i w końcu po nią sięgnęłam. Jasnosłomkowy płyn w środku wyglądał niewinnie, nie potrafiłam się jednak zmusić, żeby wypić chociażby maleńki łyk. Jeszcze nie teraz, powiedziałam sobie, odkładając ją nietkniętą. Śnieg na parapecie wyglądał coraz bardziej kusząco. Wiedziałam jednak, że na zewnątrz był mróz. Jeśli zbiję szybę, nadal będę zamknięta, za kilka godzin wychłodzę się na śmierć.

Zasnęłam chwilę później, zapadłam się w sen niczym maleńkie dziecko w puchową kołdrę. Czas, który od dnia porwania ciągnął mi się w nieskończoność, teraz jeszcze bardziej spowolnił, rozciągnął się do granic możliwości. Bolała mnie głowa i czułam się tak, jakbym nie była już w stanie wykonać żadnej, nawet najprostszej czynności. Przed oczami latały mi ciemne plamy, umysł błędził gdzieś daleko, w sobie tylko znanych odległych rejonach. Śniłam o pełnej kaktusów pustyni, kolcach wbijających mi się w skórę, poranionych przez kamienie stopach. Szłam, pocąc się, płonąc od środka i chociaż miałam dreszcze, czułam się tak, jakbym zaraz miała się zapalić. W końcu zupełnie straciłam poczucie czasu, dzień zmieszał się z nocą, wspomnienia z rzeczywistością. Zasypiałam i budziłam się na przemian, czasem ssałam róg brudnej poszwy, ale w moich ustach nie było już śliny. Powinnam zbić szybę i zebrać z parapetu śnieg – przeszło mi przez myśl. Nie potrafiłam jednak się zmusić, żeby wstać, nie potrafiłam nawet zebrać myśli.

Nie pamiętam momentu, w którym zjawił się w moim pokoju. Nie usłyszałam szcęknięcia zasuwki, nie dotarła do mojej świadomości cudza

obecność. Dopiero kiedy uklęknął przy materacu, opuszkami palców muskając mój policzek, udało mi się wyszeptać jedno najbardziej upragnione słowo.

– Pić...

Zerwał się na równe nogi i wybiegł z pokoju.

Leżałam bez ruchu, bez cienia nadziei.

– Józef, wody... – szepnęłam, kiedy pod jego ciężarem zatrzęszczały schody i zjawił się z powrotem w pokoju.

Woda... Była chłodna, cudowna, lekko gazowana. Podniósł mi głowę, pomagał utrzymać szklanekę, przemawiał łagodnym, uspokajającym głosem. Nie pamiętam momentu, w którym ponownie zasnęłam. A może na moment straciłam przytomność? Ze snu wyrwały mnie dopiero ciężkie kroki na schodach i obce, podniesione głosy.

– Pan ją tutaj znalazł?

– Kim pan jest?

– Kurwa, co za koszmar! Wygląda na to, że była tu przetrzymywana...

– Jak długo była tu zamknięta?

– Jak to, nie ma pan pojęcia?

– Dobra, Wojtuś, podnosimy ją.

– O kurwa, ciężka jest.

– Spokojnie, kochanie, już dobrze.

– Cholera, czekaj, nie tak! Wąsko tu!

– Dobra, jesteśmy!

– Ty, a to nie ta poszukiwana przez lata bibliotekarka? Ta, której...

– Zamknij się, chłopie, nie teraz!

Obce, męskie głosy przemawiały gdzieś pod moją czaszką, wdzierały się do mojej głowy nieproszone, niezrozumiałe. Dopiero, kiedy wkładali nosze do karetki, a mroźne powietrze wdarło mi się w płuca i na chwilę mnie otrzeźwiło, zrozumiałam, że jakimś cudem, po latach udręki i niewoli, musiała nadejść pomoc. Zaczęłam krzyczeć. Mamo, zabierz mnie do domu – błagałam, ale krzyk rozbrzmiewał tylko w mojej głowie.

W karetce było duszno i cuchnęło wymiocinami. Leżałam bez ruchu, podczas gdy ktoś podpinał mi wenflon, ktoś inny sprawdzał moje

żrenice małą latarką. Obce dłonie były ciepłe, kojące. Obce głosy przemawiały łagodnie, uspokajająco. Leżałam z zamkniętymi oczami, bałam się, że kiedy je otworzę, zobaczę zupełnie obcy, nie mój świat.

Podróż do szpitala wydała mi się jedną krótką chwilą – zaatakowana przez zapachy, dźwięki, spojrzenia, bezwolna niczym szmaciana lalka, leżałam na wąskich noszach, zastanawiając się, co teraz. Kim się stałam i kogo odnajdą moi bliscy? Kim się stali oni? Co dalej? Gdzie? Jak długo? Łzy płynące po moich policzkach otarła ręka w cienkiej chirurgicznej rękawiczce.

– Już dobrze, kochanie. Niedługo będziesz w domu.

Samochód lekko zahamował, przejechał przez jakieś wyboje. Parking, mróz, klucie w płucach, oszklone drzwi, ciekawskie spojrzenia. Szpital był mocno oświetlony, pełen kolejnych obcych twarzy. Nachylały się nade mną, kiwały głowami, otwierały usta, wywracały oczyma. Chcąc odgrodzić się od świata, który od lat nie był moim światem, zacisnęłam powieki i wbiłam w dłonie paznokcie. Kim jestem? Kim jesteście? Gdzie jestem? – po głowie tłukły mi się tylko te pytania, zupełnie jakbym nie potrafiła myśleć o czymś innym, jakby mój mózg ostatecznie odmówił współpracy. Nagle pomyślałam o nim. Józef! Nie żyje? Złapała go policja? Zabił się?

Ktoś coś do mnie mówił, ale przestałam rozróżniać słowa.

– Dajcie ją do dwunastki!

Młody, męski głos.

Usiłowałam otworzyć oczy, ale powieki były ciężkie jak z ołowiu. Chwilę później odpłynęłam na dobre, zapadłam się w aksamitną otchłań nieświadomości.



**CZĘŚĆ TRZECIA**  
*Obce twarze, obce dłonie*

## 12.

Stali nade mną. Nachylali się nad wąskim szpitalnym łóżkiem, potrząsali głowami, wymieniali spojrzenia. Ich konspiracyjne szepty nie docierały do moich uszu, ale nieustanna obecność drażniła, niepokoiła. Wymięte kitle, zaczerwienione z niewyspania oczy, wystające z kieszeni stetoskopy. Krążyli wokół mnie ze splecionymi za plecami rękoma, pochrząkiwali, zapisywali coś w karcie. Gdzieś w głębi mojej poharatanej duszy wiedziałam, że powinnam czuć wdzięczność, ale nie potrafiłam nawet spojrzeć im w oczy. Może dlatego, że przyglądali mi się z widoczną na ich twarzach mieszanką niezdrowej ciekawości i współczucia?

- Podobno była latami przetrzymywana przez szaleńca...
- Bóg jeden wie, co jej się przytrafiło...
- Nie, fizycznie nie jest w jakimś szczególnie złym stanie, ale psychicznie pewnie szybko do siebie nie dojdzie...

Kiedy znikali lekarze, pojawiały się pielęgniarki. Wymieniały uwagi głośniejsz, śmieiej sobie poczynają, rozmawiając nad moją głową. Dla nich byłam nie tyle przypadkiem medycznym, co kimś, kogo losy można by śledzić w jakimś telewizyjnym tasiemcu. Dotykały mnie ich dłonie. Gładziły, podciągały, nakłuwały. Ciepłe i współczujące; ręce kobiet, które wszystko już widziały i wszystkiemu są w stanie podołać. W ich głosach było współczucie, w oczach litość. Nie chciałam jej widzieć, odwracałam głowę.

Później zjawiła się mama.

Z jej odrostu wyzierało znacznie więcej siwych włosów, niż zapamiętałam, siatka zmarszczek wokół oczu wyraźnie się zageściła. I chociaż wiedziałam, że to ona, nie potrafiłam odnaleźć w niej kobiety, którą lata temu zostawiłam w rodzinnym domu. Była wychudzona, przygarbiona, inna. Przypominała spragnionego ptaka bezradnie krążącego wokół pustego poidła. Po policzkach spływały jej przemieszane z czarnym tuszem łzy, ręce jej drżały, nie mogły znaleźć sobie miejsca. Oparła się o parapet i powtarzała moje imię. Mamo, mamusiu, myślałam, nie potrafiłam jednak powiedzieć tego na głos. Za



pierwszym słowem będą musiały pójść kolejne, za nimi wszystko to, co mi się przytrafiło. Nie chciałam im o tym mówić. Nie wyobrażałam sobie, że cały ten rynsztok zalegnie między nami, wciągnie moich bliskich, wessie ich niczym młazszczące torfowe błoto.

Tato zjawił się równie niespodziewanie co ona.

Usiadł w nogach łóżka, wyglądał na wzruszonego. Wiedziałam, że to on, ale jego też nie poznawałam. Był całkiem siwy, przerażony, obcy, zniszczony tęsknotą, powalony nią, zupełnie jak strzaskane przez piorun drzewo. Trzęsły mu się ręce, które w końcu zacisnął w pięści. W jego twarzy widziałam wdzięczność, ale też ból i złość. Mama sprawiała wrażenie kogoś, kto dziękuje w sercu losowi za to, że zwrócił jej córkę. Ojciec wyglądał tak, jakby targła nim głównie wściekłość. Na podłe przeznaczenie, bydlaka, który zamienił moje życie w piekło, może nawet na mnie? Jak mogłaś być tak głupia, żeby wsiąść do tego samochodu?! O tym właśnie myślał? Ściany były zielone, podobnie jak drzwi. Zieleń pistacjowa, miętowa, morska, malachitowa, szmaragdowa. Pieprzone morze zieleni, zakleszczające się nade mną, przytłaczające...

– To nie jest Monika! – usłyszałam głos siostry.

Musiała wejść niezauważona, zaraz po tacie. Moja mała, pyskata siostrzyczka, która teraz nawet nie potrafiła na mnie spojrzeć. Matka coś do niej mówiła, ale Magda nie słuchała. Cofnęła się z wymalowaną na twarzy odrazą, a ja pomyślałam o monstualnie grubej, zaniedbanej kobiecie, która ukradła mi moje życie. Wiedziałam, że w pewnym sensie ona to ja, ale nie potrafiłam jej zaakceptować. Ciało, w którym od kilku lat żyłam, było obce, wrogie, inne. Nie moje. Czułam się tak, jakby zakleszczyła się w nim moja dusza, jakby władzę nade mną przejęła jakaś obca, szpetna i nieprzyjazna istota. „Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak ohydnie wyglądasz, świnko?!” – usłyszałam w głowie szyderczy głos Józefa.

– To nie jest Monika! – krzyknęła histerycznie moja siostra, zanim wybiegła z pokoju.

Tato lekko pogłaskał moją łydkę. Znieruchomiałam, zaciskając powieki. Matka wybiegła za siostrą, coś za nią krzyczała. Leżałam bez ruchu, niepewna, co właściwie czuję. Wyobrażając sobie spotkanie z bliskimi, myślałam o skrajnej wręcz euforii, ale teraz chciałam tylko,

żeby już sobie poszli, żeby nie stali mi nad głową. Męczył mnie nadmiar emocji, przerażała własna obojętność. Wróciła matka, tuż za nią Magda. Moja młodsza siostra też wyglądała inaczej, równie obco jak oni. Musi być po trzydziestce – zdałam sobie sprawę, przyglądając jej się kątem oka. Przynęła sobie taboret i położyła dłoń na mojej dłoni. Miała lodowato zimne palce, ale nie cofnęłam ręki. Ojciec mówił coś, czego nie byłam w stanie zrozumieć, po chwili do sali wszedł lekarz, którego poznałam po głosie – to on kilka godzin wcześniej kazał umieścić mnie w dwunastce. Matka płakała, pociągając nosem. Drażniło mnie to i wzruszało jednocześnie, poruszało jakąś czułą strunę w sercu, coś, o czym przez ostatnie lata dawno zdołałam zapomnieć. Stanęli mi nad głową, rozmawiali. Silne leki, zespół stresu pourazowego, potrzeba czasu. Leżałam bez ruchu i tylko zaciśnięta na mojej dłoni ręka siostry w pewien sposób łączyła mnie z przeszłością.

Młoda pielęgniarka zjawiła się chwilę później i zaczęła mówić coś o tym, że potrzebuję odpoczynku. Mama zaprotestowała, ale tato już ruszył w stronę drzwi.

– Pójdę poszukać Saszy – powiedziała moja siostra, wstając.

Nie miałam pojęcia, kim jest Sasza, ale też niewiele mnie to chyba wtedy obchodziło. Po prostu tam tkwiłam, zastanawiając się, co mogę powiedzieć ludziom, którzy być może w duchu już mnie pogrzebali. Z kroplówki sączył się przezroczysty płyn; głowa bolała mnie nieco mniej, ale nadal coś pulsowało mi w skroniach. Pielęgniarka była ruda. Irlandzki typ urody, który kiedyś podobał się Jakubowi. Kuba... Na myśl o mężu poczułam dziwne ukłucie w sercu. Gdzie jest? I czemu nie ma go przy mnie teraz? Chociaż nie, chyba jednak tego nie chcę...

– Odpoczywaj, kochanie – powiedziała dziewczyna, poprawiając coś przy kroplówce.

Mama wyszła, ale zanim to zrobiła, pocałowała mnie w czoło.

– Córciu... – szepnęła.

Lekarka zjawiła się chwilę później. Wysoka szczupła blondynka koło trzydziestki. Przyglądałam się jej, nie mogąc sobie przypomnieć, skąd ją znam. I w końcu do mnie dotarło. Wyglądała niemal dokładnie tak, jak ja kiedyś. Ten sam owal twarzy w kształcie serca, te same wysokie kości policzkowe, duże oczy, sięgające ramion proste włosy

w jasnym odcieniu blond. Miała staranny makijaż i odważną, ostrą czerwoną szminkę na ustach.

– Pani Moniko, słyszy mnie pani? – zapytała, sięgając po kartę.  
Milczałam.

Ktoś wślizgnął się do pokoju, mamrocząc pod nosem jakieś przeprosiny. Czyjeś obce ręce namoczyły wacik w spirytusie i wkłuły się w moją żyłę, biorąc kolejną porcję krwi do analizy.

– Co z tym USG, pani doktor?

Obcy głos, nowy.

– Zaraz trzeba będzie ją zabrać – lekarka zawiesiła moją kartę na metalowej ramie szpitalnego łóżka i przysiadła na jednym z taboretów.  
– Pani Moniko, czy możemy przez chwilę porozmawiać? Rozumie pani, co się stało, prawda? Chciałabym, żeby powiedziała mi pani, jak się czuje... Na pewno jest pani zdezorientowana, może przerażona... To normalne. Ważne, żebyśmy zaczęły teraz jakoś te emocje układać. Żeby udało się pani możliwie jak najszybciej oswoić sytuację, wyjść naprzeciw nadchodzącym wydarzeniom – dodała.

Odwróciłam głowę i spojrzałam jej prosto w oczy. Mocny, zmysłowy zapach jej perfum sprawił, że zakręciło mi się w głowie. W odosobnieniu, zdana na łaskę i niełaskę szaleńca, odwykłam od nowych zapachów. Lekarka czekała spokojnie, studiując moją napuchniętą, obrzękłą twarz równie uważnie, jak ja studiowałam jej rysy. W końcu poprawiła włosy, zakładając je za ucho, a niewielki złoty kolczyk zamigotał w ostrym świetle szpitalnych lamp. Poczułam złość. Czemu przysłali do mnie tę idealną kopię mnie samej z odległej szczęśliwej przeszłości? To jakiś okrutny żart? Koszmar, który nadal śnię, chociaż wydaje mi się, że tym razem to wszystko dzieje się naprawdę? – przeszło mi przez myśl.

Blondynka w kitlu czekała, spoglądając przez okno na sypiący nieustannie śnieg.

– Chcę stąd wyjść – szepnęłam.

Odwróciła głowę, zaskoczona faktem, że w końcu przemówiłam; w kącikach jej starannie uszminkowanych warg pojawił się cień uśmiechu.

– Wyjdzie pani, już niedługo – powiedziała. – Najpierw musimy...

– Monika, jesteś potrzebna na dole – młody lekarz w zmiętym, błękitnym kitlu zjawił się w progu, wchodząc koleżance w słowo.

Monika... Zarówno moje, jak i jej imię brzmiało w jego ustach tak przerażająco obco. Pewnie dlatego, że przez ostatnie lata nikt się tak do mnie nie zwracał. Dla Józefa byłam świnką, czasem księżniczką albo dla odmiany suką, ale nigdy Moniką.

Młoda lekarka wstała, odruchowo wygładzając nieskazitelnie biały kitel. Na serdecznym palcu jej prawej dłoni mignęła wąska złota obrączka.

– Już idę – uśmiechnęła się do niego zalotnie.

Kokieteria w jej głosie aż wibrowała, lekka niczym wznoszący się do lotu motyl, niepasująca do tego rozświetlonego jarzeniówkami, przesiąkniętego środkami antyseptycznymi i cierpieniem miejsca.

– Pojedzie pani teraz na USG, dobrze? – zwróciła się do mnie znacznie bardziej formalnym tonem, a chwilę później wyszła.

Korytarz był pełen ludzi. Jedni mieli na sobie prążkowane szlafroki bądź kraciaste piżamy, inni lekarskie kitle. Spoglądali na mnie, odwracali się za mną, mrużyli oczy. Lustrowali wzrokiem moją tuszę, oceniali mnie, czuli się lepsi. Pielęgniarka pchająca inwalidzki wózek, na którym siedziałam, pachniała lawendą. „Nic się nie denerwuj, kochanie” – powtarzała, kiedy wjeżdżałyśmy do dużej, metalowej windy, w której poczułam się jak w klatce. Na dole też wszyscy się na mnie gapili. Wiedziałam, że tylko to sobie wmawiam. Że jestem jedną z wielu przewijających się przez szpitalne sale pacjentek, kolejnym numerem w ich kartotekach. Wiedziałam, że daję się ponieść histerii, że po prostu nagle zbyt wiele się dzieje. Ale i tak nie potrafiłam powstrzymać drżenia dłoni, nie wiedziałam, jak opanować strach, który zaciskał mi na gardle swoje paluchy, bezlitośnie przyduszał, dyszał mi w kark swoim lodowatym oddechem.

Tyle obcych twarzy, tyle obcych dłoni...

W pracowni USG było chłodno i ciemnawo.

– Z wypadku? – młody obcięty na jeża lekarz wychylił się na krześle i przelotnie na mnie spojrzał.

– Nie, panią przywieziono rano. Była przetrzymywana...

– A tak, racja. Zapraszam – doktor wstał, podszedł do umywalki,

w której umył ręce i kazał mi się położyć na wąskiej kozetce obłożonej zielonym papierem.

Żel, którym posmarował mi brzuch, był zimny i zaskakująco przyjemnie pachniał. Badanie nie wykazało niczego niepokojącego.

– Wątroba, pęcherzyk żółciowy, drogi żółciowe prawidłowe.  
Trzustka, śledziona, nerki, przestrzeń zaotrzewnowa prawidłowe  
– mamrotał pod nosem lekarz, wklepując wynik w komputer, a ja starałam się nie poddawać panice na myśl, że przez resztę dnia kolejne obce dłonie będą mnie nakłuwać, dotykać i poklepywać.

Ciemność za oknem zapadła nagle, ale w oświetlonej rżęsiście sali chorych ponury mrok mroźnej listopadowej nocy nie był aż tak przerażający, jak w moim odosobnieniu. Szpital tętnił życiem. Drżał, wibrował, popiskiwał setką obco, ale jednocześnie kojąco brzmiących dźwięków. Łomot kółek metalowego stolika z jedzeniem na korytarzu, energiczne głosy młodziutkich pielęgniarek, przeciągły sygnał karetki za oknem. Tuż przed kolacją na chwilę zjawił się u mnie tato, ale nie potrafiłam powiedzieć mu niczego, jakby słowa uwięzły mi w gardle, jakby moje struny głosowe zakleiła melasa. Siedział przy mnie przez chwilę i głaskał mnie po ręce. Ciepło jego dłoni przywołało wspomnienia z dzieciństwa. Kiedy w końcu wyszedł, zjawiała się starsza, siwiejąca na skroniach lekarka z włosami spiętymi w ciasnego koka.

– Dobry wieczór – powiedziała, siadając przy łóżku.

– Chcę stąd wyjść – szepnęłam, nie patrząc jej w oczy.

– Pani Moniko, powinnyśmy porozmawiać.

– Chcę stąd wyjść – powtórzyłam.

Powiedziała, że jest psychiatrą i chce mi pomóc. Niby w czym?  
– pomyślałam. Przecież tego, co się stało, w żaden sposób nie da się już odwrócić... Zapytała o moje spotkanie z rodziną. Milczałam. Siedziała przy mnie jeszcze przez dłuższą chwilę, w końcu życzyła mi spokojnej nocy i wyszła. Szybko się poddała, przeszło mi przez myśl. A może po prostu nie miała czasu, żeby beczynn timer przy mnie tkwić? Ale czy zaufania nie powinno się cierpliwie budować? – zastanawiałam się, zanim zapadłam w sen.

Obudziłam się w środku nocy spanikowana. Byłam pewna, że nadal jestem tam, w zamknięciu, a Józef przygląda się mojej twarzy,

trzymając w dłoni zapaloną świeczkę, z której kapie wosk. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że jestem w szpitalu, a to, co wzięłam za światło świecy, jest wpadającą przez uchylone drzwi srebrną poświatą zapalonych w korytarzu jarzeniówek.

Wstałam.

Kręciło mi się w głowie i ssało mnie w żołądku, ale czułam się na tyle dobrze, żeby zaryzykować samotny spacer. Nie mogłam znaleźć pantofli. Rodzice chyba nie zdążyli mi ich kupić, do karetki zabrano mnie w samych skarpetkach. Linoleum było zimne, przyjemnie chłodziło moje bose stopy. Wyślizgnęłam się z pokoju i ruszyłam w stronę krańca korytarza.

– Proszę pani?

Obcy głos. Kobięcy.

– Źle się pani czuje?

Odwrociłam się niechętnie, nie miałam ochoty z nikim rozmawiać. Stała tuż przy drzwiach do mojego pokoju. Młoda ładna pielęgniarka o okrągłej, nieco dziecinnej twarzy i spiętych w kucyka ciemnorudych włosach.

– Jest trzecia osiemnaście nad ranem, proszę wracać do łóżka – dodała.

– Chcę stąd wyjść – powiedziałam.

– Decyzję o wypisie podejmuje lekarz prowadzący, zresztą w środku nocy...

– Chcę stąd wyjść, nie słyszysz mnie?! – krzyknęłam.

Dziewczyna drgnęła zaskoczona moim wybuchem, przez dłuższą chwilę niezdolna do jakiegokolwiek reakcji. W końcu ruszyła w moją stronę. Zaczęłam biec. Nie byłam przyzwyczajona do ruchu, więc ślizgałam się po posadzce, w końcu dopadłam oszklonych drzwi i wybiegłam na świeżo odmalowaną klatkę schodową. Pielęgniarka coś za mną wołała, ale myślałam tylko o tym, że chcę zaczerpnąć świeżego powietrza i poczuć się w końcu wolna.

Na zewnątrz już nie sypało, ale był silny mróz. Trzymając się barierki, zeszłam po schodach i ruszyłam w stronę parkingu. Jakiś głos, gdzieś w mojej głowie, przebijał się przez otumaniające mnie leki; powtarzał, że muszę wracać, że noc i ziąb, ale szłam dalej, a śnieg

oblepiał mi palce, pieścił kostki u stóp, zachęcał do nocnego spaceru.

– Pani Moniko, na litość boską!

Tym razem męski głos, znajomy.

Dopadł mnie na parkingu, położył rękę na ramieniu.

– Przeziębci się pani...

– Nie, ja...

– Wracajmy, no już – złapał mnie za rękę, delikatnie niczym stawiające pierwsze kroki dziecko.

Wiatr strącił czapę śniegu z rosnącego przy budynku iglaka, wycisnął mi z oczu łzy. Ktoś narzucił mi na ramiona szorstki wełniany koc, inne ręce roztarły plecy, okrężnymi ruchami rozmasowując miejsce między łopatkami.

– Wracamy, szybciotko! Chodź, kochanie, nie możemy tu stać – jedna z pielęgniarek przemawiała do mnie czule, chociaż w jej głosie wychwyciłam pierwsze nutki zniecierpliwienia.

Zrobiłam kilka kroków w stronę szpitala i obejrzałam się za siebie. Wolność była za mną, za moimi plecami, ale przecież nie można jej żądać boso, w samym środku zadymki. W windzie otoczyły mnie zatroskane twarze. Przeróżnie blade w trupim świetle szpitalnych lamp, z podkrążonymi ze zmęczenia oczyma. Oparłam się o zimną ścianę, odgrodziłam od nich lodowatym murem obojętności. Coś do mnie mówili, ale nie słuchałam. Czegoś ode mnie chcieli, ale nie rozumiałam. W pokoju ktoś założył mi na stopy grube skarpety, ktoś inny przyniósł dodatkowy koc i zaczął majstrować przy kaloryferze.

– Pilnujcie jej, do cholery! Przecież gdyby zdołała się stąd wymknąć i przepaść, rodzina by nas pozwała, a media rozszarpały na strzępy! – usłyszałam dochodzący z korytarza kobiecy głos.

Kimkolwiek była, mówiła cicho, nie na tyle jednak, żebym jej nie usłyszała. Nagle zdałam sobie sprawę, że głos należy do młodej blond lekarki o imieniu Monika i zrobiło mi się przykro. To nie z troski o mnie tak się mną zajmowali. Byłam po prostu trudnym przypadkiem, odnalezioną po latach kobietą, która nie mogła zaginąć po raz kolejny...

Ktoś poprawił mi poduszkę, czyjeś ręce pogłaskały po głowie.

– Śpij, tutaj jesteś bezpieczna.

Chciałam zapytać, co się stało z Józefem, ale bałam się, że nie

powiedzą mi prawdy. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Jeśli żył, był w rękach policji. Jeśli nie żył, tym lepiej. Biorąc pod uwagę, że ktoś mnie znalazł i wypuścił, trzeciej możliwości nie było. Zgasło światło. Zamknęłam oczy i powtarzałam w myślach zapamiętaną z dzieciństwa kołysankę. Leżałam cicho, drżąc z chłodu i emocji.

Rodzice zjawili się przy mnie z samego rana. Mama przyniosła jakieś, kupione najpewniej w pośpiechu, brzydkie ubrania, tato położył na szafce przy łóżku czekoladę z bakaliami, którą zawsze uwielbiałam, i siatkę z mandarynkami.

– Jak się czujesz, Moniczko?

To tata. Znajomy, chociaż teraz dziwnie obcy głos.

Milczałam.

– Doktorze, chcemy zabrać córkę do domu – mama doskoczyła do młodego lekarza, kiedy tylko przekroczył próg.

– Proszę pani, w tym momencie nie mogę jej tak po prostu stąd wypuścić. W tak krótkim czasie nie da się określić stanu psychicznego pacjentki, poza tym istnieje ryzyko, że...

Przestałam słuchać.

Zamknęłam oczy i zapatrzyłam się w okno. Po parapecie przechadzał się mały ciemnoszary ptak. Nie miałam pojęcia, co to za gatunek, ale jego obecność wzięłam za dobry znak.

Tato pogłaskał mnie po wysuniętej spod kołdry łydce i przysunął sobie taboret.

– Madzia będzie u ciebie za jakąś godzinę – powiedział. – Biduła przez całą noc nie spała, bo w pensjonacie, w którym się z zatrzymali, była jakaś gruba firmowa libacja. Ludzie nie mają za grosz kultury! Towarzystwo chlało chyba do trzeciej nad ranem, w końcu Sasza zagroził, że wezwie policję i omal go nie pobili... Nic ich nie interesowało, nic! Że małe dziecko za ścianą, że inni chcą spać...

– dodał zmęczonym głosem.

Leżałam w milczeniu, wsłuchując się w tętniące za drzwiami życie.

Ktoś pobrał mi krew, ktoś inny podłączył kolejną kroplówkę.

– Pani Moniko, chciałabym porozmawiać o nocnym incydencie

– powiedziała siwiejąca adeptka psychiatrii, która bezszelestnie przeszła przez pokój i stanęła nad moim łóżkiem.



Nie odpowiedziałam.

– Moniczko, pani doktor chce z tobą porozmawiać...

To mama.

Łamiącym się głosem usiłowała skłonić mnie do jakiegokolwiek reakcji, ale nie chciałam nikomu niczego tłumaczyć.

Ptaka stuknęło dziobem w parapet, jakby wierzył, że ktoś porzucił tam ziarno. Odleciał chwilę później, a ja pozazdrościłam mu wolności.

– Zdecydowaliśmy, że na jakiś czas przeniesiemy panią na psychiatrię.

To znowu siwiejąca lekarka.

Ignorując sterczących nad moim szpitalnym łóżkiem rodziców, zwróciła się prosto do mnie, za co w pewien sposób byłam jej wdzięczna.

– W tej sytuacji, zwłaszcza w świetle tego, co wydarzyło się w nocy, uznaliśmy to za najrozsądniejsze wyjście – dodała.

Odwróciłam się do niej i spojrzałam na nią ze złością.

– Co wydarzyło się w nocy? – zapytał tato.

– Chcemy zabrać córkę do domu – powtórzyła mama łamiącym się głosem.

– Nie mogą państwo, jest o wiele za wcześnie.

– Nie zostawię jej tu, nie po tym, co przeszła! Czy pani rozumie, że ktoś przez niemal osiem lat więził ją z dala od domu, że...

– Przestań, Bożena! Przecież to szpital, nie zakład karny w Potulicach! Chcą jej pomóc, nie rozumiesz tego?! – rzucił zupełnie wytracony z równowagi tato ostrzejszym niż zazwyczaj tonem.

– Chcemy zabrać córkę do domu! – powtórzyła mama, zupełnie ignorując siedzącego przy moim łóżku tatę.

– Dobrze, w takim układzie muszę porozmawiać z profesorem Czapskim – lekarka ustąpiła, wzdychając z rezygnacją.

Najwyraźniej nie chciało jej się o mnie walczyć, miała na głowie dostatecznie wiele innych przypadków.

Mama zaczęła płakać.

– Na miłość boską, zachowujesz się tak, jakby ktoś umarł! – fuknął na nią ojciec.

Odwróciłam się do nich, spojrzałam na ich twarze. Jej była mokra

od łez, naznaczona kilkoma zmarszczkami, których kilka lat temu nie było; jego poważna, blada i smutna.

– Tato – powiedziałam cicho, ledwie słyszalnie i po chwili oboje byli przy mnie, obejmując mnie, głaszcząc, całując, tuląc.

Siwiejąca lekarka wróciła chwilę później. Za nią dostojny i poważny, z marsową miną i gładko zaczesanymi do tyłu siwymi włosami, wkroczył do pokoju profesor Czapski.

– Podobnie jak doktor Lewkowska uważam, że pacjentka powinna zostać przeniesiona na psychiatrię, ale skoro państwo nalegają, możemy to załatwić inaczej. Proszę napisać oświadczenie, że żądają państwo wypisu i wyraźnie nakreślić sytuację. Chcę to mieć na piśmie – powiedział, podając mojemu ojcu duży, biały arkusz papieru. – Na górze dzisiejsza data, w rogu podpisy obojga państwa. Jeśli córka czuje się na siłach, może podpisać wypis na życzenie – dodał.

Tato wziął od profesora kartkę i zaczął pisać. Usiadłam na łóżku i wysiliłam się na blady uśmiech. Czapski przyglądał mi się z przecinającą czoło zmarszczką, ale nie dodał już nawet słowa. Mama zaczęła się kręcić po szpitalnym pokoju, przeszukując torbę, w której przywiozła mi ubrania.

– To powinno na ciebie pasować, włóż – powiedziała, podając mi ciemne spodnie i szary sweter z półgolfem.

Podkoszulek wyjęła chwilę później. Był olbrzymi, niemal monstrualnie wielki, a do mnie znowu dotarło, jak bardzo się roztyłam.

– Proszę pamiętać o lekach na nadciśnienie – powiedział profesor, zanim wyszedł.

Nadciśnienie. Powtarzałam to słowo w duchu, obracałam je w głowie niczym bawiący się piłką smarkacz w drodze do bramki. Będąc młodą szczęśliwą mężatką, nawet nie sądziłam, że kiedykolwiek dotkną mnie tego typu problemy. Teraz miałam łykać piguły i zrzucać wagę, którą lekarze uznali za groźną dla mojego zdrowia.

– Ubieraj się, Moniczko. Szkoda czasu – powiedziała cicho mama.

Spojrzałam na nią jak na wariatkę. Przecież ja straciłam już cały dany mi przez los czas, całą młodość, najlepsze lata. Niby dokąd mam teraz gnać, gruba, obca, poharatana przez życie? – zastanawiałam się, wkładając podkoszulek.

Profesor na pożegnanie życzył mi wszystkiego dobrego. Pomyślałam, że wygląda na porządnego człowieka, ale czy mogłam być tego pewna? Być może on też ma na sumieniu coś, o czym nigdy nie chciałby mówić? Chociaż nie, chyba nie...

– Jeszcze buty – mama podała mi moje stare, brązowe kozaki, które lata temu razem kupiliśmy w jednej z galerii w centrum.

Ubierając się, pomyślałam, że to takie dziwne. Wracam do domu, ale nie mam pojęcia, czy to naprawdę mój dom. Miałam przecież własne mieszkanie, własny świat, własnego męża. Ale to przepadło na dobre, rozplynęło się w niebycie. Gdzie teraz jest moje miejsce? W moim dawnym panińskim pokoju? Dokąd pójdę? Zaszczuta, pełna lęków, niemal czterdziestoletnia...

– Chodź, córciu – kiedy spinałam włosy w kucyk, mama pogłaskała mnie po głowie.

– Nie dotykaj mnie – powiedziałam.

Spojrzała na mnie zszokowana, z bólem malującym się na jej twarzy tak wyraźnie, jak wyraźnie podkreślał jej rzęsy ciemny tusz.

– Po prostu odwykłam – zaczęłam się tłumaczyć.

Widziałam, że jest bliska łez, ale zdołała się opanować.

Byliśmy na dole, przy drzwiach, kiedy dogoniła nas jedna z pielęgniarek.

– Pani Moniko, zostawiła to pani na nocnej szafce – powiedziała, wyciągając w moją stronę zawieszane na rzemyku, wysadzone sztucznymi diamentami serce, które podarował mi Józef.

Cofnęłam się, wpadając na tatę; wspomnienie twarzy porywacza przyprawiło mnie niemal o atak paniki. Nie chcę tego, nie chcę tego, nie chcę!

Pielęgniarka czekała, nie bardzo rozumiejąc sytuację.

– To nie moje – szepnęłam.

– Przepraszam, byłam pewna, że...

– To nie moje! – krzyknęłam i dziewczyna posłała mi zdziwione spojrzenie, jakby nie mogła zrozumieć, czemu reaguję aż tak przesadnie.

– Dziękujemy pani – tato posłał jej wymuszony uśmiech i ruszyliśmy w stronę drzwi.

Na parkingu czekała na nas Magda. Przy niej, obejmując ją

w pasie, stał przystojny ciemnowłosy chłopak z opadającą mu na oczy grzywką. Kręcąca się wokół samochodu dziewczynka w czapce z pomponem nuciła coś pod nosem, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

– Wypuścili cię? – na mój widok młodsza siostra podeszła do mnie i wzięła ode mnie torbę.

– Tak, przecież widzisz – odpowiedział za mnie tato. – Wsiadaj, córciu – dodał, otwierając mi drzwi.

– Wolę z tyłu – powiedziałam.

– Jak chcesz – uśmiechnął się.

Mama paplała coś do dziewczynki, która chyba miała na imię Julka, a ja zdałam sobie sprawę, że podczas mojej kilkuletniej nieobecności moja siostra musiała zostać matką. Wsiadłam do samochodu. Mama guzdrała się jeszcze przez dłuższą chwilę, poprawiając wnuczce szalik, w końcu wsiadła i zapięła pasy.

– Może ja poprowadzę? – zapytała tatę, który oczywiście odmówił.

Przypomniałam sobie o moim czerwonym fiacie punto. Kiedyś tak kochałam to auto, ale już pewnie go nie ma. Sprzedał je Kuba albo rodzice, przypadło. Poszukiwania kosztują, zresztą co komu po bezużytecznie stojącym w garażu samochodzie, którym nikt nie jeździ? – pomyślałam.

– Moniczko, miałabyś na coś ochotę? Jesteś głodna?

– zainteresowała się mama, kiedy ruszyliśmy. – Tutaj niedaleko jest gospoda z całkiem dobrym jedzeniem. Gdybyś chciała, moglibyśmy się zatrzymać.

– Co się stało z Kubą? – zapytałam i na dłuższą chwilę w samochodzie zapadła niezręczna cisza.

– Wrócił na Pomorze, niedługo będzie ojcem – powiedziała w końcu mama. – Kilka miesięcy temu wpadł do nas z wizytą, ale został dosłownie na chwilkę. W sumie niewiele się zmienił, może odrobinę przytył na twarzy. W każdym razie...

– Bożena, wystarczy! – tato huknął na mamę i wyprzedził wlokący się przed nami, wypluwający ciemne kłęby spalin autobus.

– To nic, mamó. Nie przejmuj się – powiedziałam. – Przecież wiedziałam, że nawet on nie będzie na mnie czekać w nieskończoność.

Minęło prawie osiem lat, nie spodziewałam się niczego innego...

– Tak, ale...

– Zmieńmy temat – tato wszedł mamie w słowo i włączył radio, z którego popłynął cichy pop.

Nie znałam tej piosenki, ale przecież nie znałam wielu piosenek. Odcięta od świata przez taki szmat czasu zostałam daleko, daleko w tyle, podczas gdy wszystko inne pędziło do przodu.

– Co to za chłopak? Magda jest z nim szczęśliwa? – zapytałam.

– Tak, myślę, że tak – powiedziała cicho mama i znowu zaczęła płakać. – Wiesz, starałam się myśleć pozytywnie, ale czasem byłam pewna, że już nigdy nie wrócisz, że...

– Bożena! – krzyknął tato.

– Przepraszam. Po prostu wciąż nie mogę uwierzyć, że wracasz z nami do domu – dodała.

– Też się cieszę – powiedziałam, chociaż, prawdę mówiąc, nie czułam kompletnie nic.

Przez ostatnie lata, przetrzymywana przez szaleńca, wyobrażałam sobie, że po powrocie do domu będę w czystej euforii, ale niczego takiego nie doświadczałam. Jedno, co we mnie było, to strach. Pulsował w moich żyłach, siedział głęboko w głowie, wczepił się w każdą komórkę mojego ciała. Strach, że znowu stanie się coś złego. Strach, że tym razem padnie na kogoś z moich bliskich. Strach, że spod łóżka wypelną kolejne potwory. Strach, że...

– Zatrzymaj się! – krzyknęłam.

– Co? Moniczko, ale...

– Zatrzymaj się, tato!

Ojciec zjechał na pobocze, chlapiąc spod kół pośniegową breją. Rozpięłam pasy i szarpiąc się z klamką, otworzyłam drzwiczki.

Wokół nas były pola; jednolity, monotony krajobraz tak podobny do tego, który przez lata widziałam przez metalowe kraty za szybą. Gramoliłam się z samochodu, kiedy mama zaczęła coś za mną krzyczeć, ale nie słuchałam. Niemal tracąc równowagę i zapadając się w śnieg, przeszłam przez rów i biegłam z ciężarem, który dosłownie rozrywał mi płuca, dopóki całkiem nie straciłam sił. Śnieg był mokry, nad ranem przyszła odwilż. Opadłam na kolana i otworzyłam usta do krzyku,

a spłoszone moim głosem ptactwo gwałtownie zerwało się do lotu. Krzyczałam, a głos, który wydobywał się z mojego ściśniętego przez długie lata gardła, sprawił, że doznałam swego rodzaju katharsis. Uwalniał zamknięte na kłódkę emocje, odblokowywał je, przeganiał. W końcu opadłam na śnieg i szlochając, dziękowałam Bogu, którego nie ma, że w końcu wysłuchał mojego błagania. Ktoś mnie wołał, szosą, bryzgając spod kół rozmokłym śniegiem, przemykały samochody.

Pierwszy dobiegł do mnie Sasza, przystojny młody mężczyzna o obcej twarzy, ukochany mojej siostry, którego ja znałam tylko z imienia.

– Już dobrze, już wszystko dobrze – powtarzał, pomagając mi wstać.

Miał ciepłe ręce, jego oddech pachniał miętą. Kiedy ruszyliśmy w stronę samochodów, wyszedł nam naprzeciw tato.

– Już dobrze, to nic – powiedział Sasza, obejmując mnie ramieniem.

Biło od niego ciepło, spokój, dobre emocje. Nie potrafiłam jeszcze z zamkniętymi oczyma wyobrazić sobie rysów jego twarzy, ale czułam, że kiedyś go polubię. Zanim wsiadłam, stojący przy samochodzie tato pogłaskał mnie po policzku i przytulił, niemal pozbawiając mnie oddechu.

– Wracamy do domu, córciu. Do domu, rozumiesz? – powtarzał łamiącym się głosem i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że płacze.

– Już dobrze, tato. – Tym razem to ja pogłaskałam go po policzku.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam cię, córeczko. Za to, że straciłem wiarę, że w duszy już cię pochowałem... Przepraszam, ja...

– Już dobrze – powtórzyłam. – Już jestem.



**CZĘŚĆ CZWARTA**  
*Kobieta w złotej klatce*

### 13.

Wróciłam do pływania. Z początkiem grudnia, miesiąc po wydostaniu się z piekła, zaczęłam jeździć na basen. Ten na Kruczej był czynny od szóstej rano, co niezmiernie mnie cieszyło. Zjawiałam się na miejscu zaraz po otwarciu, przebierałam się w czarny jednoczęściowy kostium i z wzrokiem wbitym w ciemnoniebieskie podłogowe kafelki wychodziłam z szatni. Woda działała na mnie kojąco, niemal sakralnie. Zmywała brud, którym czułam się porośnięta, przywracała dawną niewinność. Ratownik był szpakowaty i otwarcie gapił się na moje piersi. Początkowo panikowałam na samą myśl o jego wzroku, ale nauczyłam się go ignorować. Jeśli przez ostatnie lata potrafiłam być silna, teraz tym bardziej potrafię, mówiłam sobie. Któregoś dnia mnie zaczepił, ale nie odpowiedziałam. Zignorowałam jego durny żarcik i wskoczyłam do wody. Sto osiemnaście kilo, tyle ważyłam po wyjściu z nory, w której przetrzymywał mnie szalenie. Miesiąc później byłam już lżejsza o pięć kilo, ale nadal monstrualnie gruba. „Ja pierdolę, ale locha!” – krzyknął za mną któregoś dnia wychudzony szczyl na deskorolce. Jakaś głęboko ukryta pod szczelną warstwą sadła część mnie poczuła ból, ale szybko przestałam o tym myśleć. Ludzie są zdolni do znacznie większych podłości, to przecież już świetnie wiedziałam.

Którejś środy, wychodząc z budynku pływalni, wpadłam na Beatę, dawną licealną koleżankę.

– Monika? Wróciłaś? – zapytała, zatrzymując mnie w pełnym sztucznych kwiatów oszklonym korytarzu przy wyjściu.

W jej wąskich ciemnych oczach zobaczyłam nieposkromioną ciekawość kogoś, kto zupełnie przypadkiem natknął się na wyjątkowo interesujący kąsek.

– Słyszałam, że przez ostatnie lata...

– Nigdzie nie wyjeżdżałam – powiedziałam ostrym tonem.

Wydęła wargi, jakby chciała powiedzieć: „Nie wierzę ci”.

Usiłowałam ją wyminąć, ale zatarasowała mi drogę i złapała mnie za rękaw.

– Nie? Ale ja słyszałam, że byłaś...



– Wybacz, śpieszę się – weszłam jej w słowo i nie oglądając się za siebie, wyszłam na mżawkę.

Patrzyła za mną, kiedy szłam w stronę pobliskiego przystanku. Na plecach czułam jej wzrok, a mnie pulsowało w skroniach. Ludzie są ciekawscy, ale większość z nich nie zadaje tego typu pytań złośliwie. Takie incydenty będą się powtarzać, musisz przywyknąć – powiedziałam sobie chwilę później.

W domu rodziców pachniało kawą. Wchodząc do środka, pomyślałam, że rozpaczliwie pragnę własnego dachu nad głową, ale przecież mieszkanie, które kiedyś dzieliłam z mężem, dawno temu zostało sprzedane. Kuba zwrócił moim rodzicom należną mi część pieniędzy, które leżały teraz na zapisanym na mamę koncie, ale ta kwota na pewno nie wystarczy na nowe lokum. Co najwyżej na wkład własny. Jednak, żeby w pojedynkę dostać kredyt, muszę mieć stałą i niezłe płatną pracę...

– Zmokłaś? Zaczęło lać – tato powitał mnie w progu i wziął ode mnie płaszcz. – Ładnie ci w tym kolorze, rudzielcu – dodał.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie podcinającej moje zniszczone włosy mamy. Obcięła mnie na pazia i nałożyła mi farbę. Magda chciała mnie widzieć w jednym z jasnych odcieni blond, ale ja nie chciałam już być blondynką. Wszystko, co kojarzyło mi się z dawną mną, chciałam zostawić daleko za sobą.

– Chcesz kawy? Zaparzyłem – powiedział tato.

Weszłam za nim do kuchni. Pies wstał i mokrym nosem trącił moją dłoń.

– Cześć, Mustafa – szepnęłam, chociaż przecież wiedziałam, że to nie on.

Tamten olbrzymi najukochańszy bernardyn rodziców odszedł, kiedy mnie nie było. Ten był znacznie młodszy, dopiero pięcioletni, ale niemal bliźniaczo podobny do swojego poprzednika. Rodzice przygarnęli go ze schroniska jakiś czas po śmiertelnym w skutkach skręcie żołądka Mustafy i nazwali Karmel.

– Zapisałam cię na dziś do dentystki – powiedziała mama, schodząc na dół.

– Pamiętam.

– Gdybyś chciała, mogę iść z tobą. Później mogłybyśmy skoczyć do centrum na szybką kawę i zjeść jakąś sałatkę.

– Daj spokój, pojedę sama – powiedziałam, a mama odgarnęła mi z oczu włosy, dokładnie tak, jak robiła w moich szczeniackich latach.

– Nie wiem, czy nie powinnam jeszcze odrobinę przyciąć ci grzywki – powiedziała. – Zażyłaś leki?

– Chce mi się po nich spać, chodzę dosłownie półprzytomna. I nie wiem, czy farmakologiczne wytłumianie emocji pomoże mi się uporać z całym tym koszmarem. To chyba trochę tak, jakby zamieść kłęby kurzu i kłaków i upchnąć je pod dywan.

– Nie możesz ich tak po prostu odstawić, Moniczko. To silne leki, powinnaś najpierw porozmawiać z doktorem albo...

– Nie powiedziałam, że je odstawiłam, mamo! Mówię tylko, że chce mi się po nich spać! – weszłam matce w słowo, odpowiadając jej podniesionym, odrobinę zbyt ostrym tonem.

– Napij się, zaraz zrobię jajecznicę – tato, nie wtrącając się w naszą wymianę zdań, podał mi kubek z kawą i wyjął z lodówki jajka.

Zerknęłam na wiszący na ścianie kalendarz ze zdjęciami największych włoskich miast. Byłam w domu od miesiąca i nagle zaczęłam mieć jakieś dziwne wrażenie, że wszystkie te podłe, minione lata przepadły, że znowu jestem niespełna trzydziestoletnią młodą dziewczyną, która na moment wpadła rano do rodziców. Dopiero kiedy spojrzałam na swoje zaciśnięte na kubku z kawą dłonie, zrozumiałam, że niczego nie da się cofnąć, a już na pewno nie da się cofnąć czasu. Serdelkowate palce, srebrny pierścionek z turkusem, który udało mi się wcisnąć na najmniejszy palec, i jasnozielony lakier, którym mama przeciągnęła mi wczoraj starannie wypilowane paznokcie. Wszystko wyglądało tak obco, inaczej...

Dźwięk telefonu sprawił, że drgnęłam i niemal oblałam się kawą.

– To Jakub – powiedział cicho tato, spoglądając na mnie z niepokojem.

Odstawiłam kubek z nietkniętą neską i podeszłam do aparatu.

– Cześć. Miło, że dzwonisz – powiedziałam cicho.

– Monika... Chryste, dziewczyno! Cześć. Dzwoniłem już kilkakrotnie, ale twoi rodzice...

– Wiem. Uważali, że nie jestem gotowa psychicznie na rozmowę z tobą – weszłam mu w słowo.

– Rozumiem, że dziś nabrałaś tej gotowości? – zażartował.

Zacisnęłam palce na czarnej słuchawce nowego telefonu, starając się opanować emocje. Jego głos... Taki znajomy i odległy jednocześnie. Brzmiał tak, jakbyśmy słyszeli się wczoraj, chociaż wiedziałam, że od naszej ostatniej rozmowy minęły długie lata.

– Jak się trzymasz? – zapytał. – Mogę coś dla was zrobić? Chciałbym się z tobą spotkać, porozmawiać. Muszę cię zobaczyć, objąć. Powiedz, kiedy mogę do was zajrzeć.

– Nie teraz, Kuba. Jeszcze nie teraz. Zresztą to kawał drogi, a ty niedługo zostaniesz ojcem.

– Tak, Iwona jest w ósmym miesiącu – powiedział cicho. – Dwie dziewczynki, wyobrażasz sobie?

– Cieszę się, naprawdę.

– Posłuchaj, Monika, chciałbym...

– Porozmawiamy, kiedy się zobaczymy, okay? – szepnęłam.

– Tak, ale...

– Muszę kończyć – dodałam.

Rozłączyłam się bez pożegnania, chyba nie byłam w stanie dłużej prowadzić tej rozmowy. „Iwona jest w ósmym miesiącu” – brzmiały mi w głowie jego słowa. Iwona... Ironią losu wydał mi się fakt, że kobieta Kuby ma na imię tak samo jak żona Szymona. Na myśl o kochanku coś zakłuło mnie w sercu. Musiał wiedzieć, że wróciłam, przecież żyliśmy w niewielkim mieście. Jednak nie zadzwonił, w żaden sposób nie próbował się ze mną skontaktować...

– Zjedz coś, córciu. Dieta musi być wyważona, nie można się głodzić. Zresztą już dziś pływałaś, swoje zdążyłaś spalić – tato postawił przede mną talerz z jajecznicą i podsunął w moją stronę wiklinowy koszyk z pokrojoną na niewielkie kromeczki bagietką.

Jadłam, nie czując smaku. Rodzice przyglądali mi się, trzymając kubki kawy w dłoniach. Czujni, uważni, wyraźnie zaniepokojeni.

– Nie patrzcie tak na mnie, na litość boską, bo pomyślę, że zamieniłam jedną klatkę na inną! – krzyknęłam, za późno gryząc się w język.

Mama zaczęła płakać, tato pochylił głowę, wyraźnie zasmucony.

– Przepraszam. Ja tylko... Nie potrafię się w tym wszystkim odnaleźć. Przepraszam, mamó. Nie płacz, proszę – dodałam.

– Jesteś w domu, nie rozumiesz? Nikt nie wymaga od ciebie, żebyś od razu uporządkowała swoje życie. Po prostu się cieszymy, że jesz z nami śniadanie. Niby zwykła rzecz, a taka radość – powiedział tato łamiącym się głosem.

– Też się cieszę – powiedziałam, chociaż tak naprawdę niewiele czułam.

Emocje, które przez ostatnie lata upychałam gdzieś w głąb moich ściśniętych przerażeniem trzewi, tkwiły tam do tej pory i nie chciały wrócić.

– Pójdę na górę. Poczytam coś – powiedziałam, nie bardzo wiedząc, jak zakończyć tę pełną patosu, ciężką od niewypowiedzianych słów rozmowę.

– Pamiętaj o dentyście – przypomniała mi mama.

– Pamiętam.

Na górze, w moim dawnym panińskim pokoju, usiadłam w fotelu przy oknie i zapatrzyłam się w zalane deszczem szyby. Gdzieś tam daleko, w województwie świętokrzyskim, wśród ciągnących się w nieskończoność pól i sadów stał dom z zielonym pokojem, moją klatką. Dom, z którego cudem udało mi się wyrwać, chociaż nadal nosiłam go w sobie. Tak, wciąż czułam się jak w klatce. Obserwowana przez wścibskie sąsiedzkie oczy, witana wymienianymi szeptem uwagami, niepewna jutra i własnej przyszłości.

– Nie użalaj się nad sobą, cholera! – powiedziałam na głos. – Nie mazgaj się, nie teraz!

– Moniczko?

Dochodzący zza drzwi głos mamy lekko drżał.

Poczułam zmęczenie jej natrętną obecnością i wdzięczność za to, że jest.

– Moniczko, wszystko w porządku?

– Tak, mamó.

– Gdybyś chciała...

– Mamó, zaraz do was zejdem – weszłam jej w słowo.

Cisza.

Jeszcze przez chwilę stała pod drzwiami, zapewne nasłuchując, co robię, w końcu zeszła na dół.

Do dentysty wyszłam ponad godzinę przed czasem. Na zewnątrz padała marznąca mżawka i było naprawdę paskudnie zimno, ale wszystko wydawało mi się lepsze od siedzenia w domu, w którym obserwowały mnie dwie pary kochających, ale nadto czujnych rodzicielskich oczu.

– Ubytek, ubytek, próchnica. Lewa dolna piątka, kolejny ubytek. Próchnica, próchnica... – zbliżająca się do pięćdziesiątki, ufarbowana na ciemny kasztan dentystka mamrotała pod nosem, wpatrzona w moje otwarte szeroko usta. – Chyba pierwszy raz widzę młodą kobietę z tak koszmarne zaniedbanymi zębami. Czy pani sobie zdaje sprawę z tego, co ma w ustach?! To wygląda, jakby przez długie lata nie była pani u dentysty! – naskoczyła na mnie lekarka, kiedy już skończyła przegląd.

Milczałam.

– Jak można aż tak się zaniedbać?! Nie wstyd pani otwierać ust?! Zakładam, że nie żyje pani w próżni? – powiedziała, jeszcze zanim zabrała się do pracy.

Odsunęłam jej dłoń w cienkiej lateksowej rękawiczce i wstałam z fotela.

– Dokąd pani idzie? – syknęła, z wyrazem nieprzyjemnego zdziwienia na twarzy. Była naprawdę zła.

– Poszukać uprzejmiejszego lekarza – powiedziałam.

– Szkoda, że nie wpadła pani na to kilka lat wcześniej. Ja rozumiem, że ludzie miewają finansowe problemy, ale żeby aż tak o sobie nie dbać?! Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, jak groźne konsekwencje zdrowotne może mieć takie rażące zaniedbanie? Paradontoza, choroby serca, najprzeróżniejsze...

– Przez ostatnich osiem lat trzymał mnie pod kluczem szaleniec! To dla pani wystarczający powód, żeby się zaniedbać?!

– odpowiedziałam ostrym tonem.

Lekarka znieruchomiała, zszokowana moim niecodziennym wyznaniem; w oczach towarzyszącej jej młodej asystentki błysnęły łzy.

– Słyszałam o pani, moja mama mieszka niedaleko pani rodziców

i powiedziała, że...

– Proszę, niech pani siada – dentystka weszła dziewczynie w słowo i zapraszająco wskazała dłonią na fotel. – Przepraszam, nie miałam pojęcia, przez co pani przeszła. Po prostu czasem opadają mi ręce na widok stanu, do jakiego doprowadzają swoje zęby niektórzy pacjenci – dodała znacznie łagodniejszym tonem.

Usiadłam w fotelu i przymknęłam oczy. Nigdy nie przepadałam za wizytami u dentysty, nie znosiłam zwłaszcza znieczulających zastrzyków w dziąsło. Jednak teraz, po tym, co przeżyłam pod dachem mojego obłąkanego prześladowcy, chwila dyskomfortu podczas ukłucia wydała mi się wręcz śmieszna.

Kiedy schodziłam z fotela, lekarka jeszcze raz mnie przeprosiła i powiedziała, żebym jak najszybciej umówiła się na kolejną wizytę.

– W przypadku dwóch zębów najprawdopodobniej będzie konieczne leczenie kanałowe, ale wszystko jest do odratowania – powiedziała, zegnając się ze mną w drzwiach.

Schodząc do recepcji, pomyślałam o Magdzie. Dawniej chadzałyśmy do dentystki wspólnie; obie byłyśmy pacjentkami młodej energicznej lekarki z kliniki na Akacjowej. Ale tamtej przychodni już nie ma, upadła niedługo po moim zaginięciu, a nasza ówczesna lekarka wyjechała ponoć ze swoim chłopakiem do Niemiec.

Płacąc za wizytę, oprócz portmonetki wyjęłam z torebki telefon, który kilka dni wcześniej kupił mi tato. Miał śmieszna obudowę w panterkę i dotykowy ekran, nad którym do tej pory ciężko mi było zapanować. Teraz ponoć wszyscy sobie z tym radzili, więc usiłowałam jakoś go ujarzmić.

Numer siostry wybrałam, wychodząc na zewnątrz. Mżawka przeszła w śnieg z deszczem, niebo zrobiło się jeszcze ciemniejsze, złowrogie.

– Masz chwilę, żeby pogadać? – zapytałam, kiedy odebrała.

Przez dłuższą chwilę milczała i dopiero po kilkunastu sekundach zrozumiałam, że płacze.

– Przepraszam, po prostu... Nie mogę uwierzyć, że już jesteś – szepnęła.

– Już jestem.

– Wpadaj, jasne. Młoda w przedszkolu, Sasza w pracy. Pogadamy spokojnie, nikt się nam nie będzie kręcił nad głową...

– Jesteś pewna, że masz czas? – zawahałam się. – Wspomniałaś coś wczoraj o nawale tłumaczeń i...

– Monika, przyjeżdżaj! Cholera, nie widywałam cię w ogóle przez ostatnich osiem lat, więc wybaczone, ale chrzań te tłumaczenia i całą resztę – Magdalena roześmiała się przez łzy i dodała, że akurat upiekła ciasto z kruszonką.

– Babcia zawsze nam takie piekła, pamiętasz? – uśmiechnęłam się.

– Mama czasem też, całkiem często – przypomniała mi siostra.

– Jeśli mam być szczerą, wolałam to babcine – szepnęłam i obie się roześmiały. – O ile szybko złapię autobus, będę u ciebie za jakieś dwadzieścia minut – dodałam.

– Czekam.

W drodze na przystanek, w jednej z nowych, nieznanych mi kwaciarni, kupiłam różowy storczyk. Był tani, przeceniony, z ułamaną gałązką i powoli zaczynającymi obsychać kwiatami. Pewnie dlatego wybrałam go spośród innych o wiele ładniejszych kwiatów. Magda się nim zaopiekuje, pomyślałam.

Siostra musiała na mnie czekać, kręcąc się przy frontowych drzwiach, bo ledwie wcisnęłam dzwonek, a już szcęknał przekręcany w zamku klucz. Przez chwilę, przez jeden krótki moment pomyślałam o złowieszczym szcęku zasuwki i zielonym pokoju, ale szybko odegnałam upiory przeszłości.

W progu podałam jej kwiatek. Kiedy mnie obejmowała, poczułam znajomy zapach jej skóry. I chociaż używała zupełnie innych perfum niż lata temu, wydawało mi się, że pachnie dokładnie tak samo jak zawsze.

– Wejdz i nie przejmuj się bałaganem. Sasza nie ma w zwyczaju czegokolwiek sprzątać, a ja od rana pracuję i nie pozbierałam nawet zabawek Julki...

– Nie mogę uwierzyć, że masz czteroletnią córkę – powiedziałam, siadając na sofie.

Na zewnątrz na moment wyszło słońce. Wpadało przez ukośne, typowe dla poddaszy okna, rozświetlając złotym blaskiem przestronny, połączony z kuchnią salon.

– Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie miałam pojęcia, jak mieszkaś – powiedziałam cicho.

– Rozejrzyj się, ja zaparzę herbatę. Za ścianką z luksferów jest sypialnia, łazienka tam – Magda kręciła się po salonie, podnosząc z podłogi porozrzucone zabawki córki.

Na widok jednej z lalek nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Pani Genowefa? Nie miałam pojęcia, że jeszcze ją masz!

– Nie miałam serca jej wyrzucić. Julia ją uwielbia, nazywa ją panią Wefą. Jak się czujesz? – zapytała Magda, stawiając tanią szklaną cukiernicę na niskiej drewnianej ławie z wygiętymi nóżkami.

– Grubo – wzruszyłam ramionami. – I jeszcze to upiorne wrażenie utknięcia w cudzym życiu. Patrzę w lustro i widzę tę obcą kobietę. Nie znam tej twarzy, nie chcę jej znać. Opuchnięta, stara, zaniedbana. Ten skurwysyn wyrwał mi z życia prawie osiem lat, rozumiesz?!

– podniosłam głos.

– Ale żyjesz, Monika! Żyjesz! Przepraszam cię za tamto... Za to, jak zareagowałam w szpitalu. Byłam w histerii, nie docierało do mnie, że to ty. Zobaczyłam kogoś obcego... Przez te wszystkie lata, kiedy marzyłam o dniu, w którym wrócisz, wyobrażałam sobie ciebie taką, jaką cię straciliśmy. Szczupłą, zadbaną, jasnowłosą. Zresztą nie chodzi tylko o wygląd. Dla mnie zawsze byłaś wzorem, niemal idolką. Starszą siostrą, której trochę się zazdrościło, chociaż chciałoby się nią być. Podziwiałam cię, zawsze. I dalej chciałam to robić. I dalej to robię – poprawiła się. – Ale tamta kobieta... Nawet na mnie nie spojrziałaś, patrzyłaś gdzieś w przestrzeń ponad moją głową, a ja...

– Dziwisz mi się? – weszłam jej w słowo.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Rozmawiałam dziś z Kubą – zmieniłam temat. – Brzmiał tak... Sama nie wiem... Obco i znajomo jednocześnie. Zamieniliśmy kilka słów i szybko się rozłączyłam. Rodzice nasłuchiwali, chłonąc każde moje słowo, i bałam się, że zwyczajnie się rozkleję. Jak on to wszystko znosił? Wiesz, wtedy, kiedy zniknęłam.

– Szalał z rozpaczy, jak my wszyscy. Szukał cię po całej Polsce, wybrał się do Niemiec przeglądać lokale ze striptizem...

– Lokale ze striptizem? – parsknęłam krótkim, nerwowym



śmiechem.

– Ktoś dał mu fałszywy cynk, że możesz być w jednym z takich przybytków, więc wsiadł w samochód i pojechał do Hamburga. Gnał tak, że po drodze zapłacił dwa mandaty – powiedziała Magda. – Był w kompletnej rozsypce, co mogę dodać? Wszyscy byliśmy w totalnej rozsypce.

– Kto jest chrzestną matką Julki? – zapytałam nagle, przyglądając się wiszącej na ścianie fotografii, na której moja siostrzenica stawiała pierwsze niepewne kroki.

– Bogna. Wiesz, że gdybyś nie przepadła, to byłabyś ty, prawda?

– Wiem. Co u Bogny?

– Wyszła za męża, mieszka w Heidelbergu.

– Macie ze sobą kontakt?

– Sporadyczny. Wiesz, Facebook i te sprawy. Monika, mogę cię o coś zapytać?

– Niech zgadnę, wkraczamy na grząski grunt?

– Tak, ale... Po prostu muszę to wiedzieć, ja...

– Chcesz się dowiedzieć, co w taki mróz robiłam na tamtej szosie, prawda? Czemu wyszłam z mieszkania na kilka godzin przed planowanym u nas sylwestrem, dlaczego nie wzięłam samochodu, co do cholery przygnało mnie na tamtą drogę? – powiedziałam.

– Tak, właśnie tego chciałabym się dowiedzieć. Rodzice też, ale oni nie mają chyba jeszcze odwagi, żeby cię o to zapytać. Zresztą może ja też nie powinnam? Rozumiem, że jest jeszcze wcześniej, że może...

– Miałam romans – powiedziałam cicho, ledwie słyszalnym szeptem.

Magda milczała, jednak sądząc po wyrazie jej twarzy, udało mi się ją zszokować.

– Szymon pracował na mojej uczelni, poznaliśmy się w bibliotece. Byłam rozwalona emocjonalnie po poronieniu, miałam żal do Jakuba o to, jak zareagował po mojej próbie samobójczej. W szpitalu, kiedy wypłukali mi żołądek, warknął: „Jak mogłaś mi to zrobić?!”. Wydał mi się nieczuły, obcy, podły. Szymon sprawiał odmienne wrażenie, był ciepły, wrażliwy, uważny. Teraz wiem, że to była tylko poza, maska, którą włożył, żeby mnie uwieść. Był po prostu jednym z tych

znudzonych rutynowym pożyciem żonkosiów, którzy chcieli sobie zafundować krótki romans na boku. Ale wtedy... Spotykaliśmy się w bibliotece, czasem szliśmy na kawę albo jechaliśmy do niego. Jego żona, Iwona, na okrągło była w pracy. Lokalna gwiazdka telewizji i prawdziwa suka, jak czasem o niej mówił. Wtedy się z tego śmiałam, myślałam o niej z pogardą. Wydawała mi się głupia, nic niewarta. Co to za kobieta, o której własny mąż mówi takie rzeczy, myślałam. Dopiero później dotarło do mnie, że to on był dupkiem. Zakłamanym, cynicznym draniem, dla którego straciłam głowę jak ostatnia idiotka. Kilka dni przed moim zaginięciem kochaliśmy się w ich małżeńskim łóżku, kiedy ona zadzwoniła na stacjonarny. Rozmawiał z nią tak... Sama nie wiem. Z pogardą, lekceważeniem. Kiedy się rozłączył, powiedział, że pewnie jest przed okresem, bo uderzają jej do głowy hormony i tamtego dnia po raz pierwszy spojrzałam na niego inaczej, bardziej krytycznie. Po człowieku z doktoratem nie spodziewałabym się w końcu takiej żenująco szowinistycznej uwagi. Dzień później kupił mi bukiet róż i napisał dla mnie wiersz, a ja znowu dałam się omamić. „W sylwestra będę na ciebie czekać koło siedemnastej, w naszej zatoczce. Przyjdź, złożymy sobie życzenia, pożegnamy stary rok” – powiedział mi, kiedy odwoził mnie do domu. Pamiętam, że się wahałam. „Nie wiem, Szymek. Mamy mieć gości, całe przyjęcie na mojej głowie” – powiedziałam, ale nie zamierzała ustąpić. „Daj spokój, przecież nie proszę o wiele. Kilka minut, góra pół godziny” – nalegał. Więc wróciłam z pracy, zadzwoniłam do Kubę, kazałam mu kupić ananasy w puszcze i wysłałam na mróz. Wiesz, co jest najśmieszniejsze? Kiedy teraz o nim myślę, nie potrafię sobie przypomnieć, co takiego w nim widziałam. Dziś mam go za nadętego dupka i zwykłego pozera. No co tak patrzysz, nie powiedziałaabyś? – uśmiechnęłam się blado.

– Nie, nie powiedziałaabym – przyznała moja siostra. – Z zewnątrz wyglądaliście z Kubą na niemal idealną parę...

– Nie istnieją pary idealne, Magda. Zresztą powiedzmy sobie szczerze – większość z nas dosłownie uwielbia komplikować sobie życie. Często się nad tym zastanawiam, wiesz? Czemu my, ludzie, tak się wzajemnie ranimy?

– Żałujesz?

– A jak myślisz? Oczywiście, że tak! Żałuję, że się w to wszystko wplątałam, że z taką okrutną wręcz beztróską wlałam do łóżka praktycznie obcego, w dodatku żonatego faceta. Ale najbardziej dziwi mnie fakt, że zabrakło mi wyobraźni... Zanim poszłam z Szymonem na całość, powinnam sobie chyba uzmysłwić, co może pójść nie tak. Myślałam wtedy, że nad wszystkim panuję, wiesz? Że Szymon tu, Kuba tam, ja pośrodku i jest okay. Że mąż nie dowie się o kochanku, kochanek nigdy nie będzie zazdrosny o męża, pełna sielanka. Byłam idiotką. Chociaż nie, chyba nie w tym rzecz. Po prostu się pogubiłam.

– Powinnaś mi była powiedzieć. O swoim poronieniu, o tym, że chciałaś się zabić. Kurwa, wyobraź sobie, że to ja wykręcam ci taki numer! Monika, ja...

– Masz rację, powinnam ci była powiedzieć. Tobie, rodzicom. Kiedy teraz o tym myślę, wiem, że pomogliście mi jakoś przez to przejść. Ale wtedy zaskorupiłam się we własnym bólu, nie chciałam widzieć nikogo, nawet was, nie chciałam słyszeć słów pociechy, nie chciałam litości...

– Jesteś moją siostrą! Powinnaś była... Nie, nieważne. Zmieńmy temat – Magda usiadła obok mnie i objęła mnie ramieniem.

Odsunęłam się lekko, a ona znieruchomiała.

– Przepraszam.

– To nic, zapomnij. Po prostu odwykłam. Przez ostatnie lata dotykały mnie tylko jego łapska – powiedziałam.

Magda pokiwała głową ze zrozumieniem i zerwała się, żeby w końcu zaparzyć dla nas herbatę. Szukała w szafce talerzyków, kiedy w głębi torebki odezwała się moja komórka.

– Niech zgadnę, mama? – uśmiechnęła się pod nosem Magda.

– Owszem, ktośby inny? Zawsze bywała nadopiekuńcza, ale teraz przechodzi samą siebie – powiedziałam, odbierając telefon. – Mamo, wszystko w porządku. Jestem u Magdy. Tak, pozdrowię ją. Nie, Julka jest w przedszkolu – odpowiadałam na pytanie mechanicznie, chcąc jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Zamartwiała się o ciebie tyle lat, nie powinnaś jej teraz tak spławiać – szepnęła Magda, stawiając na ławie talerz z pokrojonym ciastem.

– Wiem, Magda. Ja to wszystko wiem. Tyle że odkąd wróciłam, czuję się ubezwłasnowolniona. Czasem niemal tak, jakbym zamieniła tamto więzienie pod dachem szaleńca na złotą klatkę. Mama śledzi każdy mój ruch, podsłuchuje telefoniczne rozmowy, patrzy mi na ręce, kontroluje to, co na siebie wkładam, co jem, dokąd chodzę. Nie mogę zrobić kroku za próg, żeby nie pytała, dokąd idę, o której wrócę...

– Dokładnie tak samo zachowywała się, kiedy wprowadziłam się do nich po twoim zaginięciu. Martwi się, to wszystko. Daj jej parę tygodni, musi oswoić tę sytuację. W końcu zrozumie, że powinna zachować jakiś dystans, da ci trochę luzu.

– Mam nadzieję – powiedziałam.

Dojadłam herbatnika, kiedy zauważyłam jedną ze stojących na komodzie fotografii.

– To Jakub? – zdziwiłam się.

Był nieco okrągłszy na twarzy, bardziej „nabity” niż go zapamiętałam i nieogolony. Siedział przy ognisku z narzuconą na ramiona puchową kurtką. Obok niego Magda, za nimi, z butelką piwa w dłoni, szeroko uśmiechnięty, stał Sasza.

– Kiedy zrobiliście tę fotkę? – zapytałam.

– W sylwestra, sześć lat od twojego zaginięcia. Rodzice zostali z Julką, a my w czwórkę wyjechaliśmy w góry.

– W czwórkę?

– Była z nami Iwona, to ona zrobiła zdjęcie.

– Iwona... – szepnęłam, zastanawiając się, co tak naprawdę czuję do kobiety, która zajęła moje miejsce u boku Jakuba.

Żywą palącą nienawiść? Zazdrość? Gniew?

– Kuba strasznie dużo wtedy wypił i pokłócił się z nią.

Mieszkaliśmy z Saszą w domku obok, więc świetnie słyszeliśmy, jak się na siebie darli. Wrzeszczeli na siebie w środku nocy, później on wybiegł na mróz w samym swetrze i nie zważając na szalejącą śnieżycę, zszedł na dół, do wioski. Pił do rana w jednej z karczm, w końcu wszczął awanturę i pobił się z jakimś kolesiem z Warszawy. A na koniec, jakby tego było mało, wybiegł stamtąd z rozkwaszonym nosem i władował się prosto pod samochód.

– Kuba wpadł pod auto? – szepnęłam.

– Tak. Do tej pory odrobinę kuleje.

– Chryste... Wiesz, o co się pokłócili?

– Tak, ale...

– O co, Magda?

– O ciebie. Ona wrzeszczała, że chociaż jest z nią, myśli o tobie.

„Jest pierdolony sylwester, nie powinnaś mi się chyba dziwić?!”

– odkrzyknął. Zrzuciła mu, że nigdy jej nie kochał, że zawsze byłaś tylko ty. Strasznie płakała. Nie przepadam za nią, ale na swój sposób było mi jej wtedy żal...

– Czemu jej nie lubisz? – zapytałam.

– Jak mogłabym ją lubić? Zajęła twoje miejsce!

– To nie jej wina. To on na mnie nie czekał...

– Czekał na ciebie, Monika. Tyle że zbyt szybko się poddał. Był zbyt rozpaczliwie samotny, żeby dalej dźwigać to wszystko w pojedynkę. Przez długi czas miałam do niego żal, że tak szybko się z kimś związał, ale w końcu zaczęłam to rozumieć. A może to po prostu była wściekła zazdrość?

– Zazdrość? – zapytałam.

Magda zacisnęła usta w wąską kreskę i nie patrząc mi w oczy, powiedziała, że był taki czas, kiedy czuła coś do mojego męża.

– Nie wiem, czy byłam w nim zakochana, czy tylko to sobie wmówiłam, ale... Jezu, Monika, przepraszam! Między nami nic nie zaszło, nic! Ja tylko...

– To już nie ma znaczenia, Magda. Wszyscy w pewien sposób byliście w żałobie. Zawsze łatwiej rozpaczać, mogąc się na kimś oprzeć. Kiedy tam byłam, zamknięta w tym przeklętym miejscu, zdarzało mi się nasłuchiwać jego kroków, czekać, aż on przyjdzie na górę. Znęcał się nade mną psychicznie i fizycznie, upokarzał mnie, bił, poniewierał mną i wyzywał od suk. Nienawidziłam go i życzyłam mu śmierci, a jednak czasem chciałam, żeby się zjawił, żeby coś do mnie powiedział. Nie ma gorszej rzeczy niż samotność. Człowiek pozostawiony sam na sam ze swoimi myślami prędzej czy później wariuje... Przeżywaliście z Kubą to samo, miałaś prawo szukać bliskości u kogoś, kto żył w twoim kręgu piekła – powiedziałam cicho. – Co ty, beczysz? Magda, proszę cię!

– Wiem, wiem. To ja powinnam cię pocieszać – roześmiała się

przez łzy.

– Nie chcę, żebyś mnie pocieszała. Nie chcę na razie o tym rozmawiać, nie chcę się oglądać za siebie. Chcę być twoją siostrą, tak po prostu. Malować ci paznokcie u nóg, śmiejąc się z twoich krzywych paluchów, gadać z tobą przez telefon, oglądać idiotyczne filmy. O, a tak z innej beczki – kto jest obecnie bożyszczem kobiet? – zapytałam, a Magda parsknęła śmiechem.

– Czy ja wiem? Chyba Bradley Cooper. Może Tom Hardy? Pod względem urody dwa dość odmienne typy, ale kocham ich obu.

– Nie znam gości – powiedziałam, a siostra z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Wygląda na to, że ten skurwysyn faktycznie ukradł ci kawałek życia – mruknęła.

– Nadrobimy, nie martw się.

– Czekał, zaraz ci ich pokażę – Magda sięgnęła po swoją komórkę i zapatrzona w wyświetlacz zaczęła przeszukiwać wyszukiwarke.

Przyglądałam się Cooperowi, kiedy na poddaszu zjawili się Sasza z Julką.

– Hej, wy już w domu? – zdziwiła się Magda, wyraźnie zaskoczona widokiem męża.

– Też miło cię widzieć, kocie – mruknął do niej, po czym zrzucił buty, podszedł do mnie i pocałował mnie w policzek. – Cześć, Moniczko – powiedział, zdrabniając moje imię, ale ta „Moniczka” brzmiała w jego ustach zupełnie naturalnie.

Tak, jakbyśmy znali się od lat. Jak w rodzinie.

– Julka, przywitaj się z ciocią – Magda zdjęła córce czapkę i zaczęła jej ściągać kurtkę. – No już, daj cioci buziaka! – zachęcała ją.

Mała podeszła do mnie i stanęła po drugiej stronie ławy. Miała oczy Saszy – duże, ciemnoszare, w ciemniejszym świetle niemal czarne. Miała też oczy mojego taty – tak to już jest z rodzinnym podobieństwem, że każdy widzi to, co w danym momencie chce zobaczyć.

– Cześć, Julia – powiedziałam.

– Ciociu, a czemu ja ciebie wcześniej nie widziałam? – zapytała, a gdzieś nad moją głową Sasza z Magdą wymienili spłoszone spojrzenia.

– Ciocia Monika dużo podróżowała – powiedział Sasza, ciągnąc

młodą za rączkę. – Chodź, odgrzeję ci zupę.

– Nie chcę zupy! – tupnęła nóżką dziewczynka, szczęściem temat moich „podróży” chwilowo poszedł w niepamięć.

– Przepraszam – szepnęła Magda, nerwowo mnąc w dłoniach kolorową czapkę córki.

– Za co? Nie wygłupiaj się – wzruszyłam ramionami.

– Odwiozę cię – powiedział Sasza kilka minut później.

– Daj spokój, to niedaleko – zaprotestowałam, ale nie chcieli nawet słyszeć, że wracam do domu sama.

Jednak jestem ubezwłasnowolniona, pomyślałam. Dopiero kiedy wyszliśmy na mżawkę, poczułam nieco wdzięczności. Kiedy wysiadłam z jego samochodu, mama stała w oświetlonym kuchennym oknie, wypatrując mojego powrotu. Nie zdążyłam nawet włożyć klucza do zamka, kiedy otworzyła mi drzwi.

– Myślałam, że wrócisz od razu po wizycie w klinice. Wiem, że byłaś u Madzi, ale i tak się martwiłam. Przecież wiesz, że nie powinnaś...

– Nie trzęś się tak nade mną, mamo! – wybuchnęłam.

Cofnęła się w głąb korytarza. Urażona, pobladła, smutna.

– Musisz zrozumieć, że potrzebuję odrobiny luzu! Wiem, że się martwisz, ale ja nie mogę oddychać! – dodałam podniesionym głosem.

Nie odpowiedziała.

Zaczęła płakać i poczułam się podle. Wiedziałam jednak, że prędzej czy później bym jej to wygarnęła. Nie mogła mnie aż tak osaczać! Nie potrafiłam żyć z myślą, że dosłownie mnie dusi swoją miłością! Dopiero na górze, zmywając z twarzy makijaż, pomyślałam, że jestem nieczułą podłą idiotką. Cudem wyrwałam się z piekła i zastałam w domu wszystkich, których kochałam. Jak mogłam traktować ją w taki sposób? Na dół zesłam boso. Mama nie usłyszała moich kroków. Stała w oknie, wyglądając na ulicę, drżały jej ramiona.

– Przepraszam – szepnęłam.

Odwróciła się do mnie i pojaśniały jej oczy.

– Ja też cię przepraszam, córeczko. Za wszystko – powiedziała.

– Nie masz za co mnie przepraszać, mamo.

Przytuliła mnie, gładząc po plecach. Pachniała perfumami Diora,

które od lat niezmiennie kupował jej tato, a jej drobne, wychudzone plecy wydały mi się jeszcze bardziej kruche niż zazwyczaj. Sprawiała wrażenie porcelanowej lalki, czegoś, co jeden silniejszy przeciąg może strącić na ziemię i roztrzaskać w drobny mak.



## 14.

W komisariacie było nieprzyjemnie duszno, a unoszący się w powietrzu odór zwietrzałego tytoniu przyprowadził mnie o ból głowy. Pomimo że byłam umówiona na konkretną godzinę, czekałam niemal trzy kwadransy, aż ktoś się mną zainteresuje. Siedząca naprzeciwko mnie młoda mocno umalowana kobieta w krótkiej dżinsowej spódnicy i wydekoltowanej bluzce, miała paskudnie podbite oko i ślady krwi na ubraniu.

– Na co się, kurwa, gapisz? – warknęła, kiedy zauważyła, że się jej przyglądam.

Odwróciłam wzrok, starając się zapanować nad roztrzęsionymi rękoma. Tyle przemocy dookoła, tyle ludzkiej nienawiści. Czekałam coraz bardziej podenerwowana, przeklinając w duchu niesłowność śledczych. W torebce dziewczyny z podbitym okiem rozdzwoniła się komórka. Durna, swiergotliwa melodyjka nijak nie pasowała do ponurego miejsca, w którym siedziałyśmy. Zanim odebrała, wymownie się skrzywiła, jakby sam widok czyjegoś imienia na wyświetlaczu aparatu odebrał jej ochotę na rozmowę.

– Czego chcesz?!

Zaczęła hardo, zaczepnie. Przez dłuższą chwilę słuchała, nie mówiąc nic, w końcu zaczęła krzyczeć.

– Przepraszasz?! Jaja sobie robisz?! Widziałeś w ogóle, jak ja wyglądam?! Oczywiście, że złożę tę skargę, ty chuju! Nie, to ty posłuchaj mnie! Tkniesz mnie jeszcze raz, a wywalę cię z domu! Mieszkanie jest moje, słyszysz?! Nie, nie przyjeżdżaj po mnie! Nie tym razem, Janusz! Nie, kurwa mać! – wrzasnęła, rozłączając się.

Chwilę później wstała i ze spuszczoną nisko głową ruszyła w stronę wyjścia, a ja zrozumiałam, że nie złożę już skargi na tego, który tak ją załatwił. Wściekała się, krzyczała, szarpała na coraz krótszym łańcuchu, ale i tak potulnie wróci do domu. Damski bokser kupi jej być może jakiś wiecheć, jeszcze raz ją przeprosi i przez chwilę, zapewne do następnego pobicia, dziewczyna będzie wierzyć, że on tym razem naprawdę się zmienił...

– Zapraszam! Proszę wybaczyć opóźnienie, musiałem jeszcze gdzieś podjechać – zwalisty, ubrany na ciemno gliniarz podszedł do mnie i wskazał na jedne z zamkniętych drzwi w głębi korytarza. – Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał – dodał.

Znałam go tylko z widzenia, za to on świetnie mnie zapamiętał, nawet nie zapytał o nazwisko, dobrze wiedział, kim jestem.

W pokoju było duszno i podobnie jak w korytarzu cuchnęło zwietrzałym papierosowym dymem.

– Podkomisarz Krzysztof Małecki, znam pani sprawę – przedstawił się, kiedy już zamknął za nami drzwi i położył na biurku smutną tekturową teczkę z moim imieniem i nazwiskiem. – Proszę, niech pani siada. Kolega jak zawsze zostawił po sobie bałagan, ale zaraz się z tym uporamy – dodał, zbierając ze stojącego przy biurku krzesła jakieś papiery.

Usiadłam naprzeciwko niego, usiłując sobie przypomnieć coś, czego przez ostatnie dni nie powiedziałam jeszcze policji. Śledczy przyglądał mi się uważnie; jego czoło przecinała wyraźna, pozioma zmarszczka.

Pomyślałam, że wygląda trochę jak pan Edek, dawny przyjaciel taty, którego pamiętałam z dzieciństwa. Wysoki niedźwiedziowaty gość, który zawsze przywoził nam z Niemiec żelki. Kiedy byłam smarkulą, nie mogłam zrozumieć, czemu mama go nie lubiła. My z siostrą za nim przepadałyśmy. Magda przygotowywała się do Pierwszej Komunii, kiedy pan Edek zginął w wypadku. Płakałyśmy przez cały wieczór. Mama była wściekła. „Nie powinieneś mówić dziewczynkom takich koszmarnych rzeczy! Trzeba było coś wymyślić. Że wyjechał, czy coś...” – powiedziała tacie, który blady, z podkrążonymi oczyma, samotnie siedział w ciemnym salonie. Podśluchałam tę rozmowę przypadkiem, skradając się do lodówki po kawałek ciasta. Później długo byłam na mamę zła, nie rozumiałam, o co właściwie miała do ojca pretensję. Ale w tamtym okresie kłócili się na okrągło. Tato nie miał stałej pracy, przez co ledwo wiązaliśmy koniec z końcem. Mama kręciła się po domu podminowana, w każdej chwili gotowa do wybuchu. Staralam się trzymać od niej z daleka, wiedząc, że może mi się oberwać praktycznie za wszystko, ale sporo ode mnie młodsza Magda nie

rozumiała, czemu musi schodzić matce z drogi i snuła się za nią po domu, dopóki kolejny raz jej się nie dostało... Zazwyczaj obrywałyśmy kuchenną ścierką, ale bywało, że mama szarpnęła nas za włosy albo uszczypnęła. Dziś rzadko o tym myślę, nie lubię wracać wspomnieniami do tamtych dni, ale wtedy miałam do niej żal. Coś ją gnębiło. Coś, czego nie rozumiałam ani ja, ani Magda. Dlaczego jednak wyżywała się na nas wszystkich? Tego jakoś nie mogłam pojąć. Dopiero kiedy miałam prawie dziewiętnaście lat, znalazłam w domu babci coś, co sprawiło, że każdy fragment tej zagadkowej układanki znalazł swoje miejsce. Przewiązane czerwoną wstążką, upchnięte do jednej z zapomnianych drewnianych skrzyń pożółkłe listy aż się prosiły, żeby wpaść w niepowołane ręce... Matka dostawała je przez ponad rok, od niego. Od człowieka, którego z siostrą uważałyśmy za przyszywanego wujka. Kipiały erotyzmem, były pełne tęsknoty. Płonąc z emocji, czytałam jeden za drugim, ukryta na pełnym pajęczyn strychu, aż któregoś dnia na lekturze nakryła mnie babcia. „Bożenka dawno temu powinna je była wyrzucić” – powiedziała tylko, wyjmując mi z ręki jedną z pożółkłych kartek. „Mama miała romans?” – zapytałam cicho. Babcia nie odpowiedziała. „Idź na dół i obierz ziemniaki” – rzuciła tylko, z politowaniem kręcąc głową. „Dawno powinna to wszystko wyrzucić” – usłyszałam jeszcze jej głos, zanim zbiegłam po schodach. Kilka dni później, po powrocie od babci, zapytałam matkę, czy kochała pana Edka. „Tylko udawałaś, że go nie lubisz, prawda? Żeby tato się nie domyślił, żebyś mogła dalej przed nim grać!” – krzyknęłam. „Nie mam pojęcia, o czym mówisz” – syknęła, odwracając się do mnie plecami. Ale ja już wiedziałam! Czułam, że kłamie! Mama miała romans. Czy pan Edek był pierwszy, czy może byli inni? I czy to normalne, czy tak się dzieje w każdym domu, czy tylko moi rodzice byli jacyś dziwni? – zastanawiałam się tamtego lata, ale nie potrafiłam tak do końca poukładać sobie w głowie tego, co odkryłam na babcinym strychu.

– Pani Moniko, wiem, że całą sobą wzbrania się pani przed powrotem do tamtego koszmaru, ale to dla nas cholernie ważne – głos siedzącego przede mną podkomisarza Małeckiego wyrwał mnie z zamyślenia. – Ta kobieta, którą widziała pani martwą w domu porywacza, miała na imię Irena, tak? A nazwisko? Potrafi pani jeszcze

coś sobie przypomnieć? Może wspominała, skąd jest? Mówiła o jakiejś dawnej pracy, rodzinie? – dodał, wierząc się na niewygodnym plastikowym krześle.

– Nie znam jej nazwiska, nie rozumie pan?! To była bezdomna, którą on pod wpływem jakiegoś impulsu przywiózł pod swój dach i wtajemniczył we własne sprawy! – podniosłam głos, bo jego pytania zaczęły mnie irytować.

Od powrotu do domu po raz czwarty byłam na komendzie, a oni w kółko wypytywali mnie o to samo! Problem polegał na tym, że nie wiedziałam nic ponad to, co już zdążyłam im powiedzieć!

– Skąd pani wie, że była bezdomna? – zainteresował się Małecki, skubiąc troczek czarnej bluzy, w której musiało mu być zbyt gorąco – w zagraconym, niewielkim pokoju kaloryfery zdawały się pracować pełną parą.

– Najprawdopodobniej była bezdomna. Zresztą on mówił, że podeszła do niego na ulicy, żebrząc o kasę. Brakowało jej zębów, wyglądała na chorą i skrajnie zabiedzoną.

– Podejrzewa pani, że porywacz przyczynił się do jej śmierci? Potrafi pani dać nam jakieś wskazówki odnośnie miejsca ukrycia zwłok? Nadal nie znaleźliśmy jej ciała, ale...

– Panie podkomisarzu, z całym szacunkiem, ale mam dość tej rozmowy! Powiedziałam już wszystko, co wiem i co pamiętam! Nie wiem, czy przyczynił się do jej śmierci, skąd mogłabym to wiedzieć?! Kiedy zesłam na dół, była martwa! Czy wcześniej dosypał jej trutki na szczury do drinka, tego stwierdzić nie potrafię!

– Rozumiem. Proszę się nie unosić. Musiałem zapytać. Gdybym jeszcze miał jakieś wątpliwości, pozwolę sobie do pani zadzwonić.

– Skoro pan musi...

– Ach, zapomniałbym. Mam też dobre wieści. Ta nastoletnia dziewczyna, którą pani porywacz rzekomo przetrzymywał jakiś czas przed panią, żyje. Martyna Socha, zgadza się? – powiedział.

– Dziewczyna żyje? Powiedział mi, że się zabiła, pokazał mi spód materaca! Cały był w jej krwi, powiedział, że rozharatała sobie żyły szkłem z rozbitej szyby, że...

– Pani Moniko, spokojnie – Małecki wstał, obszedł biurko, położył

mi dłoń na ramieniu i kazał głęboko oddychać. – Sprawca wyrzucił tamten stary materac, więc nie wiemy, czyja to była krew. Równie dobrze mogła być zwierzęca. Ale ta kobieta żyje, rozmawialiśmy z nią kilka dni temu. Owszem, przyznała, że jakieś dziewięć, może dziesięć lat temu Józef Franczyk się wokół niej kręcił. Wystawał przed jej szkołą, zagadywał koleżanki, zaczepiał ją, kiedy wieczorami samotnie wracała z siatkówki. Była wtedy uczennicą technikum, młodą, naiwną dziewczyną. Któregoś dnia łało, a ona pomimo jego wcześniejszej nachalności wsiadła do jego samochodu. Wywiózł ją w las, najprawdopodobniej chciał zgwałcić. Uciekła mu wtedy, miała fart. Ale w jego aucie została jej torebka. Legitymacja szkolna, klucze, portfel. Mógł miesiącami oglądać jej zdjęcie, fantazjując.

– Powiedział mi, że pochował ją pod jedną z jabłoni! Mówił, że własnoręcznie wykopał dla niej grób, że...

– Wiem, ale niczego tam nie znaleźliśmy. Psy wyczuły obecność zwłok w miejscu, gdzie zastała pani ciało tej bezdomnej nieszczęsnicy, ale nie znalazły niczego innego. A szukaliśmy bardzo starannie, zarówno w domu, jak i wokół posesji. Wygląda na to, że Józef Franczyk, opowiadając pani tę historię, dał się ponieść wyobraźni. To był mocno zaburzony człowiek, pani Moniko. Tacy ludzie... Zresztą nieważne, zostawmy to.

– Żałuję, że nie miałam możliwości, żeby iść na jego pogrzeb – powiedziałam cicho. – Zobaczyć go martwego, naocznie się przekonać, że już nikogo nie skrzywdzi...

– On nie żyje, pani Moniko. To ścierwo jest już dwa metry pod ziemią, może pani spać spokojnie – powiedział Małecki, odprowadzając mnie do drzwi. – Naprawdę się cieszę, że w pani przypadku cały ten koszmar skończył się powrotem do domu – dodał.

Zatrzymałam się tuż przy wyjściu.

– Kto wtedy wezwał karetkę? Jakiś sąsiad? Policja? – zapytałam, nagle zdając sobie sprawę, że nie mam pojęcia, kim był szczupły ciemnowłosy mężczyzna, który znalazł mnie skrajnie wyczerpaną w domu oprawcy.

– To pani nie wie? – zdziwił się Małecki. – Znalazł panią jego syn. Zawiadomiono go, że ojciec zmarł na zawał na poczcie, bo to on był

najbliższym żyjącym krewnym porywacza. Na stałe mieszka w Warszawie, dlatego zjawił się w domu ojca dopiero jakiś czas później. Przyjechał, żeby zorganizować pogrzeb, zabezpieczyć nieruchomość i załatwić wszystkie formalności, ale z tego co wiem, nie rozmawiał z ojcem od lat. Według miejscowych, których zdążyli przepytać nasi koledzy z tamtejszej komendy, nie chciał mieć z nim nic wspólnego, wyrzekł się go, kiedy jeszcze był nastolatkiem.

– Syn? – zdziwiłam się, nie kryjąc zaskoczenia. – Nigdy mi nie wspominał o synu. Mówił o żonie, matce, bracie, ale nigdy o synu.

– Co nie znaczy, że go nie miał.

– Chciałabym z nim porozmawiać. Ma pan jakiś kontakt do tego człowieka? – zapytałam.

– Mamy jego dane, ale...

– Proszę. To dla mnie ważne.

– Pani Moniko, nie mogę tak po prostu dać pani jego numeru – zaprotestował Małecki.

– Więc niech pan mu da mój numer i poprosi, żeby zadzwonił. Chcę porozmawiać, muszę się z nim zobaczyć! Nie teraz, za jakiś czas. Ale wiem, że będę chciała.

– I po co to wszystko? Co pani da taka rozmowa? Przeżyła pani piekło i chce pani do niego wracać? Czasem pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć. Ten człowiek wyrzekł się własnego ojca, rozumie pani? Takich rzeczy nie robi się bez powodu. Może się okazać, że w dzieciństwie przeżył koszmar, o którym stara się zapomnieć. Po co rozdrapywać stare rany? – zapytał podkomisarz, przeglądając teczkę z moim nazwiskiem. – Ten skurwiel przetrzymywał panią prawie osiem lat. Tym bardziej powinna się pani postarać, żeby o tym zapomnieć. Ucinanie sobie pogawędek z synem tego bydlaka z całą pewnością nie poprawi pani stanu psychicznego – dodał.

– Doceniam pana troskę, ale to chyba moja decyzja? – zapytałam. Odłożył na bok teczkę, westchnął i wstał.

– Dobrze, spróbuję – obiecał w końcu.

Nadal nie wydawał się zachwycony moim pomysłem, ale też uparcie nie obstawał przy swoim.

– Dziękuję pięknie za spotkanie i przepraszam, że kolejny raz panią

fatygowałem. Zwłaszcza w tej sytuacji...

– Rozumiem – powiedziałam, podając mu rękę.

Ściskając moją dłoń lekko, ledwie zauważalnie skinął głową i życzył mi miłego dnia.

Wychodząc z komisariatu, pomyślałam, że teraz, kiedy jestem tu, w rodzinnych stronach, lata spędzone pod dachem Józefa powoli, powoli stają się coraz mniej realne. Wciąż jeszcze miewałam koszmary. Bywały lepsze i gorsze dni. Czasem nie znajdowałam w sobie odwagi, żeby w ogóle wyjść na zewnątrz. Podejrzanie wyglądający mężczyźni w starych poobijanych samochodach zdawali się krążyć wokół naszego domu, a dookoła była tylko przemoc i znieczulica. W takie dni tkwiłam w fotelu z książką w dłoni, a cały wrogi, pełen pułapek świat był po drugiej stronie szyby, za oknem. Czasem z kolei godzinami kręciłam się po miasteczku, jakbym chciała nadrobić cały stracony czas, zobaczyć wszystko i wszystkich, smakować, dotykać, wąchać, upajać się. Wciąż cały ten koszmar tkwi głęboko we mnie, ale znajome ulice, zapamiętane z dzieciństwa zaułki, place i parki pomagają mi wrócić do życia, odnaleźć się na nowo, ruszyć przed siebie.

Byłam na Lwowskiej, kiedy na chodnik zjechało niewielkie granatowe auto. Przystanęłam, zupełnie jakby nogi wrosły mi w chodnikowe płytki. Dopiero po chwili zmusiłam się, żeby iść dalej. Żeby minąć ten samochód, nie panikować, po prostu iść. Byłam tuż przy nim, kiedy wysiadła z niego młoda ładna dziewczyna w czerwonej czapce. Uśmiechnęła się do mnie, zamknęła wóz i przebiegła przez jezdnię. To tylko auto, nie panikuj – powtarzałam sobie w duchu, usiłując uspokoić rozszalałe w piersi serce.

Z kawiarni na rogu Szarej i Baczyńskiego zadzwoniłam do mamy.

– Wszystko w porządku, mamó. Byłam na komisariacie, teraz siedzę nad sałatką – zdałam jej relację, świetnie wiedząc, że jeśli tego nie zrobię, niebawem zaczną do mnie wydzwaniać.

– Zażyłaś leki? – zapytała.

– A ty? – odpowiedziałam pytaniem.

Roześmiała się. Dźwięcznie, perliście, radośnie. Jak kiedyś.

– Magda dziś do nas wpadnie. Będzie z Julką, zjemy razem kolację – powiedziała jeszcze, zanim się rozłączyła.

Na myśl o siostrze i siostrzenicy poczułam rozlewające się wokół serca ciepło. Magda, pomimo tego, jak byłyśmy różne, zawsze była mi bliska, a jej córeczka powoli zaczęła się dla mnie stawać kimś ważnym. Tuż po powrocie do domu, kiedy oszołomiona ostatnimi wydarzeniami i zamknięta w sobie chciałam tylko świętego spokoju, dziewczynka lekko mnie irytowała. Była głośna, absorbująca, obca. Teraz jednak dotarło do mnie, że przecież to córka Magdy, jej pierworodna. Że ma oczy mojego taty i uśmiech mamy, że nawija włosy na palec, identycznie jak kiedyś robiła to moja siostra, i uwielbia chomiki, dokładnie tak jak ja w dzieciństwie.

Salatka była nie najlepsza, ale i tak zjadłam całą. Siedziałam, obserwując przechodniów, od których dzieliła mnie solidna panoramiczna szyba. Gnali ulicą obojętni na wszystko, potrącając się ramionami, delikatnie ocierając parasolkami, potykając na nierównym bruku. Dziewczyna w czerwonym płaszczu weszła do kawiarni, kiedy dopijałam kawę. Atrakcyjna wysoka blondynka ze świetnie zrobionym makijażem. Usiadła przy stoliku w kącie i wyjęła z torebki telefon.

– Jedziesz już, czy jeszcze trochę ci tam zejdzie? – zapytała.

Miała ładny, melodyjny głos. Obserwowałam ją, nie potrafiąc oderwać wzroku od jej twarzy. Kim jest? Czy zdaje sobie sprawę, ile ma w życiu szczęścia? Do kogo dzwoni? – zastanawiałam się, przyglądając się zdobiącej jej przegub srebrnej bransoletce z masą perłową.

– Dobrze, poczekam – powiedziała po chwili ciszy, po czym przelotnie zerknęła w moją stronę i zamówiła cappuccino.

Obojętność... Odkąd przytyłam, odkąd żyłam w tym obcym ciele ofiary z pokoju na piętrze, ludzie traktowali mnie z jawną obojętnością. Dawniej wzbudzałam więcej emocji, przyciągałam spojrzenia. Mężczyźni zwykli otwarcie się na mnie gapić, kobiety zerkały z zaciekawieniem, czasem z odrobiną zazdrości. Ostatnio jednak zdawałam się być przezroczysta, jakbym nagle przestała istnieć, jakby ktoś wymazał mnie z otoczenia.

– Dziękuję – powiedziała blondynka do młodej kelnerki, jednak nawet na nią nie spojrzała.

Zarozumiała? Zmęczona? Smutna? – zastanawiałam się, usiłując wyczytać z jej twarzy emocje. W końcu poczuła, że zbyt natarczywie jej



się przyglądam, i z grymasem złości na twarzy odwróciła się do mnie plecami, zmieniając krzesło. Dopijając kawę, pomyślałam, że muszę zobaczyć, na kogo czeka. Wiedziałam, że to idiotyczne, ale nagle byłam niemal pewna, że podejdzie do niej ktoś podobny do Kuby. Ktoś, z kim tworzy pewnie idealną z pozoru parę. Jak kiedyś my. Jednak facet, który po kilku minutach zjawił się przy jej stoliku, nie miał nic z Jakuba. Był niski, gruby i ogolony na łyso. Okrągłą twarz zdobił kilkudniowy zarost, na grzbiecie miał znoszoną kraciastą kurtkę, szyję obwiązaną czarnym szalikiem. Zupełnie nie ten typ, zupełnie inna bajka – pomyślałam, prosząc o rachunek.

Kiedy szłam w stronę domu rodziców, pomyślałam o Wandzie. W liceum byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Zawsze razem, niemal nierozłączne. Później nasze drogi się rozeszły. Ja poszłam na studia, ona zaczęła się zadawać z dość szemranym towarzystwem, zbyt dużo pić, imprezować. Jednak teraz, po powrocie do własnego świata, który nie był już taki jak kiedyś, nagle za nią zatęskniłam. Dom jej rodziców sprawiał jeszcze bardziej zaniedbane wrażenie niż dawniej. Tynk na frontowej ścianie, niegdyś biały, teraz był szary i pełen brzydkich żółtozielonych zacieków. Żywopłotu dawno nie podcinano, wybujał wysoko ponad ogrodzenie. Miejscami był połamany, pełen powciskanych pomiędzy gałęzie puszek po piwie, opakowań po chipsach i innych śmieci, które zostawiali po sobie pozbawieni kultury przechodnie. Przy naszej siatce też znajdowały się podobne „prezenty”, ale mama sprzątała je na bieżąco. Wcisnęłam dzwonek przy furtce i przez dłuższą chwilę nie działo się nic, w końcu na ganek wyszła wysoka otyła kobieta, w której z trudem rozpoznałam dawną przyjaciółkę.

– Wanda?! – krzyknęłam.

Spojrzała na mnie zdziwiona, dając mi do zrozumienia, że nie ma pojęcia, kim jestem.

– Otwórz, wariatko! Koleżanki nie poznajesz?!

Ruszyła w moją stronę. Zauważyłam, że podobnie jak ja posiwała na skroniach, ale jej siwizny nie pokrywała świeża farba.

– Monika? – zapytała, podchodząc do furtki. – Ja piernicę, to naprawdę ty! Słyszałam, że się odnalazłaś, ale nie sądziłam... Wejdz, nie

stercz tak! – ponagliła mnie, otwierając bramkę.

– Jesteś sama? – zapytałam.

– W domu? Tak. Jacek jest w robocie, rodzice od lat nie żyją. Ojca wykończyła wątroba, mama zmarła kilka miesięcy później. Wylew.

– Przykro mi – powiedziałam.

Wzruszyła ramionami.

– Ojciec latami chlał, to się doigrał. Tylko mamy mi było żal, chociaż raczej się nie dogadywałyśmy. Zresztą wiesz, jak było. Wchodź i nie zwracaj uwagi na bałagan. Jacek niedawno się do mnie wprowadził i wszędzie są kartony.

– Nowy facet?

– Od pół roku. Z kimś zawsze raźniej, nie? Napij się czegoś? Mów, co u ciebie! – Wanda sięgnęła po leżące na komodzie papierosy i zaczęła się rozglądać za zapalniczką. – Nie palisz? – upewniła się.

– Nie.

– Kurwa, dziewczyno! Dobrze, że jesteś z powrotem! Wiesz, co twoi przeżyli, kiedy cię nie było? – powiedziała, kiedy już zaciągnęła się dymem. – Przytyłaś. Gdziekolwiek byłaś, nie najgorzej cię karmili – dodała z właściwym sobie czarnym humorem, a ja mimowolnie się wzdrygnęłam na wspomnienie Józefa, który czekał, aż do czysta wyjem wszystko z talerza.

Jedz, świnko. Żryj!

– Co u ciebie? – zapytałam, siadając na jednym z krzeseł z tapicerką pełną powypalanych papierosami dziur.

– A co ma być? Żyję, jakoś leci... Roboty ostatnio żadnej nie mam, ale zawsze coś tam chałupniczo dorobię. Zresztą teraz się nie martwię, bo Jacek pracuje na wysokości i nieźle zarabia.

– Na wysokości?

– Jest operatorem dźwigu.

– To coś poważnego? Wiesz, między wami.

– A bo ja wiem? – Wanda podrapała się po przetluszczonych włosach i wydmuchała dym. – Może i tak, nieźle nam razem. Tyle że on jeszcze nie ma rozwodu, a ta jego ślubna to pazerna na kasę zdzira. A ty? Wracasz do męża? – zainteresowała się.

– On już kogoś ma – powiedziałam cicho.

– No jasne, głupie pytanie. Faceci szybko się pocieszają, co? Jak ten skurwiel Tomasz! Zostawił mnie w ciąży, bo poznał w dyskotecce jakąś głupią cipę! Podobno nie miała jeszcze nawet osiemnastu lat! A ja sama z bachorem!

– Masz dziecko? Rodzice nic mi nie wspomnieli...

– Córkę. Zaraz po urodzeniu oddałam ją do adopcji. Nie czułam się na siłach, żeby się bawić w samotną matkę – wzruszyła ramionami.

– Żałujesz czasem?

– Czy ja wiem? Chyba nie. Wiesz, jak to z dziećmiakami bywa, same problemy.

– Nie wiem – powiedziałam cicho i na dłuższą chwilę zapadało między nami krępujące milczenie.

– Pójdę zrobić herbaty – powiedziała w końcu Wanda, podnosząc się z krzesła. – Zjesz coś?! Mam sałatkę z tuńczykiem! – krzyknęła z kuchni.

– Nie, nie. Tylko herbatę, proszę – powiedziałam, rozglądając się po zaniedbanym, od wielu lat nieremontowanym pokoju.

– Jacek ma mi tu ściany wytapetować, bo syf już straszny!

– usłyszałam głos Wandy, która chyba czytała w moich myślach, bo niemal w tym samym momencie podjęła temat remontu. – A ty? Mieszkasz z rodzicami?! – zainteresowała się, przekrzykując czajnik.

– Na razie tak – powiedziałam, kiedy wróciła do pokoju.

– Twoja matka czasem mnie odwiedzała. Wpadała, żeby o tobie pogadać, powspominać. Dopiero po tej sprawie z Tomaszem przestała się do mnie odzywać.

– Po jakiej sprawie z Tomaszem? – zapytałam.

– Nie powiedzieli ci? – zdziwiła się Wanda, wyraźnie blednąc.

– Myślałam, że wiesz...

– O czym?

– No takie tam... Wiesz, my już wtedy nie byliśmy razem, bo on poznał tę nieletnią cipę, ale wykombinował sobie, że jeszcze zedrze kasę z twoich rodziców. Na odchodnym, nie?

– Zedrze kasę z moich rodziców? – powtórzyłam jak echo.

– Napisał im mejla z żądaniem okupu. Imbecyl chciał dwadzieścia tysięcy, gliny pewnie od razu wpadły na to, że to oszust i amator. Kazał

twojemu ojcu przysłać z kasą twoją siostrę, ale zaczęła się na nich psiarnia. Zaczęli uciekać, wpadli na drzewo. Jego kumpel zginął na miejscu, Tomasz poszedł za kraty...

– Jaki kumpel? – zapytałam.

– Radek Nowakowski, nie znasz. Fajny był z niego koleś, chociaż trochę narwany. Lata temu pracował z Tomkiem na budowie, tam się poznali. No i razem sobie wykombinowali, że oskubią twoich rodziców. Mówiłam temu idiocie, że to się źle skończy, ale on...

– Zaraz, zaraz, wiedziałaś?!

– No niby wiedziałam, że coś tam kombinują, ale...

– Wanda, wiedziałaś i nie ostrzegłaś moich rodziców?! Wiesz, przez co oni przeszli?! Kiedyś byliśmy jak siostry, a ty...

– Jak siostry?! – roześmiała się, sięgając po kolejnego papierosa.

– Nie zaprosiłaś mnie nawet na swoje wesele!

– Zaprosiliśmy tylko najbliższą rodzinę, Kuba nie chciał tłumów – powiedziałam cicho.

– Nie mówię o tłumach! Mówię o mnie, twojej rzekomo najlepszej przyjaciółce! Wiesz, jak mi wtedy było przykro? Podeszłam w okolice waszego domu i gapiłam się na ciebie paradującą wokół samochodu w tej falbaniastej ślubnej kiecce. Chciałam chociaż z daleka zobaczyć, jak wyglądasz, ale ty nawet do mnie nie pomachałaś! Wsiadłaś do tej limuzyny nadęta, jak jakaś pieprzona królowa i nawet na mnie nie spojrziałaś!

– Nie widziałam cię, Wanda!

– Widziałaś. Świetnie widziałaś! Spojrzałaś na mnie z taką wyższością, że aż się poryczałam! Zresztą wtedy już ledwo się do mnie odzywałaś, zaczęłaś się wstydzisz córki pijaka, co? Pamiętasz, jak któregoś wieczoru wracałam z Tomkiem z kina, a ty szłaś za rękę z tym swoim Kubą i wpadliśmy na siebie nad rzeką przy wiadukcie? Wyminęliśmy się w tym cholernie wąskim przejściu pod mostem, a ty odwróciłaś głowę, udając, że mnie nie znasz!

– Było ciemno, Wanda! Byłam zakochana, może...

– Udawałaś, że mnie nie widzisz! Wstydziałaś się mnie! Bo już wtedy byłaś lepiej ubrana, wykształcona, inna! Wtedy już nie byliśmy jak siostry, co?!

– Przykro mi, że tak to odbierasz. Prawdę mówiąc, ledwo to pamiętam, ale...

– Myślę, że świetnie to pamiętasz! Ale mniejsza z tym. Idź już, Monika. Miło było pogadać, ale chyba nie mam ochoty ciągnąć tej szopki. Od lat żyjemy w zupełnie innych bajkach, księżniczko – powiedziała z przekąsem.

Wstałam.

Ruszyła za mną w stronę drzwi.

Byłyśmy w korytarzu, kiedy nagle się odwróciła i spojrzała mi prosto w oczy.

– A skoro już tak szczerze tu sobie gawędzimy, powiem ci coś jeszcze. Kiedy cię nie było, twoja ukochana siostrzyczka rznąła się z twoim ślubnym! – wycedziła.

– Kłamiesz! – syknęłam, wymijając ją w wąskim przejściu pomiędzy poustawianymi pod ścianami tekturowymi pudłami z betami jej najnowszego amanta.

– Możesz wierzyć, w co chcesz, ale ja swoje wiem! Widziałam, jak na siebie patrzyli, jak odgarniał jej włosy z czoła, jak muskał jej dłoń... Bzykali się w najlepsze, uwierz mi! Jakiś rok po twoim zaginięciu widziałam ich razem przy jego samochodzie. Był środek nocy, druga nad ranem. Nie wiem, skąd przyjechali, ale tacy byli w siebie zapatrzeni, że cały świat mógłby przestać istnieć. Możesz sobie o mnie mówić, co chcesz, ale czułą parkę zawsze zwęszę. – Wanda uśmiechnęła się triumfalnie i otworzyła na oścież frontowe drzwi. – Zawsze uważałaś się za kogoś lepszego ode mnie, Monika. Nawet w liceum, kiedy jeszcze wierzyłam, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Ale ty byłaś po prostu kimś, kto lubi żyć ze mną w tle. Ta iście królewska łaska, z jaką przynosiłaś mi swoje znoszone ciuchy! Te litościwe spojrzenia, którymi omiatałaś mój dom, kiedy tu wchodziłaś! Ta wyższość, kiedy mówiłaś o swoim ojcu, jego pracy, kontaktach, pieniądzach! Zawsze czułaś się lepsza, bo to nie ty byłaś córką alkoholika! – krzyknęła.

– Przykro mi, że tak to wszystko widzisz – szepnęłam.

– Taka jest prawda – rzuciła pełnym jadu tonem. – Zawsze patrzyłaś na mnie z góry. Zawsze!

Nie odpowiedziałam.

Ruszyłam w stronę furtki i nie oglądając się za siebie, wyszłam na ulicę. Więziona przez Józefa często myślałam o Wandzie, wspominałam nasze wspólne szkolne lata, wieczorne wyprawy nad rzekę, pierwsze wypalane na spólkę papierosy. I w tych wspomnieniach zawsze myślałam o niej ciepło, z nostalgią. Obraz naszej znajomości, jaki przedstawiła mi przed chwilą, wstrząsnął mną do głębi i mocno mnie zasmucił. Nie byłam osobą, jaką we mnie widziała. Na pewno nie! – powtarzałam sobie, idąc w stronę domu rodziców. Na górze, w moim dawnym panińskim pokoju, w którym rodzice od dnia mojego zaginięcia, nic nie zmienili, usiadłam w fotelu pod oknem i sięgnęłam po podniszczony notes z adresami dawnych znajomych. Aśka Bogucka, szkolna przyjaciółka, z którą uwielbiałam włóczyć się wieczorami po parkach. Ada Nowacka, zakrecona laska, która nauczyła mnie palić i farbować włosy henną. Izka Bieńczuk, która zaszła w ciążę zaraz po maturze i wyjechała do Niemiec. Bartek Wojtczak, Emil Rudnicki, Olka Pracz, Darek Koniecpolski... Koledzy i koleżanki ze szkolnych lat, kilka osób z mojej dawnej pracy, kilka z sąsiedztwa. Twarze i nazwiska przelatywały mi przez głowę, nie znalazłam jednak nikogo, do kogo mogłabym teraz zadzwonić. To byli ludzie z przeszłości, dawno zamknięty rozdział...

## 15.

Sekretarka w szkole językowej. Może to nie wymarzona posada, ale całkiem niezła. Ogłoszenie znalazłam w gazecie, którą tato zostawił na kuchennym stole i nie tracąc nawet chwili, od razu postanowiłam zadzwonić, żeby umówić się na spotkanie. Jak się okazało, rozmowa o pracę miała się odbyć tego samego dnia o czternastej. Wbiłam się więc w przyciasną beżowo-niebieską sukienkę, którą kilka dni wcześniej kupiłam na wyprzedaży, ułożyłam włosy i w pośpiechu wypiliśmy kawę.

Byłam przy drzwiach, kiedy w przedpokoju zjawiła się mama.

– Moniczko, a gdzie ty idziesz tak bez słowa? – zapytała. – Zaraz miałam grzać zupę, myślałam, że zjemy razem.

– Umówiłam się na kawę – skłamałam, chcąc uniknąć dalszych pytań.

Mamy jednak łatwo się spławić nie dało...

– Z kim? – zdziwiła się.

– Z koleżanką – mruknęłam mało zachęcającym tonem i owinęłam szyję kupionym przez Magdę beżowym szalikiem z metką Zary.

Przywiozła go dla mnie z Warszawy, jakieś sześć lat po moim zaginięciu. Podobnie jak mama i reszta rodziny, każdego roku na Gwiazdkę siostra wkładała pod choinkę pięknie zapakowany prezent z wypisanym na kolorowej karteczce imieniem Monika. Moim imieniem... Niedawno mama przyniosła wszystkie te rzeczy do mojego pokoju. Nadal były zapakowane w błyszczący papier i przewiązane ozdobnymi wstążkami, co w pewien sposób wydało mi się upierne.

– Otwórz, córciu – zachęciła mnie, siadając obok na łóżku.

Sięgnęłam po pierwszy pakunek, wyjmując książkę z przepisami kuchni indyjskiej, płytę Maanamu i tanią bransoletkę z koralików, do których miałam słabość chyba od zawsze. Przejrzałam to wszystko ze łzami w oczach, zdając sobie sprawę, ile emocji moi bliscy musieli włożyć w szukanie tych prezentów i układanie ich pod choinką.

Włożyłam bransoletkę na rękę, a siedząca obok mama zaczęła płakać. Z moim starym pluszowym miśkiem w ramionach, w kuchennym fartuszkach, z wałkami na głowie, całkiem się wtedy rozsypała...

– Ale chyba nie idziesz na tę kawę z Wandą? Przecież wiesz, że ona dawno temu wpadła w jakieś szemrane towarzystwo – głos mamy wyrwał mnie z zamyślenia.

– Mamo, po prostu na trochę wychodzę! I nie, nie mam zamiaru spotykać się z Wandą! Wanda to prehistoria, szczeniacka przyjaźń, która nie przetrwała próby czasu – powiedziałam, słowem nie wspominając, że niedawno byłam u niej z wizytą.

– No dobrze, idź, skoro musisz – mama westchnęła i pogłaskała Karmela, który przyczłapał za nią z dużego pokoju.

– Dziękuję za pozwolenie – mruknęłam, otwierając frontowe drzwi.

Do centrum dotarłam przemarznięta na kość. Nie podjechał mój autobus, a nie miałam sumienia marnować pieniędzy na taksówkę. Szkoła językowa mieściła się w świeżo odremontowanej, eleganckiej kamienicy tuż przy ratuszu. Ciemnobeżowa fasada, olbrzymie witrażowe okna, oszklone drzwi z mosiężnymi uchwytyami, pełen szyk. Przeszłam przez jasno oświetlony korytarz, kierując się w stronę schodów. Staralam się myśleć pozytywnie, wchodząc na piętro, gdzie odbywała się rekrutacja. Humor zwarzył mi się dopiero na widok czekających na tę samą rozmowę młodych dziewczyn. Dwunastka pięknych, zgrabnych i zadbanych kobieciątek siedziała w wąskim korytarzu, od czasu do czasu lustrując się wzrokiem. Wszystkie na szpilkach, prosto od fryzjera, w pełnym makijażu. Pachnące. Jędrne. Pewne siebie. Idealne. Przy nich, w starym płaszczu na grzbiecie, ubrana w obrzydliwą sukienkę, z opuchniętymi w kostkach nogami, poczułam się wręcz fatalnie. Wiedziałam jednak, że muszę o siebie walczyć. Nie mogę się poddawać, a już z całą pewnością nie mogę dopuszczać do głosu żadnych czarnych myśli. Rozpaczliwie potrzebowałam pracy, powrotu do normalności, codziennej rutyny. I oczywiście pieniędzy. Nawet jeśli nie zarobię tu kokosów, zawsze od czegoś zacznę – powiedziałam sobie.

– Jakie masz doświadczenie? Bo ja w zasadzie niewielkie. Ale całkiem nieźle znam angielski i coś tam mówię po włosku... Pracowałaś kiedyś jako sekretarka? To chyba nie jest jakoś szczególnie skomplikowane? – zapytała mnie jedna z dziewcząt, brunetka o nieco egzotycznej urodzie i długich kręconych włosach.



Powiesiłam mój sfatygowany płaszcz na lekko przechylonym, pełnym wierzchnich okryć wieszaku i usiadłam obok niej.

– Ja przez ostatnie dwa lata mieszkałam w Warszawie. Byłam asystentką dyrektora do spraw sprzedaży w dużej polsko-włoskiej firmie produkującej meble, ale to chyba nie to samo? – dodała, przyglądając się swoim pomalowanym na ostry pomarańcz paznokciom.

Miałam właśnie coś odpowiedzieć, kiedy otworzyły się jedne z drzwi, a moja rozmówczyni zerwała się z miejsca i dosłownie wskoczyła do środka.

– Asystentka dyrektora w polsko-włoskiej firmie? No to pozamiatane – powiedziała cicho siedząca po mojej prawej atrakcyjna blondynka.

– Czemu? – zdziwiłam się.

– A jak myślisz? Z taką ładniutką buźką i doświadczeniem przyjmą ją od razu! Równie dobrze możemy już iść – prychnęła. – Ja mogę się co najwyżej pochwalić kilkoma miesiącami pracy w hurtowni artykułów biurowych...

– To i tak nieźle. Ja przez trzy lata tkwiłam na kasie w monopolowym. Żeby to jeszcze były jakieś delikatesy, ale gdzie tam. Dosłownie barak na obrzeżach miasteczka. Do dziś wszyscy miejscowi żule mówią mi na ulicy „dzień dobry” – dodała siedząca pod oknem szatynka w niemodnej ciemnobrązowej garsonce.

– A jak u was z angielskim? – zainteresowała się blondyna, która pracowała w hurtowni.

– Coś tam mówię, nie? – uśmiechnęła się krzywo ta z doświadczeniem w handlu. – Chodziłam kiedyś z Anglikiem, z Bristolu.

– Wow, fajnie. Czemu się rozstaliście? – zainteresowała się milcząca dotąd dziewczyna w krótkiej ciemnogrnatowej sukience, która dość odważnie eksponowała jej szczupłe nogi w jasnobieżowych pończochach.

– Owszem, fajnie było, ale się skończyło. On wrócił do siebie i przestał się odzywać. Jego ojciec prowadził tam nieźle prosperujący pub i Ted musiał mu pomóc w interesach. Początkowo nawet chciał, żebym z nim jechała, ale mam niepełnosprawną siostrę, nie mogę tak po

prostu spakować walizek. Po swoim wyjeździe Ted jeszcze czasem do mnie dzwonił, ale jakoś tak wyszło, że w końcu straciliśmy ze sobą kontakt. Ja poznałam kogoś innego, on chyba też już kogoś tam miał – wzruszyła ramionami szatynka.

– Słyszałam, że Anglicy są wyjątkowo kiepscy w łóżku. Nudni, bierni, zimni... – szepnęła ta w ciemnogrnatowej kiecce, zasłaniając usta dłonią, jakby się bała, że zaraz wyda z siebie niestosowny chichot.

– Stereotypy. Ja nie narzekałam – mruknęła była narzeczona Brytyjczyka, wyraźnie urażona tego typu insynuacjami.

– Ja chyba wolę kogoś pozornie zimnego, ale wiernego, niż jakiegoś kochliwego macho. Moja przyjaciółka pięć lat temu wyszła za Włocha. Gość pochodzi z Neapolu, ale mieszkają z Sylwią u jego ojca, na Sycylii. W każdym razie po początkowej sielance i wszelkich możliwych miłosnych uniesieniach koleś pokazał prawdziwe oblicze. Ona praktycznie w pojedynkę użera się z dwójką maleńkich dzieci, on imprezuje... Zazwyczaj prosto po pracy jedzie do centrum, gdzie spotyka się z kumplami i zaczynają zabawę – wtrąciła jedna z siedzących naprzeciwko mnie blondynek.

– Pije? – zainteresowała się ta w granatowej sukience, przeglądając się w wyświetlaczu swojego smartfona.

– Nawet nie tyle pije, co kompletnie Sylwią zaniedbuje. O dzieciach już nie wspomnę. Ponoć nie ma nawet pojęcia, jak zmienić pieluchę. Nie wstaje do nich w nocy, dosłownie wszystko ma gdzieś. W dodatku zafundował sobie chyba czwarty z rzędu romans i ponoć już nawet się z tym nie kryje. Jakiś znajomy przedstawił mu młodziutką Turczynkę i zaiskrzyło... Dziewczę ma ponoć dziewiętnaście lat i wydzwania na jego komórkę nawet po nocach.

– Żartujesz?! Trzeba mieć tupet! Współczuję twojej przyjaciółce, ale nie do końca ją rozumiem... Czemu w takim układzie go nie zostawi? Dupek zdradza ją dosłownie pod jej nosem, a ona udaje, że jest ślepa i głucha? – odezwała się milcząca dotąd dziewczyna ze splecionymi w kunsztowny warkocz jasnymi włosami.

– Myślisz, że to takie proste? Ich Giulia nie ma jeszcze roczku, Marco ma trzy latka. Co ma zrobić Sylwia? Spakować walizki i z dwójką maleńkich dzieci pod pachą uciec do Polski? Problem w tym,

że nie ma za bardzo do czego. Jej ojciec ostro pije i bywa agresywny, mama zmarła lata temu. Dziewczyna jest uziemiona, nie rozumiesz?!  
– podniosła głos blondynka i na chwilę w korytarzu zapadła niezręczna cisza.

– A byliście kiedyś z jakimś Hiszpanem? – zapytała w końcu ta, która pracowała w hurtowni. Większość dziewczyn zachichotała.

– Całowałam się kiedyś na wakacjach z jednym superprzystojnym kolesiem z Malagi, ale oboje byliśmy tak pijani, że do niczego więcej nie doszło. Jego zgarnęła z parkietu jakaś wkurzona laska, mnie koleżanki dotaszczyły do naszego hotelu – uśmiechnęła się ta w granatowej sukience, chowając smartfona do eleganckiej torebki z imitacji wężowej skóry. – Gość fajnie się nazywał, jak w telenoweli. José Manuel czy jakoś tak – dodała rozbawionym tonem.

– Fakt, Hiszpanie są przystojni, ale ja zawsze wołałam tych z Północy. Wysokich jasnookich blondynów. Tak mi się nawet marzy, żeby nauczyć się szwedzkiego i zamieszkać kiedyś w Sztokholmie – wtrąciła ta z warkoczem.

– Żartujesz? Szwedzi są okropni, wierz mi na słowo! Pracowałam kiedyś na promie Świnoujście–Ystad i napatrzyłam się do woli – skrzywiła się siedząca przy oknie brunetka i dodała, że gdyby miała do wyboru Szweda lub Polaka, to już by chyba wołała tego drugiego.

– Polacy nie są tacy źli. Moja kuzynka od kilku lat mieszka w Londynie i zawsze powtarzała, że chce wyjść za cudzoziemca. Ale zakochała się w mieszkającym tam Polaku i jest z nim superszczęśliwa. Michał kończy doktorat, ale w ich mieszkaniu potrafi zrobić dosłownie wszystko. Złota rączka. W dodatku świetnie gotuje i zajmuje się dzieckiem – powiedziała była dziewczyna Brytyjczyka, poprawiając włosy. – Cholera, denerwuję się! Mam serdecznie dość proszenia matki o kasę! Jeśli w końcu nie znajdę pracy, chyba się załamie. Ostatnio musiałam od niej pożyczać stówkę na najpotrzebniejsze kosmetyki! To naprawdę okropnie upokarzające.

– Nie dogadujecie się? Ja z moją od dawna nie potrafię rozmawiać. Czasem tak się zastanawiam, czy aby na pewno mówimy w tym samym języku – powiedziała ta w ciemnogramatowej kiecce, nerwowo zerkając na drzwi, za którymi trwała rekrutacja.

– Nie dogadujemy się, to dość delikatnie powiedziane. W sumie nie pamiętam, kiedy matka ostatnio mnie pochwaliła czy w jakikolwiek sposób doceniła. Zero dobrego słowa, zawsze coś jest nie tak. Krytyka, krytyka, krytyka. Klóćmy się na okrągło, ostatnio zaczęłyśmy na siebie wrzeszczeć przy kasie w supermarkecie. Czasem mam wyrzuty, że jestem złą córką, ale to zazwyczaj ona czepia się mnie o wszystko, jakby sama nigdy nie popełniała błędów... Dwa lata temu związała się z poznanym w pubie kolesiem, który podstępem wydoił ją na grubą kasę i przepadł bez śladu. Żenada, nie? Ale kiedy ja coś spieprzę, gada o tym miesiącami – skrzywiła się.

– Współczuję, brzmi strasznie. Moja jest naprawdę super! Co roku jeździmy razem nad Bałtyk i bawię się z nią równie dobrze jak z przyjaciółkami. Zawsze świetnie się dogadywałyśmy, a szkolne koleżanki zazdrościły mi wyluzowanej mamy. Ostatnio kupiłyśmy sobie takie same czerwone kiecki i poszłyśmy potańczyć. Zaczepiło nas dwóch młodych kolesi, którzy byli pewni, że to moja starsza siostra – wtrąciła ta, której marzył się wyjazd do Sztokholmu.

Przysłuchiwałam się ich rozmowie, zazdroszcząc im w duchu tej charakterystycznej dla ich wieku bez troski. Jak radośnie paplą, chociaż w ogóle się nie znają... O miłości, seksie, rodzinnych problemach. Z wiekiem człowiek robi się chyba bardziej ostrożny, mniej otwarty, pomyślałam, kiedy kolejna dziewczyna została poproszona na rozmowę.

– I jak ci poszło? – zapytałam tę, która właśnie wyszła.

– Marnie – przyznała, pogardliwie wydymając wargi. – Płacą tyle, co kot napłakał, więc grzecznie im podziękowałam. Za takie grosze żyć nie będę! – dodała, zakładając ładny obrębiony sztucznym futrem płaszcz.

– Lepsze to niż nic. Siódmy miesiąc siedzę na bezrobociu, wzięłabym wszystko – powiedziała szatynka z doświadczeniem na kasie.

– Kochana, nie żartuj! To jest wyzysk, nie da się tego inaczej nazwać! Rozejrzyjcie się! Gość władował grubą kasę w remont budynku, ale nie stać go na to, żeby godziwie zapłacić sekretarce? – obruszyła się brunetka. – Powodzenia! – dodała.

Kolejna dziewczyna wyszła z rekrutacji ze łzami w oczach, złapała za swoją kurtkę, bez słowa przeszła przez korytarz, z nikim się nie

pożegnała i wyszła.

– A tej co się tam przytrafiło? – zapytała ta z doświadczeniem w handlu i kilka siedzących najbliżej niej dziewcząt nerwowo zachichotało.

Mnie udało się wejść jako przedostatniej. I chociaż dałam z siebie wszystko, starając się przekonać siedzącego za masywnym biurkiem blondyna koło pięćdziesiątki, że będę idealną kandydatką na to stanowisko, rozmowa poszła mi raczej marnie...

Początkowo nie było jeszcze tak źle.

– No proszę, praca w bibliotece uniwersyteckiej, dwa kierunki, świetna znajomość języków. Właściwie mógłbym chyba zapytać, co pani tu robi? – roześmiał się.

Odpowiedziałam uśmiechem i lekko się rozluźniłam.

Wtedy jednak padło pytanie, którego obawiałam się najbardziej.

– Osiem lat przerwy w życiorysie? Gdzie się pani ukrywała przez cały ten czas? Dom? Dzieci? W czym rzecz? – zapytał, obracając w dłoniach moje naprędce przygotowane CV. – Rozumiem, że przez te ostatnie lata nigdzie pani nie pracowała?

– Nie. Ja...

– Szkoda – wszedł mi w słowo. – Można widzieć czemu?

Przygryzłam wargi, starając się odgonić wdzierające się podstępnie do mojej głowy wspomnienie wpatrującego się we mnie Józefa. „Mówię do ciebie, świnko!”

Blondyn czekał na odpowiedź, bębniąc palcami w blat biurka i zdałam sobie sprawę, że zwyczajnie zaczyna się niecierpliwić.

– Mam za sobą dość trudny okres i...

– A konkretniej, jeśli można? – siedzący przede mną facet ewidentnie nie zamierzał się bawić w dyplomację.

– Mam za sobą pewne traumatyczne doświadczenia, o których chyba wolałabym nie mówić – szepnęłam.

I za ten szept niemal się w tym momencie znienawidziłam. Co się ze mną dzieje, do cholery?! Zawsze pewna siebie, elokwentna, teraz kulę ramiona pod spojrzeniem faceta, który pewnie nawet w połowie nie jest tak dobrze wykształcony jak ja, pomyślałam. Jego przewaga polegała jednak na tym, że był właścicielem świetnie prosperującej szkoły

językowej w centrum miasteczka, podczas gdy ja byłam jedynie kimś w rodzaju petentki.

– Proszę mi wierzyć, tych osiem lat nie ma w tym momencie żadnego znaczenia! Potrafię prowadzić sekretariat, jestem tego pewna – dodałam.

Gość chrząknął i wyraźnie speszony, poluzował krawat.

– Rozumiem – mruknął, chociaż z całą pewnością niczego nie pojmował.

– W kwestii wynagrodzenia też nie mam jakichś szczególnie wygórowanych oczekiwań – dodałam nerwowo, błagając go w duchu, żeby nie skreślał mnie tak od razu.

– Oczywiście, oczywiście – mruknął, nadal miętosząc w dłoniach moje wydrukowane rano CV.

Nagle zmrużył oczy, jakby dopiero w tym momencie coś do niego dotarło i podniósł głowę, wbijając we mnie uważne, niemal czujne spojrzenie.

– Zaraz, czy to nie pani jest tą bibliotekarką, która... Zresztą nieważne – wymamrotał, wstając zza biurka. – W zasadzie to tyle, dziękuję, że się pani pofatygowała. Jeśli zdecydujemy się na pani kandydaturę, ktoś się do pani odezwie – dodał.

Podając mi rękę, nie patrzył mi w oczy i już wszystko wiedziałam. Po pierwsze dotarło do niego, kim jestem. To w końcu niewielkie prowincjonalne miasteczko. Po drugie, z całą pewnością nie miał zamiaru mnie zatrudniać. Po wyjściu z jego gabinetu zaszyłam się w łazience, gdzie zwyczajnie się rozryczałam. Rozanieleni moim powrotem rodzice karmili mnie z własnej kieszeni, ale nie mogłam przecież w nieskończoność żyć na ich garnuszku. Jeśli jednak poszukiwania pracy mają wyglądać tak jak ta rozmowa, moja przyszłość bynajmniej nie rysowała się w różowych barwach...

Dochodziła dwudziesta trzecia czterdzieści, kiedy rozdzwoniła się moja nowa komórka. Starając się zbyt wiele nie myśleć o popołudniowej porażce, leżałam na łóżku i słuchałam Cohena. Widok nieznanego numeru na wyświetlaczu, przyprawił mnie o szybsze bicie serca, zaniepokoił. Odebrałam po dłuższej chwili wahania, zaskoczona późnym telefonem.

– Cześć. Nie śpisz? – zapytał szeptem Kuba, jakby fakt, że odebrałam, o niczym jeszcze nie świadczył. – Udało mi się w końcu dostać twój numer. Magda mi podała. Możemy pogadać, czy...

– Jasne – powiedziałam. – Miło, że dzwonisz.

– Żartujesz? Myślę o tobie na okrągło. Chyba wciąż nie mogę uwierzyć, że wróciłaś.

– Nie do ciebie – zażartowałam, ale wziął to na poważnie.

– Monika, wiesz, ile bym dał, żeby móc cofnąć czas?! Wiesz, jak bardzo bym chciał, żeby cały ten koszmar nigdy się nam nie przytrafił?! – podniósł głos.

– Nam? To ja tkwiłam w zamknięciu – powiedziałam.

– To nie fair! Myślisz, że mnie było łatwiej? Każdego ranka otwierałem oczy, wiedząc, że na poduszce obok nie zobaczę twoich włosów, nie dotknę twojej zaróżowionej od snu twarzy, nie pocałuję cię! W końcu przeniosłem się z naszej sypialni na kanapę, bo nie byłem w stanie samotnie spać w naszym małżeńskim łóżku. I jeszcze ta przekłeta huśtawka nastrojów, dzień w dzień koktajl z zupełnie innych emocji... Wmawiałem sobie, że żyjesz, żeby po chwili być niemal pewnym, że odeszłaś na dobre... Czekałem niemal z nadzieją, pewny, że zaraz usłyszę zgrzyt klucza w zamku, żeby po chwili popaść w skrajną rozpacz. Miesiącami przeglądałem twoje rzeczy. Książki, ciuchy, kosmetyczki. Zaglądałem do każdej szuflady, przeszukałem każdy zakamarek! Wiedziałem, że to bez sensu, że przecież przede mną zrobiła to policja. A jednak nie mogłem przestać... W dodatku dzwoniły do mnie jakieś oszołomy i podawały mi fałszywe informacje o twoim rzekomym gdzieś pobycie! Kompletni pojebańcy, którym się wydawało, że wydzwanianie do rodzin zaginionych to świetna rozrywka. Ubaw, kurwa, po pachy!

– Ponoć szukałeś mnie nawet w hamburskich burdelach?

– Śmiesz cię to, Monika? – zapytał cicho.

– W sumie tak – roześmiałam się w słuchawkę.

– Może masz rację. Kiedy teraz o tym mówię, brzmi to nedorzecznie. Ale kiedy tam pojechałem, myślałem tylko o tym, że możesz gdzieś tam być. Przez cztery noce z rzędu przeczesywałem St. Pauli, krążąc po jarmarcznie oświetlonych zaułkach, bez końca

spacerowałem Reeperbahn. Z niewyspania ledwo widziałem na oczy, a dookoła wszystkie te cholerne neony... Cycki, dupy, rozłożone zachęcająco nogi, rozchylone wargi. Knajpy z rajem, seksem i ekstazą w nazwie, a każda z tych kipiących wyuzdaniem nor mogła się okazać miejscem, w którym ktoś cię przetrzymuje! Tłumy koleśki zabawiały się z pracującymi tam dziewczynami, a ja myślałem tylko o tym, że spora część z tych kobiet jest tam pewnie wbrew swojej woli. Trzeciej nocy, krążąc wokół wejścia do jednego z najbardziej obleganych przez pijanych facetów klubów, spotkałem kompletnie naćpaną Polkę. Sterczała na deszczu, usiłując zapiąć but, w końcu runęła na chodnik i rozwalila sobie łokieć. Pomogłem jej wstać, zaczęliśmy rozmawiać. Zapytała, czy postawię jej drinka, jakiś jej znajomy podrzucił nas do innej części miasta...

– Myślałam, że z obłędem w oczach szukałeś swojej zaginionej żony, kotku? – zażartowałam.

– Szukałem cię, Monika. Ale potrzebowałem chwili wytchnienia, musiałem chyba zresetować umysł. Wypiliśmy sporo, później zaliczyliśmy domówkę u jakichś jej znajomych z Turcji i w końcu wylądowałem z nią w łóżku. Nie dlatego, że jakoś wyjątkowo mi się podobała, ani dlatego, że miałem ochotę na szybki seks. Dlatego, że w pewnym momencie pogłaskała mnie po głowie i zapytała, co mnie gnębi. Jeden gest, jedno głupie pytanie dziewczyny, która ledwo mówiła, bo tak była naćpana, a ja zmiękłem w jej dłoniach jak wosk. Rano wstałem z takim moralnym kacem, jakiego chyba jeszcze nigdy nie miałem. Słońce wpadało do tamtego zabałaganionego pokoju przez rozsunięte firany, padało prosto na jej twarz i zdałem sobie sprawę, że przespałem się z jakąś przechodzoną, wystającą pod hamburskimi burdelami laską.

– No, no. Coraz bardziej interesująca ta twoja wieczorna spowiedź – powiedziałam.

– Bawi cię to, prawda? – zachnął się.

– Tak, teraz już tak. Po tym, co przeżyłam, po całym tym koszmarze, z jakim musiałam się uporać, wyznania na temat twojego przypadkowego seksu z jakąś kurewką nie robią na mnie szczególnego wrażenia. Ale wiem, co chcesz powiedzieć, Kuba. Rozumiem. Byłeś



zdruzgotany. Zrozpaczony, obolały wewnętrznie...

– Chyba nie powinienem ci o tym wspominać.

– Czemu? Od lat nie jesteśmy razem.

– Wtedy nadal byłem twoim mężem. Cholera, oficjalnie nadal nim jestem! Patrzę na Iwonę, biorę do ręki zdjęcie z USG, widzę na nim nasze bliźniaczki, a myślę o tobie.

– Więc przestań.

– Myślisz, że to takie proste?

– Przestań, Kuba! Nas nie ma od dawna.

– Jestem tutaj. Ty również – powiedział cicho.

– To tylko rozmowa. Niebawem będziemy musieli pogadać o rozwodzie i zacząć załatwiać wszystkie te koszmarne sądowe formalności.

– Tęskniłaś za mną? – zmienił temat.

– Wiesz, że tak. Jaka ona jest?

– Iwona? Inna, zupełnie do ciebie niepodobna. Myślę, że wtedy, kiedy ją poznałem, nie zniósłbym obecności kobiety, która w jakikolwiek, chociażby najmniejszy sposób przypominała mi ciebie...

– Kochasz ją?

– Tak, myślę, że tak.

– To dobrze – powiedziałam.

– Niedługo po powrocie z Hamburga pojechaliśmy z Magdą w okolice Elku sprawdzić jedną szemraną sektę. Kurwa, żebyś widziała to miejsce! Koleś pilnujący bramy sterczał tam z psem, jakby bał się, że ktoś niepostrzeżenie wedrze się na teren ośrodka! W każdym razie młoda weszła, żeby się za tobą rozejrzeć, ale – jak się domyślasz, ciebie tam nie było...

– Było coś między wami? – zapytałam cicho.

– Co? Monika, chyba żartujesz?

– Nie. Po prostu pytam. Spaliście ze sobą?

– Ja z Magdą?

– Tak, ty z Magdą.

– Kurwa, nie! Dziewczyno, jak możesz w ogóle o to pytać? Fakt, przez dłuższy czas byliśmy ze sobą blisko, ale romans? Z twoją siostrą? W takiej sytuacji? Nie wiedziałem, że masz mnie za takiego skurwiela!

Była dla mnie nietykalna, niemal święta, słyszysz? – powiedział ostrym tonem, a ja przypomniałam sobie wykrzywioną złością twarz Wandy, która krzyczy, że Magda i on...

Nie! Nie mogę jej wierzyć, nie mogę ufać komuś, kto nosi w sobie tyle jadu! – powiedziałam sobie.

– Monika, jesteś tam? – zapytał cicho Kuba.

– Tak. Przepraszam, odbija mi – szepnęłam. – W pewien sposób dopiero teraz, po powrocie do was, zdałam sobie sprawę, jak wiele mnie ominęło. Prawie osiem lat, Kuba! Tyle się w tym czasie wydarzyło, tak wiele straciłam, a teraz błędę po omacku, usiłując jakoś poukładać te brakujące puzzle, powtykać je w odpowiednie miejsca. Kuba, przepraszam.

– Okay, nie przejmuj się. Może na twoim miejscu zastanawiałabym się nad tym samym. Gdybym to ja zniknął, a ty szukałabyś mnie razem z moim bratem, to może...

– Zaczniemy od tego, że nie masz brata – roześmiałam się.

– Cholera, to pech.

– Już prawie północ, idź spać.

– Nie chce mi się spać. Chcę słuchać twojego głosu.

– Ona już śpi? – zapytałam. Nie potrafiłam się zmusić, żeby ponownie wymówić jej imię.

– Śpi. Źle się czuła i wcześniej się położyła.

– Gdyby odkryła, że to ze mną rozmawiasz, szepcząc do słuchawki, byłaby wściekła?

– Wściekła? Nie wiem. Na pewno odrobinę zazdrosna. Jest w ciąży, marnie ją znosi... Dla niej to chyba stresująca sytuacja. Przedwczoraj zapytała, czy myślę o powrocie do ciebie.

– A myślisz? – zażartowałam.

– Czasem.

– Kuba, nie możemy nawet myśleć, że...

– Że co?! Nigdy nikogo nie kochałem tak, jak ciebie, Monika. Ani pierwszej żony, ani Iwony.

– Przestań!

– Taka jest prawda.

– Niedługo będziesz tatą, ułożyłeś sobie życie. Nie oglądaj się za

siebie, Jakub – powiedziałam.

Milczał.

– Jesteś? – zapytałam szeptem.

– Tak.

– Idź spać, już późno.

– Wiesz, że i tak nie zasnę. Pamiętasz tamten nasz trzydniowy wyjazd do Krakowa, kiedy zauważyłaś na ulicy Annę Dymną i szłaś za nią kilka przecnic, bo nie miałaś odwagi podejść i poprosić o autograf? Byliśmy wtedy kilka miesięcy po ślubie.

– Skąd ci się to nagle przypomniało? – roześmiałam się.

– Właściwie myślałem o kiece, którą wtedy na sobie miałaś. Tej krwistoczerwonej, z odkrytymi plecami. Uwielbiałem cię w niej, wiesz? Gdzie się podziała? Może jeszcze kiedyś ją dla mnie założysz? – zapytał.

– Nie ma szans, żebym jeszcze kiedykolwiek się w nią wcisnęła.

– O, pupenka urosła?

– Odrobinę – przyznałam.

Roześmiał się.

– Magda wspominała, że jesteś nieco okrągłjsza.

– Nieco okrągłjsza? Niezły eufemizm. Jestem gruba, Kuba.

Hipopotamica przy mnie to chucherko.

– Tym bardziej nie mogę się doczekać naszego spotkania. Zawsze ci powtarzałem, że mogłabyś trochę się zaokrąglić.

– Zmieńmy temat – mruknęłam.

– Daj spokój. To wciąż ty, Monika. Ty. Nadal jesteś tą samą osobą. Tęsknię za tobą. Chryste, jak kurewsko za tobą tęsknię! Spotkajmy się! Za parę dni, może w przyszłym tygodniu? Czemu to odwlekasz?

– Kuba, dajmy ochłonać emocjom. Jeszcze za wcześnie. Ja...

– Czekaj chwilę – wszedł mi w słowo. – Słuchaj, muszę kończyć.

Iwona się obudziła i pyta, z kim rozmawiam. Wygląda na wściekłą, a ja nie chcę jej denerwować. Nie w jej stanie. Zadzwoń za kilka dni, okay? Śpij dobrze.

– Ty też – powiedziałam.

Rozłączył się, ale po chwili wysłał mi jeszcze esemesa.

*Możesz wierzyć lub nie, ale nadal noszę w portfelu moją ślubną obrączkę* – przeczytałam.

*Wierzę Ci, czemu nie? Faceci uwielbiają nosić obrączki w portfelach* – odpisałam.

W odpowiedzi przesłał roześmianą buźkę. Wyobraziłam sobie, jak parska zduszonym śmiechem i odkłada telefon. Jakub... Tyle lat za nim tęskniłam, tyle razy wyobrażałam sobie, że tuli mnie w ramionach, jest tuż obok, czuwa. Tyle lat marzyłam, że dotknie ustami moich warg i powie, jak bardzo mu mnie brakowało, ale teraz, kiedy wróciłam, nie mogłam już go kochać. Nie! Nie mogę o tym myśleć, nie mogę nawet patrzeć w jego stronę. To już nie ten Kuba, jakiego zostawiłam za sobą. To zupełnie obcy człowiek. Należy do innej kobiety, nie do mnie. Nie do mnie – powtarzałam sobie, ścieląc wąskie łóżko w moim dawnym panińskim pokoju.

Zasnęłam dopiero nad ranem i, jak na ironię losu, śniłam o Szymonie. Szliśmy brzegiem morza, trzymając się za ręce, za nami biegła jakaś kobieta. Dogoniła nas, kiedy rozległ się pierwszy pomruk nadchodzącej burzy, a ciemne niebo nad naszymi głowami rozdarła błyskawica. „Ukradłaś mi męża! – krzyknęła nieznajoma, oskarżycielsko celując we mnie palcem. – Ukradłaś mi męża i spotka cię za to kara!” – dodała, a ja zdałam sobie sprawę, że to musi być Iwona – gwiazdka lokalnej telewizji i prawdziwa suka, jak mawiał mój kochanek. Obudziłam się roztrzęsiona, bliska płaczu. Szymon. Jeden głupi błąd i wszystko dookoła mnie runęło. Jedna beztraska decyzja i nic już nie będzie takie jak dawniej...

To był jeden z tych bezproduktywnych dni, z którymi zupełnie nie wiedziałam, co zrobić. Dochodziło południe, a ja nadal byłam w piżamie. Cieszyłam się panującą w pustym domu ciszą, siedziałam na kanapie i podjadałam orzeszki. Zobaczyłam go zupełnie przypadkiem, w jednym z tych lokalnych programów o kulturze, które zawsze lubiła oglądać mama.

– Gości dziś u nas w studio pan Szymon Knapp, doktor socjologii, autor bestsellerowej powieści *Uwięziona* – powiedziała atrakcyjna, zbliżająca się do czterdziestki prowadząca, w której dopiero po chwili rozpoznałam żonę mojego byłego kochanka, Iwonę.

Miała na sobie kanarkowożółtą sukienkę i była zbyt mocno opalona. Biorąc pod uwagę panującą na zewnątrz słotę, marchewkowy odcień jej skóry wydał mi się sztuczny, tandetny. Ale może pomyślałam tak tylko dlatego, że chodziło o nią?

– *Uwięziona* odniosła niebywały sukces wydawniczy. Potrafi pan powiedzieć, czemu czytelnicy aż tak uwielbiają tego typu historie?  
– zapytała, odgarniając opadający jej na oczy kosmyk.

Fryzurę miała świetną, to trzeba było jej przyznać. Włosy, znacznie jaśniejsze niż na zdjęciu, które kiedyś widziałam w domu Szymona, miała efektownie spięte w wysoki kok.

Szymon odchrząknął i spojrzał prosto w kamerę.

– Myślę, że czytając tego typu historie, ludzie czują przede wszystkim wdzięczność – zaczął poważnym, może nieco zbyt oficjalnym tonem.

– Wdzięczność? – zdziwiła się prowadząca.

– Tak. Chociażby za to, że wszystko to rozgrywa się jedynie na kartach powieści. Człowiek to bestia przerażająco okrutna i zarazem niebywale pomysłowa. Dlatego czytelnik przyjmuje, że każde opisane bestialstwo mogło wydarzyć się rzeczywiście. A skoro w to wierzy, wdzięczność jest tym większa. Do tego dochodzi cała masa najprzeróżniejszych emocji, od ciekawości po żądzę zanurzenia się w czymś dogłębnie obrzydliwym, udowodnienia sobie, że mimo

wszystko i pod każdym względem jest się dobrym człowiekiem, nigdy nie przekroczyło się granicy okrucieństwa. W dzieciństwie mój szkolny kumpel w dość podły sposób znęcał się nad zwierzętami. Torturował żaby, zabijał ślimaki, rzucał kamieniami w koty. Spędzaliśmy razem sporo czasu, ale nigdy nie zrobiłem czegoś podobnego. Było mi tych zwierzaków zwyczajnie żal. Jednak za każdym razem, kiedy on zaczynał swoje okrutne zabawy, nie potrafiłem oderwać wzroku od tego, co robił tym nieszczęsnym stworzeniom... Zło mnie brzydziło i ciekawiło jednocześnie. Myślę, że podobny mechanizm działa wówczas, gdy czytelnik sięga po tego typu ekstremalne, pełne przemocy pozycje. Wie, że zagłębia się w coś potwornie obrzydliwego, nie potrafi jednak się powstrzymać przed dalszą lekturą. Mówiąc w przenośni, nie potrafi oderwać wzroku od torturowanych żab – odpowiedział.

Odłożyłam na bok miskę z orzeszkami, sięgnęłam po pilota i podkreśliłam głos w telewizorze.

– Jak wygląda praca nad tego rodzaju książką? *Uwięziona* to czysta fikcja literacka, dotyczy jednak poważnego problemu przemocy wobec kobiet. Przetrzymania, gwałtów, tortur. Jakie emocje towarzyszą pisaniu tego typu powieści? Czy wikłając swoją bohaterkę w tę ekstremalną sytuację, w pewien sposób jej pan współczuł? Czy pisarz podchodzi do swoich postaci z pewną dozą empatii, czy jest to tylko praca, zimna kalkulacja? – zapytała tymczasem Iwona Knapp, zwracając się do Szymona śmiesznie oficjalnym, służbowym tonem.

Przeprowadzać wywiad z własnym mężem, zwracając się do niego per „pan” to chyba szczyt żenady, pomyślałam.

– Może wyjdę na nieczułego, ale pisząc, starałem się nie dopuszczać do głosu emocji. Natomiast zgodzę się, że temat jest ciężki i bardzo na czasie. Według policyjnych statystyk coraz więcej kobiet pada ofiarą przymusowej prostytucji bądź innego rodzaju związanych z przemocą praktyk. To nie są jakieś marginalne przypadki. To problem na skalę światową, przynoszący oprawcom niewyobrażalne zyski – odpowiedział Szymon, starannie modulując głos.

Podeszłam do telewizora i musnęłam jego twarz opuszkami palców. Nie zmienił się prawie nic, może odrobinę przerzedziły mu się włosy. Nadal jednak był przystojny, roztaczał wokół siebie tę aurę

pewności, niemal samouwielbienia. Czerwony krawat świetnie współgrał z ciemnogrnatową koszulą w dyskretne prążki i elegancką marynarką; na prawej dłoni migąła złota obrączka. Jeszcze przez chwilę przyglądałam się jego mówiącej do mnie z ekranu twarzy, w końcu wyłączyłam odbiornik, wzięłam krótki prysznic i w pośpiechu się ubrałam.

Schodziłam na dół, kiedy bernardyn rodziców wdrapał się na półpiętro i dotknął mojej dłoni czubkiem mokrego nosa.

– Co, futrzaku? Jesteś głodny? Przecież już jadłeś – podrapałam go za uchem.

W odpowiedzi urywanie szczeknął i powędrował na górę.

– Wiem, wiem. Zastanawiasz się pewnie, kim do cholery jestem, i skąd w ogóle się tu wzięłam – zażartowałam.

Zanim wyszłam, włożyłam do torebki komórkę i sprawdziłam cały parter. Tato miał irytujący zwyczaj zostawiania uchylonych okien, nawet jeśli mżyło, a on zamierzał wyjść na kilka dobrych godzin.

– Pa, Karmel! – rzuciłam w głąb domu, zdając sobie sprawę, że chyba po raz pierwszy zwróciłam się do niego po imieniu.

Wcześniej nazywałam go Mustafa.

Na zewnątrz mżyło. Paskudna siekająca mżawka przenikała człowieka do szpiku kości. Do największej księgarni w miasteczku dotarłam kwadrans później i przeciskając się między półkami, szukałam wzrokiem czarno-beżowej okładki z wizerunkiem skulonej, skrępowanej grubym sznurem kobiety. Jest! Górowała nad innymi pozycjami, kilkanaście egzemplarzy zajmowało całą półkę w dziale „Thriller i horror”.

Bestseller lokalnego pisarza! – przeczytałam na zawieszanej nad egzemplarzami powieści laminowanej kartce. Sięgnęłam po jedną z książek. *Uwięziona* – tytuł był wściekle czerwony, przyciągał wzrok, obiecywał krwawą ucztę. Otworzyłam na chybił trafił. Strona pięćdziesiąta szósta.

*Leżała na betonie tak nagim jak ona sama. Drżąca, bezwolna, całkowicie zdana na jego łaskę. Wysoki jasnowłosy mężczyzna uklęknął obok dziewczyny i złapał ją za włosy, gwałtownie odchylając jej głowę w tył.*

– Wstawaj, dziwko! – huknął.

Zaczęła skamleć, jej głos brzmiał jak skowyt śmiertelnie przerażonego, rannego zwierzęcia. Zmusił ją, żeby się podniosła i chociaż ledwo potrafiła utrzymać się na nogach, rozpiął rozporek, pragnąc więcej tego, co dała mu wieczorem. Stała twarzą do ściany, oparła się o nią, ulegle pochylając głowę w niemym geście ostatecznej rozpacz. Rozcapierzone palce z połamanymi paznokciami, róż poodpryskiwanego lakieru na szarym piwnicznym betonie, niewielkie znamię w kształcie serca na jej lewym pośladku... Wbił się w nią i zaczął się w niej poruszać.

Szybko, szybciej, gorączkowo. Kiedy doszedł, uszczypnął ją w ramię i kazał jej się odwrócić.

– Spójrz mi w oczy, kurwo! – warknął, wczepiając palce w jej skołtunione, tłuste włosy. Kiedyś lśniły czystym złotem, połyskiwały w słońcu, kusily. Teraz, przerażona, cuchnąca potem, zdana na jego łaskę i nielaskę, nie była już tą pewną siebie, zarozumiałą suką, którą poznał w tamtej bibliotece...

Zdałam sobie sprawę, że z trudem oddycham.

Ten cyniczny, wyrachowany skurwysyn zaistniał dzięki mojemu zaginięciu! Przecież to ja! Jego bohaterka była mną! Poznał ją w bibliotece, na litość boską! Jasne włosy, róż na paznokciach, znamię w kształcie serca na lewym pośladku. Pamiętam, że mu się podobało. Całował je, pieścił opuszkami palców. Dziewczyna z sercem na pośladku – zażartował któregoś razu. A teraz rzucił mnie na pastwę tysięcy czytelników, uwięził jeszcze raz, tym razem do dobre. W książce.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał niewysoki ochroniarz z rzadką kozią bródką, a ja zorientowałam się, że mężczyzna od jakiegoś czasu podejrzliwie mi się przygląda.

– Tak, tak, przepraszam. Gdzie jest kasa? – wyszeptałam.

– Za panią – powiedział.

Skinęłam głową w niemym geście podziękowania i z zaciśniętymi na książce palcami ruszyłam w stronę kas. Nie wiedziałam, czemu właściwie postanowiłam kupić ten szmatławiec. Może chciałam się przekonać, jak daleko Szymon posunie się w swoim skurwysyństwie?



– Świetna pozycja, nie mogłem się oderwać – mruknął młody piegowaty kasjer, wkładając *Uwięzioną* do reklamówki. – Miłej lektury – dodał lekkim tonem.

Nie odpowiedziałam.

Wyszłam z księgarni i zaszyłam się w jednej z mało uczęszczanych, zaniedbanych kawiarni na obrzeżach centrum. Pięćset osiemdziesiąt stron, prawdziwa cegła. Książka była tak samo ciężka, jak cała jej plugawa zawartość. Zaczęłam czytać. Dwóch braci. Naukowiec i odludek. Wylana betonem piwnica i zwabiona tam podstępnie młoda piękna kobieta. Dużo krwi, tortur i brudnego, wyuzdanego seksu. Przemoc fizyczna, przemoc psychiczna, klimaty sado-maso i całe strony obrzydliwie wulgarnej, pornograficznej treści. Ofiara cierpiała poddawana coraz podlejszym praktykom. Wkładali w nią butelki, świece, patyki. Przypalali, opluwali, chłostali, oddawali na nią mocz, gasili papierosy na jej nagiej skórze. Wiązali, podtapiali, kopali, wyśmiewali. Pośród tego wszystkiego stek wyzwisk i ordynarne dialogi pomiędzy braćmi, których sylwetki autor nakreślił koślawo, niemal grafomańsko. Przeczytałam sto trzynaście stron, zanim zrozumiałam, że dalej nie potrafię, nie dam rady. Po wyjściu z kawiarni wrzuciłam książkę do przepełnionego ulicznego kosza na śmieci i ruszyłam w stronę parku. Lodowaty wiatr wyciskał mi łzy z oczu, ale może to nie była wina wiatru? Szłam z pochyloną głową, z rękoma wbitymi w kieszenie, ciągnąc za sobą nogi, jakby były z ołowiu. Ilu moich znajomych przeczytało już te jego grafomańskie wypociny? Ilu z moich sąsiadów, dawnych współpracowników, przyjaciół zadało sobie pytanie, czy mnie spotkało to samo? Ilu z nich domyśli się, że coś mnie z Szymonem łączyło? Ilu zda sobie sprawę, że uwięziona to ja? – zastanawiałam się, wychodząc z parku. Na przystanek dotarłam przemarznięta na kość, ale los nie miał dla mnie litości – dosłownie przed momentem uciekło mi sto osiemnaście. Niech to szlag! – zakląłam w duchu, głębiej wciskając dłonie w kieszenie.

Sto pięć podjechał minutę później. Nie jechał w moją stronę, ale nagle do mnie dotarło, że to linia, która zatrzymuje się dokładnie naprzeciwko mojej dawnej uczelni. Wsiadłam. Jeden przystanek, drugi, trzeci, ale emocje nadal we mnie buzowały. Na widok przeszklonego

budynku biblioteki uniwersyteckiej, w której przez dłuższy czas pracowałam jeszcze przed porwaniem, poczułam dziwny ucisk w sercu. Czy jeszcze kiedyś tu wrócę? – zastanawiałam się, idąc zalaną deszczem alejką w stronę głównego wejścia na uczelnię. Roześmiane grupki studentów mijały mnie obojętnie, nie było wśród nich znajomych twarzy, minęło przecież tyle czasu. Wewnątrz, przy windach, zauważyłam pracującą w katedrze psychologii Kingę Mokrzycką. Lubiliśmy się, bywało, że ucinaliśmy sobie w bibliotece dość długie pogawędki, jednak teraz mnie nie poznała. Przepuściłam windę, nie chciałam jechać na górę w towarzystwie dawnej koleżanki. Czułam się niezręcznie i byłam dziwnie zaniepokojona. Jakby przelewające się korytarzem wielobarwne tłumy studenciaków zaczęły się wokół mnie zagęszczać, napierać, osaczać mnie. W końcu wzięłam głęboki oddech i wybrałam schody. Katedra socjologii była na drugim piętrze, tuż za lektoratami.

Kiedy dotarłam przed ozdobione tabliczką z nazwiskiem Szymona drzwi, poczułam, że złość narasta, dosłownie we mnie pulsuje i szuka drogi ujścia. Zdjęłam płaszcz, przewiesiłam go przez rękę i nacisnęłam klamkę. Według grafiku doktor Knapp nie miał teraz dyżuru, ale była szansa, że jest w pokoju. Weszłam do środka. Siedział za biurkiem. Poluzowany krawat, podwinięte rękawy koszuli, marynarka przewieszona przez oparcie wolnego krzesła pod oknem.

– Słucham, pani w jakiej sprawie? – powitał mnie chłodnym, mało sympatycznym tonem.

Podeszłam bliżej. Bez słowa, mierząc go wzrokiem, w którym było wszystko – od niedowierzania, po czystą nienawiść.

Dopiero wtedy mnie poznał.

– Monika?

Uśmiechnęłam się krzywo.

– Zmieniłaś się – wymamrotał, zrywając się zza biurka. – Jezu, szok! Słuchaj, słyszałem, że się odnalazłaś, ale jakoś nie było okazji, żeby zadzwonić...

– Widziałam cię w telewizji. Ciebie i tę prawdziwą sukę, jak swego czasu zwykłeś mawiać o swojej żonie – weszłam mu w słowo.

– Monika, usiądź. Pogadajmy. Poproszę sekretarkę o dwie kawy

i...

– Jak to było, Szymon? Siadywałeś wieczorami ze szklaneczką whisky w dłoni i wyobrażałeś sobie wszystkie okropieństwa, jakie mogą mnie spotykać tam, gdzie byłam?! – zapytałam. – To o mnie myślałeś, opisując te wszystkie obrzydlistwa? Gwałty, tortury, poniżanie! Blondynka ze znamieniem w kształcie serca na pośladku! Ty skurwielu, nawet to zdradziłeś?! Kiedy to napisałeś, co?! Rok po moim zaginięciu? Dwa? Trzy? Myślałeś, że już nie wrócę, tak?! Myślałeś, że...

– Uspokój się! – podszedł do mnie i złapał mnie za rękę.

Wyrwałam mu się i przywarłam plecami do ściany.

– Nigdy nie przypuszczałam, że ktokolwiek, kogo znam, byłby zdolny do czegoś takiego – syknęłam.

– To tylko książka, Monika. Fikcja literacka. Kiedy zniknąłeś, zamartwiałem się jak wszyscy. W dodatku dotarło do mnie, że mogłaś zginąć z mojego powodu. Szłaś przecież wtedy na spotkanie ze mną...

– Zamartwiałeś się? Bo się popłaczę! – powiedziałam.

Przeczesał włosy palcami i jeszcze bardziej poluzował krawat.

– Pomysł przyszedł nocą. Tkwiałem nad pracami studentów i nagle zobaczyłem całą tę scenerię. Dwóch braci, betonową piwnicę, tę nieszczęsną kobietę... Początkowo kiełkujący w mojej głowie zarys fabuły wydał mi się mało oryginalny, wręcz powielony, ale kiedy zacząłem pisać, wszystko nabrało ostrości. Nie wiem, czemu moja bohaterka jest lustrzaną kopią ciebie... Może dlatego, że cały czas wtedy o tobie myślałem? Zacząłem to pisać trzy lata po twoim zaginięciu, skończyłem półtora roku temu. Pisząc, przestawałem myśleć, na moment odrywałem się od rozważań o twoim dramacie, od własnych problemów. Kiedy zaczynałem, Iwona prawie wyleciała z telewizji po konflikcie z dyrektorem programową. Udało jej się zostać, ale nagle obsesyjnie zacząłem myśleć o problemach finansowych. Bałem się, że nie zdołamy spłacić domu, że zabierze nam go bank... Mam dwoje dzieci, do cholery! Każdy myśli o przetrwaniu, takie czasy! Masz mnie za idiotę?! Myślisz, że nie wiem, jakiego typu literaturę firmuję własnym nazwiskiem? Pozwoliłem słowom popłynąć rynsztokiem, wyplułem z siebie czysto pornograficzne gówno, ale to się sprzedaje, Monika! To jest, jak...

Nie dokończył, bo uchylły się drzwi, w których stanęła drobna, ubrana na ciemno dziewczyna z kolorowym plecakiem w dłoni.

– Panie doktorze, czy mogłabym...

– Nie teraz! – warknął Szymon, posyłając jej mordercze spojrzenie.

Studentka speszona wybuchem wykładowcy wymamrotała pod nosem jakieś przeprosiny i zostawiła nas samych.

– Proszę, zrozum mnie, Monika – powiedział cicho. – Ta książka w pewien sposób napisała się sama, ja tylko... Kurwa, ciężko to wyjaśnić! – zaklął. – Usiądź, porozmawiajmy. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. Wtedy, kiedy byliśmy razem, miałem nadzieję, że...

– My nigdy nie byliśmy razem, Szymon. To była tylko odskocznia, nic nieznaczący romans – powiedziałam mściwym tonem.

– Nie wierzysz w to, co mówisz, prawda? Szłaś wtedy do mnie, cholera! Tamtą szosą, pośród zadymki, stęskniona! Nie mów mi teraz, że to nic nie znaczyło! – wybuchnął.

– A co u twojej żony? – zapytałam. – Tyle mówiłeś o waszym kryzysie, ale widzę, że nadal nosisz tę samą obrączkę. Minęło osiem lat, a pani Knapp dalej trzyma cię na krótkiej smyczy?

– Nie zostawię dzieci, nie rozumiesz? Nie odejdę, nawet jeśli...

– Mniejsza z tym – przerwałam mu, ruszając w stronę drzwi.

– Monika, poczekaj. Daj mi swój numer, umówmy się kiedyś na kawę, pogadajmy na spokojnie. Chcę ci wszystko wyjaśnić, porozmawiać. Nie powinniśmy tego tak zostawiać. Czekał, mam tu gdzieś komórkę – Szymon zaczął się miotać po gabinecie w poszukiwaniu telefonu, ale nie miałam najmniejszej ochoty przedłużyć tego spotkania.

– Trzymaj się – powiedziałam tylko i wyszłam, zanim zdążył jeszcze cokolwiek dodać.

Byłam w połowie korytarza, kiedy mnie dogonił. Zauważyłam, że przed wyjściem włożył marynarkę, jakby łudził się, że doda mu powagi.

– Monika, nie kończmy tego tak! Proszę cię, daj mi szansę, żebym mógł... – urwał, bo z windy wysiadły dwie starsze kobiety, najpewniej pracownicy jego katedry. – Witam, pani profesor. Pani doktor, nowa fryzura? – zagadnął je i obie się rozpromieniły.

Wślizgnęłam się do windy. Zanim zamknęły się drzwi, Szymon również zdążył do niej wejść i po leciutkim szarpnięciu ruszyliśmy w dół.

– Monika, wyobrażam sobie, jak bardzo rozgoryczona musisz być teraz. Ale wtedy, kiedy się spotykaliśmy, naprawdę coś do ciebie czułem – powiedział.

Winda zatrzymała się na pierwszym piętrze.

Wsiadło dwóch studentów, rozmawiali o komputerach. Ten niższy miał brzydkie zadrapanie na szyi i ciemną plamę na kołnierzyku koszulki.

Parter.

Wysiadłam, nie oglądając się za siebie.

Szymon szedł tuż obok, wyraźnie podenerwowany.

– Monika, proszę cię! Daj mi chociaż swój numer, ja...

Pchnęłam oszklone drzwi i w pośpiechu włożyłam płaszcz. Doktor Knapp został w hallu, najpewniej nie zamierzał ryzykować zapalenia oskrzeli dla kogoś, kto był tylko niespodziewanym wyrzutem sumienia, wspomnieniem z odległej przeszłości.

Na przystanku były tłumy.

Stałam, kuląc się pod wiatą, a ostre ukłucia lodowatej mżawki siekły mi twarz. Skurwysyn! – pomyślałam, ale złość zdążyła już wyparować. Teraz, po rozmowie z Szymonem, który okazał się zwykłym tchórzem, czułam już tylko zmęczenie, może lekki smutek. Wściekłość i nienawiść zdążyły się już ulotnić. Zresztą mężczyzna taki jak on nie jest wart tak silnych uczuć – powiedziałam sobie.

Po powrocie do domu wybrałam numer Magdy i opowiedziałam siostrze o *Uwięzionej* i jej autorze.

– Ja pierniczę, jak mogłam nie skojarzyć? – zdziwiła się Magdalena. – Mówiłaś przecież, że facet, z którym miałaś romans, miał na imię Szymon, ale jakoś nie pomyślałam, że to może być on. Wiesz, jak oni go tu promowali? To było istne szaleństwo. Spotkania z czytelnikami na skwerze przed ratuszem, ciągłe wywiady, jego zdjęcie w witrynie niemal każdej księgarni. Pierwsze wydanie rozeszło się ponoć w trzy tygodnie, musieli robić dodruk. Jezu, Monika, co za kutas! Jak on w ogóle mógł...

– Nieważne, zapomnij. Chciałam się wygadać, więc zadzwoniłam, ale nie będę dłużej o nim myśleć – weszłam siostrze w słowo.

– Przykro mi, wiesz o tym?

– Wiem. Ale zupełnie niepotrzebnie. Uwierz mi, ludzie potrafią sobie robić o wiele większe podłości – powiedziałam cicho.

– Cholera, muszę jechać po Julkę! Zadzwonię wieczorem, dobrze?

– Magda nagle zreflektowała się, że powinna pędzić po córkę i szybko się ze mną pożegnała.

*Karma to ponoć wyjątkowo złośliwa dziwka, myślę, że on kiedyś tego pożałuje!* – wysłała mi jeszcze esemesa, który sprawił, że lekko się uśmiechnęłam.

Śniło mi się, że urodziłam Józefowi nieżywe dziecko. Że wijąc się z bólu, wyciskałam z siebie to maleńkie, martwe ciało, a on siedział na krześle i przyglądał mi się z błakającym się na ustach uśmiechem. W końcu zaczęłam wyć. Przeciągle, ochryple, niczym konające w mękach zwierzę. Krew krzepła na cuchnącym stęchlizną materacu, wsiąkała w podłogowe deski, a ja krzyczałam, wydając na świat dziecko tego szaleńca, złe nasienie... W końcu udało mi się je urodzić, a on wyciągnął po nie łapy. „Mój syn jest martwy, ty głupia suko!” – wrzasnął, ciskając bezwładnym ciałkiem o ścianę. Obudziłam się ze ściśniętym gardłem, z trudem mogłam oddychać. I chociaż świetnie wiedziałam, że jestem już bezpieczna, że jestem w domu rodziców, i tak przez dłuższą chwilę miałam wrażenie, że on siedzi w którymś z ciemnych kątów i przygląda mi się z tym właściwym sobie nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Za oknem lało.

Deszcz bębnił o parapet, zdobił szyby dziesiątkami łzawych ścieżek. Wstałam z łóżka i wyjęłam z komody znaną tam dzień wcześniej paczkę zwietrzałych marlboro, które w tajemnicy przed rodzicami musiała tu kiedyś popalać Magda. Zanim zapaliłam, zerknęłam na zegarek. Trzecia osiem nad ranem... Uchyliłam okno i drżąc od chłodu wietrznej nocy, zaciągnęłam się dymem. Kiedy wypaliłam papierosa, boszo zesłam na dół. Karmel spał w korytarzu w olbrzymim wiklinowym koszu, który odziedziczył po Mustafie. Minęłam go na palcach i weszłam do kuchni. Piłam mleko prosto

z kartonu, kiedy na dół zesłała mama.

– Paliłaś? Wydawało mi się, że na górze czuć dym – zaczęła.

Zauważyłam, że ma na sobie szlafrok w róże, który lata temu kupiłam jej na urodziny, i wygląda na skrajnie zmęczoną.

– Wracaj do łóżka, mamó. Ja też zaraz się kładę – szepnęłam.

– Nie powinnaś palić. Wiesz przecież, że...

– Naprawdę uważasz, że strzelisz mi umoralniającą gadkę, a ja wyrzucę fajki do kosza na śmieci i grzecznie cię przeproszę?! To tylko jeden głupi papieros, mamó! Miałam koszmarne sen, chciałam odreagować! Dlaczego traktujesz mnie tak, jakbym nadal miała czternaście lat?! – zapytałam ostrym tonem.

– Martwię się, przecież wiesz – powiedziała cicho. – Odkąd was urodziłam, nieustannie się o was martwię...

– To przestań, do cholery! Obie od dawna jesteśmy dorosłe!

– Jakby to coś zmieniało – powiedziała zmęczonym głosem.

– Wracaj do łóżka – powtórzyłam.

Zrobiła krok w stronę wyjścia, ale nagle się zatrzymała.

– Moniczko, co ten człowiek ci zrobił? – zapytała z wbitym w posadzkę wzrokiem. – Co znosiłaś przez te lata, czy on... Kiedy o tym myślę... O tym bydlaku, który odebrał nam całe nasze życie, wyobrażam sobie, że potrafiłabym go zabić. Gołymi rękoma, sama jedna, bez chwili wahania!

– On nie żyje, mamó. Przecież wiesz – powiedziałam.

Zaczęła płakać.

Jej drobne wychudzone ramiona drżały pod szlafrokiem, łzy płynęły po policzkach, wsiąkały w spłóviały po wielu praniach wzór.

– Dlaczego Bóg pozwala na takie rzeczy? Czemu takie ludzkie ścierwa chodzą po świecie? Czy ten potwór nie mógł umrzeć w dzieciństwie albo w ogóle się nie urodzić? – wyszlochała.

– Hitler też mógł umrzeć w dzieciństwie, ale jakoś tego nie zrobił. Boga nie ma, mamó. Idź spać, marnie wyglądasz.

– Położę się, masz rację. Chłodno tu, nie zazięb się – powiedziała, zanim zostawiła mnie samą.

Sięgnęłam po szklankę i nalałam do niej jeszcze odrobinę mleka. Pijąc, przez dłuższą chwilę nasłuchiwałam, jakbym chciała się upewnić,

że matka wróciła do dzielonej z ojcem sypialni. W końcu na palcach wróciłam na górę, szerzej uchylłam okno i zapaliłam kolejnego papierosa. Dziecko... Przez tyle lat pragnęłam zostać matką, tak bardzo przeżyłam poronienie, jednak sama myśl, że mogłam zajść w ciążę z moim porywaczem, przyprawiała mnie o mdłości. Kobiety od wieków rodziły dzieci z gwałtów. Nawet te, które ledwo przeżyły spotkanie z brutalnym oprawcą. Rodziły je, karmiły, kochały. Czy ja potrafiłabym zrobić to samo? A może, kiedy zostaje się matką, serce przepełnia miłość i na nic więcej nie ma miejsca? – zastanawiałam się.

Za ścianą coś upadło, głucho rąbnęło o posadzkę. Zerwałam się z łóżka i z tłącym się papierosem w dłoni wybiegłam na korytarz. Matka? Upadła? Coś jej się stało? – przeraziłam się.

– Mamo? – zastukałam w drzwi sypialni rodziców, z trudem panując nad emocjami. – Mamo?!

Uchyliła drzwi, wyglądała na zażenowaną.

– Trąciłam drabinkę, spadła na ziemię. Od wczoraj proszę ojca, żeby podpiął oberwane firany, ale wiesz, jaki on jest – szepnęła.

– Tato śpi?

– Śpi. Jego nawet artyleryjski ostrzał by nie obudził. Zresztą ostatnio nieco przygłuchł, chyba po lekach – machnęła ręką mama.

– Znowu palisz – dodała, spoglądając na tłącego się w mojej dłoni papierosa i obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

– Dobranoc – powiedziałam.

– Zgaś to świństwo, zaraz cały dom prześmierdnie – odpowiedziała.

Przez chwilę, z czystej przekory, miałam ochotę zaciągnąć się dymem na jej oczach, ale dałam spokój. Owszem, traktowała mnie, jakbym nadal miała czternaście lat. Jednak tego typu szczeniackie zachowania z pewnością nie poprawiłyby naszych relacji. Wróciłam więc do siebie, zgasiłam fajkę i dzwoniąc zębami z zimna, wślizgnęłam się pod lodowato zimną pościel. Dopiero po chwili zorientowałam się, że okno nadal jest lekko uchylone. Kiedy je zamykałam, wydawało mi się, że jakaś skulona z zimna, wpatrzona w nasze okna postać stoi po drugiej stronie ulicy, przed domem sąsiadów. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to tylko pień dawno obumarłego drzewa, a nie ludzka



sylwetka.

Następnego dnia koło dziewiątej rano odezwał się do mnie Marcin Mermer, człowiek, który przedstawił się jako syn Franczyka.

– Proszę wybaczyć wczesną porę, ale jestem akurat służbowo w pani okolicach i pomyślałem, że moglibyśmy przez chwilę porozmawiać. Dostałem pani numer od podkomisarza Krzysztofa Małeckiego. Powiedział, że bardzo pani zależało na moim telefonie – zaczął.

Miał miły, spokojny głos i chociaż wiedziałam, że boję się tej rozmowy, umówiłam się z nim na kawę.

Kiedy dotarłam na miejsce, Mermer już na mnie czekał. Szczupły ciemnowłosy mężczyzna w granatowym wełnianym swetrze i spranych džinsach, wyglądał dokładnie tak, jak się opisał podczas naszej krótkiej rozmowy. Ściągając kurtkę, zastanawiałam się, czy zobaczę w jego rysach podobieństwo do porywacza, ale przypominał mojego oprawcę raczej w niewielkim stopniu. Być może zarysem podbródka i kształtem nosa, nigdy bym jednak nie powiedziała, że są spokrewnieni. Usiadłam naprzeciwko i podałam mu rękę. Uścisk naszych dłoni wyszedł krępująco, niepewnie – oboje byliśmy mocno zażenowani niecodziennym spotkaniem i myślą, że połączyła nas osoba tego zwyrodnialca Józefa.

– Szybko pani dotarła – zaczął.

– Wybrał pan kawiarnię w okolicach domu moich rodziców.

– Jeszcze raz przepraszam za wczesną porę. A przechodząc do sedna – jeśli mam być szczery, w ogóle nie zamierzałem się do pani odzywać – powiedział, kiedy sięgnęłam po menu. – Ostatnio nie mogłem jednak znieść myśli, że być może jeszcze przez lata będzie sobie pani zadawać w duchu pytania, na które nigdy nie pozna odpowiedzi... Śniła mi się pani po nocach, błagała o sprawiedliwość. Wiem, że ten człowiek nie żyje, ale i tak chciałbym jakoś pani pomóc w uporaniu się z całym tym koszmarem – dodał.

Zdałam sobie sprawę, że określa Józefa mianem „tego człowieka” i zrozumiałam, że jego dzieciństwo musiało być naprawdę trudne.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, mówmy sobie może po imieniu?  
– zaproponowałam chwilę później. – Będzie nam łatwiej rozmawiać...

– Jasne, bardzo mi miło – Mermer posłał mi blady uśmiech i zerknął w stronę barowego kontuaru, za którym ciemnowłosa ponura kelnerka przecierała właśnie kufle. – Przepraszam, możemy panią prosić?! – krzyknął.

Skrzywiła się, jakby robiła nam łaskę, ale w końcu podeszła do naszego stolika. Zamówiłam kawę i omlet z warzywami, mój towarzysz skusił się na naleśniki z serem i cynamonem.

– Używasz panińskiego nazwiska matki? – zapytałam.

– Tak, zrzekłem się nazwiska po ojcu zaraz po maturze. Nie chciałem mieć nic wspólnego z tym człowiekiem i na studia poszedłem już jako Mermer.

– Jakim był ojcem? Bił cię? Nękał psychicznie? Zastraszał?

– Wszystkiego po trochu. Kiedy miałem pięć lat, na dwa dni przed Wigilią niechcący stłukłem ulubiony kubek jego matki. Wywłókł mnie wtedy na mróz i kazał biegać dookoła domu w samej piżamie. Skończyłem w szpitalu z zapaleniem płuc, z którego ledwo się wykaraskałem, ale on uważał, że zasługiwałem na nauczkę. Rok później zaczął mnie bić. Regularnie, jak w zegarku, nie było dnia bez lania. Trzymał na te okazje w piwnicy znaleziony w lesie sękaty kij, którym kochał okładać mnie po nogach i plecach. Mamę z kolei uwielbiał zamykać w pokoju. Klucz nosił na rzemyku i bywało, że kazał jej tam siedzieć kilka dni z rzędu. Któregoś razu, tuż przed moimi dziewiątymi urodzinami, zawiózł nas do domu swojej matki, tam, gdzie byłaś przetrzymywana, i zamknął nas w piwnicy. W środku nocy zjawił się tam z kanistrem i zaczął polewać podłogę benzyną. „Ani żona mi się nie udała, ani syn! Powinienem puścić tę budę z dymem, a razem z nią was wszystkich!” – wrzeszczał. Jego matka spała na górze, jak zawsze półprzytomna po lekach i alkoholu, które kochała miksować, a my tylko cudem mu uciekliśmy. Wtedy mama zrozumiała, że musimy odejść. Zabrała mnie do swoich rodziców, zmieniła mi szkołę. Byliśmy pewni, że będzie nas prześladował. Że nie pozwoli nam tak łatwo zniknąć i będzie nas nękał, ale on nigdy nie pojawił się w domu dziadków. Na pogrzebie mamy też się nie zjawił, co w sumie nawet mnie wtedy cieszyło.

– Kiedy zmarła? – zapytałam.

– Kilka lat później. Popęłniła samobójstwo, kiedy przygotowywałem się do matury. Cudowne wycucie czasu, prawda?

– Mermer sięgnął po kawę, którą postawiła przed nim naburmuszona kelnerka, i dodał, że tak do końca chyba jeszcze jej nie wybaczył.

– Wiem, że była chora. Cyklofrenia potrafi wywrócić życie do góry nogami. Ale mimo tego przez długi czas nie mogłem zrozumieć, czemu postanowiła mnie zostawić... Jak długo on tam cię trzymał? – zmienił temat. – Policja nie chciała mi zdradzić szczegółów, ale sąsiedzi podejrzewają, że to mogło być nawet parę lat.

– Prawie osiem – powiedziałam.

– Prawie osiem?! Chory skurwysyn! – zaklął Marcin, z niedowierzaniem kiwając głową. – Radzisz sobie jakoś? Wiesz, z emocjami i tak dalej...

– Tak, chyba tak. Olbrzymim wsparciem jest dla mnie rodzina. Są przy mnie cały czas, pomagają mi jakoś przez to przejść. Niemal co noc miewam koszmary i często budzę się z krzykiem, ale w ciągu dnia jakoś funkcjonuję.

– To dobrze, cieszę się.

– Masz dzieci? – zainteresowałam się, mieszając swoją kawę.

– Czemu pytasz?

– Z ciekawości – wzruszyłam ramionami.

Uśmiechnął się i sięgnął do portfela, z którego wyjął fotografię dwóch szeroko roześmianych kilkuletnich chłopców.

– Konrad ma prawie siedem lat, Adrian cztery. Dwa nadpobudliwe, rozkrzyczane czorty, dla których staram się być najlepszym ojcem pod słońcem – powiedział.

– Piękne dzieciaki.

– To akurat po mamie – mruknął.

– Co właściwie robisz w moich okolicach? – zapytałam.

– Przyjechałem zainstalować klientowi garażową bramę.

Normalnie robi to mój pracownik, ale złamał rękę i sam jeżdżę w teren.

– Montujesz bramy? – uśmiechnęłam się.

– Bramy, rolety antywłamaniowe, ogrodzenia. Czego dusza zapagnie – powiedział, wyjmując z portfela swoją wizytówkę. – Gdybyś kiedyś potrzebowała jednej z tych rzeczy, dzwoń – dodał.

Schowałam namiary na niego do kieszeni i zapatrzyłam się w okno. Mermer jadł, w milczeniu dłubiąc widelcem w talerzu.

– Czemu tak właściwie chciałaś się ze mną spotkać? – zapytał, kiedy dojadł i wytarł usta chusteczką.

– Sama nie wiem... Może chciałam się przekonać, że ktoś przeżył podobne piekło? Zobaczyć, jak wygląda syn tego zwyrodnialca, zapytać cię, jak sobie radzisz... I podziękować, oczywiście. Za to, że w ogóle się tam zjawieś, że wezwałeś karetkę.

– Oczywiście, że wezwałem karetkę, chyba każdy by to zrobił! – zachnął się, nieco urażony. – A radzę sobie różnie. Pomimo że nie widziałem go przez długie lata, czasem jeszcze mi się śni. I w tych snach czasem go zabijam. Broniąc matki albo siebie, wbijam mu w brzuch nóż, zrzucam ze schodów, wpycham pod tramwaj. A później się budzę i dociera do mnie, że on od dawna nie ma już nade mną władzy, ale i tak gdzieś tam w głębi duszy czuję się niekiedy tym zaszczutym, przerażonym chłopcem, który potrafił zsikać się ze strachu na widok własnego ojca. Czasem, kiedy zjawiał się u mnie w środku nocy, wczołgiwałem się pod łóżko. Wyciągał mnie spod niego za włosy i kazał robić pompki. W zależności od jego nastroju od piętnastu, do stu, bywało, że i więcej. Zdarzało mi się wymiotować z wysiłku, a on okładał mnie pasem, wrzeszcząc, żebym nie był babą. Takiego właśnie miałem ojca – powiedział cicho.

– Przykro mi, Marcin – szepnęłam.

– Domyślam się, że ci przykro, zresztą nie tobie jednej... Kiedy jeszcze przed naszym ślubem opowiedziałem o nim narzeczonej, płakała przez cały wieczór. Edyta pochodzi z kochającej się wielodzietnej rodziny, w której nigdy nie było przemocy i nie potrafiła uwierzyć, że ktoś może robić takie rzeczy żonie i synowi. Nieco później, po narodzinach naszego drugiego dziecka, wyznała mi, że po tym, co jej opowiedziałem, miała przez pewien czas wątpliwości co do naszego ślubu. Bała się, że któregoś dnia coś się we mnie zmieni i stanę się lustrzanym odbiciem swojego ojca. Ponoć znaczny odsetek dorosłych doświadczających w dzieciństwie przemocy znęca się w podobny sposób nad własnymi dziećmi. Pewne wzorce powielamy, nawet jeśli tego nie chcemy. Ale mnie się udało. Nam się udało. Nie jestem taki, jak ten

skurwysyn i nigdy nie będę! – powiedział Mermer. – Posłuchaj, jeśli chciałabyś jeszcze kiedyś pogadać, odezwij się. Możesz zadzwonić, a gdybyś była w Warszawie, skoczmy na kawę. Teraz muszę się zbierać, bo gonią mnie terminy, ale cieszę się, że jednak do ciebie zadzwoniłem. Dziękuję, dobrze było porozmawiać. Na co dzień staram się o tym człowieku nie myśleć i rzadko go wspominam, ale dzisiaj, sam nie wiem... Jakoś mnie ta rozmowa podniosła na duchu. Może dlatego, że tak dobrze mnie rozumiesz?

– Kto, jeśli nie ja? – uśmiechnęłam się blado.

Wstał i podał mi rękę.

– Jeszcze raz dziękuję! Dbaj o siebie – powiedział.

Kiedy wyszedł, odsunęłam na bok talerzyk z ledwie napoczętym omletem i zapatrzyłam się w okno, za którym zaczął prószyć śnieg. Taki miły mężczyzna – pomyślałam. Taki miły mężczyzna i taki koszmar w tle...

Śnieg prószył od rana, temperatura spadła do minus ośmiu. Na wieść o tym, że wybieramy się na dłuższy spacer, mama załamała rękę.

– Przeziębicie się, dziewczynki! – zaczęła biadolić, ale my już wkładaliśmy kurtki.

– Dajże spokój, Bożenko. Przecież i tak trzeba iść z psem – uciszył ją tato, posyłając nam rozbawione spojrzenie.

– Właśnie zdałam sobie sprawę, że strasznie dawno tu nie byłam – powiedziała Magda, unosząc w górę poszarpaną drucianą siatkę, przez którą chwilę wcześniej udało mi się przecisnąć. – No już, Karmel, przełaź!

Bernardyn rodziców przecisnął cielsko przez dziurę w ogrodzeniu i wąską zarośniętą ścieżką ruszyliśmy z Magdą w stronę wyrobiska.

– Wierzyć mi się nie chce, że to miejsce jeszcze się ostało. Tyle było planów, tylu deweloperów zamierzało coś tutaj budować – powiedziałam, rozglądając się.

– Swego czasu było sporo protestów mieszkańców i niedoszli inwestorzy w końcu zrezygnowali. Tyle osób się tu potopiło, a jednak ludzie uwielbiają to miejsce. Łacha piachu, trochę wody i wszyscy są szczęśliwi – mruknęła Magda, łapiąc Karmela za obrożę. – Zostaw! Jeszcze znowu coś zeżresz! – zbeształa go.

Pies szczeknął radośnie i zaczął węszyć wzdłuż ścieżki.

– Chodźmy szybciej, straszny ziąb! – ponagliła mnie Magdalena. Założyłam jej na głowę obrębiony futrem kaptur.

– Trzeba mieć naprawdę nierówno pod sufitem, żeby w taki dzień wyjść z domu bez czapki – powiedziałam.

Wzruszyła ramionami, mrużąc pod nosem coś o tym, że po prostu jej zapomniała. Krzyknęłam na psa, który obszczekiwał przechodzącego ścieżką faceta.

– Karmel, spokój!

Gość spojrzał na mnie przelotnie i lekko skinął mi głową.

Pomyślałam, że skądś go znam, ale nie mogłam sobie przypomnieć skąd. Kiedy zapytałam Magdę, powiedziała, że to przecież sąsiad.

– Adam Malinowski, nie pamiętasz go? Zanim zniknęłaś, prowadził hurtownię rajstop, później wybuchł tam pożar i zajął się czymś innym. Niektórzy, w tym nasza paranoiczna rodzicielka, podejrzewają oczywiście, że sam to podpalił dla odszkodowania, ale nigdy niczego mu nie udowodniono – powiedziała Magda, wsuwając ręce do kieszeni. – Cholera, tym razem w telewizji nie kłamali. Arktyczne powietrze, jak nic! – dodała.

– Masz, załóż te – podałam jej moje, znacznie grubsze rękawiczki.

– Dzięki – mruknęła, dodając coś o pieprzonej zimie, która nie ma końca.

Przez dłuższą chwilę szłyśmy obok siebie w milczeniu, w końcu siostra zapytała, czy pamiętam zorganizowaną przez byłego faceta Wandy imprezę na koniec lata.

– Tak się wtedy upiłyśmy, że w środku nocy sikałyśmy na chodniku przed domem, bo ty nie mogłaś znaleźć w torebce klucza od furtki – parsknęła śmiechem Magda. – A Wanda rozdarła sobie kieckę i świecąc pośladkami, biegała wzdłuż ścieżki, krzycząc, że zaraz odfrunie. Pamiętasz?

– Pamiętam, co następnego dnia powiedział mi tato – mruknęłam.

– Co?

– Weszłam do kuchni totalnie skacowana, chcąc zaparzyć sobie kawy, i usłyszałam, że cię rozpijam. Bo oczywiście wszystko zawsze było moją winą. Uwierz mi, bycie starszą siostrą jest do bani – uśmiechnęłam się, rzucając Karmelowi patyk.

– Wiem, że już to mówiłam, ale cholernie za tobą tęskniłam – powiedziała Magda, odwracając się do mnie. – Dalej za tobą tęsknię, wiesz? Siedzę w domu, przed telewizorem, z małą na kolanach i talerzem kanapek w dłoni i nagle do mnie dociera, że już jesteś. Wróciłaś. I mam dziką ochotę włożyć kurtkę i lecieć do rodziców, żeby chociaż przez moment z tobą pogadać... Tyle czasu straciłyśmy, tyle ważnych chwil... Kiedy rodziłam Julkę, płakałam z bezsilności, że nie mogę złapać cię za rękę. Była przy mnie mama, był Sasza, tato krążył po korytarzu, nawet Bogna na chwilę wpadła, a ja myślałam tylko o tym, że nie ma tam ciebie...

– Sprawcie sobie drugie dziecko, a kolejnej tego typu imprezy na

pewno nie ominę – uśmiechnęłam się do siostry, która nabrała w dłonie śniegu, naprędcie uformowała z niego kulkę i rzuciła w moją stronę, trafiając mnie w szyję. – Auć, wariatko! – schyliłam się, zebrałam porcję białego puchu i już po chwili trwała regularna bitwa na śnieżki.

Formowałam kolejną śniegową kulkę, kiedy przypomniałam sobie tamte dzieciaki rzucające się śnieżkami na polu, które widziałam z okna domu Józefa. Chłopiec w zielonej kurtce, oblepione śniegiem drzewa, moja bezsilność i zgniła zieleń odłóżającej ze ścian tapety...

– Co jest? – Magda w końcu zauważyła, że zmarkotniałam.

– Nie, nic. Coś sobie przypomniałam – szepnęłam.

– Monika, może mama ma rację? Może powinnaś się spotkać z kimś, kto pomoże ci przez to wszystko przejść?

– Nazwijmy rzeczy po imieniu, co? Chodzi ci o psychiatrę?

– Tak, ale...

– I co mu powiem? Będę leżeć na jakiejś pieprzonej kozetce i wylewać z siebie gorzkie żale? Wracać do tego rynsztoku, przeżywać to jeszcze raz?! – wybuchłam.

– Czasem lepiej komuś powiedzieć, niż dusić to w sobie. Monika, po prostu się o ciebie martwię, przecież wiesz...

– Wiem.

– Jeśli z kimś pogadasz...

– Z psychiatrą. Jeśli pogadam z psychiatrą, to co? – zapytałam.

– Nie wiem, pewnie jakoś ci pomoże. W końcu od tego są tacy lekarze, prawda?

– I w czym niby ma mi to pomóc, Magda?! W oswojaniu traumatycznych wspomnień?! Będziemy się babrać w całym tym koszmarze, rozdrapywać stare rany, rozmawiać o tym, co mi robił?! Myślisz, że mam ochotę o tym mówić?! Że chcę opowiadać zupełnie obcej, przypadkowej osobie o tym, jak mnie gwałcił, albo... – urwałam, zdając sobie sprawę, że nigdy wcześniej o tym nie mówiłam.

– Gwałcił cię? – powtórzyła moja siostra ze łzami w oczach.

– A jak myślisz, co robią z przetrzymywanymi kobietami tego typu świry?! Łudzisz się, że graliśmy tam w szachy?! – krzyknęłam.

– Skurwysyn! Mam nadzieję, że smaży się w piekle! Tak strasznie mi przykro, że to wszystko cię spotkało... – powiedziała Magda,



ocierając łzy.

– Nie becz, nie ma sensu – przytuliłam ją.

– W takiej sytuacji tym bardziej musisz z kimś porozmawiać, Monika! O tym, co tam przeżyłaś też, ale przede wszystkim o odnalezieniu się od nowa. Tutaj, z nami. Wróciłaś po niemal ośmiu latach, nie rozumiesz? Przeżyłaś piekło, o które boję się nawet zapytać! Wróciłaś i okazało się, że twój mąż już do ciebie nie należy, że w mieszkaniu, które tak kochałaś, rezydują już obcy ludzie, że twoje rzeczy upchnięte w kartonowych pudłach tkwią na dnie maminej garderoby. Nie masz pracy, bo nikt nie trzymał tam dla ciebie miejsca, nie masz większych oszczędności, mieszkasz z rodzicami, którzy nie spuszczają cię z oczu. Myślisz, że nie rozumiem, przez co przechodzisz? Musi ci być ciężko, musisz się czuć cholernie bezsilna i o tym chyba powinnaś z kimś pogadać – powiedziała cicho Magda.

Nie odpowiedziałam.

Przez chwilę przyglądałam się wężącemu przy zaśniewanej ścieżce Karmelowi, w końcu zawróciłam, ruszając w stronę domu.

– Chodźmy już, straszny dziś ziąb – poprosiłam.

– Chyba cię nie uraziłam? – zapytała Magda, łapiąc mnie za rękę.

– Zabieraj te łapy w mokrych rękawiczkach – szturchnęłam ją i wymieniliśmy rozbawione spojrzenia. – Nie, nie uraziłaś mnie. Wiem, że się martwisz, masz prawo. Ale jakoś sobie radzę. Przynajmniej cztery razy w tygodniu jestem na pływalni, z nadzieją, że powoli zrzucę to nieszczęsne cielsko. Szukam pracy, starając się nie myśleć o dziesiątkach niezręcznych sytuacji, rozmów i spojrzeń, z którymi pewnie będę sobie jakoś musiała w niej radzić. Jest dobrze, Magda. Jestem w domu. Nawet jeśli to nie ten dom, który za sobą zostawiłam...

– A Kuba?

– Co z nim? – zapytałam.

– Tęsknisz za nim? Wciąż go kochasz?

– Nie wiem, Magda. Odpowiem ci, kiedy już go zobaczę. Teraz jest jedynie coraz bardziej mglistym wspomnieniem kogoś, kto kiedyś był dla mnie wszystkim. Myślisz, że są razem szczęśliwi? – zapytałam.

– On i Iwona? Nie wiem... Nie licząc tamtego sylwestra w górach i kilku krótkich spotkań na mieście, nie widywałam ich razem. Ale

czasem podejrzewam, że to ona kocha go znacznie bardziej. On chyba nigdy tak do końca nie pogodził się z twoim zniknięciem.

– Co nie przeszkodziło mu w związaniu się z inną...

– Masz żal? – zapytała Magda, strzepując z butów śnieg.

– Czy ja wiem? Pewnie gdzieś tam w głębi serca wołałabym, żeby na mnie czekał, ale przecież wiem, że to nierealne. Zresztą gdybym to ja była wobec niego w porządku, nic strasznego by się nie stało. Gdybym nie miała tego cholernego romansu, gdybym nie poszła na tamto spotkanie. Gdybym, gdybym, gdybym...

– Wiesz, kiedyś rozmawialiśmy z Kubą o wierności i powiedział, że nigdy cię nie zdradził. Że nie był fair wobec pierwszej żony i tobie nie zrobiłby czegoś podobnego – przypomniała sobie młoda.

– Powiedział, powiedział! – syknęłam. – Ludzie mówią różne rzeczy, Magda! Zazwyczaj te, które druga strona chce akurat usłyszeć. Może nigdy mnie nie zdradził, może miewał romanse, nie wiem. Wiem tylko, że to z mojej winy rozpadło się wszystko, co miałam, i tego nigdy sobie nie wybaczę. Ty, tato, mama, moi przyjaciele, Kuba. Tyle straconych lat, cały ten koszmar... Wszystko przeze mnie.

– Nie mów tak, Monika! Zrobiłaś błąd, okay. Głupi błąd, nieprzemyślany. Myślisz, że ty jedna? Ludzie robią sobie o wiele większe świństwa i jakoś nie spotyka ich żadna kara. To nie twoja wina, że trafiłaś na tego zwyrodnialca! Nie twoja wina, że ten kompletnie porąbany kutas zwabił cię do samochodu i uwięził! Nie twoja wina, że...

– Nie?! A czyja? Nie byłoby mnie na tej przeklętej drodze, gdybym nie szła na spotkanie z Szymonem, nie rozumiesz?! – krzyknęłam.

– Nie możesz się teraz zacząć obwiniać, Monika – szepnęła moja siostra. – Dźwigasz na grzbiecie cały ten koszmar i wierz mi, wyrzuty sumienia są ostatnią rzeczą, jakiej jeszcze ci trzeba.

– Oczywiście, że się obwiniam! O to, co zrobiłam. O to, że zniszczyłam wam życie. O to, że nie potrafiłam od niego uciec. Któregoś dnia Józef dał mi do ręki nóż. Miałam go w ręku, zaciskałam na nim palce, marzyłam, żeby zabić tego skurwysyna, a jednak nie potrafiłam. Mogłam uciec już wtedy, oszczędzić wam i sobie tyle czasu, ale nie potrafiłam... – urwałam i zdałam sobie sprawę, że płaczę.

– Wszyscy popełniają błędy, Monika. Mama też miała kiedyś

romans – usłyszałam cichy, ledwie słyszalny głos siostry.

– Czytałaś je? Myślałam, że babcia spaliła je w piecu – zdziwiłam się.

– Co?

– Listy. Do mamy, od pana Edka. Pamiętasz go, prawda? Zginął w wypadku tuż przed twoją...

– Co ty pleciesz?! – siostra zatrzymała się gwałtownie i omal na nią nie wpadłam.

– Mówię o panu Edku. Mama miała z nim romans. Wtedy, kiedy tato stracił pracę i stale się wyklócali. Tuż przed twoją komunią.

– Mama miała romans z panem Edkiem? – wykrztusiła Magda.

Wyglądała na kompletnie zszokowaną i nagle zrozumiałam, że ona chciała mi powiedzieć o kimś zupełnie innym.

– Chryste, nie mówiłaś o nim... Kto? – zapytałam cicho.

– Kuzyn taty. Nawet nie wiem, czy to był romans, czy jednorazowa przygoda. Mama powiedziała mi tylko, że poszła z nim do łóżka i...

– I co?

– Nie wiem, czy powinnam...

– I co, Magda?! – podniosłam głos, a kręcący się przy naszych nogach Karmel cicho szczechnął.

– Wiesz, przez te wszystkie lata, kiedy cię szukaliśmy, obiecywałam sobie, że jeśli wrócisz, powiem ci prawdę, ale...

– Prawdę o czym?

– O tacie.

– Tato też miał romanse? – parsknęłam nerwowym śmiechem.

– Nie. On... Mama twierdzi, że zaszła w ciążę z kuzynem ojca.

– Zaszła z nim w ciążę? I co? Poroniła? Usunęła?

– Urodziła. Ciebie – szepnęła Magda, nie patrząc mi w oczy.

Otworzyłam usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie przychodziły mi na myśl żadne odpowiednie słowa. Tato... Czy wiedział? I jak ona mogła mu zrobić coś takiego?

– Wiesz, tak się zastanawiam, jak to możliwe, że oni jeszcze są razem? – powiedziała moja siostra, strzepując z kurtki grube płatki mokrego śniegu, który sypał coraz gęściej. – Czemu po prostu się nie rozwiedli? Po cholere tkwić w takim układzie, jeśli można zacząć

wszystko od nowa?

– Pewnie dla nas – wzruszyłam ramionami. – Zresztą to były inne czasy. Pokolenie naszych rodziców nie rozwodziło się jeszcze tak często i bezproblemowo jak to się robi teraz.

– Ale nie wkurza cię to?! Tyle przed nami ukrywali, w dodatku przez długie lata oszukiwali się nawzajem! Przynajmniej mama oszukiwała tatę. Czy on też ma coś na sumieniu, nie wiem, ale cała ta farsa, ten cyrk, który urządzili, doprowadza mnie do szału!

– To nie nasza sprawa, nie rozumiesz? Być może znamy tylko fragment układanki. Być może w młodości, kiedy byli tuż po ślubie, tato też ją zdradził. Być może zawiódł ją w jakiś inny sposób albo...

– Bronisz jej?! – krzyknęła.

– Przed chwilą sama powiedziałaś, że wszyscy popełniają błędy – przypomniałam jej.

Nie odpowiedziała.

Kopnęła wystający spod śniegu kamień i ze złością zaczęła się szarpać z trzymaną w ręku splątaną smyczą.

– Wracajmy już – powiedziałam tylko, po czym gwizdnęłam na Karmela i ruszyłam w stronę domu.

– Powiesz jej? – zapytała Magda, kiedy już precyzyjnie się przez dziurę w drucianym ogrodzeniu.

– Nie wiem...

– Masz żal?

– Nie wiem, Magda. Myślę, że to ostatnia rzecz, o której chcę teraz myśleć. Zresztą, jakie to ma znaczenie? Zawsze uwielbiałam tatę, więc nic się między nami nie zmieni. Tamtego faceta nie widziałam na oczy, nie mam pojęcia, kim jest. Powiem ci za to, kim nie jest. Na pewno nie jest moim ojcem! – powiedziałam.

– Cieszę się, że tak na to patrzysz – uśmiechnęła się do mnie siostra.

Byłyśmy jakieś sto metrów od naszej furtki, kiedy dodała, że ma dla mnie niespodziankę.

– Sylwester w Kopenhadze! Zarezerwowałam nam już bilety! Żeby ten pierwszy Nowy Rok po twoim powrocie kojarzył ci się z czymś fajnym – uśmiechnęła się. – Co? Nie powiesz nic? Dzięki, sister, kocham

cię, tego typu teksty – dodała lekkim tonem.

– Wiesz, że cię Kocham i nie ma to nic wspólnego z Kopenhagą.

– Ale? Tylko nie mów, że nie chcesz lecieć. Monika, proszę!

Ublągałam już rodziców, żeby zostali z Julą! Sasza poleci z nami, ale on pewnie spędzi czas z dawnymi znajomymi. Jeszcze zanim się poznaliśmy, mieszkał w Kopenhadze prawie rok i zna tam mnóstwo osób. Dzięki temu możemy się zatrzymać u Sabiny, jego dobrej przyjaciółki. Ponoć nadziany tatuś kupił jej dwupoziomowy apartament niemal w samym centrum, więc nie będziemy narzekać na lokalizację. No, powiedz coś! Lecimy?

– Nie lubię latać – mruknęłam.

Siostra spojrzała na mnie jakoś dziwnie, z niedowierzaniem.

– Żartuję – roześmiałam się. – Żebyś widziała, jaką miałas minę!

– Więc lecimy? – upewniła się.

– Tak, chyba tak. Muszę tylko kupić sobie trochę ciuchów w moim nowym, zabójczym rozmiarze.

– To akurat żaden problem. Do galerii możemy skoczyć choćby zaraz!

– Pojechałabyś ze mną? – zapytałam.

– No jasne. A kasa? Masz coś, czy...

– Coś tam mam. Tato założył mi konto i przelał na nie parę tysięcy.

Są też pieniądze za nasze mieszkanie, które już parę lat temu zwrócił rodzicom Kuba. Spłacił mnie, a mama tego nie tknęła. Ale nie chcę ich ruszać, będą jak znalazł, kiedy zabiorę się za szukania nowego dachu nad głową.

– Tak czy inaczej, za parę tysięcy kupisz całkiem sporo kiecek.

– Nie żartuj nawet. Przecież wiesz, że na razie nie mam pracy...

Już i tak gryzą mnie wyrzuty sumienia, że żyję na koszt rodziców...

– A samochód? Rodzice sprzedali twoje punto, z tego też coś powinno być – przypomniała sobie Magda.

– Tamta kasa rozeszła się dawno temu, poszła na poszukiwania. Ostatnio rozmawiałam o tym z mamą. Zresztą nie tylko to wydali, szukając mnie. Po jakimś czasie mama zwyczajnie zaczęła błagać o pieniądze. W kościele, wśród rodziny i znajomych, gdzie się dało.

– To chyba normalne. Zrobiłabyś dla nas to samo.

– Pewnie tak – przyznałam, przez chwilę wyobrażając sobie, co by było, gdyby to Magda zniknęła zamiast mnie.

Jak bym sobie z tym radziła? Czy byłabym tak samo zdesperowana jak ona? Poświęciłabym tyle samo, ile ona poświęciła dla mnie? Tak, chyba tak. Na pewno. Przecież w takiej sytuacji człowiek daje z siebie wszystko.

– Właź! – ponaglający głos Magdy wyrwał mnie z zamyślenia, siostra usiłowała właśnie nakłonić kręcącego się po uliczce Karmela, żeby wszedł do ogrodu. – Chodź już, zimno jest! Głupie psisko!

– Tęsknię za Mustafą. Był z nami tyle lat – powiedziałam.

– Ciesz się, że nie byłeś świadkiem całego tego koszmaru z jego skretem żołądka. W dodatku na dzień przed twoimi urodzinami... Byliśmy zdruzgotani. Mama, ja, nawet tato płakał. Siedział w kuchni, a po policzkach ciekły mu łzy. Do dziś mam ten obraz przed oczami – powiedziała cicho Magda.

Pod galerię dotarliśmy niecałą godzinę później.

– Wow, całkiem nieźle to wygląda. Tamtej zimy, kiedy przepadłam, w tym miejscu była tylko olbrzymia dziura w ziemi – powiedziałam, przyglądając się olbrzymiemu przeszkłonemu centrum handlowemu na obrzeżach miasteczka.

– Trochę się zmieniło, fakt – Magda z leciutko wysuniętym koniuszkiem języka zaparkowała pomiędzy brudnym oplem a nowiutkim bmw. – No, już po stresie. Sasza pewnie by mnie zabił, gdybym zarysowała mu samochód.

– Kiedy zrobiłaś prawo jazdy? – zapytałam.

– Niedawno, niecały rok temu – powiedziała, rozpinając pas.

Wysiadając, zauważyłam Madejskich, sąsiadów rodziców mieszkających w drugiej połówce naszego bliźniaka. Ona taszczyła dwie wypchane reklamówki, on niósł duże tekturowe pudło ze sprzętem AGD. Nie zauważyli nas, co było mi bardzo na rękę. Byłam zmęczona wymuszonymi ugrzecznonymi konwersacjami ze spotykanymi przypadkiem znajomymi, w które musiałam się wdawać.

– Mama już ci wspomniała, że ich syn skończył prawo i prowadzi własną kancelarię? – zapytała Magda, kiedy szliśmy w stronę wejścia.

– Maciek? – zdziwiłam się, przypominając sobie wychudzonego szczyla, który przez długie lata budził nas wczesnym rankiem, hałasując kosiarką tuż przy naszych oknach.

– Tak. Jest karnistą, ponoć całkiem niezłym. Ostatnio kupił sobie szpanerskie terenowe audi. Mama dosłownie rozpływa się z zachwyty za każdym razem, kiedy o nim mówi. Maciuś taki zdolny, taki cudowny, ojejku... Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Nie mogłaś sobie znaleźć takiego obrotnego chłopaka?”

– Nie lubi Saszy? – zdziwiłam się. – Wydawało mi się, że się dogadują...

– Nie lubi, to za dużo powiedziane. Raczej nie do końca jest jego fanką. Uważa, że za mało zarabia, czepia się go o wszystko.

– Dziwne. Po tym, co przeżyła nasza rodzina, powinna chyba wiedzieć, że są w życiu większe problemy niż marne zarobki – powiedziałam.

– A, daj spokój, nie chce mi się nawet o tym gadać. Wiesz, jaka czasem jest mama. W dodatku ciotka Renata zawsze miesza jej w głowie. A nikt nie kocha grubej kasy tak jak ona – roześmiała się Magda.

Na wzmiankę o siostrze matki poczułam lekki wyrzut sumienia. Odkąd wróciłam, dwa razy rozmawiałyśmy przez telefon, ale jakoś nie mogłam się zmobilizować, żeby wybrać się do niej w odwiedzinach.

– A tak à propos cioteczki... Wiesz, że jest teraz z jakimś Chilijczykiem? – powiedziała Magda konspiracyjnym szeptem, jakby bała się, że ciotka wyskoczy gdzieś zza naszych pleców.

– Co?

– Tak. Spotkała go w Wiedniu i ściągnęła do Polski. Ponoć gość chce otworzyć restaurację w centrum. Ciotka aż pieje z zachwyty, zaczęła nawet mówić o ślubie.

– O ślubie? Ona? Świat chyba rzeczywiście stanął na głowie. Przecież zawsze się zarzekała, że trzeci raz za mąż nie wyjdzie...

– Owszem. Co najlepsze, koleś jest ponoć jedenaście lat od niej młodszy – dodała Magda, przepuszczając mnie w rozsuwanych drzwiach.

– Wow. Muszę ją kiedyś zapytać, jak ona to robi. Od jednego

narzeczonego do drugiego. Z Wiednia do Rzymu, z Rzymu do Budapesztu...

– No, faktycznie. Też zawsze byłam ciekawa, gdzie jej się udaje wynajdywać wszystkich tych facetów – parsknęła śmiechem Magda.

– Czekaaj, chodźmy w prawo. Zaraz za zakrętem jest świetny butik – dodała.

– Zdajesz sobie sprawę, że ostatnio ubieram się w przybytkach typu Donna XXL?

– Dlatego dziś nie kupujmy dużo. Cały czas chudniesz, nie ma sensu wywalać kasy na ciuchy, które niedługo wciśniesz w głąb szafy.

– Oby, oby – powiedziałam.

Byłyśmy tuż przy wejściu do jednego z butików, kiedy Magda pociągnęła mnie za rękaw.

– Patrz, czy to przypadkiem nie ten twój doktorek? Wygląda dokładnie tak, jak na zdjęciach promujących jego gówniany bestseller – szepnęła.

Spojrzałam w stronę urządzonej w rustykalnym stylu restauracji i od razu zauważyłam Szymona. Siedział bokiem do mnie, całkowicie pochłonięty rozmową z żoną. Ona, bez mocnego studyjnego makijażu, ze zwyczajnie spiętymi plastikową klamrą włosami, nie wyglądała już na diwę, ale ten jej nowy, skromniejszy styl wyraźnie odejmował jej lat.

– To jego żona? – zapytała Magda.

– Tak. Swoją drogą, jak na kogoś, kto jest ponoć bardzo nieszczęśliwy w małżeństwie, wygląda całkiem nieźle – rzuciłam kąśliwie.

– Chodźmy stąd – siostra pociągnęła mnie do wejścia, dodając, żebym dupka po prostu olała.

– Nie zamierzam urządzać mu dramatycznej sceny zazdrości, jeśli tego się obawiasz – mruknęłam.

– Mówię tylko, żebyśmy nie traciły czasu. *It's shopping time, baby!* O ja pierniczę, zauważył cię! Gapi się! – Magda parsknęła śmiechem i dosłownie wciągnęła mnie do sklepu.

– Srał go pies – syknęłam, wchodząc za nią do środka.

Mierzyłam sukienkę, kiedy siostra włożyła głowę za ciężką aksamitną kotarę odgradzającą przymierzalnię od reszty sklepu.



– Zapłacili rachunek i wyszli. Ona weszła do obuwniczego, on poszedł do apteki – szepnęła.

– Magda, nie chcę o nim mówić! – syknęłam, z trudem wbijając się w zbyt ciasną pod pachami ciemnogrnatową sukienkę. – Za mała...

– Przyniosę ci inną.

– Podaj mi tę czarną w beżowe grochy, powinna ładnie leżeć – rzuciłam w ślad za nią, ale już mnie nie słyszała.

Ściągając przyciasną kieckę, pomyślałam, że to takie nierealne. Nie tak dawno tkwiłam w domu na odludziu, więziona przez szaleńca. Teraz beztrąsko spaceruję z młodszą siostrą po centrum handlowym, jakby cały ten koszmar nigdy nie miał miejsca. Wiedziałam jednak, że tylko pozornie udaje mi się funkcjonować tak, jakby nic się nie stało. Trauma, którą przeżyłam, z pewnością gdzieś tam we mnie tkwi, czekając na sposobność, żeby się ujawnić. Jest jak woda pod cieniutką taflą lodu – wystarczy małe pęknięcie i wydobędzie się na zewnątrz, pomyślałam.

Wieczorem, korzystając z nieobecności rodziców, którzy poszli do teatru, wymknęłam się z domu i ruszyłam w stronę przystanku. Tak, wymknęłam się to dobre słowo. Minął ponad miesiąc od mojego powrotu, ale mama nadal dosłownie się nade mną trzęsła. W autobusie zdałam sobie sprawę, że ktoś nachalnie mi się przygląda. Zmrużyłam oczy, rozpoznając jedną z sąsiadek, mieszkającą ulicę dalej emerytowaną nauczycielkę angielskiego. Postarzała się, przygarbiła, ale to z całą pewnością była Borzęcka. Podeszła do mnie, kiedy kasowałam bilet.

– Moniczka? – zapytała, zdrabniając moje imię, jakby zwracała się do dwunastolatki.

– Dobry wieczór, pani Danuto – powiedziałam niezbyt entuzjastycznie, usiłując zniechęcić ją do dalszej wymiany zdań, ale ludzi jej pokroju niełatwo spławić.

– Moniczko, jak ja się za ciebie modliłam! Taka tragedia, Matko Przenajświętsza! – zaczęła swoje lamenty, przyciągając uwagę siedzących po drugiej stronie autobusu młodych ludzi. – Żeby tak zniknąć... Twoi rodzice dosłownie odchodzili od zmysłów, przecież oszaleć można w takiej sytuacji!

Przygryzłam wargi, żeby nie powiedzieć czegoś, czego szybko bym pożałowała. Jednak wysoki, piskliwy głos tej plotkary i nasze

prywatne sprawy, które wywlokła wśród obcych ludzi, mocno podniosły mi ciśnienie.

– Miłego wieczoru, pani Borzęcka – powiedziałam więc, usiłując ją wyminąć, ale złapała mnie za rękaw.

– Czekał, dziecko, coś taka nerwowa? Gdzieś ty była przez tyle lat, Moniczko? Przecież nie można tak nagle zniknąć, jak to możliwe, że...

– Wybrałam się z ekspedycją na Marsa. Hodowaliśmy tam ziemniaki w trudnych warunkach – powiedziałam, nawiązując do obejrzanego kilka dni wcześniej *Marsjanina*.

Młodzi zarechotali, jeden z chłopaków, w geście uznania, podniósł w górę obleczony kolorową rękawiczką kciuk.

– Co ty mówisz, Moniczko? – wykrztusiła kobieta, dopiero po dłuższej chwili zdając sobie sprawę, że brzydko z niej zakpiłam.

– Miłego wieczoru, pani Borzęcka – powtórzyłam i nie czekając na jej reakcję, przeszłam na tył pojazdu.

Rzuciła w ślad za mną coś, czego nie zrozumiałam. Czułam, że była śmiertelnie obrażona, ale nie zamierzałam się nią przejmować. Dawno temu zrozumiałam, że nie da się uszczęśliwić wszystkich, nie ma nawet sensu próbować.

Na osiedle, na którym osiem lat wcześniej mieszkałam z Kubą, dotarłam kilka minut później. Szłam w stronę „naszego” bloku, kiedy zaczęło prószyć. Dość upiorne *déjà vu* – pomyślałam i przypomniałam sobie tamten ostatni dzień roku, w którym przepadłam... Wyszadzana kasztanowcami szosa na Warszawę była przecież tuż obok, zaśnieżona, ciemna, niemal identyczna jak wtedy... Przyśpieszyłam kroku. Osiedle wyglądało podobnie, chociaż elewacje budynków nie były już tak zadbane jak kiedyś. Na pomalowanych pastelowymi odcieniami farb ścianach pojawiły się zacieki, chodniki były miejscami popękane, krzywe. Podeszłam pod blok, w którym mieszkaliśmy, i zadarłam głowę. W naszych oknach świeciło się światło, chociaż przecież od dawna to nie były nasze okna...

Przez dłuższą chwilę stałam przed klatką schodową, a płatki śniegu wirowały wokół mojej twarzy. W końcu pchnęłam oszklone drzwi i weszłam do środka. Korytarz wyglądał podobnie jak kiedyś, chociaż chyba musiał być przemalowywany. Skrzynki na listy, niegdyś szare,

teraz były pistacjowe. Winda sprawiała wrażenie bardziej zniszczonej: zabazgrane różnokolorowymi graffiti ściany jej kabiny przywodziły na myśl zaniedbane biedniejsze osiedla na peryferiach, na których lata temu mieszkała część moich licealnych kolegów.

Wjechałam na górę i przystanęłam przed „naszymi” drzwiami. *K. A. Domaniewscy* – elegancka złota tabliczka na drzwiach nie pozostawiała cienia wątpliwości. To już nigdy nie będzie mój dom...

Ktoś z przeciwka uchylił drzwi. Odwróciłam się, zaskoczona, z nadzieją, że zobaczę mieszkającą tu niegdyś panią Elżbietę, ale kobieta, która stała w progu, nie była moją dawną sąsiadką.

– Szuka pani kogoś?! – zapytała niemiłym, ostrym tonem.

– Nie. Po prostu kiedyś tu mieszkałam – powiedziałam cicho.

Spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– I co? Przyszła pani powspominać? Śniegu tylko naniosiła na klatkę, cholera! – rzuciła, zanim zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Ostatni raz spojrzałam na wejście do mieszkania, które należało teraz do jakichś Domaniewskich, i ruszyłam w stronę schodów. To nic, nie mogę się teraz rozkleić. Nie powinnam w ogóle tutaj przyjeżdżać – powiedziałam sobie, wychodząc na zadymkę. Szłam przez parking, kiedy zauważyłam wysiadającą z czarnego opla Anetę, sąsiadkę, która lata temu mieszkała nad nami. Nic się nie zmieniła, pomyślałam, przyglądając się jej. Niezaprzeczalnie była jedną z tych szczęściar, na których nawet puchowa kurtka leży idealnie. Spojrzała w moją stronę, ale mnie nie rozpoznała. Minęła mnie z obojętną miną, a kwiatowy zapach jej perfum ciągnął się za nią aż do klatki. „Kiedy zaginęłaś, przynosiła Kubie zapiekanki, zaglądała do niego non stop, wyraźnie zagięła na niego parol” – przypominałam sobie słowa Magdy, która kilka dni wcześniej wspomniała mi o jej wizytach w mieszkaniu mojego pogrążonego w rozpaczę męża. Cóż, nie do końca jej wyszło to, co sobie zaplanowała – uśmiechnęłam się pod nosem, ruszając w stronę przystanku. Mijając stację paliw, na której tamtego feralnego dnia kupiłam kupon Lotto i czekoladę, zatrzymałam się. Droga na Warszawę była tuż-tuż, ale nie znalazłam w sobie na tyle odwagi, żeby wybrać się na krótki spacer wzdłuż szosy. Po co zresztą miałabym to robić? Żeby kusić лихо?



Rozkładałam w kuchni zakupy, kiedy na dole zjawiała się mama. Pomimo że dochodziło południe, nadal była w szlafroku i wyglądała marnie. Błada, z podkrążonymi oczami i nieułożonymi włosami, sprawiała wrażenie skrajnie zmęczonej. Wiedziałam, że znowu źle spała, niepokoił mnie też jej kaszel. Dzień wcześniej prosiłam, żeby poszła do lekarza, ale tylko machnęła ręką.

– Dobrze, że już jesteś, Moniczko, bo akurat musisz coś załatwić – powiedziała, siadając za kuchennym stołem. – No zobacz, twój ojciec znowu rozlał kawę! Z jego wysokim ciśnieniem w ogóle nie powinien jej pić, a skoro już musi, niech przynajmniej nie brudzi – dodała, krzywiąc się na widok zdobiącej kraciasty obrus plamy.

– Wypiorę, nie przejmuj się. Powiedz lepiej, co muszę załatwić? – zapytałam, wyjmując z siatki ostatnie sprawunki.

Mama uśmiechnęła się tajemniczo i przesyłała cukier do pustej porcelanowej cukiernicy po babci.

– Wygląda na to, że załatwiłam ci pracę – powiedziała.

– Żartujesz? Gdzie? – zdziwiłam się.

– Przebierz się, córciu. Włóż tę nową sukienkę w grochy, rozpuść włosy. Chyba jednak wolałam cię w wersji blond. Może jednak się przefarbujesz? Ten rudy... Sama nie wiem... Chyba cię postarza.

– Postarzyło mnie osiem ostatnich lat, mamó – mruknęłam.

– Mniejsza z tym. No już, pędź na górę! Włosy, sukienka, szminka! On lada moment się tu zjawi. Idź, wyglądasz koszmarnie!

– Dzięki – burknęłam, ale posłusznie pognałam na piętro.

Nowa sukienka wydawała mi się nieco zbyt elegancka na zwykłą pogawędkę w domowym zaciszu, ale nie chciałam denerwować matki, która pod pewnymi względami bywała niemal despotyczna. Wbiłam się więc w kieckę, rozpuściłam włosy i przeciągnęłam wargi sprezentowaną mi przez Magdę ciemnoróżową szminką.

Szukałam w komodzie beżowych rajstop, kiedy zadźwięczał dzwonek.

– Otworzę! – krzyknęła z dołu mama.

Gdzie te cholerne rajstopy i z kim ona się zgadała w sprawie tej pracy? – zastanawiałam się, coraz bardziej gorączkowo przeczesując szuflady. „On lada chwila się tu zjawi” – przypomniałam sobie słowa matki. Chryste, mam nadzieję, że nie będzie mnie znowu swatać – skrzywiłam się. Przecież nie dalej jak parę dni temu zaczęła gadkę o mieszkającym w sąsiedztwie, czterdziestokilkuletnim wdowcu, któremu jej zdaniem z pewnością bym się spodobała. Ledwo otrząsnęłam się z koszmaru ostatnich lat, a ona wysyła mnie na randki w ciemno! Jeszcze trochę, a zostanę polską wersją Bridget Jones, pomyślałam, zagryzając wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Są! W końcu udało mi się znaleźć rajstopy, tymczasem z parteru doszło mnie szczekanie Karmela i podekscytowany głos matki.

Byłam na półpiętrze, kiedy usłyszałam obcy męski głos.

– Oczywiście, nie ma problemu, pani Bożeno – zapewniał moją matkę nasz gość, nawiązując pewnie do czegoś, czego wcześniej nie usłyszałam.

Siedzieli w salonie. On ciemnowłosy, z kilkudniowym zarostem na twarzy, w spranych džinsach i szarej bluzie w granatowe pasy. Mama rozanielona, najwyraźniej wyjątkowo zadowolona z jego obecności. Zdziwiło mnie, że się nie przebrała. Dawniej niemal obsesyjnie dbała o wygląd, teraz przyjmowała gości w szlafroku. Starzeje się? Jest chora? Złamała ją moja historia? – zastanawiałam się.

– Moniczko, chodź, siadaj! To jest właśnie doktor Leszek – na mój widok mama zerwała się na równe nogi i dodała, że zaparzy kawę.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Uśmiechnął się i skinął głową.

– Leszek Jaworski. Mama pewnie już ci przekazała, że miałbym dla ciebie pracę – zaczął.

Spodobało mi się, że zwrócił się do mnie na „ty”. Poczułam się młodziej, bardziej lekko.

– Tak, coś mi właśnie wspomniała – przyznałam.

– To nic wielkiego, obawiam się, ale na początek powinnaś być zadowolona. Słyszałem, że lubisz zwierzęta.

– Bardzo, zwłaszcza psy.

– No, to nie widzę problemu. Prowadzę klinikę weterynaryjną,

a moja recepcjonistka niedługo odchodzi. Jest w siódmym miesiącu ciąży i za kilka tygodni będę potrzebował kogoś na jej miejsce. Pracowałabyś na dwie zmiany. Od ósmej do piętnastej i od piętnastej do dwudziestej drugiej. Jeśli ci to odpowiada, możemy pogadać o szczegółach – powiedział.

– Czyli chodzi o tymczasową posadę, tak?

– Niezupełnie. Z tego, co wiem, Iza prędko nie wróci. Naczytała się jakichś podręczników dla przyszłych rodziców i doszła do wniosku, że pierwsze trzy lata chce spędzić w domu, z dzieckiem – uśmiechnął się nasz gość. – Szukam kogoś na stałe, na pełen etat. Praca jest prosta, nie potrzebujesz doświadczenia. Odbierasz telefony i umawiasz pacjentów, czasem pomożesz mi w gabinecie podczas wizyty. Wszystko ci wytłumaczę, poradzisz sobie. To jak? Zainteresowana? – zapytał.

– Tak, myślę, że tak... – zaczęłam, ale nie dane mi było skończyć, bo do salonu wróciła mama z talerzem ciastek w dłoni.

– Doktorze, jakie to szczęście, że wczoraj pana zagadnęłam. Przecież teraz niełatwo o etat, zwłaszcza u nas, w miasteczku. Moniczka przez kilka lat pracowała w bibliotece uniwersyteckiej, ale później... Zresztą wie pan, co zaszło, przecież mieszka pan w okolicy – mama postawiła na ławie talerz z ciastkami i dodała, że na pewno świetnie sobie poradzę.

– Orzechowe? – zainteresował się Jaworski, nie podejmując tematu mojego zaginięcia.

– Sama piekłam! – pochwaliła się mama, siadając naprzeciwko nas.

– Pyszne – doktor zjadł dwa ciastka i dodał, że właściwie możemy jeszcze dziś podskoczyć do kliniki. – Pokażę ci, co i jak, rozejrzysz się. Za jakąś godzinę i tak tam jadę, jeśli nie masz akurat innych planów, mogłabyś się ze mną zabrać – zaproponował.

– Jasne, bardzo chętnie – zgodziłam się.

– Dobrze, to umówmy się tak, że za jakąś godzinkę po ciebie podjadę. I może od razu wymieńmy się numerami, okay? – mój przyszły pracodawca wyjął z kieszeni komórkę, więc podyktowałam mu namiary na siebie.

Kiedy wyszedł, mama dosłownie promieniała.

– Przemiliły chłopak, prawda? W dodatku niemal w twoim wieku,

na pewno świetnie się dogadacie! Kojarzysz go z okolicy, córciu? Mieszka w tym domu z cegły, zaraz za apteką. W tym z przeszkloną werandą i...

– Mamo, wiem, gdzie on mieszka. Chodziliśmy razem do podstawówki, był dwie klasy niżej. Pamiętam, że wychowywali go dziadkowie, bo jego mama zmarła na serce, a ojca nigdy nie poznał.

– Tak, nie miał jeszcze dwunastu lat, kiedy odeszła. Ale starsi państwo Wojtczakowie fantastycznie się spisali! Chłopak wyszedł na ludzi!

– Oni jeszcze żyją? – zapytałam, zdając sobie sprawę, jak wiele mi umknęło przez te ostatnie lata.

– Nie, skąd. Pan Witold dostał udaru jakiś rok po twoim zaginięciu, pani Nina zmarła kilka miesięcy później. Leszek to taki dobry chłopak, a sam jak palec na świecie ... Jeszcze niedawno miał jakąś dziewczynę, ale chyba zerwali, bo...

– Mamo, nie zaczynaj! – ofuknęłam ją.

– Przecież nic złego nie mówię. A ty od razu tak się najeżasz...

– Bo wiesz, wciskasz mi jakichś amantów! Zawsze uwielbiałaś nas swatać. I mnie, i Magdę! Tyle że ja nadal ważę prawie tonę, a łożenie na randki jest ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę!  
– wybuchnęłam.

– I po co te nerwy? Załatwiłam ci pracę. O swataniu nic przecież nie wspominałam. Zresztą wy nigdy mnie nie słuchaliście. Ani ty, ani tym bardziej twoja siostra. Czasem tak się zastanawiam, która z was jest bardziej krnąbrna. Ty czy Magda? – powiedziała mama lekko urażonym głosem.

– Obie. Pewnie z racji tego, że zawsze byłaś skrajnie nadopiekuńcza. Ale dziękuję, jestem naprawdę wdzięczna

– uśmiechnęłam się blado, przypominając sobie, ile razy musiałam te słowa powtarzać Józefowi.

– Zjedz ciastko, podmaluj się trochę. Zawsze tak o siebie dbałaś, a teraz...

– A teraz co, mamo?

– Nic, mówię tylko... Chodź do łazienki, zrobię ci makijaż. Mam nową kredkę do oczu, będzie ci ładnie w srebrnym odcieniu.



– Mamo, daj spokój. Nie mam ochoty...  
– Chodź, Moniczko, nie kłóć się ze mną! Jesteś tak samo uparta jak twój ojciec.

– Który? – wyrwało mi się.

Zbladła.

– Przepraszam. Nie powinnam była tego mówić – szepnęłam.

Matka przez chwilę milczała. Wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozpłakać, w końcu usiadła na sofie i zapatrzyła się w okno.

– Magda ci powiedziała? – zapytała cicho.

– Tak – przyznałam.

– Czułam, że ci o tym powie. Nigdy nie potrafiła zatrzymać takich rzeczy tylko dla siebie. Zawsze chciała być wobec ciebie lojalna.

– Idealna młodsza siostra – uśmiechnęłam się.

– Wiesz, ile razy żałowałam tego romansu? Zawsze, kiedy Mirek brał cię na ręce, zastanawiałam się, czy kiedyś domyśli się całej prawdy. Czy zauważy, że nie jesteś do niego podobna, czy się dowie? Ale on zawsze cię kochał, zawsze! Byłaś jego oczkiem w głowie, najukochańszą córeczką.

– Nie powiedziałaś mu? Przez te wszystkie lata żyłaś z nim pod jednym dachem i nie potrafiłaś się do tego przyznać?

– Jak miałabym mu to powiedzieć? Złamałabym mu serce

– powiedziała mama, połykając łzy.

– Tak bardzo się przejmowałaś jego uczuciami? A co z panem Edkiem? Czytałam listy od niego, mamo! Znalazłam je u babci na strychu i przeczytałam niemal wszystkie! Powinnaś była się ich pozbyć albo lepiej je ukryć!

– Z Edem nic nie było. Parę pocałunków, nic więcej...

– Parę pocałunków?! Czytałam, co do ciebie pisał! Jego słowa aż kipiały od erotyzmu! Nie rób ze mnie idiotki, dobrze?

– Fantazjowaliśmy, nic więcej. Robiliśmy to, co teraz robi się w sieci na tych waszych najprzeróżniejszych czatach, portalach randkowych i Bóg wie, gdzie jeszcze. Ed miał lekkie pióro, wymyślał dla mnie krótkie, pełne napięcia historyjki. „Pamiętasz tamten sierpień, kiedy kochaliśmy się nad rzeką, wśród łopianów?” – zaczynał i dawał się ponieść wyobraźni. Pisaliśmy o pieprzonych rzeczach, które

chcielibyśmy zrobić, ale nigdy nic poważniejszego między nami nie zaszło. Nic, poza tymi kilkoma pocałunkami. Ed był wtedy w dość skomplikowanym związku ze swoją przełożoną, ja byłam z twoim ojcem, miałam ciebie i Madzię... Tak, byłam w nim zadurzona, ale nie poszłam z nim do łóżka. A później zginął w tym koszmarnym wypadku, a ja, dosłownie umierając z bólu, musiałam udawać przed waszym ojcem, że niewiele mnie to obeszło. Nie mogłam się nawet wypłakać, żeby Mirek się czegoś nie domyślił... Po jego pogrzebie wszystkie listy od niego zawiozłam do matki i schowałam na strychu. Czasem, odwiedzając ją, czytałam je od nowa.

– I co? Przez te wszystkie lata żyłaś z tatą, ale nie kochałaś go?

– Nigdy nie powiedziałam, że nie kochałam twojego ojca! Po prostu popełniłam kilka błędów, to wszystko. Wyszłam za niego, nie mając jeszcze dwudziestu lat. Przyznasz, że to dość młody wiek jak na podejmowanie decyzji na całe życie. Idąc do ołtarza, nawet do końca nie wiedziałam, co czuję do twojego ojca. On jakoś dziwnie szybko mi się oświadczył, ja założyłam na palec pierścionek i było po wszystkim. To były inne czasy, córciu. Nie planowało się wesela przez rok czy dwa, wszystko działo się szybko. Tato kupił kilka skrzynek wódki, mama uszyła mi sukienkę, dogadaliśmy termin z księdzem i było po sprawie... Wiem, że nie byłam idealną żoną i matką, ale starałam się, jak mogłam. Dokładnie tak, jak wszystkie się staramy. Ty nigdy nie popełniłaś żadnego błędu? Nigdy nie myślałaś o tym, żeby na chwilę zapomnieć się z innym? Wychodzimy za mąż i wszystko jest różowe, polukrowane przez tę głupią wyidealizowaną miłość. A później przychodzi proza życia i zbierając z podłogi brudne skarpety, zdajemy sobie sprawę, że żyjemy dla wszystkich innych, tylko nie dla siebie... Chodź, pomaluję cię. Lepiej się poczujesz, pewniej – powiedziała.

W łazience przytuliłam się do matki i niczym spragnione czułości dziecko długo trzymałam ją w ramionach.

– Przepraszam, mamó. Nie chciałam tak ostro na ciebie naskoczyć.

– Wiem, Moniczko. Chociaż masz prawo mieć żal. To nie od Magdalenki powinnaś się dowiedzieć prawdy o swoim ojcu... Siadaj i nie ruszaj się. Pięknie, wiedziałam, że to twój kolor! – mama podkreśliła mi oczy srebrnoszarą kredką i z zachwytem zapatrzyła się

w swoje dzieło. – Cudnie, zawsze powinnaś tak się malować! – dodała, chwilę później zanosząc się gwałtownym kaszlem.

– Powinnaś iść do lekarza, mamó – powiedziałam.

– Po co? Antybiotyków nie powinno się nadużywać, zresztą to tylko zaziębienie – wzruszyła ramionami.

Nagle przeszło mi przez myśl, że to nie żaden zwyczajny kaszel. Że może mama ma raka płuc albo od dawna ukrywa przede mną coś strasznego, nieodwracalnego.

– Martwię się o ciebie, nie rozumiesz? – powiedziałam łamiącym się głosem. – Odkąd wróciłam, wszystko kręci się wokół mnie, a nie tak to powinno wyglądać. Zadbaj o siebie, wyśpij się w końcu i przestań się zadrećcać. Wyjedźcie z tatą na długi weekend, odpocznijcie.

– Dajże spokój, Moniczko – machnęła ręką. – Źle sypiam, to wszystko. A z kaszlu nie rób dramatu. Zawsze zimą choruję, to żadna nowość – powiedziała lekkim tonem i poczułam się nieco spokojniejsza.

Chwilę później zdążyłam jeszcze wypić kawę, kiedy przed dom rodziców zajechał Jaworski.

– Wybacz, jestem trochę wcześniej. To nie problem, mam nadzieję? – zapytał, kiedy odebrałam komórkę.

– Żaden – zapewniłam go, w pośpiechu wkładając płaszcz.

Czekał przy samochodzie, pisał esemesa. Jeździł starą lekko wgniecioną z boku terenówką i od razu pomyślałam o Kubie, który za naszych małżeńskich czasów był właścicielem zdezelowanego opla frontery.

– Wskakuj! Tylko to wyśle i jedziemy – Leszek szarmancko otworzył mi drzwiczki od strony pasażera.

Mama pewnie stoi w oknie i aż pieje z zachwytu, pomyślałam rozbawiona.

Pod klinikę dotarliśmy w niecałe pięć minut.

– Jak widzisz, będziesz mieć blisko do pracy – powiedział, kiedy wysiadaliśmy.

W środku było schludnie, przestronnie i kolorowo. Pomalowane na pomarańczowo ściany zdobiły zdjęcia ujętych w ruchu zwierzków; turkusowe krzesła ładnie współgrały z granatowym kolorem na wpół opuszczonych rolet.

– Piękne fotki – powiedziałam, przyglądając się złapanemu w biegu spanielowi, który z patykiem w zębach biegł przez głęboką kałużę, rozchlapując dookoła wodę.

– To Bella, dwuletnia psica naszego doktora – uśmiechnęła się do mnie ładna brunetka w widocznej ciąży.

– No to poznajcie się, dziewczyny. To właśnie Monika cię zastąpi – zwrócił się do recepcjonistki Leszek. – W kwestii dogadania reszty szczegółów, odezwę się do ciebie na dniach. Kokosów u mnie nie zarobisz, ale myślę, że płacę przyzwoicie. Rozejrzyj się, pogadaj z Izą i jesteś wolna – dodał, zanim zostawił nas same.

– Super, bardzo ci dziękuję – powiedziałam.

– Podziękuj swojej mamie, to dzięki niej w ogóle wiem, że akurat szukasz pracy. Zagadnęła mnie wczoraj, kiedy odśnieżałam chodnik przed domem, i od słowa do słowa wyciągnęła ze mnie, że niebawem będę się musiał rozejrzeć za nową recepcjonistką. Dobra, to ja lecę! Do miłego – pożegnał się i zniknął w swoim gabinecie.

Iza pokazała mi klinikę i zapewniła, że będę się w tej pracy naprawdę świetnie czuła.

– Oprócz Leszka pracują tu jeszcze dwie młode lekarki i Baśka, nasza techniczka. W każdy piątek po pracy chodzimy na meksykańskie jedzenie do knajpy za rogiem, jest genialne. Będzie mi tego brakowało – uśmiechnęła się do mnie Iza, uchylając kolejne drzwi. – Zabiegowy, tam jest składzik na leki, dalej toalety. Szybko się połapiesz co i jak. Muszę wracać do pracy, ale zanim odejdę, bardziej szczegółowo cię we wszystko wtajemniczę – obiecała.

Wracając do domu, postanowiłam iść nieco okrężną drogą i skręciłam w ulicę Ogrodową. Lata temu, mniej więcej w środku ulicy mieściła się kawiarnia Niebieska, w której spędzaliśmy z Kubą długie godziny naszych pierwszych randek. Szłam wolno, delektując się powiewem rześkiego powietrza na policzkach, zimowym słońcem, które na moment wyszło zza ciężkich śniegowych chmur, i nieplanowaną przechadzką. Mijając sklepowe witryny, nie mogłam się nadziwić, jak bardzo wszystko się zmieniło. Zamiast pizzerii U Vito, do której chadzałam z licealną paczką, była teraz ekologiczna pralnia. W miejscu niewielkiego studyjnego kina znajdowała się księgarnia, a tam, gdzie

niegdyś mieścił się niemal kultowy pub Dwie Zielone Kaczki, była apteka. Przyśpieszyłam kroku, zastanawiając się, czy kawiarnia Niebieska podzieliła smutny los innych upadłych lokali, ale ku mojej uciechu już z daleka zauważyłam charakterystyczny ciemnoniebieski neon zdobiący jej wejście.

W środku było pustawo, ale nadal klimatycznie. Wygodne fotele z ciemnoniebieskimi obiciami, okrągłe stoliki, pod którymi, sącąc kawę, dotykaliśmy się z Kubą kolanami, olbrzymie lustro za barem. Ściągałam płaszcz, kiedy podeszła do mnie kelnerka. Była mniej więcej w moim wieku i wydała mi się znajoma. Przypatrywałam jej się, biorąc od niej kartę i wtedy mnie poznała.

– Monika? – zapytała, nadal niepewna, czy bierze mnie za właściwą osobę. – Nie poznajesz? Przez jakiś czas razem siedziałyśmy. W podstawówce – uśmiechnęła się i wtedy mnie olśniło.

– Dorota! Dziewczyno, nie miałam pojęcia, że tu pracujesz!

– Od półtora roku. Wiesz, jak jest. To małe miasteczko, o pracę ciężko, więc wzięłam, co się trafiło. W sumie źle nie jest. Szef jest sympatyczny, mamy sporą zniżkę na ciasta. Da się żyć. Ale mów, co u ciebie! Czekał, tylko poproszę Alę, żeby mnie zastąpiła – powiedziała, szybkim krokiem ruszając w stronę barowego kontuaru.

Wróciła chwilę później z talerzykiem pełnym kruchych ciastek.

– Na koszt firmy – mrugnęła do mnie, dodając, że koleżanka zaraz poda kawę.

– Dalej jesteś z Irkiem? – zapytałam, przypominając sobie huczne weselisko, które jej rodzice wyprawili zaraz po naszej maturze.

– Żartujesz? Irek to już prehistoria – roześmiała się, odgarniając z twarzy kosmyk jasnokasztanowych włosów. – A ty? Gdzie pracujesz? Wyszłaś za męża? Co w ogóle u ciebie? Wieki cię nie widziałam – dodała i dopiero wtedy do mnie dotarło, że jakimś cudem ona o niczym nie wie.

Nie ma pojęcia o moim zaginięciu, nie wie o całym tym koszmarze. Dla niej jestem spotkaną przypadkiem w kawiarni koleżanką z podstawówki. Kimś, z kim kiedyś grało się w gumę, jadło kupione w szkolnym sklepiku cukierki i gonilo za piłką.

– Co u mnie... Trochę mnie tu nie było... – zaczęłam.

– Mieszkałaś za granicą? Chryste, niemal wszystkich gdzieś nosi,

tylko ja tu utknęłam – westchnęła Dorota, nachylając się w moją stronę.  
– No mów, na co czekasz?

– Przez kilka lat byłam w Nowej Zelandii i Australii – usłyszałam swój głos i zanim w ogóle dotarło do mnie, co najlepszego wygaduję, paplałam już o Australijczyku, którego poznałam w Szwecji, i naszym prawie ośmioletnim związku. O niewielkim białym domku na przedmieściach Wellington, festiwalu muzyki folk, na którym lubiliśmy bywać każdego roku, lasach deszczowych półwyspu Coromandel, naleśnikowych skałach, latarni w Cape Reinga i wszystkim, co udało mi się zapamiętać z obejrzanego kiedyś z Józefem dokumentu o tym pięknym kraju.

Dorota siedziała zasłuchana, z wyrazem skrajnego rozmarzenia na twarzy, i od razu poczułam się jak ostatnia idiotka. Co ja najlepszego wygaduję? I to komu? Kobiecie, która pewnie nosa nie wyściubiła poza nasze województwo. Przecież wiedziałam, że pochodziła z biednej rodziny i nigdy nie było jej łatwo... Z drugiej jednak strony, przypominając sobie widziane w telewizji malownicze wybrzeża Nowej Zelandii, fantazując o związku z przystojnym australijskim surferem, przez chwilę niemal naprawdę uwierzyłam, że nie straciłam tych ośmiu ostatnich lat, że po prostu wyjechałam, zwiedzałam świat, byłam kimś zupełnie innym od tej zaszczutej, bitej i upokarzanej dziewczyny z zielonego pokoju. O wyprawie w tamte rejony od dziecka marzyła moja siostra. Może również dlatego rzuciłam nazwę akurat tego kraju?

– Zazdroszczę ci – powiedziała cicho Dorota i poczułam się jeszcze bardziej podle.

Chciałam nawet powiedzieć jej, że wysłałam tę historię z palca, że tak naprawdę spotkało mnie coś zupełnie innego, coś złego, ale nie wiedziałam, jak z tego wybrnąć, więc tylko zmieniłam temat, pytając, czy ma jeszcze kontakt z Jolką.

– Z Jolką? – powtórzyła, jakby nie dowierzała własnym uszom.  
– To ty nic nie wiesz, dziewczyno? Jola nie żyje.

– Co? – wykrztusiłam, kompletnie zaskoczona.

– No zabiła się, jakieś trzy lata temu. Był taki straszny mróz, a ona skoczyła do lodowatej Wisły. Jej ciała szukali przez ponad tydzień, mąż do końca nie chciał wierzyć, że nie żyje... Osierociła siedmio-

i dwunastolatkę, podobno miała depresję. Wyobrażasz sobie, w jakim strasznym stanie psychicznym musiała być, żeby zrobić coś tak koszmarnego? Dwie córeczki, kochający mężczyzna, a ona skacze do rzeki...

– Przepraszam, nie miałam pojęcia – powiedziałam cicho, wstrząśnięta losem dawnej koleżanki.

– Wszyscy byliśmy w szoku. Czasem widuję w centrum jej męża i córki, ale jakoś nigdy nie miałam odwagi, żeby do nich podejść. Cholera, szef przyjechał! Wybacz, muszę lecieć – Dorota zerwała się zza stolika i popędziła w stronę kasy.

Dopiłam kawę, którą w końcu podała młodsza z kelnerek, i jeszcze przez chwilę siedziałam w Niebieskiej, wspominając dawne dzieje. W końcu pożegnałam się z Dorotą i wyszłam. Jolka... Piękna, ciemnowłosa, z tak zwanej dobrej rodziny. Miała takie wielkie sarnie oczy w kolorze gorzkiej czekolady i sięgający niemal pasa warkocz, w który lubiła wplatać różnokolorowe wstążki. Pamiętam, jak niesamowicie grała na pianinie. Czasem, po szkole, szliśmy do jej domu i grywała dla mnie, a jej szczupłe, długie palce dosłownie tańczyły po klawiaturze. Miała wszystko. Pieniądze, urodę, zdrowie, a jednak postanowiła odebrać sobie życie. Nikt jej nie porwał i nie uwięził, ale to ona nie żyła, podczas gdy ja spacerowałam Ogrodową, ciesząc się rześkim chłodem zimowego popołudnia. To mnie los dał jeszcze szansę na coś dobrego, na życie. Może dlatego powinnam się wziąć w garść i przestać się nad sobą użalać? Powinnam wybaczyć sobie, Szymonowi, Kubie i iść dalej. Może nawet powinnam wybaczyć jemu? Był w końcu chorym, skrajnie zaburzonym człowiekiem. Zaszczutą w dzieciństwie przez równie zaburzoną matkę kreaturą, żalonym, błędzącym niemal po omacku szaleńcem. Ale czy naprawdę potrafiłabym mu wybaczyć? I czy w ogóle miało sens myślenie o nim, skoro on nie żył, a ja szczęśliwie wróciłam do domu? Szczęśliwie... Czy to aby na pewno był szczęśliwy powrót? – zapytałam się w duchu. Innego jednak nie będzie, nie powinnam wybrzydząć. Równie dobrze nadal mogłabym leżeć na cuchnącym stęchlizną materacu, modląc się o cud, który nie zamierzał się zdarzyć. Nie, nie powinnam narzekać, nie mam prawa. Nawet ze wszystkimi gnębiącymi mnie koszmarami wciąż byłam sobą. Jadłam,

śmiałam się, oddychałam, mogłam objąć młodszą siostrę. Jola już takiej szansy nie dostanie, ona nie wróci do bliskich, pomyślałam, ocierając łzy.

– Dobrze się pani czuje? – zainteresowała się drobna siwiuteńka staruszka, która zatrzymała się przy mnie, czekając na zmianę światła.

Posłałam jej pełen wdzięczności uśmiech i zapewniłam, że wszystko jest w porządku.

– Uważaj na siebie, dziecko – powiedziała, zanim weszłyśmy na pasy.

– Będę na siebie uważać – obiecałam.

Skinęła mi głową i zniknęła w wylewającym się o tej porze z biur i urzędów tłumie zmęczonych kończącym się dniem ludzi. Szli wolno, z podkrążonymi oczami i spuszczonej głowami. Wyzuci z energii, niewyspani, zmęczeni codzienną rutyną. Przecież wracacie do domów, cieszcie się! – miałam ochotę krzyknąć. Ale tylko przeszłam przez ulicę i skręciłam w stronę parku. Człowiek potrafi docenić to, co ma, tylko wtedy, kiedy to straci – przeszło mi przez głowę. Stara i banalna prawda, która jednak sporo mówiła o naszej wybrednej, wiecznie za czymś tęskniącej naturze.

Wieczorem zadzwonił Kuba. Nie odebrałam komórki. Może dlatego, że na widok jego numeru rozszalało się moje serce. Nie mogę się teraz od niego uzależnić emocjonalnie. Nie mogę zacząć czekać na jego telefony, myśleć o nim, marzyć. To koniec, przeszłość, zamknięta sprawa – powiedziałam sobie, odkładając dzwoniący telefon na komodę.

Chwilę później Jakub wysłał mi esemesa.

*Nie mogę się dodzwonić... Pewnie bierzesz jedną z tych swoich przerażająco gorących kąpeli albo porzuciłaś telefon na pastwę losu i nawet go nie słyszysz... To nic, trudno. Chciałem tylko zapytać, co u Ciebie, życzyć Ci dobrej nocy. Chciałem tylko usłyszeć Twój głos... Dbaj o siebie, Nika! Pozdrawiam, K.* – przeczytałam.

Nika... Czasem tak do mnie mówił, lubiłam to – przypominałam sobie, siadając na łóżku. Przez dłuższą chwilę walczyłam z pokusą wybrania jego numeru, w końcu cisnęłam telefon na fotel i sięgnęłam po kupiony mi przez tatę kryminał. Książka nie zdołała mnie jednak wciągnąć i po chwili odłożyłam ją, zastanawiając się, co zrobić z resztą



długiego grudniowego wieczoru. Jakieś pół godziny później ponownie odezwała się moja komórka. Zerknęłam na wyświetlacz. Jakub. Tym razem odebrałam. Chęć usłyszenia jego głosu była przemożna.

– Cześć – powiedziałam ciepłym, miękkim tonem. – Nie poddajesz się, co? – dodałam.

Odpowiedziała mi cisza i dopiero po dłuższej chwili usłyszałam pełen złości kobiecy głos.

– Trzymaj się od niego z daleka, słyszysz?! Bez względu na to, co was kiedyś łączyło, teraz to ja z nim jestem! Trzymaj się z daleka, bo pożałujesz! – usłyszałam.

Rozłączyła się, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Iwona. Napędzana ciężowymi hormonami furia w czystej postaci. Musiała przejrzeć jego komórkę, znaleźć namiary na mnie, może nawet przeczytać esemesy, jakie od czasu do czasu wymienialiśmy. A później wybrać mój numer i rzucić to pełne wściekłości zdanie. Trzymaj się z daleka, bo pożałujesz! Odłożyłam telefon na komodę. Jej głos aż kipiał nienawiścią, wibrował wściekłością. W pewien sposób ją rozumiałam, ale i tak czułam się urażona. Nie miała prawa do mnie dzwonić, nie miała prawa mi grozić! Nawet jeśli to ona jest teraz z Jakubem, ja nadal jestem kimś dla niego ważnym, istotną częścią jego przeszłości! Nie może nam zabronić rozmawiać, do cholery! – pomyślałam. Kilka minut później, chyba z czystej przekory, wybrałam jego numer.

Tym razem odebrał on. Miał pogodny, pełen energii głos.

– Monika! Miło, że oddzwoniasz! Co słychać? – zapytał.

– Kuba, nie powinniśmy tak często ze sobą rozmawiać.

– Bo?

– A jak myślisz?! Pomyśl o Iwonie, pewnie jej z tym ciężko.

– A co jej do tego? Chyba mam prawo do ciebie zadzwonić, zapytać, jak się czujesz! Zaraz, czekaj. Dzwoniła do ciebie? Ostatnio jest o mnie chorobliwie zazdrosna. Urządza awantury, ukradkiem sprawdza mój telefon. Dzwoniła do ciebie, prawda? – nagle zrozumiał.

– To nie ma znaczenia, Kuba. Po prostu powinniśmy przestać...

– Nie mów mi, co powinienem! – krzyknął. – Tęskniłem za tobą przez lata, a teraz nie mogę nawet do ciebie zadzwonić?!

– Nie mówię, że nie możesz. Mówię, że...

– Oddzwonię jutro, okay? Lepiej, żebyśmy teraz nie rozmawiali... Iwona zamknęła się w łazience i płacze, a ja nie chcę jej przysparzać dodatkowego smutku. Chryste, mam nadzieję, że niebawem urodzi, bo te jej hormonalne huśtawki doprowadzają mnie do szału! Trzymaj się, do jutra! – wszedł mi w słowo Jakub.

Kiedy się rozłączył, schowałam telefon do jednej z szuflad komody i wróciłam do łóżka. Tęskniłam za Kubą. Tęskniłam za nim bardziej, niż byłam w stanie przyznać nawet sama przed sobą. Brakowało mi go tak bardzo, tak mocno. Ale on nie był już mój...



**CZEŚĆ PIĄTA**  
*Siostry*

## 19.

Na lotnisko odwiozła nas mama, przez całą drogę krytykując naszą decyzję o wyjeździe.

– Tyle się teraz dzieje złego! Ciągłe zamachy terrorystyczne, stale jakieś koszmarne wieści, a wy się pchacie do tej Kopenhagi, jakbyście nie mogli bawić się ze znajomymi tutaj – lamentowała.

– Tam też mamy znajomych – mruknął siedzący z przodu Sasza i atmosfera w samochodzie jeszcze bardziej się zagęściła.

– Mówiłam, weź nasz samochód? Teraz przez ponad sto kilometrów będziemy wysłuchiwać gadki o zagrożeniach współczesnego świata! – syknęła Magda, zwracając się do męża.

– Mamo, przecież świetnie wiesz, że nie trzeba zbyt daleko oddalić się od domu, żeby doszło do jakiegoś nieszczęścia – powiedziałam cicho.

– No może i tak, ale po co dodatkowo kusić los? Narzekacie, że nie macie pieniędzy, a nagle wam się zagranicznych wycieczek zachciało... Julka wyrosła z kurtki, trzeba by jej kupić jakieś buty, a wy latacie po świecie...

– Możemy zmienić temat? – burknęła Magda, którą od rana bolała głowa. – I dzięki, że nam przypomniałaś, jacy to jesteśmy biedni! Ale bez obaw, na tanie linie jeszcze nas stać!

– Nie nakręcaj się – szturchnęłam siostrę, która rozzłoszczona wyjęła z plecaka opakowanie krówek.

– Chce ktoś cukierka? – zapytała.

– Pewnie, zmieńmy temat! Nie potraficie rozmawiać, lepiej udawać, że wszystko jest w porządku – rzuciła mama ostrym tonem.

– Bo wszystko jest w porządku, nie rozumiesz?! Po latach całego tego koszmaru mam z powrotem siostrę i chcę spędzać z nią czas! Dlaczego zawsze jesteś tak negatywnie nastawiona do wszystkiego, co zrobię?! Nie lecimy do jakiegoś buszu, cholera! Co takiego może się stać?! Tylko nie zaczynaj tej gadki o terrorystach, bo dłużej tego nie zniosę! – wrzasnęła Magda, rozrywając opakowanie krówek, których część wysypała się pod siedzenie.

– Uspokójmy się, dobrze? Mama się martwi, wy jak zawsze reagujecie przesadnie, ale... – wtrącił Sasza.

– Reaguję przesadnie, bo mam serdecznie dość jej nadopiekuńczości! Bo mam po kokardę tych gadek o każdym możliwym czyhającym na nas niebezpieczeństwie! Nie da się przewidzieć wszystkiego, do ciężkiej cholery! Możesz na lata zamknąć się w domu i też kiedyś umrzesz, więc co za różnica?! – naskoczyła na męża moja siostra.

– Czy ja powiedziałem, że chcę się na lata zamknąć w domu?  
– zdziwił się Sasza.

– Przecież nie do ciebie piję – syknęła Magdalena.

– Jeszcze chwila, a wszyscy skoczemy sobie do gardeł. Mamo, zmieńmy temat, a ty, Magda, się uspokój – powiedziałam zmęczonym głosem.

Mama milczała.

Włączyła radio i skupiona na drodze prowadziła w ciężkiej, wymownej ciszy.

Wymieniłyśmy z siostrą spojrzenia, ale żadna nie powiedziała już nic więcej.

– Daj tę krówkę – odezwał się z przedniego siedzenia Sasza, po czym mocno kulejąca dyskusja zeszła na zapowiadane opady śniegu i nadchodzącą falę mrozu.

– Jak ja czasem mam dość jej hysterii! Tego ciągłego biadolenia, czarnych scenariuszy, ciągłego wyszukiwania nowych problemów!

– westchnęła Magda, kiedy już pomachaliśmy matce na do widzenia i ruszyliśmy w stronę odprawy.

– Faktycznie wasza matka bywa nadopiekuńcza. Zawsze taka była, czy zmieniła się dopiero po zaginięciu Moniki? – zainteresował się Sasza.

– Zawsze, odkąd pamiętam. Kiedy byłyśmy smarkułami, nie pozwalała nam dosłownie na nic. Pamiętam licealną wycieczkę do Gdańska, na którą tak strasznie chciałam jechać. Powiedziała, że nie jadę i koniec. Beczałam chyba dwa dni – mruknęła moja siostra. – O rany, coś ty napakowała do tej walizki? – sapnęła.

– Pomóc ci? – zapytałam.

– Nie.

– Wiecie, że na miejscu jesteście zdane tylko i wyłącznie na siebie? Ja już się umówiłem z dawnymi kumplami. Męska impreza – powiedział Sasza, kiedy wsiadaliśmy do samolotu.

– I krzyżyk wam na drogę! My zrobimy sobie babskie party  
– odparła Magda kąśliwie.

– Pokłóciliście się? – zapytałam cicho.

– Nie. Po prostu czasem lubimy od siebie odpocząć – wzruszyła ramionami moja siostra.

– Czasem Magda ma mnie dość i z ulgą się mnie pozbywa – dodał Sasza, siadając. – Patrzcie, co czyta tamten koleś – dodał szeptem.

Wychyliłam się, zerkając na okładkę książki trzymanej przez siedzącego w sąsiednim rzędzie, szpakowatego faceta w ciemnej marynarce.

– *Uwięzioną* – parsknęła śmiechem Magda. – Może powinnaś pokazać mu swój pośladek? Wiesz, znamię w kształcie serca, te klimaty – szepnęła mi na ucho.

– Wariatka – mruknęłam, ale nie mogłam się nie roześmiać.

– Mój szef też to czytał. Później pożyczył koledze i z tego, co wiem, chyba z pół naszej firmy miało już w rękach tego szmatławca – dodał Sasza, zapinając pasy.

– Dzwonili do mnie wczoraj w sprawie wywiadu. Lokalna telewizja. Pytali, czy nie wzięłabym udziału w dyskusji o przemocy wobec kobiet – zmieniłam temat.

– Rozumiem, że odmówiłaś? – zapytała Magda.

– Nie do końca. Powiedziałam, że się zastanowię.

– Monika, oszalałaś?! Pokażą cię w telewizji, a następnego dnia każda spotkana na ulicy osoba będzie się na ciebie gapić! Jeszcze niedawno twierdziłaś, że nie potrafisz o tym wszystkim rozmawiać nawet z psychiatrą, a nagle chcesz o tym mówić przed kamerami?  
– obruszyła się Magda.

– Powiedziałam, że się zastanowię, okay? Zresztą zawsze mogą jakoś zaciemnić obraz mojej twarzy...

– Założą ci perukę, jak u Drzyzgi, i zmodulują głos tak, że będziesz mówić jak facet – zarechotał Sasza.

– Monika, to nie jest dobry pomysł. Zostawmy już to wszystko za sobą, zacznijmy nowy rozdział. Mówienie o tym w telewizji obudzi stare demony. Ludzie znowu zaczną ci zadawać niewygodne pytania, gapić się, szeptać...

– Magda, nie bądź naiwna! Gapią się i szepczą tak czy tak! Zresztą tu już nie chodzi o mnie. Chodzi o przerażającą skalę zjawiska! Chodzi o setki tysięcy kobiet na świecie!

– I co? Nagle zostaniesz ich orędowniczką?! Pomyśl o nas, dobrze! Może rodzice nie chcą więcej zamieszania wokół tego wszystkiego?! Wróciłaś do domu, cieszymy się! Po co nagle robisz z tego telewizyjne show?! – zapytała Magda ostrym tonem.

– Dziwi mnie twoja reakcja, wiesz? Strasznie egoistycznie na to wszystko patrzysz – powiedział Sasza.

– Egoistycznie?! Wiesz, przez co przeszliśmy?! Jak możesz tak mówić?! – wybuchnęła.

– Wiem. Byłem wtedy przy tobie, pamiętasz?

– Monika, daruj sobie wszelkie kontakty z mediami, okay? Wiem, że to twoja decyzja, ale mam nadzieję, że uszanujesz moje zdanie i weźmiesz pod uwagę to, co ci właśnie powiedziałam – szepnęła Magda, ignorując to, co chwilę wcześniej mówił Sasza.

– Zmieńmy temat – poprosiłam.

– Nie znoszę latać – powiedział Sasza.

Siedząca pomiędzy nami Magda pogładziła go po głowie, a ja przypomniałam sobie, że przecież lata temu jego matka zginęła w katastrofie lotniczej. I chociaż wiedziałam, że to głupie, nagle zaczęłam myśleć o czytany niedawno reportażu na temat wypadku na Teneryfie, kiedy w kołującego we mgle boeinga Pan Amu uderzył inny samolot. Zginęło prawie sześćset osób; o życiu setek ludzi zdecydowało kilka sekund...

Sabina, przyjaciółka Saszy ze starych studenckich czasów, była piękną filigranową brunetką o egzotycznej urodzie i migdałowych oczach.

– Niezła chata – gwizdnął Sasza, kiedy weszliśmy do przestronnego, nowoczesnego apartamentu. – Widzę, że impreza już w toku? – zwrócił się do naszej gospodyni mąż siostry i po

chwili zostałyśmy przedstawione siedzącemu w salonie rozbawionemu towarzystwu.

Wysoki ciemnoskóry chłopak o pięknej, jakby wyrzeźbionej twarzy podał mi rękę, mówiąc, że bardzo lubi Polki. Wyglądał na jakieś dziewiętnaście, góra dwadzieścia lat i sprawiał wrażenie lekko onieśmiałonego. Towarzysząca mu dziewczyna, filigranowa blondynka w czerni, mruknęła, że ma na imię Tyree i perfekcyjnym angielskim zapytała, czy mamy ochotę na skręta. Odmówiłam; Magda powiedziała, że nie jest w nastroju na zioło i dziewczyna szybko straciła nami zainteresowanie.

– Czemu czuję się staro? – zapytałam siostrę szeptem, chociaż najpewniej nikt z siedzących na sofie młodych ludzi nie mówił po polsku.

Nikt, oprócz naszej gospodyni, która razem z Saszą przepadła gdzieś na piętrze.

Magda mruknęła coś o tym, że w sumie jestem stara, i posłała mi krzywy uśmiech.

– Chodź, rozejrzemy się – siostra podeszła do panoramicznego okna z widokiem na pełen jachtów kanał. – Chata w tej lokalizacji musiała kosztować miliony – mruknęła.

Chwilę później trzasnęły frontowe drzwi i do mieszkania weszło jeszcze troje młodych ludzi. Dziewczyna z dredami na głowie i dwóch przystojnych, świetnie zbudowanych mężczyzn po trzydziestce. Towarzystwo z sofy powitało nowo przybyłych przeciągłymi gwizdami i w salonie zrobiło się jeszcze głośniejsze.

– Czy oni wszyscy tu koczują? – zapytała Magda, kiedy koło niej stanęłam.

– Wygląda na to, że trafiliśmy pod dach jednej wielkiej szczęśliwej rodziny.

– Albo jakiejś narkotykowej dziupli z nieco wyższych sfer. Trawą wali od wejścia, a całe to towarzystwo wygląda tak, jakby zaraz miało zamiar władować sobie coś w żyłę albo przynajmniej wciągnąć coś nosem – mruknęła moja siostra.

– Przesadzasz.

– Może – wzruszyła ramionami.



- Wyluzuj się, naciesz oczy widokiem.
- Chodźmy stąd. Muszę się przejść, jakoś tu klaustrofobicznie
- Magda złapała kurtkę i zaczęła się ubierać.
  - Czego się napijecie? – Sabina, która dosłownie wyrosła nam za plecami, zmierzyła moją siostrę taksującym spojrzeniem.
- Wychodzicie? Jeśli chwilę poczekać, pójdziemy wszyscy. Niedaleko jest świetna knajpa z tajskim żarciem. Zarezerwowałam nam stolik, a jedzenie naprawdę mają pyszne – dodała.
  - Dzięki, ale chciałabym pogadać z siostrą – powiedziała Magda.
  - Spoko. Jeśli wrócicie i nikogo nie zastaniecie, zapasowe klucze są u sąsiada naprzeciwko. Javier jest trochę zakręcony, czasem nie sypia całymi nocami, więc nie przejmujcie się porą. Zazwyczaj otwiera drzwi, a jeśli się wam poszczęści, bez względu na godzinę zaprosi was na swoją słynną paellę z owocami morza.
    - Okay, dzięki. Do zobaczenia.
    - Wieczorem robimy tu poważną imprezę. Mam nadzieję, że wam się spodoba – upewniła się jeszcze nasza gospodyni.
    - Na pewno. W końcu jest sylwester – wzruszyła ramionami Magdalena, owijając szyję szalikiem.
- Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, zaczęło prószyć, a lodowaty wiatr dosłownie wyciskał z oczu łzy.
  - Trzeba było lecieć na Kanary – mruknęłam, zakładając kaptur.
  - Nie marudź. Patrz, jak tu pięknie. Cholera, mogłabym kiedyś mieć taki apartament z widokiem na te jachty. Życie jest jednak okropnie niesprawiedliwe. Sabina dnia nie przepracowała, a pławi się w luksusie. Chociaż nie, przepraszam. Kiedyś była ponoć fotomodelką.
    - Chryste, ty naprawdę jej nie znosisz – mruknęłam, opierając się o lodowatą barierkę nad kanałem.
    - Powiedzmy, że za nią nie przepadam.
    - Zaprosiła nas pod własny dach, okaż odrobinę wdzięczności, siostrzyco.
      - Zaprosiła Saszę. To on do niej zadzwonił, kiedy zaproponowałam sylwestra w Kopenhadze. My jesteśmy tylko nieporęcznym dodatkiem do jego osoby. Wiesz, że oni kiedyś byli parą?
        - Sasza i ona? – zdziwiłam się.

– Tak. Ponoć łączył ich krótki, ale dość intensywny związek. Tak to ujął Sasza, kiedy mi o tym mówił – dodała Magdalena kąśliwym tonem.

– W takiej sytuacji na twoim miejscu wolałabym chyba zatrzymać się w hotelu.

– Myślisz, że nie próbowałam? Sasza nie chciał o tym słyszeć. No, ale ona teraz kogoś ma, więc kamień z serca. Podobno to jakiś Anglik, informatyk.

– Słyszałam ostatnio, że Anglicy są kiepscy w łóżku – szepnęłam, przypominając sobie wymianę zdań dziewczyn ze szkoły językowej.

– Tego akurat nie wiem. Wiem jedno: jeśli Sasza chociażby o jedną sekundę dłużej zawiesi na niej wzrok, wydrapię jej oczy! – oświadczyła Magda.

– Jeśli on zawiesi na niej wzrok, wydrapiesz oczy jej? Kobięca logika – uśmiechnęłam się.

– Cóż, tak już nas stworzyła natura. Zawsze skaczemy sobie do gardeł.

– Nie zgodzę się z tym do końca, ale okay, rozumiem. Sabina i jej kolorowa świta to dla ciebie drażliwy temat.

– Żebyś wiedziała! O matko, jak zimno! Chodź, znajdziemy jakąś taksówkę. Chcę coś zjeść, później idziemy zobaczyć Małą Syrenkę.

– Może chodźmy z nimi na to tajskie żarcie? Wymknęłyśmy się cichaczem, nawet nie powiedziałaś Saszy, że idziemy do miasta.

– Uwierz mi, Sasza jest superszczęśliwy, że zostanie sam z dawną paczką. Będzie mógł do woli flirtować ze swoją byłą – skrzywiła się Magda.

– Nie chcę być wścibska, ale zapytam. Macie jakiś kryzys? Od rana dosłownie na niego warczysz, teraz wymykasz się ze mną, jakbyś nie miała ochoty na jego towarzystwo. Co się dzieje, młoda?

– Czy ja wiem... Ostatnio stale się kłócimy. O Julkę, o jakieś codzienne bzdety, ale głównie o kasę. On zarzuca mi, że za dużo wydaję, mnie po głowie chodzą krytyczne słowa mamy o jego marnych zarobkach i zaczynamy na siebie wrzeszczeć. Ostatnio zrobił mi aferę, bo znalazł w szafie nową torebkę, jeszcze z metką. Ale kiedy idzie po pracy grać w bilard i wypija przy okazji sześć piw, a później jeszcze je

z kumplami na mieście, to nie ma problemu! Ja nie mogę kupić torebki za osiem dych, ale on może rozpieprzać kasę na własne przyjemności! Dobra, wiem, nie przelewa nam się. Ale od czasu do czasu mogę chyba coś sobie kupić? Zarobiłam te pieniądze, projektując znajomym stronę WWW, a on naskoczył na mnie tak, jakbym wydała jego ciężko zarobioną gotówkę! Czasem mam ochotę zabrać Julę do rodziców i chociaż na kilka dni uwolnić się od jego ciągłej krytyki!

– Nie brzmi to zbyt dobrze. Myślałam, że jesteś szczęśliwa.

– Bo jestem, Monika. Kocham Saszę, w sumie wciąż jeszcze chyba nam razem dobrze. Mówię tylko, że coraz częściej się kłócimy...

– Każde małżeństwo przechodzi gorsze momenty. Macie małe dziecko, chodźcie niewyspani.

– Może – wzruszyła ramionami Magdalena. – Powinnaś się w końcu spotkać z Kubą.

– Nie wiem, czy...

– Monika, musicie się spotkać! Był jedną z najważniejszych osób w twoim życiu, a teraz nie chcesz go widzieć?! Dzwoniłam do niego ostatnio. Wspomniał, że chciał przyjechać, ale się nie zgodziłaś. Czemu?

– Nie jestem gotowa na to spotkanie. Nie wiem, czy sobie poradzę z emocjami, czy...

– Po prostu się z nim spotkaj! Idźcie na drinka, pogadajcie, zamknijcie pewien etap. On cierpi, Monika. Tęsknił za tobą przez tyle lat, a teraz nie może nawet cię zobaczyć?

– Tęsknił za mną?! Ułożył sobie z życie z jakąś babą!  
– podniosłam głos.

– Był załamany. Chyba nie potrafił dłużej być sam...

– Bo się wzruszę!

– Jezu, już rozumiem! Jesteś wkurwiona, że ma inną, i w ten sposób go karzesz?

– Bzdury opowiadasz! – zachnęłam się, jednak jakaś częśćka mnie wiedziała, że siostra ma rację.

Tak, traktowałam go w ten sposób, bo miałam spory żal...

Taryfę złapałyśmy kilka minut później, kiedy przemarznięte na kość szłyśmy wzdłuż pełnej eleganckich butików ulicy.

W aucie, kiedy Magda chaotycznie tłumaczyła kierowcy, że

chcemy się dostać w okolice pomnika syrenki, wyjęłam z torebki portfel. Pomimo że od dawna nic nas już nie łączyło, zdjęcie Jakuba włożyłam do jednej z bocznych kieszonek i zamierzałam je tam nosić. Teraz patrzył na mnie uśmiechnięty, z lekko przymrużonymi oczami w jednej ze swoich ulubionych czerwonych koszulek polo. Zrobiłam mu tę fotkę na zamku w Mosznej, jakieś dwa lata po naszym ślubie. Boże, ile bym dała, żeby móc cofnąć czas, pomyślałam. Żeby nigdy nie ulec tandetnemu urokowi Szymona, żeby nie iść na tamto spotkanie, żeby nie rozwalić wszystkiego, co kiedykolwiek kochałam.

– Czy ja dobrze widzę?! – spostrzegawcza jak zawsze Magda od razu zauważyła, czemu się przyglądam.

– Nie chcę się z nim spotykać. Nie potrafię, rozumiesz?

– powiedziałam cicho.

– Powinnaś.

– Dajmy spokój tej dyskusji. Chcę odpocząć od wspomnień o Kubie, od przeszłości, od wszystkiego.

– Rozumiem, ale...

– Daj spokój, Magda!

– Okay, okay. Nie drzyj się na mnie – burknęła.

Uśmiechnęłam się pod nosem, bo przez chwilę zobaczyłam w tej siedzącej przy mnie trzydziestoletniej kobiecie tamtą wiecznie zbuntowaną nastoletnią smarkulę, którą kiedyś była.

Pod syrenką było głośno i tłoczno. Wycieczka z Izraela robiła sobie fotki, a kilku wyraźnie podpitych Niemców zagadywało moją siostrę, brutalnie kalecząc angielski.

– W przewodniku piszą, że w latach sześćdziesiątych wandalę odpilowali syrence głowę. Myślałam, że tacy debile to tylko u nas

– mruknęła Magda, wertując niewielką książeczkę.

– Daj mi rękę – powiedziałam, kiedy wchodziłyśmy na ośnieżone głazy wokół pomnika.

– Czekał, zrobię nam fotkę! – Magda wyjęła z torebki komórkę i wycelowała ją w nasze twarze. – Uśmiech! Jest! Czekał, dla pewności strzelę jeszcze jedną!

Zmusiłam się do uśmiechu, nie do końca zachwycona spontaniczną sesją zdjęciową, ale podekscytowana Magdalena postanowiła wrzucić

fotki na Facebooka.

– Trzy małe syrenki. Kopenhaga, pierwszy od lat sylwester z siostrą – mamrotała pod nosem, opisując zdjęcia.

– Na małą syrenkę to ja tu nie wyglądam – mruknęłam, zaglądając jej przez ramię.

– Nie bądź dla siebie aż taka surowa, schudłaś już prawie dziesięć kilo – mruknęła Magda, przeglądając swój profil. – Ha, ha, ha, patrz! Przyjaciele Saszy są na Majorce i złapali gumę w wynajętym wozie. Masakra... Chodźmy coś przekąsić, bo nie licząc kilku krówek i zjedzonej na lotnisku bułki, od rana nie miałam nic w ustach – siostra schowała telefon i nasunęła czapkę na oczy. – Wieje jak w Kieleckiem – mruknęła, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, jaką palnęła gafę. – Sorry, nie chciałam. Zapomnij, co?

– Nic się nie stało – wzruszyłam ramionami, odganiając wspomnienie idącego przez zaśnieżone pole Józefa.

– Śni ci się czasem to wszystko? – zapytała Magda, kiedy krążyłyśmy po okolicy w poszukiwaniu jakiegoś w miarę taniego baru.

– Tak. Czasem śnię, że go zabijam. Ostatnio miałam koszmar z tatą w roli głównej. Znalazł mnie i obłąkańczo się śmiejąc, zaczął wydłubywać Józefowi oczy.

– To przez te wszystkie porąbane horrory, które swego czasu razem oglądałyśmy – rzuciła Magda rozbawionym tonem.

Zjadłyśmy w niewielkim barze przy nabrzeżu; Magda stek z frytkami, ja ciasto francuskie z cynamonem i marcepanem, które postanowiłam pochłonąć w ramach mocno spóźnionego obiadu, na moment zapominając o diecie.

– Patrz! Mówiłam, że będzie się dobrze bawił? Już jest na Facebooku razem z tą całą Tyree, Sabiną i resztą towarzystwa! – siostra podsunęła mi pod oczy swój telefon.

Zerknęłam na fotkę. Sasza wyglądał na rozbawionego. Obejmował jakąś młodziutką dziewczynę, której nie widziałam w apartamencie Sabiny, obok niego stała Tyree z flaszką piwa w dłoni i ciemnoskóry chłopak, którego imienia nie byłam w stanie sobie przypomnieć.

– Mówiłam ci?! Pewnie ledwo zauważył, że mnie nie ma!  
– warknęła Magda.

– I co się ciskasz? My też jesteśmy na Facebooku. Z Małą Syrenką – zażartowałam. – Swoją drogą, zaiste dziwne to czasy, kiedy żona śledzi męża w sieci. Wyłącz ten telefon, wyluzuj się. Jesteśmy w Kopenhadze, słońce!

– Bawi cię to, Monika?! Nie widzisz, jak on się zachowuje?!

– Nie widzieli się szmat czasu, a kiedyś blisko się przyjaźnili! Czemu nie możesz zrozumieć, że po prostu świetnie się bawią?!  
– podniosłam głos.

– Łatwo się mówi, kiedy nie chodzi o twojego męża, co?

A pamiętasz tamtą laskę, która przyczepiła się kiedyś do Kuby na plaży? Pamiętasz, jaka byłaś wściekła? Jeszcze trochę, a ruszyłabyś na nią z pazurami! – przypomniała mi siostra.

– To była jakaś obca, w dodatku pijana panienka, zupełnie inna sytuacja!

– A to jest jego była, którą ponoć kiedyś kochał do szaleństwa!

– Ty też kiedyś kochałaś do szaleństwa innych facetów. Na przykład Bartka.

– Nie wiem, czy akurat Bartka kochałam do szaleństwa

– powiedziała cicho Magda.

– A tak swoją drogą, co u niego?

– Nie mam pojęcia – wzruszyła ramionami i dopijając swoje piwo, zapatrzyła się w okno.

– Magda, nie rób sobie tego. On się bawi, ty się zadręczasz... Daj spokój, słyszysz? Jeśli otwarcie okażesz mu zazdrość, postawisz się na z góry przegranej pozycji. Faceci czasem tak się zachowują. Pompuje sobie teraz ego, nie rozumiesz? Trochę wypije, obściska kilka lasek i wróci stęskniony.

– To może ja też trochę wypiję, obściskam kilku facetów i wrócę stęskniona? Jest równouprawnienie, co?

– Chcesz, to pij. Co do facetów, nie widzę w pobliżu idealnych kandydatów. Chyba że masz ochotę na mało estetyczne towarzystwo tamtych brzuchatych brodaczy. Podejdz, zagadaj ich, strzel sobie z nimi fotkę i na Facebooka. Chryste, pod pewnymi względami kilka lat temu życie było prostsze...

– Zapomniałam już, jaka potrafisz być złośliwa – mruknęła Magda.

– Zapomniałam już, jaka potrafisz być infantylna.  
– Świntucha z ciebie, wiesz? – młoda rzuciła we mnie orzeszkiem, a ja usłyszałam w głowie głos mojego oprawcy.

Żryj, świnko!

– Zapomniałam o sukience – powiedziała Magda chwilę później.  
– Odwiesiłam ją na drzwi szafy, żeby się nie pogniotła i zapomniałam o niej. Wszystkie te wypindrzone dziewczyny oblekają pewnie chude tyłki w jakieś nieziemskie kreacje, a ja wystąpię w dżinsach i podkoszulku.

– Kupię ci sukienkę – powiedziałam.

– Tutaj?! W tym mieście byle kawałek szmatki kosztuje w przeliczeniu parę stówek!

– Kupię ci sukienkę, postanowione. Znajdziemy coś w miarę taniego i czerwonego. Znajdziemy coś takiego, że twój mąż przez całą noc nie spuści z ciebie wzroku.

– Skoro tak mówisz – Magda posłała mi rozbawione spojrzenie i znowu weszła na Facebooka. – Nasza fotka z syrenką zebrała prawie sto czterdzieści polubień w niecałą godzinę! – zachwyciła się.

– Naprawdę? To jest teraz sens życia? Liczenie lajków? – dociełam jej.

– Takie czasy – mruknęła. – Idziemy? Skoro mamy kupić kieckę, trzeba się pośpieszyć. Później chcę jeszcze zobaczyć plac Ratuszowy i zrobić zdjęcia na tle fontanny.

Sukienkę znalazłyśmy na jednym z pchlich targów. I chociaż obie nie przepadałyśmy za ciuchami z drugiej ręki, tutejsze targowisko w niczym nie przypominało śmierdzących środkami odkażającymi rodzimych lumpeksów.

– Nie uważasz, że jest zbyt odważna? – ubrana w obcisłą, połyskującą cekinami, malinowoczerwoną kieckę, Magdalena obróciła się wokół własnej osi.

– Można powiedzieć, że wyglądasz zjawiskowo – zapewniłam ją.

– Nawet nie jest jakoś koszmarnie droga.

– Tym lepiej, bo u mnie też bida z nędzą – mruknęłam do siostry, wyjmując portfel.

Kiedy jakieś dwie godziny później dotarłyśmy do apartamentu Sabiny, drzwi były zamknięte na głucho.

– Dobra, chyba najwyższy czas odwiedzić sąsiada. Jak mu tam było?

– Javier – przypomniałam sobie.

– To co? Dzwonimy do niego? Trochę głupio, ale...

– Dzwon, przecież Sabina mówiła, że nie ma problemu

– powiedziałam i Magda wcisnęła dzwonek.

Javier był starszy, niż się spodziewałam. Mógł już dobiegać pięćdziesiątki, ale nadal miał w sobie pewien czarujący chłopięcy urok. Otworzył nam bosy, w jasnych spodniach i czerwonej upačkanej farbą koszulce.

– *Hola!* – Magda, która podobnie jak ja od lat mówiła w tym języku, przywitała się z nim po hiszpańsku i nie czekając na zaproszenie, włądowała się do jego mieszkania.

– Zapraszam – uśmiechnął się do mnie.

Zauważyłam, że ma piękne gęste włosy koloru gorzkiej czekolady i niewielką bliznę w kąciku ust. Klucze do królestwa Sabiny dostałyśmy od razu, ale gospodarz nie zamierzał szybko nas wypuszczać.

– Siadajcie, mam świetne wino – powiedział, wyjmując kieliszki ze śmiesznie pękatego drewnianego kredensu pomalowanego w czarno-białe esy-floresy.

– Piękne obrazy – powiedziałam, rozglądając się po przestronnym wnętrzu.

– Maluję na zamówienie dwóch galerii, część z tych krajobrazów sprzedam pewnie turystom, część aktów czeka na odbiór przez prywatnych kolekcjonerów.

– Chciałabym, żeby ktoś mnie kiedyś taką namalował – Magda zachwyciła się dość odważnym aktem, na którym pulchna ruda kobieta wyciągała się na szmaragdowozielonym szezlongu.

– Choćby zaraz mogę złapać za pędzel – uśmiechnął się do niej Javier.

– Uważaj, bo dam się skusić – powiedziała Magda kokieteryjnym tonem.

– Mówię poważnie. Jeśli masz czas i ochotę, zapraszam.

Speszyła się.

– Może innym razem, ale dziękuję – bąknęła.



Podał nam kieliszki i poszedł po wino.

– Chodźmy już, boli mnie głowa. Przebierzesz się, poczekamy na Saszę...

– Nie mam ochoty na niego czekać, nie rozumiesz? Przez całe lata na coś czekałam! – podniosła głos Magdalena.

Javier posłał jej pytające spojrzenie, ale tylko wzruszyła ramionami.

– Nie przejmuj się, zawsze się z siostrą przekomarzamy – mruknęła po hiszpańsku. – Chcesz, to idź – dodała po polsku.

Było w jej głosie coś takiego, co kazało mi wstać, sięgnąć po leżące na komodzie klucze i pożegnać się z gospodarzem. Javier również nie nalegał, żebym została, i w końcu zdałam sobie sprawę, że między nimi wyraźnie iskrzy.

– Magda, nie rób głupstw, słyszysz? – szepnęłam, zanim wyszłam.

– A co? Tylko tobie wolno? – zapytała.

– To było podłe – powiedziałam.

– Taka prawda – wzruszyła ramionami.

Zostawiłam ich samych.

W apartamencie Sabiny było duszno i cicho. Wzięłam prysznic, wypiałam znalezione w lodówce waniliowe mleko i przebrałam się w getry i rozciągnięty szary podkoszulek. Sukienka, którą zabrałam na sylwestra, nagle wydała mi się wręcz obrzydliwa. Przy wszystkich tych dziewczynach będę wyglądać żałośnie, pomyślałam i nagle zrozumiałam, że nie mam ochoty na zabawę w gronie tych obcych, krzykliwych młodych ludzi.

W pokoju, który przydzieliła mi gospodyni, włączyłam telewizor, ale szybko straciłam zainteresowanie programami, z których nic nie rozumiałam. Skuliłam się więc na łóżku i chociaż nie było jeszcze nawet dziesiątej, zasnęłam twardym, ciężkim snem bez snów. Obudził mnie jakiś jazgot; coś głucho dudniło i dopiero po chwili dotarło do mnie, że to muzyka. Zerknęłam na zegarek, zdałam sobie sprawę, że musiałam przespać północ. Była prawie druga nad ranem, a na dole w najlepsze trwała impreza. Poprawiłam włosy, przeciągnęłam usta szminką i tak jak stałam, w getrach i podkoszulku, zeszałam na dół.

Magdę zauważyłam od razu – wbita w nową czerwoną kieckę

i ciasno wtulona w męża, całowała się z nim na sofie pod oknem. Tyree, która kręciła się po pokoju, podrygując do rytmu, była chyba mocno pijana – zauważyłam, że ma podarte pończochy i zgubiła gdzieś buty.

– Hej, spałaś? Drinka? Może coś zjesz? – Sabina posłała mi szeroki uśmiech i pomyślałam, że chyba całkiem sympatyczna z niej dziewczyna. – Tam są jeszcze jakieś koreczki, w kuchni znajdziesz ciasto. Najlepszego w Nowym Roku! – dodała, zanim z tacą pełną drinków w dłoni podryfowała w stronę tańczącego wokół sofy towarzystwa, które pokrzykując, formowało właśnie węża.

Rozejrzałam się za Javierem, ale nigdzie go nie zauważyłam. Może w tę noc wybrał samotność, może pognał do miasta z zupełnie innymi ludźmi? Kolejną godzinę przesiedziałam na sofie, wsłuchana w muzykę i zaskakująco zrelaksowana. W końcu wróciłam do łóżka, byłam jednak w znacznie lepszym nastroju niż wieczorem. To będzie dobry rok – powiedziałam sobie, wdychając obcy zapach pachnącej kwiatowo poduszki.

Obudziłam się wcześniej, parę minut po ósmej. Na dole okazało się jednak, że nie tylko ja marnie spałam. Kiedy zeszłam na niższy poziom mieszkania, zauważyłam Sabinę, która piła już w kuchni kawę, z nieobecny wyrazem twarzy wyglądając przez okno.

– Cześć – powiedziałam.

Odwróciła się, wyrwana z zamyślenia. Jej czoło przecinała głęboka zmarszczka i zorientowałam się, że nie myślała o niczym przyjemnym.

– Hej – rzuciła, ześlizgując się z wysokiego barowego krzesła, na którym siedziała. – Jest kawa, gdybyś chciała. Cieszę się, że wróciłaś do domu. To musiał być koszmar...

Spojrzałam na nią zaskoczona.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska. Sasza parę lat temu wspomniał mi, że jego żona rozpaczliwie poszukuje zaginionej siostry, to wszystko – dodała.

– Nie przejmuj się, powinnam przywyknąć do tego typu pytań. W końcu to niemal osiem lat z mojej przeszłości.

– Osiem lat? Takich skurwieli powinno się kastrować! I ile za to dostał? Pięć lat? Siedem?

– On nie żyje – powiedziałam.

Uśmiechnęła się. Mrocznie, mściwie, niemal podle.

– I dobrze – skwitowała.

Do śniadania usiadłyśmy we dwie. Reszta towarzystwa albo spała, albo wyniosła się do siebie.

– Masz wielu przyjaciół – powiedziałam, rozsmarowując dżem na tostowej kromce.

– To nie są moi przyjaciele. To ludzie, którzy wpadają, żeby wypalić darmowego skręta, wyjeść żarcie z mojej lodówki i przekimać, jeśli akurat nie mają dokąd pójść. Kiedy masz dużą kasę, nigdy nie jesteś pewna, kto naprawdę cię lubi, a kto tylko chce się dobrze twoim kosztem zabawić. Może dlatego dawno przestałam się co do nich ludzić

– powiedziała cicho Sabina.

– Przykre...

– Prawdziwe. Może z Tyree jestem jeszcze w jakiś sposób blisko, ale resztę ledwo znam. Po prostu obracamy się w podobnych kręgach i razem imprezujemy. Kiedyś było inaczej. Kiedy mieszkał tu Sasza, mieliśmy fajną niewielką paczkę. Ale to stare dzieje...

– Dlaczego się rozstaliście? – zapytałam.

– Zdradziłam go. Upiłam się i poszłam do łóżka z poznanym na imprezie koleśkiem, a Sasza nie należy do facetów, którzy wybaczą tego typu ekscesy. Kiedy się dowiedział, spakował bety i odszedł. Płakałam chyba z miesiąc, później rzuciłam się w wir imprez i jakoś o nim zapomniałam. Ale kiedy usłyszałam o jego ślubie z twoją siostrą, mocno mnie to zabolowało. Kochałam go. Naprawdę go kochałam i kiedy teraz o tym myślę, wiem, że był chyba jedynym facetem, do którego cokolwiek w życiu czułam. Tym dziwniejsze wydaje mi się, że polazłam do łóżka z innym, ale cóż... Lepiej popełniać błędy, niż nie robić nic

– powiedziała, wyjmując z szuflady paczkę cameli. – Palisz?

– Nie, dzięki. A odnośnie romansów, skąd ja znam tę bajkę – szepnęłam.

– Sama widzisz. Każda z nas robi głupstwa. Ale mężczyźni też święci nie są – uśmiechnęła się krzywo, wyjmując z wymiętego opakowania przedostatniego papierosa. – Jesteś pewna, że nie chcesz? Akurat zostały dwa.

– A, daj – uśmiechnęłam się, biorąc od niej camela.

– Są razem szczęśliwi? – zapytała Sabina, podając mi zapalniczkę.

– Zapytaj Saszę – uśmiechnęłam się.

– Pytałam. Powiedział, że czasem ma jej dość, ale kocha ją tak, że mógłby skoczyć za nią w ogień. Urocze, nie? – Sabina wydmuchała dym gdzieś ponad moją głowę i ześlizgnęła się z krzesła. – Zacznę tu trochę ogarniać, bo po południu ma wpaść mój ojciec. Zapłacił za chatę, to sprawdza, czy jeszcze stoi – zaśmiała się.

– Pomogę ci – powiedziałam po chwili, gasząc na wpół wypalonego papierosa i zabrałyśmy się za opróżnianie popielniczek, zbieranie z podłogi puszek i ogarnianie chlewu, jaki zostawiło po sobie roztańczone towarzystwo.

Magda zjawiała się na dole dopiero przed dziesiątą. Rozespana, z potarganymi włosami i bosa, we flanelowej piżamie w kaczuszki.

– Wykręciłaś wczoraj z tym gościem coś głupiego? – zapytałam szeptem, kiedy parzyła świeżą kawę.

– Całowaliśmy się – powiedziała. – No nie patrz tak, to było tylko kilka pocałunków, nic więcej! Trochę wypiłam i się zapomniałam. Zresztą nie byłam u niego długo, może jakieś półtorej godziny.

– I co? Uważasz, że to pikuś?

– Nie takie rzeczy robiłam – wzruszyła ramionami.

– Wściekałaś się, że Sasza obejmował inne panny, a sama całowałaś się z jakimś pozał się Boże artystą?!

– Może chociaż na chwilę chciałam się poczuć kimś innym? Jestem matką, żoną, siostrą, córką. Od lat robię wszystko dla innych i niewiele dla siebie. Więc nie mów mi, że nie mam prawa do chwili zapomnienia!

– Sasza cię kocha, Magda.

– I co z tego? Ja też go Kocham! Mówię tylko, że... Cholera, cicho! Idzie tu – siostra pomachała schodzącemu po krętych metalowych schodach mężowi i wyjęła z kredensu dodatkowy kubek. – Nic między nami nie było, Monika. Po prostu się całowaliśmy – powiedziała mi jeszcze na ucho, zanim podeszła do męża i uwiesiła mu się na szyi.

Z głębi salonu, układając na sofie zmięte ozdobne poduszki, przyglądała im się Sabina. Miała lekko zmrużone oczy i usta zaciśnięte w wąską kreskę. I chociaż ledwie przed paroma minutami uznałam ją za

cholernie sympatyczną dziewczynę, zrozumiałam, że ona nadal czuje coś do Saszy. Kocha go i jest dla Magdy zagrożeniem. Kocha go i zrobiłaby wszystko, żeby do niego wrócić. Spojrzałam na szwagra i wszelkie wątpliwości minęły. Wpatrywał się w Magdę maślanym wzrokiem, dosłownie pożerał ją oczami.

– Kupiłeś mojej żonie szalową kieckę – powiedział, kiedy dostrzegł, że mu się przyglądam.

– Miło, że zauważyłeś.

– Zawsze – mruknął, całując Magdę w szyję. – Zawsze – powtórzył.

Na początku lutego, po długim namyśle, zgodziłam się na wywiad, który kilka tygodni wcześniej zaproponowała mi lokalna telewizja. Magda miała sporo wątpliwości co do słuszności tej decyzji, ale uznałam, że nie chcę dłużej chować głowy w piasek. Wiedziałam, że opowiadanie przed kamerami o czymś tak traumatycznym będzie trudne. Ale przytrafiło mi się coś, co na dobre zdeterminowało moje dalsze życie, a ja nie chciałam dłużej odgrywać roli ofiary. Chciałam o tym mówić. Rozmawiać, nagłaśniać sprawę, dodawać otuchy kobietom, które przeszły przez podobne piekło. Razem ze mną miały być w studiu dwie młode dziewczyny. Dwudziestoczterolatka, którą po śmierci jej matki przetrzymywał w piwnicy konkubent zmarłej kobiety i porwana w dzieciństwie dla okupu, dobiegająca teraz trzydziestki szatynka z pomalowanymi na czarno paznokciami, z którą przez chwilę rozmawiałam w garderobie.

– Myślę, że włosy zostawimy rozpuszczone. Teraz nałożymy wałki i oddam panią w ręce makijażystki, okay? – zapytała młoda ciemnowłosa fryzjerka.

– Jasne, rzadko je spinam – powiedziałam, starając się nie poddawać panice.

Program nie miał być nagrywany na żywo, ale i tak byłam mocno zestresowana. Siedząca obok dziewczyna posłała mi krzepiące spojrzenie. To musi być ta dwudziestokilkulatka przetrzymywana jakiś czas temu przez konkubenta matki, pomyślałam.

– Pani Moniko, chce pani jeszcze raz przejrzeć przygotowane przeze mnie pytania? – Alicja Olszewska, drobna, pewna siebie prezenterka w ciemnogrnatowym kostiumie zjawiała się przy mnie, kiedy przechodziłam na drugą stronę mocno oświetlonej telewizyjnej garderoby.

– Nie, chyba nie ma takiej potrzeby – powiedziałam.

– Nerwy? – uśmiechnęła się dziennikarka.

– Całkiem spore – przyznałam.

– Będzie dobrze, proszę mi zaufać. Większość ludzi, którzy

pierwszy raz są na wizji, stresuje się obecnością kamery, ale to mija. Kiedy zaczniemy rozmawiać, zapomni pani o strachu – dodała, zanim podeszła do jednego z młodych chłopaków kręcących się po garderobie.

– Maćku, skoczę sobie zapalić! Gdyby co, jestem na zewnątrz – dodała.

– Miałaś rzucić – przypomniał jej kolega, ale tylko machnęła ręką.

– Cześć, to ty jesteś Monika? Mam cię pomalować – zagadnęła mnie ciemnowłosa dziewczyna o wyrazistym francuskim typie urody.

– Masz śliczną cerę, idealną – dodała, otwierając pełną kosmetyków walizeczkę.

Podziękowałam i przymknęłam oczy, starając się zrelaksować.

Jakąś godzinę później, z podpiętym mikrofonem i na nogach jak z waty, weszłam do utrzymanego w pomarańczach i beżach studia.

– Pani Moniko, może panią weźmiemy w środek, dobrze? Gdyby usiadła pani tutaj, byłoby idealnie – jeden z kręcących się po pomieszczeniu młodych brodatych chłopaków podsunął mi fotel i jeszcze raz sprawdził, czy mam dobrze podpięty mikrofon. – Idealnie – mruknął po chwili i krzyknął na jakiegoś Jarka, który miał mu przynieść kawę.

Kiedy włączono kamerę, byłam tak spanikowana, że z trudem mogłam oddychać. Dziennikarka zaczęła jednak od najmłodszej z nas, a ja, wsłuchując się w delikatny głos dziewczyny, powoli studziłam emocje.

– Czy kiedy jeszcze żyła pani mama, jej partner zachowywał się wobec pani niepokojąco? Zaczepiał panią, rzucał jakieś dwuznaczne uwagi? Pytam, czy czuła się pani w jakiś sposób zagrożona już wtedy, czy on zmienił się dopiero po śmierci pani matki, kiedy była pani zdana tylko na niego? – zapytała dziennikarka dziewczynę siedzącą po mojej lewej.

– Czasem ukradkiem mi się przyglądał, zwłaszcza jeśli trochę za dużo wypił. Ale nigdy nie robił nic podejrzanego. Nie dotykał mnie, nie zakradał się nocą do mojego pokoju, nic z tych rzeczy. Mama zmarła nagle, po prostu upadła... Mariusz zorganizował jej pogrzeb i za wszystko zapłacił. Ja byłam wtedy bez pracy i bez żadnych oszczędności.

– Ile miała pani lat?

– Niecałe dziewiętnaście.

– Jak doszło do tego, że ten człowiek zamknął panią w piwnicy? Dom należał do pani mamy, tak?

– Tak, dom zbudował dziadek, mieszkaliśmy w nim od lat.

Mariusz wprowadził się do nas tuż po moich szesnastych urodzinach. Mama naprawdę była w nim zakochana, on zachowywał się tak, jakby po prostu było mu wygodnie. Wcześniej pomieszkiwał u znajomych, nie miał stałego lokum...

– Gdzie się poznali?

– W sieci. Mama czuła się rozbita po kolejnym rozstaniu z nieodpowiednim facetem i zaczęła przeglądać ogłoszenia towarzyskie. Mariusz napisał do niej długi list, ujął ją tym, że szczerze mówił o swoich problemach finansowych i braku własnego mieszkania.

– Czemu nie miał niczego? Pięćdziesięciodwulatek bez grosza przy duszy i dachu nad głową...

– Ponoć oszukała go była żona, ale nie chciał o tym mówić.

W każdym razie mama oszalała na jego punkcie i zadomowił się u nas na dobre.

– Miałaś żal, że mama tak łatwo, może nawet lekkomyślnie wpuściła go do waszego życia? – zapytała Alicja Olszewska, niespodziewanie zwracając się do dziewczyny na „ty”, jakby chciała skrócić dzielący je dystans.

– Żal? Nie. Cieszyłam się, że w końcu wszystko sobie poukładała. Miałam nadzieję, że znajdzie w nim oparcie, kiedy ja się wyprowadzę. Po maturze planowałam jechać do Warszawy i zrobić kurs florystyczny. Uwielbiam kwiaty, zawsze marzyłam, że będę mieć własną kwiaciarnię. Ale nie zdążyłam wyjechać, bo on zamknął mnie na dole...

– Jak do tego doszło? Potrafi pani powiedzieć, co wstąpiło w tego człowieka? Jak to możliwe, że po etapie całkiem poprawnych relacji między wami on nagle postanowił wprowadzić w życie taki straszny plan?

– Nie wiem, co w niego wstąpiło. Którejś nocy okropnie się upił i zaczął krzyczeć, że nie mogę go wyrzucić z domu mamy, bo on nie ma dokąd pójść. Płakał i wyglądał tak, jakby całkiem rozsypał się psychicznie. Pamiętam, że nawet go wtedy pocieszałam. Ironia losu,



prawda?

– Chciała pani go wyrzucić? – zainteresowała się dziennikarka.

– Nie, skąd. Nie podejmowaliśmy nawet takiego tematu. Cieszyłam się, że jest ze mną. Dzięki niemu dom nie wydawał się aż tak przerażająco pusty. Sporo potrafił, dbał o ogród, zajmował się drobnymi naprawami. Byłam zadowolona, że został. Ale on zrozumiał, że skoro mama nie żyje, prędzej czy później będzie musiał się wynieść i zaczął panikować. Złapał mnie, wziął na ręce i zaniósł do piwnicy, gdzie mnie zamknął.

– Wziął panią na ręce i zaniósł do piwnicy? – powtórzyła Olszewska.

– Tak, wziął mnie na ręce, ale proszę mi wierzyć, w tej scenie nie było nic z filmowego romantyzmu. Ugryzłam go w ucho. Do dziś chce mi się wymiotować na myśl o ohydny posmaku jego krwi w ustach. Krzyczałam i szarpałam się, ale on był w jakimś transie. Wrzucił mnie na dół i zamknął. Na podłodze leżał już nowiutki materac, obok miska, latarka i koc. Wtedy zrozumiałam, że on planował to od dawna.

– Jak długo tam panią trzymał? I jak to możliwe, że młoda dziewczyna po prostu zniknęła? Miała pani grono oddanych przyjaciół, sąsiadów... Nie podejrzewali niczego?

– Podejrzewali. Dzięki temu policja zaczęła się Mariuszowi przyglądać i w końcu mnie znalazła. Dwie moje przyjaciółki, którym Mariusz powiedział, że wyjechałam, były pewne, że nie zniknęłabym bez pożegnania i zaczęły regularnie zjawiać się na komisariacie. Początkowo sprawę lekceważono, jednak po czterech miesiącach policja odkryła, że przetrzymuje mnie były konkubent mamy.

– Jak to odkryli?

– Był nieostrożny, lekkomyślny. Kupował dla mnie kobiece drobiazgi w pobliskim sklepie, zachowywał się nerwowo, jeździł autem mamy. Ludzie dodali dwa do dwóch i zjawili się z interwencją. Tamtego wieczoru policja przyjechała przed nasz dom, bo uzbrojony w widły sąsiad razem ze swoim kuzynem i trzema synami dobijał się do drzwi, chcąc się rozejrzeć w środku. Pragnął się przekonać na własne oczy, że zniknęły moje rzeczy, że naprawdę wyjechałam bez słowa. Gdyby nie on, być może nadal bym tam siedziała...

– Czyli można powiedzieć, że odzyskała pani swoje życie dzięki czujności sąsiadów?

– Tak, można tak powiedzieć. Pan Józef od dziecka traktował mnie trochę jak przyszywaną wnuczkę i naprawdę wiele mu zawdzięczam – uśmiechnęła się dziewczyna, a ja wzdrygnęłam się na dźwięk tego znienawidzonego przeze mnie imienia.

– Na koniec zapytam o coś, co może być dla pani trudne. Co się działo, kiedy była pani tam, na dole? Czy oprawca panią bił? Doszło do jakiejś innej formy przemocy?

– Nie. Nigdy nie podniósł na mnie ręki. Czasem przychodził na dół i przeproszał. Kilka razy się rozplakał. Prosił, żebym mu wybaczyła, snuł jakieś sielankowe wizje naszej wspólnej przyszłości pod jednym dachem. Mówił, że jeszcze trochę i mnie wypuści. Że muszę tylko zrozumieć, że jesteśmy na siebie skazani. Ale kiedy błagałam go, żeby pozwolił mi wyjść, odmawiał.

– Nie wypuszczał pani na zewnątrz? W ogóle?

– Nie. Czasem na jakąś godzinę otwierał okno, żeby przewietrzyć piwnicę, ale zawsze wtedy przy mnie siedział. Pewnie, żebym nie zaczęła krzyczeć.

– Jak pani myśli, czy jeszcze kiedykolwiek poczuje się pani bezpieczna? Ten człowiek dostał dość niski moim zdaniem wyrok i niebawem wyjdzie z więzienia. Jak będzie się pani czuła, wiedząc, że jest wolny?

– Nie wiem, trudno mi teraz o tym myśleć. Na razie pociechą jest fakt, że on siedzi. Myślę, że w końcu sprzedam dom i wyjadę do stolicy. Zawsze marzyłam o Warszawie, zresztą w dużym mieście łatwiej zachować anonimowość, poczuć się bezpieczniej.

– Myśli pani, że będzie pani szukał? – zapytała Olszewska.

– Nie, raczej nie. Jemu chyba bardziej chodziło o dach nad głową niż o mnie. Kilka tygodni przed śmiercią mojej mamy pokłócił się ze znajomymi, u których pomieszkiwał, zanim ją poznał, i chyba przerażała go wizja bezdomności.

– Jednak uwięzienie właścicielki domu w piwnicy to dość niekonwencjonalna metoda na znalezienie lokum, prawda?

– Dziennikarka uśmiechnęła się krzywo.

– Zgadzam się. Pewnie dlatego ja jestem tu dziś z państwem, a on siedzi w celi – powiedziała dziewczyna zaskakująco spokojnym głosem, który nie zdradzał zdenerwowania.

– Cóż, świetnie to pani ujęła. Dziękuję serdecznie za rozmowę. Przejdźmy do historii pani Moniki, którą niezrównoważony emocjonalnie, zupełnie obcy mężczyzna, zwabił do samochodu i uwięził na prawie osiem lat. Jak to się stało, że wsiadła pani do tamtego auta? – zapytała Olszewska, zwracając się do mnie.

Zaczęłam mówić.

Początkowo lekko się zacinałam, później mówiłam coraz pewniej. Prowadząca słuchała, od czasu do czasu kiwając głową, i zanim się zorientowałam, opowiedziałam widzom całą moją historię. Nie przyznałam się tylko do jednego. Do romansu z Szymonem. Olszewska zapytała co prawda, co robiłam na tamtej drodze, ale skłamałam, że wyszłam na spacer. Nie uwierzyła mi, widziałam to w jej oczach, ale nie zamierzałam się tym przejmować. Dla mnie najważniejsza była opowieść o człowieku, który uwięził mnie w swoim własnym, pełnym zgnilizny życiu, wtłoczył w nie, nie dając możliwości wyboru. To, dokąd wtedy szłam, nie miało najmniejszego znaczenia. Liczyło się, że są na świecie ludzie skłonni do tego typu podłości. Tak, świetnie wiedziałam, że siedzący przed telewizorami widzowie mają tego świadomość. Jednak świadectwo kogoś takiego jak ja łatwiej wryć w pamięć, niż czytane przy porannej kawie nudne policyjne statystyki.

Kiedy skończyłam, zaczęła mówić siedząca po mojej prawej stronie trzydziestolatka.

– Miałam niecałe dwanaście lat, kiedy w drodze do szkoły zostałam zaczepiona przez jakąś kobietę. Z nieznanym mężczyzną nigdy bym nie rozmawiała, rodzice zawsze mnie przed tym przestrzegali, ale ona sprawiała takie miłe wrażenie. Była ładna, dobrze ubrana i miała piękne, ciemnokasztanowe włosy, które sięgały jej prawie do pasa. Powiedziała mi, że zgubiła psa. Byłam dzieckiem raczej łatwowiernym i naiwnym, wychowywanym nieco pod kloszem, więc bardzo się jej historią przejęłam. Zaczęłyśmy rozmawiać. Szybko straciłam czujność i zanim się zorientowałam, zwabiła mnie do samochodu. Mieszkaliśmy wtedy w niewielkiej wiosce, szosa była pusta.

W aucie czekał jej partner. Pamiętam, że rzucili mnie na tylne siedzenie i nakryli kocem. Krzyczałam, ale kazali mi się zamknąć. „Przymknij się albo zrobimy coś złego twojej mamie!” – powtarzała ona, więc w końcu ucichłam. Przetrzytywali mnie w jakiejś stodole, kazali spać w zamykanej na kłódkę drewnianej skrzyni. Ona musiała dodawać mi coś do herbaty, bo bez przerwy spałam. Karmili mnie batonami i kanapkami z żółtym serem i pozwolili mi się bawić z kotem.

– Jak długo była pani przetrzymywana? I co najważniejsze, czego ci ludzie chcieli? – zapytała Olszewska, zerkając do trzymanyh w ręku notatek.

– Czego chcieli, dowiedziałam się dopiero po moich osiemnastych urodzinach. Wcześniej rodzice mnie okłamali. Powiedzieli mi, że porwała mnie para chorych psychicznie ludzi. Że to był przypadek, że po prostu w złym czasie znalazłam się w niewłaściwym miejscu. Dopiero kilka lat później tato przyznał, że chodziło im o okup. Ona pracowała kiedyś w salonie jubilerskim moich rodziców i wymyśliła sobie, że oskubie ich z kasy. Najbardziej szokujące było to, że potrafiła zrobić coś tak podłego swojemu byłemu pracodawcy. A tato zawsze dobrze traktował swoich pracowników. Mieli duże zniżki na jego biżuterię, dostawali całkiem spore premie od sprzedaży. Ale ona miała problem z hazardem i gigantyczne długi. Straciła pracę w salonie taty, bo z kasy znikwały drobne sumy i mój ojciec zdołał jej udowodnić kradzież. Być może o to, że została zwolniona, też miała do niego żal. W każdym razie uroiła sobie, że porywając mnie, zarobi łatwe i szybkie pieniądze.

– Szczęściem w pani sprawie policja szybko powiązała fakty – powiedziała prowadząca.

– Tak, można powiedzieć, ekspresowo. Po trzech dniach byłam już na wolności. Po historiach, które opowiedziały pozostałe dziewczyny, może się to wydać niewiele, ale proszę mi wierzyć, ja do dziś noszę w sobie strach... Boję się spacerów pustą szosą, bo od razu wyobrażam sobie, że zatrzyma się jakieś auto i ktoś wepchnie mnie do środka. Boję się ciemności, mam klaustrofobię, nadal uczęszczam na terapię. Przez pewien czas po porwaniu w ogóle nie wychodziłam z domu i co dziwne, agorafobia objawiła się u mnie dopiero po dwudziestce, więc już kilka lat od tamtych wydarzeń.

– Jak długo to trwało? – zapytała prowadząca.

– Ponad trzy lata.

– Przez ponad trzy lata nie wychodziła pani z domu? – Alicję Olszewską wyraźnie zszokowało wyznanie dziewczyny.

– Tak. Dokładnie trzy lata, dwa miesiące i cztery dni. Większość czasu spędzałam w swoim pokoju, czasem siadałam z książką na oszklonej werandzie za domem rodziców. Ale to nie był stracony czas. Nauczyłam się wtedy włoskiego i poznałam przez internet przyszłego męża – zupełnie niespodziewanie dziewczyna się roześmiała i atmosfera w studiu nieco się ociepliła.

– Co poradziłybyście panie ludziom szukającym swoich bliskich? Czy w waszym przypadku coś zostało przeoczone? Czy można było zrobić coś więcej? – zapytała dziennikarka.

– Myślę, że większość z nas jest zbyt łatwowierna i daje się zwieść pozorom. A przecież miły sąsiad, który tak dba o swojego psa i zawsze grzecznie się nam kłania, równie dobrze może skrywać jakąś mroczną tajemnicę. Czytałam ostatnio o dziewczynie przez lata przetrzymywanej w piwnicy jakieś trzy przecznice od jej rodzinnego domu. Bydlak, który ją tam więził, brał udział w poszukiwaniach, pocieszał jej matkę... Czemu policja, czemu sąsiedzi nie zagląдают w takich przypadkach wszędzie? Ktoś, kto nie ma nic do ukrycia, nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby śledczy zeszli na moment do jego piwnicy czy zajrzeli na strych – powiedziałam. – Jednak ja nikogo o nic nie oskarżam. Moja rodzina poświęciła całe swoje życie i cały swój czas, żeby mnie odnaleźć.

– Mimo wszystko nie udało im się to – powiedziała cicho Olszewska. – Myśli pani czasem o tym, że właściwie o pani dalszym losie zdecydował przypadek? Że równie dobrze mogłaby pani nadal tam tkwić? Przecież gdyby ten człowiek nie zmarł nagle na poczcie, nadal by panią przetrzymywał...

– Zdaję sobie z tego sprawę – przyznałam.

– Nadal mają panie koszmary? Śnią o tym wszystkim?

– Tak – powiedziała córka jubilera.

– Czasem o tym śnię. Miewam też ataki paniki, zazwyczaj w najprzeróżniejszych dziwnych miejscach. Na przykład pod prysznicem

– przyznała ta, którą przetrzymywał partner zmarłej matki.

– Niemal co noc – szepnęłam. – Tymczasem, jeżdżąc po mieście autobusami, przyglądam się ludziom, którzy czytują powieści typu *Uwięziona*. Szmatławce pisane dla kasy, które ktoś wymyśla, siedząc sobie wygodnie we własnym bezpiecznym domu, być może z drinkiem w dłoni.

– Zna pani tę książkę? Jej autor mieszka w naszym miasteczku, zdaje sobie pani z tego sprawę? – zapytała prowadząca.

– Tak, wiem o tym. Pewnie dlatego rzucił mi się w oczy tytuł. Plakaty informujące o jego spotkaniach z czytelnikami wiszą niemal wszędzie – powiedziałam, nie przyznając, że osobiście znam Szymona.

– Uważa pani, że tego typu literatura to pewnego rodzaju nadużycie? Że autorzy przekraczają granice dobrego smaku? – zapytała Olszewska.

– Uważam, że o wiele cenniejsza byłaby pozycja z gatunku literatury faktu. Coś, co omawia problem uprowadzeń, nie epatując jednocześnie czytelnika ohydnyymi scenami przemocy. *Uwięziona* to jest czyste porno w grafomańskiej oprawie, nic więcej.

– A jednak świetnie się sprzedaje. Na polskim rynku niewiele debiutów osiąga aż taki sukces. A po tym, co pani teraz powiedziała, sprzeda się pewnie jeszcze lepiej – skwitowała mój wywód prowadząca.

– Pewnie tak – zgodziłam się z nią. – Dlatego właśnie nie zawaham się powiedzieć, że żyjemy w naprawdę chorym świecie – stwierdziłam.

Pokiwała głową i nie dodała niczego więcej.

– Kończąc naszą rozmowę, zapytam jeszcze o jedno. Gdyby miały panie szansę powiedzieć coś swoim porywaczom, co by to było?

– odezwała się po chwili.

– Żal mi cię. To bym mu powiedziała, gdybym jeszcze go zobaczyła – odezwała się ta, która spędziła cztery miesiące w piwnicy.

– Nie wiem. Chyba coś o bólu, jakiego przysporzyli moim rodzicom. Porwali z ulicy ich niespełna dwunastoletnią córkę! Co za ludzie robią takie rzeczy? – odezwała się druga z dziewczyn, mnąc w dłoniach wyjętą z kieszeni chusteczkę.

Mam nadzieję, że zdychając tam, na pełnej pośniegowego błota podłodze, otoczony tłumkiem gapiów, myślałeś o piekle, pomyślałam.

Nie powiedziałam jednak tego na głos. Po prostu milczałam.

Chwilę później Olszewska podziękowała nam za udział w programie, a młody technik odpiął mi mikrofon.

– Masz jeszcze fajki? – zapytał Olszewską, uwalniając mnie od przypiętego z tyłu portu.

– Gdybym kiedyś zliczyła, ile fajek ode mnie wysepiłeś...

– mruknęła dziennikarka, podając mu paczkę papierosów.

– No, ale za to podrzucę cię dziś pod sam dom. Doszły mnie słuchy, że twoja terenówka dalej jest w warsztacie – wyszczerzył się.

– Proszę, proszę, jaki jesteś poinformowany – Alicja podała mi zapalniczkę i rozpięła żakiet. – Słuchaj, wiesz może coś o Wojtku Szczygle? Przed południem ze trzy razy dzwoniłam do jego żony, ale nie odebrała... – dodała poważniejszym tonem.

– Ponoć nadal jest w śpiączce – powiedział technik, żegnając się ze mną skinieniem głowy. – Idę na dymka. Jeśli będziesz chciała pogadać, jestem na zewnątrz – mrugnął do Olszewskiej i wyszedł ze studia.

Byłam przy drzwiach, kiedy prowadząca poprosiła mnie o chwilę rozmowy.

– Pani Moniko, jeszcze tak między nami... Gdyby kiedykolwiek potrzebowała pani dobrego psychiatry, mój brat...

– Każdego swojego gościa żegna pani tym zdaniem? – zapytałam ostro.

Zmieszała się.

– Nie miałam na myśli niczego złego. Po prostu ciężko mi wyobrazić sobie koszmar, przez jaki pani przeszła. Proszę, żeby nie czuła się pani urażona. Chciałam tylko... Cholera! Wiem, bywam zbyt bezpośrednia, ale...

– Rozumiem. Ja też czasem reaguję zbyt emocjonalnie.

A w kwestii pani brata, proszę mi zapisać jego numer. Kto wie, może któregoś dnia usłyszę głosy w głowie? Może nawet powiedzą mi, żebym podłożyła bombę pod budynek telewizji? – wysiliłam się na kiepski żart.

– Czarny humor, to lubię! – roześmiała się Olszewska, przewijając listę kontaktów w swojej komórce.

Zapisałam więc w pamięci telefonu numer doktora Sebastiana Barczewskiego i pożegnałyśmy się w ciemnym korytarzu za studiem.

Kiedy wyszłam z budynku telewizji, zadzwoniłam do siostry. Obiecała mi, że będzie czekać na telefon i po mnie przyjedzie.

– I jak ci poszło? Kiedy to będzie można obejrzeć? – zapytała Magdalena, nie witając się ze mną.

– Jestem doszczętnie rozwalona emocjonalnie. W dodatku na sam koniec wdałam się w dość kąśliwą wymianę zdań z prowadzącą, ale chyba nawiązałam nowe znajomości – uśmiechnęłam się na myśl o towarzyszących mi w programie dziewczynach, z którymi tuż po nagraniu wymieniliśmy się numerami telefonów.

– Pytali cię o... No wiesz...

– O gwałt? Nie.

– A gdyby zapytali, opowiedziałabyś?

– Nie wiem, chyba tak.

– Podjadę po ciebie za jakiś kwadrans. Czekaj przed bramą, okay?

– powiedziała Magda, szybko się ze mną żegnając.

Zanim schowałam telefon do torebki, zauważyłam na wyświetlaczu trzy nieodebrane połączenia, wszystkie od Kuby. Wybrałam jego numer.

– Cześć. Dzwoniłeś – powiedziałam.

– Cześć, żonko.

– Bardzo śmieszne.

– No co? Oficjalnie nadal się z tobą nie rozwiodłem.

– Chyba ja z tobą – zażartowałam.

– Tak czy inaczej, Iwona dostaje szału za każdym razem, kiedy o tym mówimy. Od dawna chce ślubu, a odkąd zaszła w ciążę, temat powraca jak bumerang.

– Dziwisz jej się? Urodzi ci dzieci, jest z tobą od lat. Teraz, kiedy wróciłam, powinieneś uporządkować swoje sprawy i jakoś się zadeklarować.

Nie odpowiedział.

Zapytał tylko, co u mnie, i dodał, że mu się śniłam.

– Prawdę mówiąc, dawno nie miałem takiego koszmaru. Dusił cię jakiś facet w przebraniu klauna; ja siedziałem za metalowymi kratami, nie potrafiąc ci pomóc. Obudziłem się z krzykiem, podobno wołałem cię po imieniu. Oczywiście Iwona rzuciła focha i od rana się do mnie nie odzywa – mruknął.



Roześmiałam się.

– Moja siostra od dzieciństwa panicznie boi się klaunów...

– Magda? – zdziwił się. – Nie miałem pojęcia. To ponoć jakaś fobia.

– Koulrofobia. Całkiem niedawno to sprawdzałyśmy.

– Dość nietypowe. Skąd jej się to wzięło? Chodziłyście w dzieciństwie do cyrku? Jakież traumatyczne przeżycia w wesołym miasteczku? – zapytał rozbawionym tonem.

– Nie bardzo pamiętam, ale chyba nie... Tato od lat jest przeczulony na kwestię występujących na cyrkowych arenach zwierzaków; uważa, że powinno się tego zakazać. Co u was? Jak dziewczynki? Wybraliście już imiona?

– Nie. Nie możemy się dogadać. Iwona chce Kornelię i Igę. Ja wolałbym Zosię i Anielkę. Po staropolsku.

– Po twojej babci. Miała na imię Zofia – przypomniałam sobie.

– Tak.

– Sypiacie po nocach? – zapytałam, przechadzając się wzdłuż otaczającego budynek telewizji, kamiennego muru.

– Marnie. Słuchaj, w kwestii naszego spotkania...

– Kuba, nie teraz. Zaraz podjedzie po mnie Magda, pogadamy kiedy indziej, okay?

– Znowu mnie spławiasz – powiedział.

– Nie. Mówię tylko, że zadzwonię wieczorem.

– Okay, jak wolisz.

– No nie bocz się! Zadzwonię – obiecałam.

– Zobaczymy – mruknął.

– Magda jedzie, będę kończyć – dodałam i szybko się z nim pożegnałam.

Siostra wykręciła w wąskiej jednokierunkowej uliczce i zatrąbiła.

– Sasza jest w delegacji, więc wzięłam jego auto. Oczywiście nic mu o tym nie wiadomo – powitała mnie młoda figlarnym uśmiechem.

– Pojechał pociągiem? – zdziwiłam się.

– Nie. Jeden inżynier od nich też jechał i wybrali się jego terenówką.

– Czyli kota nie ma, mysz harcuje, tak?

– Coś w ten deseń. Jezusie, jaki masz cudny makijaż! – zachwyciła się.

– Fakt, makijażystka się spisała.

– Jeszcze trochę, a zostaniesz lokalną gwiazdą.

– Jasne – roześmiałam się.

– Jedźmy nad rzekę – powiedziała Magda, skręcając w prawo z jednokierunkowej. – Pamiętasz to miejsce nad jazem? Tam przy głazach, gdzie czasem spotykałaś się po szkole z przyjaciółmi. Kilka razy zakradłam się tam i przyglądałam się wam z daleka. Paliłaś i całowałaś się z jakimś brunetem – powiedziała.

– Śledziłaś mnie, smarkulo? – zażartowałam.

– Bywało.

– To musiał być Maciek. Chociaż nie, czekaj. To mógł być też Tomek, bo wtedy strasznie się w nim kochałam. Łaził w takiej pełnej agrafek, skórzanej czarnej kurtce, pamiętasz? I wszędzie taszczył ze sobą gitarę. Chciał zostać gwiazdą rocka, a skończył, prowadząc zakład pogrzebowy – roześmiałam się. – Widziałam go jakieś parę dni przed moim zaginięciem, wpadliśmy na siebie na Ogrodowej. Był z synkiem, chyba trzyletnim. Nawet chwilę pogadaliśmy, chociaż w sumie marnie nam się ta rozmowa kleiła – przypomniałam sobie.

– Zawsze przyciągałaś jakichś zakreconych gości – skwitowała Magda, zjeżdżając w stronę rzeki.

– I kto to mówi? Pamiętasz tego typu z czubem czerwonych włosów i wygoloną po bokach czaszką? Tego, którego przyprowadziłaś do domu na swoje dziewiętnaste urodziny. Koleś wyjął ze spiżarki słoje z kiszonymi ogórkami i zaczął je wyjadać przy stole. Palcami, i tak koszmarnie przy tym mlaskał. Mama do dziś podejrzewa, że był naćpany – roześmiałam się.

– Bo chyba był. W każdym razie zerwałam z nim parę dni po tamtej imprezie – mruknęła moja siostra.

– Przez te ogórki? Czy raczej przez fryzurę? – zażartowałam.

– Fryzurę miał okay, sama go farbowałam. Zerwaliśmy przez to, co kilka dni później mi powiedział. Piliśmy wtedy w ruinach dawnego szpitala psychiatrycznego przy parku, a on nagle, ni stąd, ni zowąd zaczął gadać o tym, że chyba jest biseksualny.

– Przynajmniej był szczery. Nie wiem jak ty, ale ja lubię jasne sytuacje – roześmiałam się.

– Problem polegał na tym, że on przespał się już z jednym z naszych kumpli i nagle zrozumiałam, że nie mam ochoty być dziewczyną kogoś, kto jakiś czas wcześniej zaliczył Miętusa.

– Artka Miętusa? – zdziwiłam się. – Nie miałam pojęcia, że jest gejem.

– Świat jest pełen niespodzianek – mruknęła Magda, zjeżdżając na wyłożone betonowymi płytami nabrzeże. – Szczęściem nie było między nami nic więcej oprócz kilku pocałunków i w sumie rozstaliśmy się bez większych dramatów – dodała moja siostra, wyłączając silnik.

Rozpięłam pasy i wysiadłam z samochodu.

Rzeka była pełna śmieci, wzburzona. Jeszcze kilka dni temu skuta lodem; teraz, podczas odwilży, przypominała ciemną kipieli.

– Kochałam się tu kiedyś z Kubą. Była chyba czwarta nad ranem, a my wracaliśmy z dyskoteki i zjechaliśmy nad wodę – powiedziałam.

– Z dyskoteki? Wy? – parsknęła śmiechem Magda.

– A co? Myślisz, że tylko ty włóczyłaś się po klubach?

– szturchnęłam ją. – Patrz, ile kaczek – uśmiechnęłam się.

– Całowałam się kiedyś z Jakubem – powiedziała cicho moja siostra.

– Co? – zdziwiłam się, zaskoczona jej niecodziennym wyznaniem.

– Pokłóciliście się wtedy w kinie i ty wsiadłaś do taksówki, on podrzucił mnie do domu. Pamiętam, że strasznie lało i długo rozmawialiśmy w aucie. W końcu, żegnając się ze mną, Kuba chciał mnie pocałować w policzek, ale ja przekręciłam głowę i stało się. Ale to było jeszcze przed twoim zaginięciem, a ja byłam rozpuszczoną, egoistyczną smarkułą, która...

– Magda, jakie to w ogóle ma teraz znaczenie? – powiedziałam, obejmując ją ramieniem. – Tacy już jesteśmy. Wszyscy popełniamy błędy i wszyscy bez wyjątku pragniemy tego, czego nie możemy mieć. Czegoś albo kogoś... Zawsze.

– Myślałam, że się wściekniesz... Duszę to w sobie od lat. Wiem, niby nic, głupi pocałunek, ale zawsze, kiedy o tym myślę, czuję się najgorszą siostrą na świecie.

– Jesteś fantastyczną siostrą, młoda. Najlepszą – powiedziałam. Skinęła głową i schyliła się, chcąc podnieść jeden z leżących na betonie kamyków. Po chwili cisnęła go w wodę. Wpadł z głośnym pluskiem.

– Śniła mi się dziś Emily. Szłyśmy brzegiem morza, a ona nagle zaczęła płakać. „Ty znalazłaś swoją siostrę, a moja nie żyje” – łkała. Obudziłam się z płaczem, dawno nie miałam takiego wyrazistego snu...

– O kim ty mówisz? – zdziwiłam się.

– O Emily Kelton, nie wspominałam ci o niej jeszcze? Kilka lat temu szukała Grace, swojej zaginionej w Cardiff siostry. Znalazłam jej prośbę o pomoc na stronie jednego z brytyjskich serwisów poświęconych zaginionym i pod wpływem jakiegoś impulsu, napisałam do niej mejla. Odpisała mi i przez jakiś czas wymieniałymy wiadomości. Rozwiesiła twoje zdjęcia w centrum swojego miasta, ja pozawieszałam na drzewach i przystankach podobizny jej siostry. Jakiś czas później napisała mi, że Grace nie żyje. Przez kilka godzin usiłowałam napisać jej coś, co w jakiś sposób podniesie ją na duchu, ale nie potrafiłam. Więc w końcu odpuściłam i nie odpisałam jej nic. Nic, rozumiesz? Ani słowa. I chociaż minęło już tyle lat, do dziś mnie to gryzie – powiedziałam.

– Napisz do niej teraz. Masz jeszcze tego mejla?

– Żartujesz? Teraz? Monika, ona...

– Napisz do niej. Zróbmy sobie zdjęcie tu, nad wodą, a później napisz jej szczerego mejla i wszystko wyjaśnij. Nawet jeśli nie odpisze, poczujesz się znacznie lepiej. No już, dawaj telefon! Pozwolę ci nawet wrzucić tę fotkę na Facebooka – dodałam i siostra wyjęła z torebki komórkę.

Fotka wyszła smutna. Czerń pozbawionych liści drzew kontrastowała z wszechobecną bielą topiącego się śniegu. My byłyśmy kolorową plamą pośród ponurego zimowego krajobrazu. Ja w szafirowej kurtce, Magda w żółtym płaszczu, jednak nawet żywe kolory naszych okryć nie dodawały radości zdjęciu. Obie byłyśmy smutne i nasz smutek wyraźnie było widać w oczach.

– Boję się, że rozdrapię tym mejlem zabliznione rany – powiedziała Magda, wpatrując się w swoją komórkę.

Po chwili jednak napisała krótką wiadomość i dodała do niej zdjęcie.

– Poszło. Zdziwię się, jeśli odpisze... Chodźmy do samochodu, straszny ziąb – mruknęła, ciskając w wodę ostatni kamień.

Kiedy wsiadłyśmy, wyjęła ze schowka płytę Cher.

– Patrz, co znalazłam, porządkując mieszkanie. Uwielbiałaś ją kiedyś, pamiętasz? – uśmiechnęła się. – *No matter how hard I try, you keep pushing me aside* – zanuciła.

– Mama przyniosła mi ostatnio kilka kartonów z moimi rzeczami. Ciuchy, których Kuba nie miał serca wyrzucić, książki, zdjęcia. Znalazłam fotkę z dnia twojej matury. Tę, na której stoisz w furtce i machasz tacie. Wyglądasz na niej tak młodo, że się poryczałam. Patrząc na to zdjęcie, zrozumiałam, ile straciłam, ile czasu nam skradziono, ile wspomnień...

– Nie możemy tak myśleć, Monika. Musimy przestać zadręczać się stratą i żyć tym, co jeszcze przed nami! – powiedziała Magda. – Cholera, muszę zapalić!

– Wróciłaś do fajek?

– Okazjonalnie. Sasza oczywiście się wścieka. Ostatnio wrócił wcześniej i poczuł dym. Zrobił mi dziką awanturę, że palę przy małej, chociaż przecież stałam w otwartym oknie, a ona układała klocki w naszej sypialni.

– Jak to jest być matką? – zapytałam nagle.

Siostra wyjęła ze schowka marlboro i lekko wzruszyła ramionami.

– Zazwyczaj cudownie. To są emocje, o jakich kilka lat temu nie miałam pojęcia. Chociaż są również takie momenty, kiedy mam ochotę sprzedać smarkulę na Allegro. A zmieniając temat – zostaniesz z nią któregoś wieczoru? Julka dużo o tobie mówi, ostatnio narysowała ci laurkę. Mogłabym ją wam podrzucić, a my w końcu wyskoczylibyśmy potańczyć. W sumie nie pamiętam już, kiedy byliśmy z Saszą na mieście. Czasem chodzimy na piwo z ludźmi z jego firmy, ale to nie to samo – powiedziała Magda, wyjmując papierosa.

– Daj jednego – poprosiłam.

– Nie wierzę – roześmiała się.

– A jednak.

Paliliśmy, zasłuchane w szum rzeki dochodzący zza uchylonych, samochodowych szyb. W końcu Magda cisnęła niedopałek na beton i włączyła silnik.

– Muszę powoli wracać, dziś ja odbieram młodą z przedszkola – powiedziała.

Zdusiłam papierosa w samochodowej popielniczce i podniosłam szybę.

– Podrzucić mnie na Ogrodową, nie chcę jeszcze wracać do rodziców – poprosiłam.

– A może wpadniesz do nas na obiad? Młoda się ucieszy, a my będziemy miały okazję, żeby jeszcze trochę pogadać. Sasza wróci dziś późno, będę cała twoja.

– Kusisz – uśmiechnęłam się.

– No, nie daj się prosić.

– Dobra, skoro nalegasz. Mama zrobiła wczoraj gulasz, na który nie bardzo mam ochotę, tym chętniej zjem coś u ciebie – zażartowałam.

– Dalej jest taka nadopiekuńcza?

– Nie, już nieco mniej. Zajęła się remontem butiku, planuje zupełnie nowy wystrój i całe przedpołudnia spędza, szukając w sieci zdjęć inspirujących wnętrz.

– Kiedy przepadłaś, chciała go sprzedać. Namówiłam ją, żeby tego nie robiła i niedawno mi podziękowała.

– Bez ciebie rodzice by sobie nie poradzili, wiesz o tym? – zapytałam.

– Oczywiście, że by sobie poradzili! Pewne sytuacje wydają się tak niewiarygodnie koszmarnie, że aż nie do przejścia. Ale kiedy cię spotykają, jakoś sobie radzisz. Jakie inne ma się opcje? – zapytała Magda, wyjeżdżając na szosę.

Pod przedszkole dotarliśmy kilka minut później.

– Cioooocia! – krzyknęła na mój widok Julka, wpadając na mnie z impetem.

– Jak to jest być ciocią? – zapytała Magda, posyłając mi uśmiech.

– Cudownie. I jeszcze nie mam ochoty sprzedać jej na Allegro.

– Przyjdzie taki dzień, wierz mi – uśmiechnęła się moja siostra i kazała młodej wsiadać do samochodu. – To co, na co masz ochotę?

Omlet, naleśniki, coś mięsnego? – zapytała.

– Naleśniki z czekoladą i bananami. Kiedy byłaś smarkulą, jadałyśmy je często, pamiętasz?

– Julka je uwielbia, Sasza nie znosi...

– Ale Sasza wróci dziś późno, a przed nami babskie popołudnie, więc chrzanić dietę i zaszalejmy! – dokończyłam za nią.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że z nami jesteś – powiedziała cicho Magda, kiedy wjeżdżałyśmy na jej ulicę. – Czasem budzę się w nocy i ledwo mogę oddychać na myśl, że być może to wszystko tylko mi się śni. Ostatnio włożyłam w ramkę nasze wspólne zdjęcie z Kopenhagi i postawiłam je na nocnej szafce. Dzięki temu, kiedy tylko się obudzę, wiem, że jednak wróciłaś.

– Wróciłam, Magda. Na dobre.

– Wczoraj wpadłam do mamy i zastałam ją zapłakaną, z rękoma w cieście. Kiedy zapytałam, czemu beczy nad stolnicą, powiedziała, że przypomniała sobie, ile razy zagniała mąkę na ruskie pierogi w nadziei, że zjawisz się na obiedzie.

– Zmieńmy temat, zanim się rozkleję – szepnęłam.

– Sorry. Faktycznie strasznie dziś smęczę – Magda parsknęła nerwowym śmiechem i zatrzymała się, przepuszczając na pasach młodzieńką matkę z wózkiem. – Ta dziewczyna mieszka w sąsiedniej kamienicy. Nie ma jeszcze dwudziestki, a związała się z pięćdziesięciosześcioletkiem. Gość jest już dwukrotnie rozwiedziony i ma trójkę dorosłych dzieci. Oczywiście okolica aż huczy od plotek, tylko ja tak sobie myślę – jakie to ma znaczenie i kogo obchodzi? Tyle dookoła dramatów... Chorób, śmierci, złych emocji, a ludzie nadal zaglądną sobie do łóżek i portfeli, jakby tylko to było w życiu ważne – dodała, zjeżdżając na chodnik.

– Ludzkiej natury nie zmienisz, taka prawda. Zawsze przecież tak było. Naszą rodzinę spotkało coś, dzięki czemu na wiele spraw możemy spojrzeć z zupełnie innej perspektywy. Ale dla samotnej staruszki, która spędza całe dni, wyglądając przez okno, takie historie zawsze będą atrakcyjne – powiedziałam.

– Pewnie masz rację. Cholera jasna, zapomniałam o bananach!

– zaklęła, a siedząca z tyłu Julka klasnęła w dłonie.

– Mama brzydko powiedziała! – krzyknęła.

– Nie pierwszy raz – mruknęła Magda, zauważyłam jednak, że się zaczerwieniła. – Widzisz, to jeden z minusów bycia matką. Trzeba uważać na to, co się mówi – dodała szeptem.

– Zawsze lubiłaś sobie zakląć – uśmiechnęłam się pod nosem.

– Obawiam się, że to dziedziczne. Ostatnio w przedszkolu Julka nazwała kolegę chujem. Ale wierz mi lub nie, tego na pewno jej nie nauczyłam – zachichotała Magda, rozpinając pasy.

Parsknęłam śmiechem i wymieniliśmy rozbawione spojrzenia.

– Idź z nią na górę, ja skoczę po te banany. Za rogiem widziałam warzywniak – powiedziałam.

– Tylko wróć, okay? – szepnęła Magda.

– Co? Chryste! Dość upiorny ten żarcik – skrzywiłam się.

– Nie żartowałam. Po prostu nagle przypomniałam sobie tamto popołudnie, ten przekłety śnieg i... Cholera, rozkleiłam się – Magda zaczęła płakać.

– Jezu, młoda! Serio? Będziesz teraz beczeć? – szturchnęłam ją.

– Czemu mamusia płacze?

– Bo jest głupia – chlipnęła Magda, wyjmując ze schowka chusteczki. – Sorry, mam dziś jakiś lewy dzień. Idź po te banany, tylko zaraz wracaj – dodała.

Pogłaskałam ją po głowie i wysiadłam z samochodu.

Sprzedawca w warzywniaku był młody, niespełna trzydziestoletni. Zagadnął mnie, kiedy oglądałam pomidory, i zaczął wypytywać, czy mieszkam w okolicy. Po chwili gadka zesłała na hiszpańskie kino i zanim się obejrzałam, minęło prawie dwadzieścia minut. Dobrze mi się z nim rozmawiało, na luzie. Dopiero kiedy pomyślałam, że Magda pewnie coraz bardziej się niepokoi, zakończyłam pogawędkę i położyłam na wadze pęk bananów. Wracając w stronę ich kamienicy, zastanawiałam się, czy tak już będzie zawsze? Czy za każdym razem, kiedy na dłużej gdzieś zniknę, moi bliscy będą się zastanawiać, czy aby na pewno jeszcze wrócę? Z drugiej jednak strony może nic w tym dziwnego? W każdym z nas drzemał chyba strach o rodzinę, tkwił upchnięty głęboko w podświadomości, przyczajony. W świecie, w którym czyhają na człowieka dosłownie setki zagrożeń, nie trzeba być ocalałą z piekła,



żeby zrozumieć, że niepokój będzie nam towarzyszyć już zawsze...

## 21.

Wysoki ciemnowłosy mężczyzna wysiadł z samochodu, kiedy wychodziłam z kliniki. Znajoma sylwetka, pomyślałam, dopiero chwilę później zdając sobie sprawę, że stoi przede mną... Jakub. Osiem lat straszy i o osiem lat odleglejszy od tego, co kiedyś nas łączyło, jednak nadal on. Mój mąż. Tak, wiem, nie powinnam tak o nim myśleć, skoro od dłuższego czasu jest z inną kobietą i ma z nią dwójkę maleńkich dzieci. A jednak tak właśnie pomyślałam. W rozświetlonej przez uliczne latarnie ciemności nasze oczy się spotkały, odszukały. Na mój widok Jakub gwałtownie wciągnął powietrze i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Monika...

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? – zapytałam, z trudem wydobywając głos przez zaciśnięte z emocji gardło.

– Twoja mama powiedziała mi, że od niedawna tu pracujesz – powiedział.

Staliśmy na chodniku. Pusta ciemna ulica, wirujące wokół naszych głów płatki śniegu i nas dwoje. Mężczyzna, który kiedyś założył mi na palec złotą ślubną obrączkę, był ostatnią osobą, którą spodziewałabym się spotkać w tym wąskim zaułku przed weterynaryjną kliniką i dopiero po chwili dotarło do mnie, że to się dzieje naprawdę. Wsiadł w samochód i przyjechał. Nie umawialiśmy się, po prostu się zjawił. Ja wciąż jeszcze zbyt się bałam tego naszego spotkania, żeby pozwolić mu na ten krok. Ale on i tak zrobił to, co chciał. Jak zawsze. Kiedyś kochałam ten jego upór, chociaż bywało, że nieco mnie drażnił.

– Mam takie idiotyczne wrażenie, że śnię... – Kuba zrobił niepewny krok w moją stronę i samymi opuszkami palców dotknął mojej twarzy, jakby on również nie mógł uwierzyć, że przed sobą stoimy.

Wtuliłam się w niego, przywarłam całym ciałem.

– Tak cholernie za tobą tęskniłem – wyszeptał w moje włosy. Zacisnęłam powieki, starając się nie rozplakać.

– Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie pogadać. Może do naszej włoskiej restauracji? – dodał.

Skinęłam głową, zbyt wzruszona, żeby wydobyć z siebie głos. Jakub... Nic się nie zmienił, chociaż minął taki szmat czasu. Ciemne oczy, gładko ogolona twarz, mocny męski podbródek i gęste, teraz lekko przyprószone siwizną włosy, które nadal układał na żel. Odsunęliśmy się od siebie, kiedy mijająca nas grupka rozbawionych nastolatków zaczęła gwizdać i rzucać pod naszym adresem niewybredne uwagi.

– Przepraszam, że zjawiłem się tak niespodziewanie. Mówiłaś, że nie jesteś gotowa na nasze spotkanie, ale chyba nie potrafiłem dłużej czekać – powiedział Kuba, podrzucając trzymane w ręku kluczyki.

– Dobrze, że przyjechałeś – zapewniłam go.

I nagle zdałam sobie sprawę, że gdzieś w głębi duszy tego właśnie chciałam. Nawet jeśli powtarzałam mu, że nie jestem na to gotowa.

Uśmiechnął się.

– Chodźmy stąd, strasznie dziś zimno – powiedział.

Zauważyłam, że przyjechał eleganckim czarnym audi kombi.

– Co się stało z naszą starą terenówką? – zapytałam, wsiadając do jego nowego szpanerskiego samochodu.

– Ukradli mi ją sprzed domu, wyobraź sobie. Całkiem niedawno, w zeszłym roku. Iwona była w trzecim miesiącu, kiedy z dnia na dzień zostaliśmy bez auta. Szczęściem jej ojciec chciał akurat sprzedać to audi i kupić sobie terenówkę. Zaproponował całkiem przyjazną dla mojego portfela cenę, więc się skusiłem. Najpewniej chce, żebym w końcu łaskawie ożenił się z jego córką – dodał Jakub ironicznym tonem.

– Co biorąc pod uwagę, że nie mamy jeszcze rozwodu, nie jest taką prostą sprawą – uśmiechnęłam się pod nosem.

– Dziwne to wszystko. Kiedy się z tobą żeniłem, byłem pewny, że to już na zawsze. Nie mieliśmy ślubu kościelnego, ale i tak chciałem, żeby to było na wieki wieków amen – powiedział, zapinając pasy.

– Kto wie, w jakim punkcie bylibyśmy teraz, gdybym lata temu nie przepadła? Dobrze wyobrażać sobie optymistyczne scenariusze, ale może rzeczywistość nie byłaby aż tak różowa? Może nie moglibyśmy już na siebie patrzeć i właśnie szarpalibyśmy się o majątek, rozmawiając ze sobą przez prawników? – wzruszyłam ramionami.

– Nie sądzę. To nie w naszym stylu – powiedział Jakub. – Policja powiedziała mi, że ten skurwysyn, który cię przetrzymywał, nie żyje?

– zmienił temat.

– Nie chcę o tym mówić, Kuba. To jeszcze zbyt świeże, zbyt bolesne. Na razie staram się żyć chwilą i nie oglądać za siebie.

Znalazłam pracę, cieszę się każdym dniem. Poranna kawa z ekspresu, spacer wokół wyrobiska, rozmowa z tatą, zabawa z psem – tyle rzeczy, które wydają się ludziom oczywiste, mnie przez ostatnie lata omijało.

– Nie myślisz o nim? Nigdy? Nie śni ci się? Nie przeklinasz go za to, co ci zrobił?

– On nie żyje, Kuba! Zdechł jak pies, sam wśród obcych ludzi! Czasem tak sobie myślę, że to niezła ironia losu. Kiedy zwabił mnie do swojego samochodu, udawał, że ma zawał. Kilka lat później właśnie zawał odebrał mu życie... Wybacz, ale nie potrafię o tym mówić. Nie chcę, żeby cały ten syf był teraz między nami... Może kiedyś, za kilka lat, co nieco ci opowiem, ale teraz...

– Masz rację, przepraszam. Opowiedz lepiej o tej nowej pracy – poprosił.

Uśmiechnęłam się.

– Wiesz, w zasadzie to nic ambitnego. Odbieram telefony, zajmuję się rozhisteryzowanymi właścicielkami zwierząt, parzę kawę. Ale jest miło, tak jakoś familijnie. Powoli uczę się imion, zapamiętuję twarze. Na przykład taka pani Wanda, precudna staruszka. Dobiega dziewięćdziesiątki i ma w mieszkaniu trzy koty. Nazwała je nazwiskami swoich ulubionych rosyjskich pisarzy, więc jest Puszkina, Tołstoj i Gogol.

– Nigdy nie lubiłem literatury rosyjskiej – mruknął Kuba, zjeżdżając w stronę centrum. – A koledzy? Wiedzą, gdzie byłeś przez ostatnie lata? Są wścibscy, czy dają ci żyć?

– Wiedzą, ale mają na tyle taktu, żeby nie podejmować tematu. Chyba że zbyt wiele wypiją... Ostatnio byliśmy w knajpie z meksykańskim żarciem i dziewczyna, która zmienia mnie w recepcji, poprosiła, żebym opowiedziała im coś o porywaczu. Nie zdążyłam nawet otworzyć ust, kiedy Leszek kazał jej się przymknąć, wyjść na zewnątrz i wytrzeźwieć.

– Leszek?

– Właściciel kliniki. Cholernie sympatyczny gość.

– Dobrze, że udało ci się znaleźć pracę. Bezczyenne siedzenie

w domu nikomu nie służy – mruknął Kuba. – Cholera, wszystko zajęte?  
– dodał, usiłując zaparkować jak najbliżej lokalu, w którym planowaliśmy zjeść.

W restauracji było duszno; gorąco buchające od strony wielkiego kaflowego pieca momentalnie zaróżowiło mi policzki. Usiedliśmy naprzeciwko siebie w jednej z podświetlonych na czerwono wnęk. Stolik był wąski, nasze kolana stykały się pod jego blatem, jak kiedyś, podczas pierwszych randek, na które chodziliśmy do tego samego lokalu.

– Niewiele się tu zmieniło – powiedział Kuba, najwyraźniej myśląc o tym samym, co ja. – I ty niewiele się zmieniłaś – dodał.

– Pomijając wagę... Daj spokój – parsknęłam.

Złapał mnie za rękę. Jego dłoń była ciepła, przywoływała wspomnienia bezpieczne jak puchowa pierzyna, w które bałam się jednak zagłębiać.

– Jak się trzymasz, Moniczko? – zapytał cicho.

Powiedziałam, że nie najgorzej.

Podał mi kartę i mruknął, że nadal mają w menu pizzę o nazwie Karczochissima.

– Pamiętam, że zawsze wolałaś hawajską...

Zapytałam, jak dziewczynki.

Wyjął z kieszeni portfel i podał mi zdjęcie. Ubrane w radosne czerwone śpioszki niemowlaki wyglądały niemal identycznie, jak wszystkie inne dzieci w tym wieku, i nie wzbudziły we mnie jakichś większych emocji. Może dlatego, że wciąż jeszcze nie docierało do mnie, że Jakub naprawdę ma swoje zupełnie nowe, inne życie. A może po prostu myślałam o czymś innym? Zamówiliśmy dużą pizzę z szynką i pieczarkami, niewielką karafkę wina i deser. Jeszcze na pusty żołądek wypiliśmy dwa kieliszki, Kuba nie pił. Nawet nie wiem, kiedy złapaliśmy się za ręce. Gest wydał mi się tak naturalny, że wręcz nieunikniony. Wino było cierpkie i nieco zbyt ciepłe, ale myślałam tylko o tym, że siedzimy wpatrzeni w siebie, chłoniemy swoją obecność, napawamy się nią niczym czystym górskim powietrzem.

Kończyłam tiramisu, kiedy w restauracji zjawiała się grupka rozkrzyczanych, wyjątkowo głośnych kobiet koło pięćdziesiątki.

– Chodźmy stąd – powiedział Kuba, rozglądając się za kelnerką.

– Tyle chciałabym ci powiedzieć, a siedzimy tutaj i rozmawiamy o rodzajach pizzy i innych nic nieznaczących bzdetach – szepnęłam, kiedy podał mi kurtkę.

– Na wszystko przyjdzie czas – wzruszył ramionami.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, nadal sypało.

– Pamiętasz, jak zrobiłem ci sesję zdjęciową przy tej fontannie z nimfami? – zapytał Jakub, spoglądając w stronę pobliskiego parku.

– Było wtedy chyba z minus dziesięć i okropnie wiało, a ty zdjęłaś czapkę i tak cudownie mi pozowałaś...

Uśmiechnęłam się i wyjęłam z kieszeni rękawiczki.

– Dzień później obudziłam się z bolącymi zatokami i katarem – mruknęłam.

– Tego nie pamiętam. Chyba właśnie zabiłaś moje romantyczne wspomnienia... Chodźmy do hotelu. Zatrzymałem się w Royalu, mają tam całkiem przyjemny drink bar. Posiedzimy, powspominamy, a później wezwę ci taryfę.

– Co powiedziałaś Iwonie? – zapytałam, kiedy przechodziliśmy przez ulicę.

– Że jestem w delegacji. Wpadłaby w szal, gdyby wiedziała, że tu przyjechałem. Kilka dni temu zrobiła mi naprawdę dziką awanturę i zaznaczyła, że jeśli kiedykolwiek się z tobą spotkam, pożałuję...

– Bardzo brzydki szantaż emocjonalny.

– Prawda? – zarechotał Jakub, nasuwając na głowę kaptur.

– Straszny dziś ziąb!

Do hotelu dotarliśmy w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach.

– Miejmy nadzieję, że w barze będzie w miarę kameralnie. Całe pierwsze piętro zajmują ponoć goście jakiejś konferencji ortodontycznej – mruknął Kuba.

Na szczęście bar był niemal pusty. Przy kontuarze siedział samotny brodac w ciemnym garniturze, w głębi jakaś przytulona parka i to by było tyle. Zajęliśmy stolik przy oknie i Kuba poszedł coś zamówić. Śledziłam go wzrokiem, zastanawiając się, co dalej. Co dalej z naszymi uczuciami, które nadal gdzieś się tam w nas kłębią? Co dalej z przeszłością, która nie chce odejść? Co dalej ze mną? Z nami? Z nim?

Nie, nie powinnam tak myśleć!

Zamówił mi mojito.

– Kiedyś je lubiłaś – powiedział, stawiając na stoliku wysoką szklanekę.

– Dalej je lubię – powiedziałam.

– Nie masz wrażenia, że wszystko to jest w pewien sposób upiorne? Siedzimy tu sobie, jak gdyby nigdy nic. Dosłownie jakbyś nagle powstała z martwych. Chociaż nie, to idiotyczne porównanie. Chciałem tylko powiedzieć, że... Cholera, nawet nie wiem, od czego zacząć! Żyjesz! Powtarzam to sobie, odkąd się znalazłaś, chociaż nie jestem pewien, czy tak do końca zdołałem już w to uwierzyć.

– Magda powiedziała mi ostatnio niemal to samo...

– Przepraszam cię, Monika. Za wszystko. Za to, że nie potrafiłem cię uchronić od koszmaru, który przypadł ci w udziale. Za to, że tak szybko się poddałem i za to, że zgasła we mnie nadzieja... Twoja siostra, cała twoja rodzina, do końca wierzyła, że jeszcze się znajdziesz, ale ja wolałem myśleć, że nie żyjesz. Tak było mi łatwiej to wszystko znieść. Musiałem cię pogrzebać, chociażby w duchu. Inaczej chyba bym oszalał! – powiedział łamiącym się głosem.

– Myślę, że każdy z moich bliskich miał chwile zwątpienia. Tato też uważał, że nie żyję. Magda, mama, ciotka Renata... Co innego mogli myśleć?

Jakub nie odpowiedział. Upił kilka łyków whisky i zapatrzył się w migoczący na kolorowo neon za oknem. Pogłaskałam go po policzku. Przysunął się do mnie i położył mi rękę na kolanie. Ciepło jego palców czułam nawet przez grube zimowe rajstopy. Zdawało się promieniować aż do mojego serca, ogrzewać moje zastygłe w bólu ciało, przywracać mu czucie. Spojrzałam mu w oczy i opuściłam wzrok na jego usta. Wargi miał pełne, ładnie wykrojone, takie, jak zapamiętałam. To on pocałował mnie pierwszy, ale jakie to miało znaczenie? Myślałam przecież o tym samym. Żadne z nas nie zaproponowało, żebyśmy poszli na górę. Po prostu wstaliśmy i bez słowa ruszyliśmy w kierunku korytarza. W windzie Kuba powiedział, że nigdy nie przestał za mną tęsknić. Zamknęłam mu usta kolejnym pocałunkiem. Smakował whisky, tak jak kiedyś, na naszym weselu.

Pokój był niewielki i ciemny. Czekoladowe ściany, ciemnobrązowa narzuta na łóżku, szczelnie zasłonięte story w kolorze czerwonego wina. Jakub wsunął palce w moje włosy i rozpiął boczny zamek wełnianej sukienki, która po chwili opadła na podniszczoną ciemnoszarą wykładzinę. Zakręciło mi się w głowie, a cały świat nagle przestał istnieć. Przez ostatnie tygodnie myślałam, że po tym, co robił mi porywacz, już nigdy nie pozwolę się dotknąć żadnemu mężczyźnie. Ale dotyk Kuby nawet przez jedną sekundę nie był niechciany. Jego dłonie, usta, ramiona – takie znajome, tak cudownie bezpieczne. Nagle, przez jeden magiczny moment, poczułam się tak, jakby tych ośmiu ostatnich lat nie było. Zdjął sweter, elektryzując sobie włosy. Rozpięłam mu koszulę, urywając przy tym dwa guziki. Opadliśmy na łóżko. Mój stanik, jego bokserki, moje rajstopy – nasze rzeczy jedna za drugą lądowały na podłodze, my kłębiliśmy się po olbrzymim hotelowym łóżku; zatraciliśmy się w czasie, który nagle cofnął się i podarował nam kilka ulotnych chwil zapomnienia. Wszedł we mnie delikatnie, poruszał się wolno, znajomo. Przymknęłam oczy, przypominając sobie naszą noc poślubną i to, jak szeptał mi na ucho, że zawsze będziemy się kochać. Zawsze. Słowo solidne, niczym węgielny kamień i jednocześnie takie kruche...

– Kocham cię, Nika – wyszeptał, kiedy się ze mnie wysunął i opadł na skłębione beżowe prześcieradło. – Kocham cię, słyszysz? Nigdy nie przestałem.

– Kuba, nie... – zaczęłam, ale nie pozwolił mi skończyć.

– Wróćmy do siebie. Spakuję bety, wyniosę się z Pomorza i zaczniemy wszystko od nowa. Zawsze chciałaś zamieszkać we Wrocławiu, pamiętasz? Moglibyśmy wynająć ładne mieszkanie, budzić się obok siebie – szepnął, ujmując moją twarz w dłonie. – Nie jestem szczęśliwy z Iwoną, nigdy tak do końca nie byłem. Bywały chwile, kiedy niemal zdołałem sobie to wmówić, ale zawsze wracała myśl, że to nie z nią chcę być!

– Kuba, ty oszalałeś! – krzyknęłam, odtrącając jego dłoń, którą gładził mój policzek. – To, że wylądowaliśmy dziś w łóżku, chyba będę sobie potrafiła wybaczyć. Raz daliśmy się ponieść szaleństwu, ludzka rzecz. Może potrzebowaliśmy jakiegoś zamknięcia, czegoś, co pomoże



nam iść dalej, nie oglądając się za siebie? Ale nie pozwolę ci zostawić Iwony z dwójką maleńkich dzieci, do cholery! Nie chcę być kimś, kto w taki sposób kradnie innej kobiecie mężczyznę!

– Kradnie?! Nie jestem pieprzonym portfelem, żeby można mnie było ukraść, Monika! – krzyknął Kuba, sięgając po leżącą na nocnej szafce paczkę marlboro. – Kocham cię, chcę z tobą być! Z tobą, słyszysz?! – dodał, zanim zapalił papierosa.

Nie odpowiedziałam.

Wstałam i pozbierałam z podłogi swoje rzeczy. Zakładając znalezione pod łóżkiem bieliznę, wyobraziłam sobie, że pozwalam mu na odejście od niej i powrót do mnie. Czy naprawdę bym tego chciała? Tak! Chryste, oczywiście, że tak! Nie potrafiłabym jednak żyć z myślą, że gdzieś pomiędzy nami stoi zapłakana Iwona... Jakim byłabym człowiekiem, pozwalając mu ją porzucić? I czy potrafiłabym szanować mężczyznę, który zrobił coś tak żenującego? Niedawno czekał na porodówce, aż przyjdą na świat jego córeczki, a teraz chciał się ewakuować, jakby nic go z Iwoną nie łączyło? Nie, nie potrafiłam sobie wyobrazić, że robi coś takiego, pomyślałam.

– Nic nie powiesz? Monika, błagam cię, dajmy sobie szansę! Jesteśmy małżeństwem, do cholery! Boisz się tego, co powiedzą ludzie?! Twoi rodzice rozumieją, Magda też. Reszta świata chyba nie powinna cię obchodzić! Iwona jest z bogatej rodziny, da sobie radę. Wychuchana jedynaczka z willą od tatusia i pokaźnym kontem w banku. Chleba im nie zabraknie, nie musisz się martwić – powiedział Jakub ostro, jakby nagle postanowił wylać z siebie cały żal do swojej zostawionej w domu partnerki.

Włożyłam sukienkę i zaczęłam naciągać rajstopy.

– Nie powinniśmy byli się spotykać – powiedziałam cicho.

Kuba, nagi i wyraźnie wzburzony, podszedł do mnie i wsunął dłonie w moje włosy.

– Kocham cię, to nic dla ciebie nie znaczy?

– Nie kochasz mnie, Jakub. Po prostu nagle zapragnąłeś uciec od życia, które nie do końca cię satysfakcjonuje, a mój cudowny wręcz powrót wydał ci się idealną okazją do życiowych zmian – powiedziałam.

– Bzdury pleciesz! – zachnął się. – Możesz mieć żal, że tak szybko

się poddałem. Że na ciebie nie czekałem, że związałem się z inną. Ale teraz mamy szansę, żeby być razem, Nika! Błagam cię, nie wychodź stąd tak po prostu, porozmawiaj ze mną!

– Wracaj do domu, Kuba. Masz kilkutygodniowe bliźniaczki i kobietę, która na ciebie czeka – powiedziałam, zapinając kozaki.

Zaczął się ubierać. Miotał się po pokoju, szukając swoich betów i usiłując jednocześnie przekonać mnie, żebym zmieniła zdanie.

– Przecież będę dla nich ojcem, cholera! Będę je odwiedzał, jeździł tam przynajmniej raz na kilka tygodni, pomagał jej w ich wychowaniu! Nie rezygnuję z bycia rodzicem! Rezygnuję z Iwony, nie rozumiesz?!

– Niedawno powiedziałeś mi przez telefon, że ją kochasz. Zapytałam, a ty dokładnie to mi powiedziałeś!

– Bo dopiero kiedy cię zobaczyłem, zrozumiałem, że nadal chcę tylko ciebie! – krzyknął. – Monika, błagam cię! Zostań ze mną, nie wychodź teraz. Jedźmy jutro do Wrocławia. Wsiądźmy w samochód i jedźmy!

– Mam tutaj pracę. Rodziców, siostrę, dom.

– Więc zostanemy tutaj, nie ma problemu.

– Kuba, nie chodzi o cholerne miejsce zamieszkania! Chodzi o to, że nie ma już nas!

– Przed chwilą się ze mną kochałaś! – krzyknął.

– To tylko seks – szepnęłam.

– To nie był tylko seks i świetnie o tym wiesz!

– Tak czy inaczej, nigdy więcej nie powinniśmy tego powtarzać.

Wracaj do domu, Kuba – powiedziałam.

W tym samym momencie rozdzwoniła się jego komórka.

– Nie odbierzesz? – zapytałam, zdziwiona jego bezruchem.

– Nie – burknął.

– Przykro mi, że nie jesteś z nią szczęśliwy, ale ja do ciebie nie wrócę – powiedziałam.

Pokiwał głową i zapatrzył się w ciemność za oknem.

Sięgnęłam po swoją kurtkę i zapięłam torebkę.

– Nie jestem taka, za jaką mnie masz, Kuba. Nie wiesz o mnie wszystkiego i nie chciałbyś wiedzieć – powiedziałam.

– Na przykład czego o tobie nie wiem? – zapytał, nadal stojąc do

mnie tyłem.

– Na przykład tego, że miałam romans. W dniu, w którym przepadłam, szłam na spotkanie z innym mężczyzną – szepnęłam.

Drgnął, ale nawet wtedy się nie odwrócił. Po prostu stał wpatrzony w okno, nieruchomy, odgradzony ode mnie szczelną ścianą nieświadomości.

– Wybacz, nie chciałam cię dziś zranić. Pomyślałam tylko, że jeśli się dowiesz, zrozumiesz...

– Co?! Co takiego pomoże mi zrozumieć informacja, którą właśnie się ze mną podzieliłaś?! – wybuchnął, ruszając w moją stronę.

Miał zaciśnięte w pięści dłonie i grymas złości na twarzy. Pomyślałam, że pierwszy raz widzę go aż tak wytraconego z równowagi. Przez chwilę obawiałam się, że zaraz mnie uderzy.

– No mów! Co takiego niby mam zrozumieć?! – huknął na mnie.

– Chociażby to, że nie jestem idealna. Wykreowałaś sobie przez ostatnie lata perfekcyjny obraz mnie, ale to nie ja. Ja szłam wtedy do innego, Kuba. Właśnie dlatego złapiesz teraz kilka godzin snu, a rano wrócisz do domu – szepnęłam.

– Niszczysz szansę, jaką dał nam los, słyszysz?! Straciliśmy tyle lat, a ty... Niech to szlag! – Jakub z rozmysłem strącił z nocnego stolika lampę, która z łoskotem upadła na podłogę. – Może jestem idiotą, ale wybaczyłbym ci nawet to, co mi właśnie powiedziałaś. Wybaczyłbym ci wszystko, gdybyś do mnie wróciła! Spójrz mi w oczy i powiedz: naprawdę nic już do mnie nie czujesz? – zapytał.

– Oczywiście, że coś do ciebie czuję, Jakub! Może nawet wciąż cię kocham, ale to niczego nie zmienia. Nikt nie może być aż tak egoistyczny, tak podły! Iwona cię teraz potrzebuje! Wasze dziewczynki muszą mieć ojca, a ty w końcu ochłoniesz i jeszcze któregoś dnia podziękujesz mi za to, że nie pozwoliłam ci do reszty spieprzyć sobie życia – powiedziałam.

– I co? Już? Koniec, po rozmowie? Wyjdiesz stąd teraz i pewnie już nigdy nie odbierzesz ode mnie telefonu, tak? Wyjdiesz i znowu przepadniesz...

– Przepadłam lata temu, Kuba. Przepadłam na tamtej zaśnieżonej drodze i wszyscy musimy się w końcu z tym pogodzić. Do niektórych

wróciłam. Do Magdy, rodziców, sąsiadów. Do ciebie nie mogę, nie potrafię... Zadzwońisz po taryfę, czy sama mam to zrobić?

– Masz wyjątkowy talent do ostatnich zdań. Jak nie ananasy w puszcze, to pieprzona taryfa – mruknął Jakub, sięgając po swój telefon.

Rozmawiał krótko, wyraźnie wzburzonym głosem.

– Będzie za siedem minut. Zielony volkswagen kombi – powiedział, kiedy się rozłączył.

– Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz – szepnęłam.

– Idź już – poprosił.

Wyszłam, cicho zamykając za sobą drzwi. Jakaś część mnie chciała wrócić do jego pokoju i rzucić mu się w ramiona, ale nogi posłusznie poniosły mnie w stronę windy.

W taksówce się rozplakałam.

– Oj, serce chyba złamane? – rzucił siwy kierowca, zerkając w lusterko.

Nie odpowiedziałam i mężczyzna nie dodał już nic więcej. Kiedy dotarłam do domu rodziców, Jakub jeszcze cztery razy usiłował się do mnie dodzwonić, ale nie odbierałam. W końcu wyciszyłam komórkę i położyłam się spać.

Rano wysłał mi esemesa.

*Tym razem nie zrezygnuję z Ciebie tak łatwo, Monika! Możesz oszukiwać samą siebie, ale wiesz, że oboje coś do siebie czujemy. Możesz w nieskończoność mnie splawić, ale nie wyrzucisz mnie ze swojej głowy! Kocham Cię! Postanowiłem, że odejdę od Iwony i zacznę wszystko od nowa. A później po Ciebie wrócę. Ale tym razem Ty będziesz musiała na mnie poczekać. Poczekaasz?* – przeczytałam.

Odpisałam jednym krótkim słowem.

*Nie.*

Przez chwilę trzymałam jeszcze w ręku telefon, jakbym podświadomie pragnęła, żeby Jakub coś jeszcze odpisał, ale on więcej się nie odezwał. Wyłączyłam więc komórkę i wybuchnęłam płaczem. Wiedziałam, że podjęłam jedyną słuszną decyzję, ale chyba dawno nie czułam się aż tak nieszczęśliwa...

– Wiem, że to trudne, ale dobrze zrobiłaś – powiedziała Magda, do której zadzwoniłam przed południem. – Któregoś dnia poczułabyś do

niego wstręt. Za to, co zrobił Iwonie, za sposób, w jaki zostawił dzieci. Kuba to dobry facet, ale zmienny, chwiejny. Czasem zachowuje się tak, jakby sam nie wiedział, czego chce. Nie kontaktuj się z nim w najbliższym czasie, pozwól mu ochłonąć. Przez pewien czas będzie się szarpał, w końcu potulnie wróci pod pantofel Iwony.

Przez resztę dnia powtarzałam sobie jej słowa, starając się nie myśleć o Jakubie, jednak raz za razem zerkałam na swoją komórkę... „Trzymaj się od niego z daleka, słyszysz?! Trzymaj się z daleka, bo pożałujesz!” – przypomniałam sobie rozmowę z Iwoną i nagle poczułam złość. Czemu miałabym tak po prostu oddać jej Kubę? Był moim mężem, byłam pierwsza, przeszło mi przez myśl. Nie znam jej, ale na podstawie tego, co słyszałam, zdołałam sobie wyrobić o niej zdanie. Była szantażującą go emocjonalnie jędzowatą pindą, której musiał się spowiadać dosłownie z każdego kroku, pomyślałam, łapiąc za telefon. Dopiero kiedy zobaczyłam jego imię na wyświetlaczu, wrócił mi rozsądek. Nie powinnam. Nie mogę. Nie zrobię tego. Po kolacji wykasowałam z pamięci komórki jego numer, chociaż biorąc pod uwagę, że znałam go na pamięć, było to działanie raczej bezcelowe.

– Julka, nie bij chłopca! – krzyknęła na córkę Magda, z którą siedziałam na placu zabaw nieopodal jej kamienicy. – Cholera, muszę tam iść! Matka tego smarkacza uwielbia wszczynać afery o byle co – dodała, zeskakując z huśtawki.

Zmrużyłam oczy, ciesząc się dotykiem ciepłych promieni słońca na twarzy. Jak na początek marca było ciepło, prawie siedemnaście stopni. Zbesztana przez moją siostrę Julka podbiegła do mnie, prosząc, żebym się z nią pobawiła i wgramoliła się na huśtawkę.

– Wyżej, wyżej! – piszczała, kiedy ją rozhuśtałam.

– Muszę ci coś powiedzieć, ale nie bardzo wiem, jak zacząć – powiedziała Magda, stając obok mnie. – Chcesz? – zapytała, wyjmując z torebki kolorowe lizaki.

– Daj – uśmiechnęłam się.

– Wyjeżdżamy – siostra odwinęła lizaka z papierka i podała go córce.

– Co? Kiedy? Magda, co się dzieje? – zapytałam.

– Nic złego, nie martw się. Po prostu chcemy coś zmienić, ruszyć

do przodu. Mój teść załatwił Saszy świetną pracę w Norwegii. Jego przyjaciel od lat prowadzi tam firmę projektową, więc sprawa jest pewna i dogadana. Sasza mógłby w końcu zacząć godziwie zarabiać i przede wszystkim pracować w swoim zawodzie. Długo się wahaliśmy, czy wyjeżdżać, czy nie, ale w końcu zdecydowaliśmy, że trzeba zaryzykować. Wiesz, jak jest, prawda? Tutaj ledwo sobie radzimy finansowo, a mała rośnie. Ostatnio musiałam zdecydować, czy kupić jej buty, czy kurteczkę. Mam dość tej biedy z nędzą, Monika! I jeszcze to miasteczko... Wszyscy, dosłownie każda osoba, którą mijam na ulicy, wie, co nam się przytrafiło. I chociażbym stanęła na rzesach, żeby to zmienić, tutaj zawsze będę młodszą siostrą zaginionej dziewczyny. Każde drzewo, na którego pniu wieszałam ulotkę o twoim zniknięciu, każda ulica, płot, przystanek, wszystko kojarzy mi się z tamtym koszmarem... W Norwegii moglibyśmy zacząć od nowa, odnaleźć siebie, zakochać się w sobie jeszcze raz. Wiesz, że kocham Saszę, prawda? Ale ostatnio tak jakoś dziwnie się między nami układa. Może oboje jesteśmy zmęczeni ciągłymi problemami finansowymi, a może odrobinę przerosło nas małżeństwo? W każdym razie zdecydowaliśmy, że pakujemy manatki i jedziemy. Dziś rano zarezerwowałam dla nas bilety.

– Wow, dość to niespodziewane... Będę za wami tęsknić  
– powiedziałam.

– Wiem. Ja też. Tym bardziej że jeszcze się tobą nie nacieszyłam. Przepraszam, że przysparzam ci dodatkowego stresu. Ale Sasza prędko by mi nie wybaczył, gdybym z nim nie pojechała. Zresztą nie chcę tutaj zostać sama, nie teraz. Jestem w trzecim miesiącu – uśmiechnęła się Magda, śledząc wzrokiem córkę, która ześlizgnęła się z huśtawki i pobiegnęła z powrotem do piaskownicy.

– Jesteś w trzecim miesiącu?! Czemu dopiero teraz mi mówisz?  
– objęłam ją.

– Sama niedawno się dowiedziałam. Wcześniej dość często miałam nieregularne cykle, więc nawet nie zwróciłam uwagi na brak okresu. Złe samopoczucie zważyłam na stres i dopiero kiedy zasłabłam w sklepie, zorientowałam się, że coś jest nie tak...

– Zasłabłaś w sklepie?

– Zrobiło mi się słabo. Anemia. Znasz to, prawda? – powiedziała Magda, rozpinając kurtkę. – Zajmiesz się rodzicami, prawda?

– Jasne, że tak. Opiekowałam się nimi osiem lat, teraz moja kolej. Zmiana warty, siostrzyczko.

– I przylecisz do mnie na wakacje?

– Przylecę – obiecałam.

– A zmieniając temat, zerwałam wczoraj ze słupa plakat informujący o kolejnym spotkaniu Szymona Knappa z czytelnikami. Promuje tego swojego szmatławca jutro w bibliotece na Sądowej

– powiedziała Magda.

– Zerwałaś plakat? – roześmiałam się.

– Owszem. Zerwałam i podarłam na strzępy, i to na oczach jakichś stojących na przystanku bab, które prawie zabiły mnie wzrokiem. No wiem, nie powinnam. Tym bardziej że swego czasu zdarzały się oszołomy, które zrywały ze słupów informacje o twoim zaginięciu. Ale to przecież zupełnie inna sytuacja, zresztą zrobiłam to pod wpływem impulsu. Pewnie dlatego, że po tym, co mi powiedziałaś, mam tego gościa za kompletnego dupka. Słuchaj, przejdźmy się kiedyś na jego wieczór autorski. Wiesz, jak by się spocił, gdybyśmy zasiadły w pierwszym rzędzie?

– O nie, w życiu! – zarzekłam się.

– Czemu? To mogłoby być całkiem śmieszne.

– Nie sędzę – powiedziałam.

– Szkoda, mogłybyśmy nieźle się rozerwać – Magda uśmiechnęła się złośliwie i spojrzała na piszczącą z radości córkę, którą na przemian huśtałyśmy. – Cholera, naprawdę dziś gorąco. Chyba za grubo ją ubrałam, pewnie się spoci – dodała.

– Ostatnio śniło mi się, że nie żyje – powiedziałam, słowem nie nawiązując do jej matczynych rozterek.

– Kto? Knapp?

– Tak, Szymon. Śniłam, że zginął w jakimś wypadku na budowie, na której promował książkę. Zupełny bezsens, ale tak to czasem w snach bywa. Zjawiłam się w każdym razie na jego pogrzebie w słomkowym plażowym kapeluszu i sącząc drinka z parasolką, przyglądałam się, jak opuszczają trumnę. Ksiądz miał żółtą sutannę, a wdowa po Szymonie

nagle zaczęła obłąkańczo się śmiać i wskoczyła do grobu, gubiąc przy tym but.

– Dość wymowne. Chyba nie najlepiej mu życzysz... Nie, żebym ci się dziwiła...

– Nie życzę mu śmierci, jeśli to właśnie insynuujesz! Po prostu uważam, że jest wyrachowanym, zimnym sukinsynem. Człowiekiem bez cienia skrupułów, zwykłym pozerem. I nie wiem, czy bardziej brzydę się nim, czy sobą, kiedy myślę o tym, co kiedyś mnie z nim łączyło...

– Nie zdręczaj się, Monika. Musisz sobie wybaczyć ten romans, słyszysz? Zapłaciłaś już za niego wystarczająco wysoką cenę.

– Nie tylko ja. I właśnie na tym polega problem. Gdyby chodziło tylko o mnie, jakoś bym sobie z tym poradziła. Ale ja rozwalłam całą naszą rodzinę, nie rozumiesz?! – podniosłam głos i siostrzenica posłała mi zaciekawione spojrzenie.

– Nie chciałaś, do cholery! Przecież gdybyś wiedziała, jak to wszystko się skończy, nigdy nie wyszłabyś z domu w tę przeklętą śnieżycę! Nie zrobiłaś tego z premedytacją!

– To niczego nie zmienia – szepnęłam i przez jakiś czas milczałyśmy, każda zatopiona we własnych myślach. – Odpisała ci ta dziewczyna z Cardiff? Jak ona miała na imię? Emily? – zapytałam po chwili.

– Emily, tak! Zapomniałam ci powiedzieć! Przesłała mi mejla jeszcze tego samego wieczoru. Wydaje się w miarę szczęśliwa. Kilka lat temu wyszła za Kanadyjczyka i przeniosła się do niego, w okolice Quebecu. Prowadzą z mężem fundację zbierającą fundusze na bezdomne zwierzaki i remontują właśnie jakiś na wpół zrujnowany dom, który udało im się kupić niemal za grosze. Wysłała mi nawet kilka fotek swoich trzech psów. Dwa buldogi i jamnik, więc muszą mieć pod dachem niezły cyrk.

– Wiesz, co przed laty przytrafiło się jej siostrze? – zapytałam.

– Nie. Wtedy Emily napisała mi jedynie, że dziewczyna nie żyje, teraz też nie poruszyła tematu. Zresztą wcale jej się nie dziwię – powiedziała Magda. – Jak ci się pracuje u tego doktoraka? – zmieniła temat, najwyraźniej nie chcąc dłużej rozmawiać o tym, co też mogło spotkać zaginioną przed laty w portowym Cardiff nieszczęsną Grace



Kelton.

– Dobrze. W zasadzie niemal w tej pracy odpoczywam. Ludzie, którzy przyprawdzają do kliniki zwierzęta, lubią sobie pogadać. Pani Stefa, właścicielka brytyjskiego kocura Hrabiego, na okrągło mówi o swojej wnuczce stewardesie. Pani Ada nieustannie narzeka na zdrowie, pan Jędrak ciągle gada o piłce i polityce... Kiedy ich słucham, na moment zapominam o własnych problemach.

– Mamo, ciociu, patrzcie! – Julka, która zdążyła już zeskoczyć z huśtawki i przebiec cały plac zabaw, wdrapała się na zjeżdżalnię, chcąc zwrócić naszą uwagę wrzaskiem. – Mamoooo, paaatrz! – darła się, podskakując.

Pomachałam siostrzenicy i spojrzałam na stojącą obok mnie Magdę.

– Urodzisz już tam – powiedziałam, martwiąc się, że znowu nie będę dla siostry wsparciem podczas ciąży.

– Tak, pewnie tak.

– Swoją drogą, nie miałam pojęcia, że planujecie z Saszą drugie dziecko.

– Bo nie planowaliśmy. Musiałam zapomnieć o pigułce. Wersja oficjalna jest w każdym razie taka, że zostało poczęte w Kopenhadze. Brzmi nieźle, prawda? – mruknęła Magda.

– Sasza się cieszy?

– Chyba znacznie bardziej ode mnie. Ja myślę głównie o zbliżającym się porodzie, nieprzespanych nocach i pieluchach. Przylecisz do mnie, kiedy będę w dziewiątym miesiącu? Monika, proszę! Okropnie się boję porodu, szpitala i całej reszty. Drugi raz nie chcę przez to przechodzić bez ciebie.

– Przylecę.

– Julka, złaż stamtąd! – wrzasnęła siostra w odpowiedzi, rzucając się w stronę córki.

Mała zaczęła się wspinać na jedną z drabinek, z której ponoć już kiedyś spadła, będąc pod opieką naszej mamy. Rozbiła sobie wtedy głowę i rodzice musieli z nią jechać na SOR, gdzie założono jej cztery szwy. Magda opowiedziała mi o tym jakieś dwa, może trzy dni po moim powrocie do domu.

– Chodź tutaj, mówię! – siostra ściągnęła młodą z drabinki i pocałowała ją w czubek głowy. – Wiesz przecież, że już kiedyś rozbiłaś sobie tu główkę, małpeczko – dodała.

Uśmiechnęłam się, obserwując Magdalenę zawiązującą córce buty. Była dobrą, kochającą matką, chociaż czasem brakowało jej odrobiny cierpliwości. Nigdy jednak nie traciła przy dziecku panowania nad sobą. Zdarzało jej się co najwyżej zakląć pod nosem albo podnieść głos.

– Sorry, musiałam ją stamtąd zdjąć – chwilę później siostra wróciła na naszą ławkę i wyjęła z torebki komórkę. – Pstryknę jej kilka fotek, będzie ładna pamiątka – dodała.

Zapytałam, co z ich mieszkaniem.

– Zamierzacie je sprzedać? Może od was kupię?

– Nie, nie chcemy go sprzedawać. Za bardzo je lubimy. Ale zamierzałam cię właśnie prosić, żebyś się nim zajęła. Zamieszkałabyś u nas, podlewała kwiatki, wietrzyła. W ten sposób my będziemy spokojni, a ty odpoczniesz od nadopiekuńczości mamy i będziesz miała własny kąt, zanim znajdziesz coś swojego. Co powiesz? Zajmiesz się naszym poddaszem? – zapytała Magda, robiąc zdjęcie bawiącej się w piaskownicy córce.

– Jasne, że się zajmę – powiedziałam.

– Mama jeszcze nie wie, więc na razie nic jej nie mów, okay?

Postawimy ją przed faktem dokonanym.

– Tak będzie najrozsądniej. Oszczędzicie sobie dzięki temu długich godzin najprzeróżniejszych pogadanek – zgodziłam się z siostrą i wybuchnęliśmy śmiechem.

– Musisz sobie w końcu założyć konto na Facebooku, słyszysz? Będziemy do siebie pisać, dzwonić, będziemy... – Magda urwała w pół zdania i zaczęła płakać.

– Hej, młoda, no co ty? Pomyśl o Norwegii, wariatko! Macie szansę na przygodę, na coś nowego. A ja od dziś ciulam kasę na bilet i zanim się obejrzyysz, zwałę się wam na głowę – przytuliłam ją.

– Mama pewnie wpadnie w histerię na wieść o naszym wyjeździe. Zacznie te swoje gadki o narastającej fali terroryzmu, wypadkach i wszelkich możliwych plagach. Jakby nadal nie wiedziała, że wszystko, co złe, równie dobrze może się wydarzyć blisko domu...

– Zajmę się nią, nie przejmuj się. Zaczęła remont butiku, planuje otwarcie drugiego. Będzie miała sporo na głowie, kiedy wyjedziecie.

– Tylko nie daj się namówić na pracę u niej, bo mniej więcej co drugi dzień będziesz miała na karku ciotkę Renatę i wszystkie jej żenujące rodzinne anegdotki – zaśmiała się Magda.

– Bez obaw. Wolę zwierzęta niż ciuchy. Przynajmniej jeśli chodzi o pracę. No już, wytrzymaj oczęta! Przecież będziemy się odwiedzać – szturchnęłam ją.

Wyjęła z torebki chusteczki i zerknęła na córkę.

– Myślisz, że Julka szybko się zaaklimatyzuje?

– Jasne, że tak. Będzie zachwycona.

– Zamienimy się? Jak w dzieciństwie, pamiętasz? – siostra zdjęła tanią, zrobioną z kolorowych koralików bransoletkę i wsunęła mi ją na rękę. – Dawaj swoją! – rozkazała.

Podalam jej kupioną kilka dni wcześniej błyskotkę, starając się nie myśleć o tandetnej bransoletce od Józefa, połyskującej na nadgarstku martwej Ireny...

– Super! – ucieszyła się Magda, a ja zdałam sobie sprawę, że pod wieloma względami moja siostra jest wręcz rozbijającą infantylna.

– Powoli powinnam się zbierać. Na piętnastą muszę być w pracy, a chcę jeszcze coś zjeść – powiedziałam.

– Ale pamiętaj, ani słowa mamie! Tacie też nie, bo przecież on od razu wygada... Zawsze mnie to dziwiło, wiesz? On mówił jej dosłownie wszystko, a ona zawsze skrywała przed nim tyle tajemnic – powiedziała Magda. – Postanowiliśmy z Saszą, że jeśli będzie dziewczynka, damy jej na imię Monika – dodała, zmieniając temat.

– A jeśli chłopiec, to Kuba – powiedziałam i siostra posłała mi zdziwione spojrzenie. – Młoda, żartuję! Żebyś widziała, jaką miałas minę – parsknęłam śmiechem.

– Odprowadzę cię kawalek. Czekał, zawołam Julkę. Jula, chodź! Idziemy z ciocią na przystanek! – krzyknęła. – I oczywiście zostaniesz matką chrzestną.

– Wiem, że tym razem się nie wywinę – zażartowałam.

– Jasne, że nie. Na twoim miejscu zaczęłabym już odkładać kasę na pierwszokomunijny prezent – rzuciła Magda rozbawionym tonem.

Zanim wsiadłam do autobusu, obiecałam siostrze, że wpadnę do nich w niedzielę. Parę minut później młody kierowca zjechał w Ogrodową i mignęła mi przed oczami witryna kawiarni Niebieska. Na dniach będę musiała tam zajrzeć i przeprosić Dorotę za te wysrane z palca bzdury o Nowej Zelandii – pomyślałam.

Kiedy wróciłam do domu, mamy nie było. Była za to świeżo upieczona szarlotka z cynamonem i dzbanek mrożonej herbaty. Siedzący za kuchennym stołem tato na mój widok odłożył gazetę i mruknął coś o tym, że trzeba odgrzać pomidorówkę.

– Cześć. Wcześniej dziś wróciłeś – zauważyłam.

– Cześć, córciu. Dobrze, że już jesteś, zjemy razem – powiedział.

Karmel mokrym nosem trącił moją dłoń i krótko szczechnął, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że jego również cieszy mój widok. Jestem w domu, pomyślałam, wyjmując z kredensu dwa głębokie talerze. Czekaając, aż zagrzeje się zupa, znalazłam kolejnego esemesa od Jakuba. Prosił o rozmowę, chciał się jeszcze raz spotkać. Nie odpisałam. Od kilku tygodni staram się poukładać od nowa całe moje życie, wrócić do tego, co miałam, kim byłam. Jednak pewnych rzeczy cofnąć się nie da. Nie zbuduję szczęścia na krzywdzie innej kobiety. Od Kuby odeszłam na dobre w tamtego sylwestra na zaśnieżonej drodze. Plama czerwieni pośród zadymki. Dziewczyna, która przepadła...

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

